

Newton
Thornburg



ŻYWE WRAKI



Newton

Thornburg

ŻYWE WRAKI

Przekład:

TOMASZ S. GAŁĄZKA

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: CUTTER AND BONE

Copyright © 1976 by Newton Thornburg

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2009

Copyright © for the Polish translation by Tomasz S. Gałązka

Opracowanie graficzne: EWELINA BARCICKA

Redaktor wydania: PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel. (056) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-158-7

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (056) 652-90-17

Toruń 2009.

Wydanie I.

Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.,

ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

*Dla Karin, mojej żony
– ukochanej mego życia*

1.

Nie pierwszy raz Richard Bone golił się damską maszynką marki Lady Remington, nie spodziewał się też, żeby miało go to ominąć w przyszłości. Mimo to jednak wyraźnie czuł tchnienie odrazy, kiedy przesuwiał głowicą w tę i z powrotem ponad ustami. Nie był pewien, czy to dlatego, że zwietrzył ciągnący się od niej słabutki powiew kobiecej pachy, czy też jego problem rodził się po prostu z odbicia w lustrze, z którego spoglądał stary dobry Złoty Chłopak, cały opalony, smukły i wysportowany. Ależ kłamliwy obraz. Uczciwe lustro zdaniem Bone'a pokazałoby raczej kogoś w typie Cuttera, postać bez kompletu kończyn, ze szklanym okiem i uśmiechem wyglądającym raczej jak grymas wrzasku. Bone leniwie zastanawiał się, jak zareagowałaby właścicielka golarki, gdyby wiedziała o nim coś więcej, na przykład to, że mniej obchodziła go opalenizna i fizyczna sprawność tego zewłoka niż prosta konieczność utrzymania go przy życiu, wykarmienia i przyodziania, pohamowanie przychodzących czasem pokus, by wypłynąć w kanał o skromne sto jardów za daleko, czy wejść starzejącym się MG w zakręt przy obrotach nieco wyższych, niżby to nakazywał rozsądek. Poczekaj, powtarzał sobie. Cierpliwości. Coś się wydarzy. Coś się zmieni.

Choć już skończył, miał opory przed wyłączeniem maszynki, spodziewając się, że kobieta znów zacznie labiedzić. Wciąż nie mieściło mu się w głowie, jaka była drętwa. W przeszłości, kiedy – tak jak z nią – otwarcie uderzał o kasę, większość babek dawała sobie po prostu siana, parę wywaliło go za drzwi, a niektóre nawet faktycznie płaciły. Ta jednak wolała wisieć mu na karku i cierpieć.

Kiedy w końcu odłożył maszynkę, rozległo się pukanie do drzwi sypialni, po czym usłyszał szelest jej podomki z katalogu wysyłkowego, gdy wstała, żeby otworzyć. *Room service* – przynieśli szampana i smażone na głębokim oleju duże krewetki, które uwielbiała. Wychodząc z łazienki, Bone narzucił na siebie koszulę w miętowozielone paski, która w ten sposób rozpoczynała trzeci dzień nieprzerwanej służby. Latynoski chłopak na posyłki na odchodnym puścił do niego oko, jak konspirator, pewnie dlatego, że to ona podpisała rachunek. Bone olał gościa.

- Masz ochotę na krewetki? – zapytała.
- Pewnie.

- Podobno takie skorupiaki dobrze robią na jurność, co?
- Że niby faceci w mojej branży nie mogliby się bez nich obejść.
- Tego nie powiedziałam.
- Naprawdę?
- Och, to przepraszam. Po prostu chodzi mi o to, że... no, że takie rzeczy mocno biją w kobiecą próżność.

– Jakie znowu rzeczy?

Zaśmiała się smętnie. – Nic ci nie przychodzi do głowy?

- Tylko te twoje przyjaciółki... Zamierzasz do nich na powrót dołączyć?
- A chciałbyś?
- Myślałem, że może ty chcesz.
- Niespecjalnie.
- Twój wybór.
- Mówisz serio?

Wzruszył ramionami. Co można było powiedzieć, jeśli to i tak niczego nie zmieniało. Ta kobieta była jedną z trójki nauczycielek z liceum w Fargo w Północnej Dakocie, które przyjechały do Santa Barbara na wakacje. Najwyraźniej wykonywały sobie, że jeśli nie nawiną im się jacyś faceci, zawsze będą mogły zaliczyć żelazny repertuar lokalnych zabytków czy włóczyć się po sklepach z antykami i kuriozami. Kiedy Bone ją spotkał, opalała się samotnie na plaży – dwie pozostałe wolały sobie dłużej pospać. Bez cienia zażenowania porzuciła koleżanki i wynajęła nowy pokój w tym motelu, gdzie póki co spędziła z nim dwa dni i noc, rzecz jasna pokrywając wszystkie rachunki. Powiedział jej na początku, że miał pewne problemy. Gorszy okres. Przejściowa sprawa. Przyjęła to mężnie, po nowoczesnemu, aż dziw brał. W rzeczy samej, inkasowanie gotówki za czeki podróżne i podsuwanie mu pieniędzy pod stołem, a czasami wręcz jawnie, zdawało się sprawa jej niemal nieprzyzwoitą radość.

Problem pojawił się raptem parę godzin temu, w łóżku, kiedy przerwała milczenie po seksie mętym, lepkiem bełkotem o miłości, wzajemnych zobowiązaniach i zapuszczaniu korzeni. Nie zwlekał z odpowiedzią, od razu przeszedł do „pożyczki”. Sugerował, że trzy czy cztery stowy wystarczyłyby, żeby mógł przetrwać ten kiepski okres.

Czasami ten tekst na nie działał. Nie w tym wypadku. Teraz Bone podszedł do stołu, uniósł przykrywkę i wyciągnął dwie krewetki. Zanurzył je w sosie i załatwił jednym kęsem.

- Co mam im powiedzieć? – zapytała.
- Komu?
- Moim koleżankom. Co one sobie pomyślą?
- O czym?
- O tobie. O tym, co przeżyliśmy razem. Co mam im powiedzieć?
- Prawdę.
- Czyli?

Bone nalał szampana do kieliszków. Podał jej jeden, ale go zignorowała. Odstawił szkło. – Że dowiedziałas się, jaki ze mnie ówok – podsunął. – Bankrut. Żul.

- Nie wyglądasz na takiego.

- Chryste Jezu, przecież nawet nie mam własnego mieszkania. Parę tygodni temu wywalili mnie na bruk. A teraz mieszkam u kolesia, który sam od dwóch miesięcy zalega z czynszem. Kolejny frajer.

- Nie wyglądasz na splukanego.

- Ważne, że tak się czuję.

Ciężko usiadła na fotelu obciągniętym pomarańczowym skajem.

- No chodź, zjedz coś – powiedział. – Bo wystygnie.

- Nie jestem głodna.

- Jak sobie chcesz.

- Myślałam, że ty też nie będziesz już głodny. Tak entuzjastycznie *wylizywałeś...*

To sprawiło, że Bone oderwał wzrok od stołu. – Robię to, bo to lubię, moja miła pani. I wydawało mi się, że tobie też się podobało.

Choć nazwał ją panią, sądził, że była o parę lat młodsza od niego, miała trzydziestkę, może dwadzieścia dziewięć, raczej nie promienne dwadzieścia pięć, do których się przyznawała. Z początku była całkiem atrakcyjna, fajnie było z nią być, w łóżku też niezgorzej. Teraz jednak miał przed sobą zupełnie nową kobietę, nieznajomą o drżących wargach i oczach pełnych długiej zimy, jak to w Dakocie. Mówiła, że nazywa się Meredith. Meredith Saunders.

Zjadł jeszcze parę krewetek. – Nie brałem cię za romantyczkę – stwierdził. – Z gadki była z ciebie realistka.

- A ty mówiłeś jak żywy człowiek.

- Zwiodły cię pozory, co?

- Mniej więcej.

Mimo głodu Bone zaczął żałować, że jeszcze stąd nie wyszedł. Miał nadzieję, że pozegnąją się względnie przyjaźnie, zaczynając od tej późnej kolacyjki, że posiadzą sobie tutaj, w tym nędznym motelowym pokoju, gdzie nie da się ukryć własnych wad, że pojedzą, wypiją, a ona będzie miała szansę skorygować sobie poglądy na tę sytuację i zobaczy, jak to naprawdę wyglądało, jak to było od samego początku – związek na nockę czy dwie, nic więcej. „Miłość”. Skąd u niej taki pomysł?

– Zawsze idzie ci to tak łatwo? – ciągnęła. – Ten numer na żigolaka? Nigdy nie masz problemu z „funkcjonowaniem na służbie”, by tak rzec?

– Przykro mi, ale to żaden wielki „numer”. Nic regularnego. Chodzę na plażę pobiegać i czasem zdarzy mi się spotkać kogoś, kto mnie zainteresuje. Atrakcyjną kobietę, jak ty.

– Kogoś do wyruchania. Kogoś, kto będzie stawiał.

Nie odpowiedział.

– Nigdy cię to nie rusza? Nigdy nie przeszkadza?

Nagle zabrakło mu cierpliwości. Czuł, że budzi się w nim gniew, jak pierwszy gorący powiew wichru Santa Ana. Wstał, zarzucając sponiewieraną wiatrówkę.

– Na razie – rzucił.

Kiedy wychodził, zawołała go po imieniu – łzawe „Richard!”, które sprawiło, że tym mocniej trzasnął za sobą drzwiami, ruszając ku windzie na końcu korytarza.

Samochód stał po drugiej stronie wiodącej do plaży ulicy Cabrillo, która długą, uroczą linią latarni ciągnęła się łukiem na zachód, ku odległej przystani rybackiej i marinie dla jachtów. Dalej, na morskim horyzoncie, migotały zielone i czerwone światelka platform wiertniczych na kanale. Przechodząc przez ulicę ku parkingowi, Bone niemal czuł na plecach wzrok tamtej kobiety, mdlącą urazę, śledzącą każdy jego krok. Był na wpół przekonany, że znów go zawoła, z ulgą jednak przyjął fakt, że słyszał tylko lekki szum przyboju na plaży, no i coś jakby skandowanie od strony grupki hipisów, siedzących w pozycji lotosu wokół ogniska z wyrzuconego przez wodę drewna. Zastanawiał się, czemu właściwie nie mogą sobie śpiewać. Czemu zamiast śmiechu i hot dogów muszą mieć modlitewne paciorki, teologiczne pajacowanie, dziwaczne kombinacje kultu ognia i zen? Chryste Jezu, jak on nienawidził Kalifornii, a przynajmniej tej jej nadbrzeżnej części, tej zatłoczonej sceny, gdzie Ameryka wciąż testowała sobie przyszłość, za każdym razem zaraz zatrząskując

przed nią drzwi, żeby czasem nie wylazła na główne ulice miast. A jednak Bone nie potrafił stąd wyjechać. To coś jakby człowiek zakochał się w najbardziej wrednej, najpaskudniej wymalowanej kurwie w burdelu. I ma to, na co zasłużył.

Wiedział też jednak, że całe to jego myślenie było co najmniej trochę nieszczerze, bo teraz stał się już bez wątpienia jednym z tutejszych, kolejnym macherem nie do odróżnienia od kaznodziejów i czcicieli ognia, pornografów i terapeutów krzykiem. A beztroška brutalność, z jaką potraktował tamtą nauczycielkę, dowodziła tylko, jak świetnie się dopasował. Przecież nie zrobił tego dla pieniędzy, których tak otwarcie żądał, ani dla paru dni niezłego życia na cudzy koszt, z fajnym żarciem, napitkami i obsługą, które wciąż trafiały mu do gustu, nawet mimo tego, że trzy lata temu rzucił ten styl. Nie, tak naprawdę powodem najprawdopodobniej była najzwyczajniejsza nuda, no i zawsze pociągająca perspektywa spędzenia paru dni z dala od Cuttera, jego i Mo, i ich bachora, i wszystkich ich problemów, wódy i wojen, i nędzy, ciętych wyzwisk i gnijących resztek żarcia.

Kiedy jednak podszedł do samochodu i znów ujrzał łyse opony, przerdzewiałe zderzaki i sprężyny wyłażące przez sparciałą skórę siedzenia, musiał przyznać, że te „pożyczone” trzy czy cztery stówy bardzo by się przydały. W najgorszym razie miałby na nowe oponki i regulację zaworów, żeby w czasie jazdy przestał się wlecać za autem długi warkocz siwych spalin. Śmieszna sprawa, jak bardzo zobojętniał mu ten wózek, klasyczny model MG-TC z 1948 z progami, szprychowymi kołami i całą resztą bajerów. Teraz jednak widział w nim tylko środek transportu, nic więcej, taki sam jak lśniące żelastwo z Detroit, które w Milwaukee co roku wymieniał na nowszy model, nim jeszcze odciął się od Ruth, córeczek i problemów w pracy. Cóż, kiedy dwa lata temu przybył tu po raz pierwszy w towarzystwie miłej pani, którą poznał w Acapulco – i która koniec końców sprezentowała mu ten wózek, jak mówiła, na pamiątkę – no, wtedy nie wiedzieć czemu te cztery kółka były dlań wręcz symbolem, jaskrawoczerwonym emblematem życia, jakie od tej chwili miał wieść. Nie tegoroczny model, czyjs tandetny sen z chromu i plastyku, ale drewno, stal i skóra, dzieło sztuki i starannego rzemiosła, porządne, namacalne. Do tego właściwie sprowadzały się jego oczekiwania, taka była miara niewinności Bone'a. Rzeczywistość okazała się nieco od tego odstawać. Teraz w mgnieniu oka zgodziłyby się na któreś z tych cudeniek z chromu i plastyku z Detroit, coś, co jechałoby szybko i cicho, bez zostawiania za sobą kłębow dymu.

W drodze do domu zatrzymał się na kilka szybkich w barze u Murdocka, tawernie jak z centrum Chicago, którą jakimś cudem zniosło do Santa Barbara. Była to mroczna, chłodzona, wąska sala o podłodze pokrytej długowłosą wykładziną. Za barem stał nowy kolorowy telewizor, a jaskrawo oświetlona grajszafa marki Wurlitzer grała kiegoński pop. Bez dwóch zdań, rozrywkowe towarzystwo z Montecito czy Hope Ranch nie zawitałoby tu nawet w desperackich próbach samoponiżenia. Klientami Murdocka byli z reguły anglosascy robotnicy; do tego stopnia mniejszość w Santa Barbara, że rzadko było tu tłoczno, ceny trzymały się na przyzwoitym poziomie, a i obsługa była niezła.

Bone wciąż jeszcze miał dwanaście dolarów z tego, co dała mu nauczycielka, więc od razu położył piątkę na barze, żeby Murdock wiedział, że nie musi nic dopisywać do kłopotliwie dużej sumy pod kreską. Na widok banknotu Murdock szybko przygotował tradycyjny drink Bone'a, wódkę z tonikiem, i zaserwował.

– Kopę lat – powiedział. Miał ze czterdzieści lat, jak na barmana był chudy, ale ruda czupryna już rzedła, a skórę usiały plamy.

Bone wzruszył ramionami. – I nie mam kasy.

– Przyjdzie czas, Rich, że będziesz musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Na tym świecie trzeba pracować. Inaczej się nie da.

– Też tak słyszałem.

– Więc uwierz, jak ci mówią.

– Próbuję.

– Akurat, cholera. Naprawdę, uwierz. Co z tego, że żołądek znów zacznie się buntować, że znów będziesz cały spięty? Co z tego? Myślisz, że inni mają lepiej? Nikt nie żyje wiecznie.

– Więc co, trzeba to jeszcze przyspieszać?

Murdock skrzywił się, z zazdrością płynącą z wiedzy. – Przecież jesteś ustawiony, facet. Wiesz chyba o tym? Wszystko masz jak na tacy. Gdybym to ja mógł być takim zawodowcem i przesiadywać całymi dniami w biurze, wymyślając nowe sposoby naciągania takich frajerów, jak ja sam, myślisz, że nie poszedłbym na to?

– Pewnie byś poszedł.

– Żebyś, kurna, wiedział. Ty też znowu pójdziesz, jak dwa a dwa cztery.

Wiesz czemu?

– Nie.

– Cutter – odparł Murdock. – Wciąż u niego mieszkasz, nie?

Bone przytaknął.

– No właśnie. Ten koleś każdego normalnego wpędzi w obłąd. Każdego trzeźwego zagoni do butelki. Każdego, kto nie chce pracować... O tak, będziesz podbijał kartę w fabryce, nim się skończy ten tydzień.

Bone uśmiechnął się ze znużeniem. – Widzę, że tu zaszedł.

– I dobrze widzisz, koleś. Parę godzin temu.

Murdock zerknął na drugi koniec baru, gdzie starszy gość o zaropiałych oczach nerwowo wpatrywał się w pustą szklaneczkę.

– Potem ci opowiem – rzucił i odszedł.

Bone zapalił papierosa, wdzięczny losowi za chwilę oddechu. Zupełnie nie miał ochoty na pogawędkę. Od momentu kiedy wyszedł od nauczycielki, czuł, jak rośnie w nim gniew, uraza. Mógł sobie całkiem nieźle wyobrazić, jak ona go teraz postrzegała: bez troski ogierek, swobodnie zmieniający kobiety jak rękawiczki, od ofiary do ofiary, biorąc co się da i mknąc dalej, bez łez, bez zarwanych nocy. Szlag go trafiał na ironię tej sytuacji, bo akurat teraz czuł się równie rozrywkowo i swobodnie, co karmelita bosy. Chłód lęku płynął w nim jak wyciąg z chininy. A był to ten lęk, o którym ponoć biali Amerykanie z klasy średniej mieli w ogóle nie mieć pojęcia, obawa przed takimi rzeczami, jak chłód, głód i ból zębów, wszystko drobiazgi, chyba że miało się przy duszy wszystkiego dwanaście dolarów, z czego pięć jeszcze tej nocy zamierzało się przechlać. Czy będzie miał jutro co zjeść? A w przyszłym tygodniu? Będzie miał gdzie spać? Absurdalne, ale prawda była taka, że po prostu nie wiedział, bo i jedno, i drugie zależało teraz od renty inwalidzkiej Cuttera, a ta z reguły wystarczała mniej więcej na tak długo, ile w południowej Kalifornii potrzebował śnieg, by stopnieć, biorąc pod uwagę, że Alex gustował w grillowanym tuńczyku abalone, winach Cabernet Sauvignon i restauracjach z sieci Packarda.

Z drugiej strony jednak, Bone był przecież wolnym człowiekiem, nie? Bez starych związków, biały, lat trzydzieści i trzy, zdrów na ciele i umyśle. Może faktycznie powinien zastosować się do sugestii Murdocka i po prostu znaleźć sobie robotę, by zarobić na własne utrzymanie? Tyle że doświadczenie wskazywało, iż jest inaczej. Bone podejmował już takie próby, od czasu do czasu uginał się pod presją konieczności i przyjmował jakąś posadę. W ciągu ostatnich trzydziestu miesięcy uskładałby się chyba tego z tuzin. Dwie znowu w marketingu, względnie dobrze płatne posady, gdzie oczekiwano od niego tylko żeby robił to, w czym był najlepszy, a jednak w ciągu paru tygodni żołądek zaczynał się buntować, jak w przeszłości, pojawiała się bezsenność i Bone chodził nieprzytomny z wyczerpania, jak znarkotyzowany. Więc dał sobie spokój. Nawet pozostałe fuchy, dość częste przypadki fiziolowania jako ogrodnik, kierowca ciężarówki czy robotnik

niewykwalifikowany, prowadziły do tych samych historii. Zawsze skurcze żołądka, poczucie uwięzienia, aż w końcu nieuniknione starcie z kolejnym bucowatym szefem. Wtedy znów ładował na ulicy, znów szukał kobiet, bo były jego jedynym zabezpieczeniem.

Potem, jeśli był wystarczająco schlany, mógł lekceważyć ten problem jako kwestię filozofii, konstatując, że po prostu nie potrafił już myśleć w starych kategoriach: mężczyzna, posada, życie – nie wtedy, gdy śmierć Richarda Bone'a mogła przyjść w postaci tak banalnej, jak nagły skurcz nogi w kotłowaniu fal następnego ranka, pijany kierowca wypadający z za każdego kolejnego zakrętu, czy też nieznaną wirus, już teraz pustoszący jego ciało. Skoro śmiertelność stała mu się tak bliska, jakże mógłby spędzić być może ostatnie godziny życia, pracując na kogoś innego, produkując, sprzedając czy obsługując szmelc do wyrzucenia po kilku użyciach?

Teraz jednak, na trzeźwo, Bonie nie miał odpowiedzi, gwarancji, nic – tylko strach, cieknący przez wnętrza chłodny strumyczek.

Wrócił Murdock. Smętnie kręcąc głową, zapalił krótkie cygaro. – Ano, był tutaj, i owszem, ten twój gospodarz. Ze dwie godziny temu. Był z takim popieprzonym hipisem i jakąś laską.

- Mo?
- Co za Mo?
- Maureen. Jego stara. Matka jego dzieciaka.
- Jak ona wygląda?
- Blondynka. Raczej chuda. I pali szluga za szlugiem.

– Chryste, skąd – parsknął Murdock. – Ta była czarna. Ale niezły towar, mówię ci. Naprawdę git laska, znasz ten typ. W każdym razie przyszli gdzieś koło dziewiątej i zajęli ten tam stolik przy szafie grającej. Prawie nic nie pili, cała trójka, tylko tam stali, pakowali ćwierćdolarówki w tego grata i klócili się o muzykę. Zawsze mówię, że jak się komuś jakiś kawałek nie podoba, proszę bardzo, nie musi go puszczać.

- Cutter musi.

Murdock zmarszczył czoło, skonsternowany. – Z niego faktycznie jest dziwadło. Wiesz, miałem wrażenie, że chyba grał tam na dwa fronty, z jednej strony robił sobie jaja z całej ich trójki, ale zarazem i z nas.

Bone znał te numery. – Pojawia się i znika, co?

– I jeszcze jedna sprawa. Był tu jeden klient, co lubi oglądać boks w telewizji, więc jasna sprawa, że mu włączyłem. I co wtedy zrobił twój koleś? Siedział tam i

klarował hipisowi i dziewczynie, w sam raz na tyle głośno, żeby usłyszał go każdy, kto choćby trochę nadstawił ucha, że amerykańscy mężczyźni są chorzy, skoro muszą oglądać przemoc z drugiej ręki, na przykład boks, żeby się nakręcić. Patrząc, jak jeden porypany ćwok okłada drugiego. Tyle że zapadał do tego jeszcze ze dwie porcje tego całego hokus-pokus dla psychologów, kapujesz?

– Cutter zna ten słownik. – Bone opróżnił szklankę.

– Ano zna. Tyle że możesz mi wierzyć, w tamtym momencie reszcie gości już niespecjalnie pasła ta jego gadka. Fakt faktem, większości z nich od początku nie podobało się to, że ściągnął tu tego kudłatego i czarną panienkę. No ale co mogli zrobić, ha? Facet kuśtyka po mieście o lasce, nie ma ręki, a na oku czarną przepaskę, jasna cholera. I on tego wszystkiego używa, wiesz? Korzysta z tego. Szlag, nie on jeden oberwał tam na ryżowiskach...

Bone pchnął przez kontuar swoje puste szkło z nadzieją zarazem na powtórkę i przerwę w tyradzie.

– Facet ma swoje problemy – stwierdził.

Murdock podniósł szklankę i wysypał do kosza lód oraz plasterki limonicy. – Ostatnie słowo w temacie – rzucił. – Wyprowadź się. Wynieś się od niego. Śpij na plaży, jeśli musisz.

– Pomyślę o tym.

– Taa, jasne.

Przez kilka następnych godzin Bone kupił jeszcze cztery drinki, kolejnego za-fundował mu gliniarz po służbie, który wylądował na sąsiednim stołku, a na koniec nawet Murdock postawił darmowego rozchodniaczka. Dzięki temu, wychodząc z baru o wpół do dwunastej, był wolny od wszelkich lęków. Szedł do samochodu przez chłodny, wiosenny deszcz. Wiedział, że przez ten deszcz przed uruchomieniem auta będzie musiał wyciągnąć ręcznik i wytrzeć fotel oraz deskę rozdzielczą, bo podarta płócienna buda starego MG była równie wodoodporna, jak plecionka z rattanu. Zresztą nawet wycieranie nie pozwalało cieszyć się suchą jazdą, bo przetarty fotel łączywie chłonał wilgoć i dopiero ciężar ciała Bone'a wyciskał wodę z powrotem na zewnątrz. Tak też się stało, kiedy ruszył w stronę domu, a uczucie mokrego tyłka wywoływało w Richardzie wrażenie, że został cofnięty w czasie do niemowlęstwa i leżał w kołysce z pełną pieluchą. Jednak nawet to doznanie nie zabiło przyjemności, jaką dawała mu ta noc, w swej kuszącej obfitości przywodząca na myśl środkowy zachód Stanów. Wiatr kołysał sykomorami i drzewami pie-przowymi, palmy szarpały się gwałtownie w tę i z powrotem, sypiąc uschłymi liśćmi na mrocznie połyskujące ulice.

Jechał właśnie ulicą Anapamu pod uroczym baldachimem limb, kiedy silnik samochodu zaczął kasłać i rzeźzić, aż nagle zupełnie zgasł. Bone wiedział, że kusił los, ostatni raz kupował benzynę niemal tydzień temu, więc wcale się nie dziwił, że właśnie teraz samochód padł. A jednak nie potrafił do końca poskromić wściekłości, urazy do tej cholernej, kurdupłowatej, poskręcanej przez dzemojadów kupy złomu, której przeciekał dach, wskaźnik paliwa był do niczego, i w ogóle wszystko coraz bardziej się sypało. Owładnęła nim przemożna pokusa, żeby po prostu skręcić z jezdni i trzasnąć gruchotem w drzewo, porzucić go raz a dobrze. Przewycięzył ją jednak i powoli dotoczył się do krawężnika. Wyjął kluczyk ze stacyjki i ruszył piechotą w dalszą drogę do domu, w większości mocno pod górkę. Wiedział, że mógłby podejść po benzynę do jednej z całonocnych stacji paliwowych na Milpas, ale miał tam niewiele bliżej niż do chałupy Cuttera, a jeśli zostawi samochód na noc tam, gdzie mu padł, oszczędzi sobie powrotnego spaceru, bo będzie mógł skorzystać rano z jego bryki. Pod warunkiem, że akurat da się ją odpaścić.

Po prawej ciągnął się kompleks budynków liceum, niewysokich, ciemnych i wyglądających bardzo „po kalifornijsku” wśród niemal parkowej przyrody. W porównaniu do posępnej fabryki maturzystów, jaką ukończył Bone w swoich rodzimych Chicago Plains, ta szkoła przypominała niemal ośrodek uniwersytecki. Nie dziwił się, że w takim otoczeniu i klimacie tutejsi licealiści wyróżniali się głównie w analfabetyzmie i chorobach wenerycznych. Mógłby niemal zacząć tęsknić do czasów, kiedy sam miał szesnaście lat i zero mózgu, ale za to sto procent pary, i dopiero ruszał na długi szlak młodzieńczego rypanka. Bez wątpienia byłoby to przyjemniejsze i mniej stresujące niż droga, którą pokonywał tej nocy. Przede wszystkim ten deszcz, który znienacka zmienił się w wodospad, kiedy Bone skręcił pod górę, zostawiając za sobą liceum. Potem, ledwie uszedł przecznicę, z mroku wypadł nań, warcząc, olbrzymi doberman, ciągnąc za sobą kawał urwanego łańcucha. Istny ogar piekiel. Bone musiał minąć to bydlę szerokim łukiem, a potem szedł tyłem, zlany zimnym potem ofiary łowów, belkocząc kojące słowa. Kiedy tylko wydostał się ze strefy zagrożenia i znów mógł normalnie iść w swoją stronę, pojawił się samochód, nowy model, mknący ulicą w dół wzgórza, by nagle zahamować i skręcić w zaułek za blokiem mieszkalnym. Tam zatrzymał się i Bone zauważył, że wysiadł zeń jakiś mężczyzna – reflektory auta rzuciły cień jego przysadzistej, wielkogłowej sylwety na drzwi odległego warsztatu. Tamten szybkim krokiem, potykając się raz, przemknął na drugą stronę wozu i otworzył drzwi od strony pasażera. Najwyraźniej wyciągał coś z przedniego siedzenia, choć Bone nie

mógł być tego pewien, bo znajdował się po drugiej stronie ulicy, od lewej strony zaparkowanego samochodu. Kiedy jednak szedł dalej, kąt widzenia zmienił mu się całkiem szybko, pozwalając dostrzec, jak tamten kończył upychać coś, co wyglądało jak kije golfowe, w jeden z pół tuzina pojemników na śmieci, które najwyraźniej pozostały tam po przejeździe śmieciarki w ciągu dnia. Facet natychmiast wślizgnął się do samochodu przez otwarte drzwi dla pasażera i auto z rykiem wypadło z krótkiego zaułka, zarzucając tylną ośią, kiedy przyspieszało, by zaraz znów przyhamować na wejściu w zakręt w lewo, zgodnie z krzywizną ulicy. Parę chwil później Bone znów usłyszał pisk opon, kiedy tamten wyjechał na Anapamu i ponownie docisnął do dechy. W blokach wokół już zapaliło się kilka świateł – oburzone wdowy i emeryci popatrywali na budziki, by sprawdzić, która to godzina, marudząc, że w świętą noc obudził ich jakiś zdziczały hipisowski czubek na prochach. Bone przyspieszył kroku. Nie miał ochoty odpowiadać na żadne pytania, tym bardziej gdyby pytającym był policjant.

Gdy dotarł do następnego narożnika, stwierdził, że chodnik został praktycznie zablokowany przez starszego pana z pudelkiem-miniaturką, obu ubranych w przyduże żółte wodoodporne płaszcze, połączonych smyczą. Pies, samczyk, sikał właśnie na karłowatą palmę.

– Ten cały raban to pańska robota? – zaczął Bone'a starszerek.

Richard rozmyślnie nie zwolnił kroku, więc tamten musiał przyciągnąć psa do siebie, choć zwierzak nawet nie upuścił zadartej nogi.

– Hola! – poskarżył się emeryt. – Panie, co pan sobie myślisz?

Bone poradził mu, żeby poszedł się jebać.

Między centrum miasta a górami rozpościera się długi stok, opadający od Starej Misji niemal do samego morza. Miejscowi przykleili mu metkę Riwiery, a widoki i ceny nieruchomości w tym rejonie plasują się wśród powalających – to w najwyższym paśmie, czy zaledwie mocno pożądanym w niższych partiach. Tam zresztą większość terenów zajmowały starsze dzielnice o mniejszych parcelach, na których stały mniejsze domy, obecnie przeważnie zaadaptowane dla większej liczby lokatorów, którzy za swoje pieniądze dostawali niewiele ponad widoki, jeśli choć na nie się załapali. Dom Cuttera jednak leżał na uboczu – nieduży, szary budynek o drewnianej konstrukcji, postawiony w latach czterdziestych przy zewnętrznej krawędzi jednej z kozich ścieżek, którymi był pożyczowany stok. Domek gnieździł się na tak wąskim klifie, że za tylną ścianą nie było ani kawałka podwórza, tylko

sypiąca się drewniana weranda, z której jednak widać było niczym nie przesłoniętą panoramę miasta. Jak nic, to właśnie stanowiło o połowie wysokości czynszu – Cutter i Mo musieli co miesiąc uskładać trzysta dolarów. Nie zawsze im się udawało.

Teraz, kiedy Bone był już na tej ulicy i dostrzegł w oddali dom Cuttera, zorientował się, że miał nadzieję, iż Mo będzie już w łóżku, a najlepiej zmorzona głębokim snem. A to go zirykowało, wiedział bowiem, że rzadko zdarzało się, by jej widok nie dawał mu przyjemności, musiał więc się zastanowić, czy to pragnienie, by jej nie spotkać, nie było jakimś rodzajem lęku, szarpiącą trzewia potrzebą, by o tej późnej godzinie i w dodatku pod wpływem nie musieć stawić czoła nawałnicy pocisków wzgardy Mo. Jak to ją opisał Murdockowi? Blondynka, raczej chuda. Bo taka była. Była też jednak raczej piękna, o czym nie uznał za sposobne wspomnieć. To też go rozdrażniło.

Kiedy wszedł do domu, cicho zamykając za sobą drzwi, z ulgą zauważył, że nie paliły się żadne światła z wyjątkiem lampki nad zlewem w kuchni, jak zawsze zawalonym pryzmą brudnych naczyń. Nawet po ciemku Bone czuł, jak osacza go bałagan, bo w tym domu faktycznie nie było gospodarza. Mały domek ułomek, jak go nazywał Swanson, ten Swanson ze złotych, zamożnych dni Cutterowego dzieciństwa. O ile Bond się orientował, Cutter mieszkał tu z Mo już od dwóch lat, ale mimo to ledwie zaczęli się rozpakowywać. Na podłodze obok niezawieszonych obrazów i stosów ubrań, których nikt nie upakował po szafach czy choćby nie zatroszczył się o wieszaki, stały wybierane po różnych supermarketach kartony pełne książek, płyt gramofonowych i innego szrotu. Prawdziwym obszarem klęski żywiolowej była jednak ciasna kuchnia. Zakupy – torebki chipsów ziemniaczanych i serowych, typu Fritos czy Cheetos, puszki gotowego spaghetti i mielonej wołowiny, tacki ciastek Hostess Twinkie, Ding Dong czy innych cudów przemysłu chemicznego – wciąż leżały tam, gdzie je rzucono po wyprawach do sklepu, wśród przypalonych garów, pustych flaszek i warstw aluminiowych tac po obiadach do odgrzania w piekarniku.

Więc Bone cieszył się teraz, mogąc zapuścić się do kuchni po ciemku. Znalazł brudną filiżankę po kawie, wypłukał ją i próbował ukoić podrażnione paleniem gardło, pijąc wodę, która smakowała jak czysty chlor. Kiedy właśnie odstawiał filiżankę na zlew, otworzyły się drzwi łazienki i do salonu wbił się klin światła. Poruszała się w nim sennie Mo, z drinkiem w jednej dłoni i dymiącym papierosem w drugiej. Miała na sobie proste spodnie z grubszego płótna i cudownie zdobione

jedwabne kimono, które Cutter, jak twierdził, buchnął kurwie z Hongkongu podczas jednej z przepustek, gdy służył w Wietnamie. Bone niechętnie wyszedł z kuchni.

- Nie śpisz – zagadnął.
- Ależ jesteśmy dziś bystrzy – uśmiechnęła się beztrzesko, chemicznie.
- Złapałaś klimat, co?
- Niezgorzysy.

Bone włączył lampkę na stole i klapnął na wersalkę. – Nie mów, niech zgadnę.

Woda i nasenne?

Obojętnie wzruszyła ramionami. – Możliwe. Nie patrzyłam, nie chciało mi się.

- Zważywszy na okoliczności, nieźle wyglądasz.
- Nawzajem. No, ale ty zawsze nieźle wyglądasz, oczywiście. Coś jak obsuszony Mark Spitz*, nie?

* Amerykański mistrz pływacki, olimpijczyk.

- Mocno obsuszony. I blond.
- I starszy – dodała.
- Dużo starszy.

Niezgrabnie osunęła się na podłogę. Odstawiając drinka na stolik, starą pokrywę luku z jakiejś łodzi podpartą cementowymi blockami, odpaliła kolejnego papierosa od niedopałka.

- I jak się nam wiodło przez tych kilka ostatnich dni? – zapytała.
- Dobrze się obłowiliśmy? Zmusiliśmy panią do zapłaty za przywilej rżnięcia się z mistrzem?
- Jesteś nawalona.
- Być może.
- Nie lubię, kiedy jesteś nawalona.
- Ja nie lubię, kiedy jesteś trzeźwy.
- A widziałaś mnie kiedyś trzeźwego?
- Pytałam, jak się nam powiodło?
- Bez rewelacji.
- Tylko jadło i napoje, co?
- I trochę odpoczynku.
- Więc to jedna z tych, hę? A od czego tak odpoczywałaś, jeśli wolno spytać?
- Nie zgadniesz.

Uśmiechnęła się. Promieniała niewinnością. – Ode *mnie*? Dobrej, słodziutkiej Mo?

Bone pokręcił głową. – Nie wiem czemu, ale nie przeszkadza mi nawet, kiedy

pieprzysz takie brednie.

Wyglądało na to, że ten tekst wyrwał ją zza kurtyny prochów i alkoholu.

- Za to szczodrość Alexa... to jej nie możesz znieść, co?
- Mogę ją znosić bez końca.
- Tyle że w zamian za to rośnie w tobie obrzydzenie?

- Skądże. Jestem mu wdzięczny. Ba, są chwile, że niemal go lubię. Powiedzmy sobie tak: mam tylko problem z mieszkaniem pod jednym dachem z facetem i jego kobietą.

- A to niby dlaczego, jak ci się wydaje?
- Może z powodów ujętych w Biblii. Może pożądam baby bliźniego swego.

Spojrzała na niego chłodno. - Nie trać czasu, Rich.

- Nie mówiłem, że próbuję ją zdobyć, Mo. Dopuszczałem tylko możliwość, że jej pożądam.

Chłodne, czujne spojrzenie nie schodziło zeń jeszcze przez parę chwil, ale potem Mo nagle odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem. - Biedny Richard. Facet, któremu żadna nie odmówiła. A tutaj musi grać drugie skrzypce przy jednookim kalece. Musisz się z tym potwornie gryźć.

- Niespecjalnie. Powiedziałbym, że mój problem rodzi się raczej z ciekawości niż z czegokolwiek innego. Wciąż zachodzę w głowę, czy to wszystko nie jest czasem teatrykiem. Rozumiesz? Spójrz tylko na to: taka twarda, wyzwolona baba z jajami, rozpieszczany absolwent...

- Absolwentka.
- ...szkół w Beverly Hills i Radcliffe...
- Hunter.

- Bez przerwy się zastanawiam, czemu ktoś taki miałby robić komukolwiek za bosonogą squaw, a już szczególnie... - Bone urwał, bezskutecznie poszukując odpowiedniego eufemizmu.

- Komu takiemu?
- Takiemu Cutterowi.
- Nic ci nie przychodzi do głowy?
- I wcale nie chodzi mi o to, jak on wygląda... o jego *kalectwo*.
- Więc co, charakter?

Wzruszył ramionami.

- No, co takiego? Pomyśl, Richard. Wytęż mózg.
- Jeszcze sobie krzywdę zrobię.
- Spróbuj szczęścia.

- Już późno, Mo.
- Nie wątpię. Ale spróbuj. Bóg kocha tych, co próbują.
- To jakaś pociecha...
- No, śmiało, Richard, czemu go nie trawisz?
- Cuttera? Ja? Skądże.
- Bzdura. No, spróbuj. Wymyśl coś.
- Cokolwiek?
- Cokolwiek.

Bone zapalił papierosa. – No, niech będzie. Przez ciebie. Zawsze przez ciebie.

- Świetnie. Dlaczego przeze mnie?
- Przez to, jak on cię traktuje.
- Czyli jak?
- Parszywie.

Uśmiechnęła się ze znużeniem. Ten argument był poniżej jej godności. – Brednie. Alex zachowuje się wobec mnie nienagannie.

- Jasne. On co wieczór idzie w miasto, a ty siedzisz w domu i pilnujesz dziecka.
- Bo to moje dziecko.
- A jego nie?
- Mężczyźni nie mają dzieci.
- Więc nie ma sensu się żenić.
- Tak jakby twojej żonie to w czymś pomogło.

Na to Bone nie znalazł dobrej riposty. – Tu masz rację – przyznał.

Tyle że Mo wcale nie została zwyciężczynią w tym sporze. Co więcej, teraz wręcz wydawało się, że bardziej targają nią wątpliwości, że jest mniej pewna siebie. Siedziała na podłodze, wpatrując się we własny podolek i trzymanego tam oburącz drinka. Potem powoli, ostrożnie wstała, opierając jedną rękę na fotelu z Armii Zbawienia z nadto już wytartym, zbyt grubym obiciem, który stał po drugiej stronie stolika. Popijając ze szklanki, podeszła do frontowego okna i stała tam przez jakiś czas, wpatrując się w mrok. Mokry asfalt lśnił w świetle narożnej latarni.

– Cóż, układ może faktycznie wyglądać na porąbany – stwierdziła w końcu. – Tak właśnie widzą to moi rodzice. Myślą, że mi odbiło, wiesz? Wydaje się im, że biedna Maureen o jeden raz za dużo zarzuciła sobie kwasu. I nie mam do nich pretensji. Do ciebie też nie. Nie mam też jednak żadnej odpowiedzi. Po prostu przychodzi taki dzień, i tyle. Przychodzi moment, kiedy musisz podjąć jakies

zobowiązanie. I tym właśnie jest dla mnie Alex. Wiesz, Rich, myślę, że on ma w sobie coś, jakąś wielkość. Naprawdę. A na pewno wiele wycierpiał, to wiem na sto procent. Patrzę na niego, na tę jego nieszczęsną, sponiewieraną twarz, i myślę wtedy o całej reszcie ludzi, o wszystkich wylęknionych twarzyczkach jak twoja czy moja, wszystkich łagodnych, głodnych buźkach, i zadaję sobie pytanie, czy ktokolwiek z nas, całkowicie puszczać wodze wyobraźni, mógłby kiedykolwiek dokonać czegoś istotnego, stać się kimś znaczącym. I odpowiedź brzmi „nie”. Zawsze „nie”.

– A Alex mógłby, co?

– Wierzę, że tak.

– Nie wątpię.

– Jego rodzice... nawet nie wiesz, jakie to były bydlaki. I narkotyki. Sama byłam w tym syfie przez parę lat, mogę sobie jakoś wyobrazić, ile go to kosztowało. A potem Wietnam. Załapał się na cały ten gnój, rozumiesz? Ale to wszystko zdołało tylko okaleczyć mu ciało, zniekształcić jego powierzchowność. A wewnątrz...

– Wewnątrz kuleje.

– Rich, ty skurwysynu. Ty nędzny skurwysynu.

– Wszyscy wewnątrz kulejemy, Mo.

– Nie Alex.

Bone wzruszył ramionami. – Dobra. Masz rację, a ja nie. Idź się dalej bawić w bosonogą squaw.

– W nic się nie *bawię!*

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. Jak długo daje ci to przyjemność.

– Bo daje!

Bone podniósł się z wersalki i podszedł do Mo. W parodii czułości wplótł dłoń w jej włosy i obrócił głowę dziewczyny, zmuszając ją, by na niego spojrzała.

– Więc po co ci prochy, Mo? Po co woda? Jak to się dzieje, że nie ma dnia, żebyś nie ładowała w siebie tego syfu?

W jej oczach wezbrały łzy. – Potrzebuję tego – wydusiła.

Puścił ją. – Więc na zdrowie. Idę wziąć prysznic.

Nawet mimo głośnego szumu wody Bone usłyszał kolejne głosy w salonie, szczególnie nosowe chrypienie Cuttera, instrument idealnie pasujący do rubasznej, sardonicznej postaci, jaką Alex serwował publicznie, jakże odmienny od cichego, niepewnego, niemal elegijnego tonu, którego Bone często musiał słuchać nocą na werandzie za domem, kiedy Cutter w znoju szukał źródeł swojego cierpienia – tonu

w rzeczy samej całkiem zbliżonego do drugiego głosu, który w tej chwili słyszał Bone, tyle że tutaj to niemowlęcy tłuszczyk, a nie ból, sprawiał, iż tamten mówił niezbyt głośno. Bone doszedł do wniosku, że już wcześniej przewidział, iż taki właśnie będzie głos owego hipisa. Tamta czarna dziewczyna, jeśli faktycznie jest tak git, jak chciał Murdock, naturalnie ma apetyt na fajne, białe mięsko, delikatną pierś kurczaka. Koleś będzie wysoki i szczupły, uznał Bone, bładny anglosaski astenik w okularach bez oprawek, z włosami związanymi w kucyk, ubrany w meksykańską chłopską bluzę i demonstracyjnie połataną levisy. Rzecz jasna, będzie palił trawkę i pił tanie wino jak wszyscy w jego kręgu, ale ostrożnie, z umiarkowaniem, niemal jakby symbolicznie podkreślał swoją przynależność do tego pokolenia, za to zupełnie bez zaangażowania, z jakim potajemnie używa płynu do płukania ust i dezodorantu. Płodzi magisterkę z ekologii czy religioznawstwa na Uniwersytecie Stanowym Północnej Kalifornii, ale chwilowo dał sobie siana ze studiami, bo „chce sobie poukładać w głowie”. Bone leniwie zastanawiał się, czemu właściwie darzy ten typ ludzi taką pogardą – może dlatego, że on sam w tym wieku wyciągał dwadzieścia pięć patyków rocznie, miał na utrzymaniu żonę z dzieckiem, dom, samochody, długi, zobowiązania? Czyżby raziło go ich ślepe szczęście, to, że po prostu dzięki przyjsciu na świat o dziesięć lat później niemal automatycznie odziedziczyli styl życia oraz wartości, na które on musiał przez lata tyrać w krwawym znoju? A może fakt, iż podejrzewał, że byli jego zupełnym przeciwieństwem, potajnymi zwolennikami zastanego porządku kamuflującymi się w piórkach kontrkultury. Zresztą Bone wcale nie chciał się bawić w hipisa, z obowiązkowymi bosymi stopami, smrodem, fajkami do haszu, ciuchami, wypacykowanymi furgonetkami. Z przyjemnością zostawiał im cały ten szajs, dla siebie pragnąc tylko esencji takiego życia – słodkiej i prostej wolności.

Właśnie zakręcił wodę i zaczął się wycierać, kiedy Cutter wkuśtykał przez niezamykalne drzwi łazienki. Mrugnął do Bone'a oblesnie, po czym precyzyjnie uplasował się nad miską klozetową, wpakował w gardło wskazujący palec prawej dłoni – swojej jedynej dłoni – i z miejsca puścił pawia. Bone wciąż nie mógł uwierzyć, że ta czynność była stałym elementem dnia Cuttera, niczym jedzenie czy oddawanie moczu. Żołądek Alexa, bardziej nawet narowisty niż Bone'a, po prostu nie tolerował jedzenia po alkoholu. Cutter rozwiązywał problem w ten właśnie sposób.

- Styl rzymski – powiedział w końcu, otrząsając się.
- Nie mogłeś poczekać, aż wyjdę...

- Najwyraźniej.
- Sranie w banię.
- To kiepska wóda – zastanowił się Cutter. – Albo winniczki, jedno z dwojga, sam nie wiem.

- A kogo to, kurwa, obchodzi?

W odpowiedzi Cutter uniósł dłoń niczym proboszcz błogosławiący trzódkę. – Cicho, dziecię. Został jeszcze jeden strzał w porcelanę.

I znów palec powędrował w gardło. Alex ponownie zakrztusił się i zwymiotował.

Bone, już suchy, miał chęć go zabić. Ależ ten facet wyglądał, istny festiwal groteski: rzędzące włosy jak u szmacianej lali, dzika, sokola twarz lśniąca od blizn po zbyt wielu operacjach plastycznych, pusty oczodół ukryty pod czarną przepaską i niezmienny strój apasza, obcisłe czarne spodnie oraz czarny golf z lewym rękawem zawiązanym na supeł poniżej łokcia – nie podpiętym czy przyszytym, ale *zawiazanym*, jak afisz, jak splunięcie wam w oczy.

Cutter spuścił wodę, urwał kawałek papieru toaletowego i otarł usta, po czym się wysmarkał. Bone pospiesznie zakładał slipy, był jednak zbyt powolny. Cutter pokiwał głową w parodii uznania.

- Ależ z ciebie śliczności chłopak, Rich. Nawet jednusięńskiej blizny. Ani tyciego zadrapanka.

Bone wciągnął dzinsy. – Może po prostu wypadki mnie omijają.

Cutter wyszczerzył się radośnie. – Tu mnie masz, młody. Strzał w punkt, jak nic.

- Mamy gości?

- Można by tak rzec.

- Długo zostaną?

Cutter wzruszył ramionami.

- Wyluzuj. Babka to szwarcówka, naprawdę ładniutka. Może ci się pofarci. Koleś był w Wietnamie w tym samym czasie, co i ja. Służył pod moim kumplem, znałem gościa ze Stanford, zanim mnie wykopali. Młodemu bomby w głowie, i wydaje mu się, że ja też z takich, ale nie wyprowadzałem go z błędu, bo stawał. Chce wysadzić bossów od energetyki... niezłą ma ambicję, nie? Tobie w głowie tylko ściąganie majątek jakimś smutnym cipom, a on chce obalić Exxon. Bo wiesz, Rich, z tobą jest problem. Nie masz ambicji.

- Czyli jak długo? – uparł się Bone. I dostał klasyczną odpowiedź Cuttera:

- Czas pokaże.

Gdy Alex wyszedł, Bone przyłapał się na tęym wpatrywaniu się w miskę klozetową i lepiące się do jej brzegów resztki wymiocin. Te rzygi będą tu także za tydzień, zeschnięte, ale wciąż nie usunięte, wciąż rzygowiny. I nagle uświadomił sobie, że Murdock miał rację, że wyrwanie się z tego domu było koniecznością, nieważne jak, nawet gdyby musiał w tym celu znaleźć pracę.

Wciąż wycierając włosy, Bone wrócił do pokoju i zobaczył, że całe towarzystwo z wyjątkiem Mo rozsiadło się wokół improwizowanego stolika. Murzynka, która zapadła się w wypełnionym granulatem, miękkim fotelu, okazała się co do joty „niezłym towarem”, zgodnie z opisem Murdocka: typ modelki z ekstraklasy, nic, tylko szkielet, ściętna i wielkie czarne oczyska, które obróciły się bezczelnie ku Bone'owi, gdy ten wszedł do salonu, jakby kwestionując jego prawo do przebywania w tym pomieszczeniu czy w ogóle gdziekolwiek. Bez większej satysfakcji Bone spostrzegł, że jej hipisowski koleś spokojnie pasował do opisu, jaki sobie wcześniej obmyślił, odstając właściwie jedynie fryzurą – jego kudłate blond włosy wyglądały niemal na albinoskie afro. Naprzeciwko niego Cutter rozparł się na wersalce, opierając swoją prawą nogę z plastiku i stali na pokrywie luku, pośród bezładnie zrzuconych książek w tanich wydaniach, butelek, popielniczek i misek z resztkami prażonej kukurydzy z zeszłego tygodnia.

– Patrzcie i podziwiajcie, oto Richard Bone wypolerowany do połysku – zanonsował. – Rich, to Steve Erickson i Ronnie. Przywitaj się.

Bone przytaknął, ale nie odezwał się ani słowem.

– Steve też był w Wietnamie – ciągnął Cutter. – Są tu z Ronnie przejazdem, próbują robić nabór, by tak rzec. Tak się zresztą zastanawiali, Rich... nadawałbyś się do wysadzania platform wiertniczych?

Erickson z miejsca zrobił minę, jakby go zemdliło.

– Chryste Jezu, Alex – zaprotestował. – Bez jaj, dobra?

– Ależ Richowi możecie zaufać – zapewnił go Cutter. – Gość jest totalnie apolityczny, nie, młody? Coś jakby ideologiczna plastelina. W najlepszym razie można by go nazwać niezależnym na rzecz cyca i dupy. Na to by zawsze głosował.

Bone ziewnął. – Wiesz, Alex, w kiblu nie do końca trafiłeś w cel. Część wylądowała na podłodze.

– A nie mówiłem, że można mu ufać? – wyszczerzył się Cutter.

Bone podszedł do swoich walizek, zwalonych na stos w kącie, i odnalazł stary jedwabny szlafrok w kolorze purpury, jedną z nielicznych pamiątek z czasów

awansu społecznego na Środkowym Zachodzie. Założył go, pomrukując jednocześnie, że zrobiło się strasznie późno – było prawie wpół do pierwszej. Nie dodawał już, że chciał iść do łóżka ani że jego łóżkiem była właśnie zajęta przez Cuttera wersalka.

– Też byłeś w Wietnamie? – zagadnął Erickson.

Odpowiedział mu Cutter: – Niestety, Rich nie załapał się na wojnę. Był niezastąpiony w kraju. Piastował wówczas funkcję życiowej wagi w marketingu – rzucił okiem na Bone'a. – Coś ty wciskał ludziom tam, w Milwaukeee?

– Najmocniej uderzaliśmy w papier toaletowy. Kiedyś nawet dawaliśmy flagi w promocji.

Cutter poważnie pokiwał głową. – Wiedziałem, że to było coś w tym stylu. Żaden banał.

Erickson uśmiechnął się wątko, zażenowany. Jednak czarna panna najwyraźniej rozumiała te klimaty, tyle że się nudziła jak mops. Uniosła ze znużeniem głowę, gdy z kuchni wyłoniła się Mo, niosąc w misce chipsy kukurydziane. Bone widział tę samą miskę dwadzieścia minut temu – wtedy wypełniały ją gnijące winogrona. Nie musiał się zastanawiać, czy Mo przez ten czas choćby opłukała naczynie. Jak to miała w zwyczaju, bezceremonialnie ciepnęła miskę na stolik, siadła na podłodze u stóp Cuttera i zapaliła papierosa, przysłuchując się rozmowie.

Cutter przyznał, że tylko nabierał Steve'a. Że tak naprawdę Bone był jednym z nielicznych, naprawdę godnych zaufania gości w okolicy. To prawda, że przez kilka lat pracował w przemyśle papierniczym, w marketingu, ale po tym właśnie można poznać klasę faceta, że jest w Santa Barbara goły i wesoły, zamiast kurwić się dla burżujów w Chicago i Milwaukeee i jeszcze tłuc na tym olbrzymi szmal, Boże drogi. Gość przed trzydziestką był już wiceprezesem, ciągnął Cutter – regularny tygrys biznesu, z wielkim domem, samochodami, żoną, dziećmi i całą paradą. A jednak rzucił to wszystko.

– A dlaczego? Bo jest jednym z nas – podsumował. – Bo nie mógł już zdzierżyć wśród tych wszystkich kłamstw. Tej nowomowy. „Exxon chce, byście wiedzieli”... jasne. A co takiego? Co tak naprawdę, ich zdaniem, powinniśmy wiedzieć?

I znów Erickson dał się złapać. Uwierzył. Błąd, ale to się dało wybaczyć. Trzeba było naprawdę poznać Cuttera, żyć z nim trochę, żeby pojąć bezwzględność jego rozpaczy, wykluczającą inną reakcję na jakiegokolwiek wydarzenie czy koncepcję niż śmiech, czasem szalony, ale z reguły chytry, kąśliwy, jak teraz. Umysł Alexa był

jak gabinet krzywych luster, zniekształcenia odbijały się w sobie nawzajem.

Erickson spojrział na Bone'a, znów na Cuttera. – Myślisz, że poważnie powinienem...

– Pewnie, wyłóż mu sprawę. Powiedz facetowi, o co biega.

Bone już miał powiedzieć szczawikowi, żeby oszczędził sobie zachodu, ale postanowił nie psuć Cutterowi zabawy.

– Dawaj – rzucił. – Zainteresowało mnie.

Erickson odchrząknął. – Nazwaliśmy się NiNA.

– Są takie papierowe ręczniki – wtrącił Cutter, zawsze gotów pomóc.

– No. Tylko przez małe „i”. Oczywiście, to imię kobiety, symbolu płodności. Ale to także skrót. Oznacza... – Erickson znacząco zawiesił głos, przenosząc wzrok z Bone'a na Cuttera i z powrotem. – Oznacza „Niszcz... Niszczycieli... Ameryki”.

– Tych, którzy przodują w zatruwaniu środowiska – podsunął Cutter.

Erickson przytaknął. – Wielkie koncerny paliwowe. Firmy energetyczne. Trusty. Nawet i rząd. Nieważne kto... jeśli trują, jeśli nas niszczą...

– Odpowiemy im zniszczeniem – dokończył Bone.

– Otóż to. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Aż ich zaboli. Niech zrozumieją, że kryzys paliwowy niczego nie zmienił. I tak będziemy walczyć na każdym kroku.

Cutter skończył przypalać cygarko.

– Ta wasza grupa – mruknął – ...to jakiś odłam Klubu Sierra, nie?

Młody hipis najwyraźniej trochę się zdenerwował. – Powiedziałem „poniekąd”, Alex. Żadnych oficjalnych więzi. Przede wszystkim oni nie wiedzą o naszych planach, bo gdyby wiedzieli, nie spodobałoby im się.

– Ale w większości byliście kiedyś członkami Klubu.

– Było, minęło. Teraz działamy osobno. I wierz mi, ci truciele dostaną od nas wiadomość. Dowiedzą się, że zostali jeszcze tacy, których nie udało się kupić czy zastraszyć.

– Git – rzucił Cutter.

– Ba, wiecie, że właśnie w tym mieście, dzisiaj, na uniwersytecie odbywa się jakieś wielkie sympozjum o energetyce? Wszyscy bossowie od trucia i ich opłacani jajogłowi doktorkowie siedzą sobie i *gadają*. Ale powiem wam jedno: już niedługo od gadania to będziemy my.

– Git – powtórzył Cutter, tym razem tajemniczo szczerząc się do dziewczyny. Potem zerknął na Bone'a: – Steve i Ronnie próbują zakładać komórki organizacji

na całym wybrzeżu. No, tu u nas, Rich... sam widzisz, jakie pole do popisu. Ile jest platform wiertniczych tam, w kanale? Dziesięć? Dwanaście? Pomyśl tylko, jaki burdel można by zrobić. Wzdłuż całego wybrzeża jedna wielka plama ropy naftowej. Wieloryby mogłyby zjeżdżać aż do Baja California bez ruszenia płetwą!

Dopiero teraz Ericksonowi zaczęło świtać, że ktoś przeciągał go w tę i nazad po tłuczonym szkle. Odstawił na stolik swoje piwo. – No zaraz, Alex, co jest grane? Ty jaja sobie z nas robisz?

Cutter skrzywił się. Bez dwóch zdań, zarzut Ericksona wydał mu się absurdalny. – Z ciebie i Ronnie? Skądże. Chryste, nie, synu. Tylko z waszego podejścia do sprawy.

– A ja myślałem, że jesteś...

– Gotów do czynu?

– No, tak. Dunhill mówił...

– Weterani Wietnamu Przeciwko Wojnie. Prawda. Ale to było całe lata temu, młody. No i mam jeszcze taki problem. Lubię myśleć. „Cogito ergo sum”. A kimże właściwie jestem? Jak się okazało, człowiekiem pokoju. Pokojowym fatalista. Niczym Salomon rozejrzałem się wokół i stwierdziłem, że wszystko to gównu.

– *Gównu*?! To, co robimy, to też gównu?

Cutter przyjaźnie wzruszył ramionami. Jakżeby chciał, żeby było inaczej, ale rzeczywistość jest, jaka jest. – Wiesz, kim ty jesteś, Steve? Złoczyńcą. I będziesz w tym swoim czynieniu równie nieskuteczny, jak wszyscy dobroczyńcy. Obawiam się, że życie po prostu nie reaguje zgodnie z oczekiwaniami. Dasz mu kość, ugryzie cię w nogę. Ugryziesz je w nogę, chapnie cię w jaja...

Ronnie najwyraźniej miała już dość przysłuchiwania się rozmowie. Wstała i wyszła na werandę, wpuszczając do salonu zimny, wilgotny podmuch. Bone też nie odczuwał większego przymusu, by towarzyszyć Cutterowi, więc poszedł do kuchni zrobić sobie kawę. No, ewentualnie kolejnego drinka, ale wątpił, czy znajdzie się tonik do wódki, bo i Cutter, i Mo woleli pić czystą. Z własnego doświadczenia wiedział, jaki wykład szykuje się Ericksonowi, czy raczej nie tyle wykład, a kapi-tulacja Cuttera przed własnymi mentalnymi inklinacjami, które to inklinacje były jak stroma zjeżdżalnia prosto w beznadzieję. Zasadniczo rzecz biorąc z Alexem było tak, że nawet gdyby zdarzyła się rzecz nieprawdopodobna i władzę przejęłaby oświecona koteria socjalistów i zwolenników równouprawnienia, wprowadzając z dawna wygładane milenium troskliwego despotyzmu, nawet gdyby polityczni

inżynierowie zdołali obalić wszelkie prawa popytu i podaży, w jakiś cudowny sposób tworząc społeczeństwo obfitości i zarazem wolności, Cutter wciąż miałby dola. Zaraz zaczęłyby ciskać bombami w swoich dobroczyńców, z powodów zaiste nieskomplikowanych – aż do mrocznych, skrytych chlupotań trzewi ten facet po prostu był szajbuszem, wesołym skrytobójcą, miłośnikiem kryzysów, wojen i zarazy, wszystkiego, co odsuwało przerażającą groźbę pokoju i nudy. Potem zaś przycho-dziła pora na ilustracje: obrazki codziennego barbarzyństwa zebrane przez Cuttera przez lata spędzone w Wietnamie i w szpitalach dla weteranów, jak jedno My Lai* po drugim, chyba bez końca.

* Miejsce masakry ok. 300-500 wietnamskich cywilów przez oddział armii amerykańskiej w marcu 1968 r.

Bone już to wszystko słyszał. Ale nawet jeśli słuchał bez protestów, wcale nie musiał tego lubić. W związku z tym nie spiesząc się, zagrzał wodę i zrobił sobie kubek rozpuszczalnej. Gdy wracał do salonu, Ronnie akurat stanęła w drzwiach werandy w superbajeranckiej pozie.

– Jakaś afera tam na dole, w mieście – oznajmiła.

Erickson i Cutter zignorowali ją, ale Mo i Bone wyszli za dziewczyną na werandę. Richard słyszał już tej nocy syreny, niejedną, ale w tym nie było niczego nadzwyczajnego, szczególnie w mieście w Południowej Kalifornii. U ich stóp miasto rozpościerało się jak miniatura Los Angeles, cynfoliowa sieć świateł, teraz – w ciemnościach – piękna, ale za dnia to wszystko było tylko tłem, obramowanym z jednej strony przez kameleonowe szczyty gór Santa Ynez, a z drugiej przez ocean i wyspy na kanale. Pośród tej sieci, nie więcej niż ćwierć mili w dół zbiega, wirowała para czerwonych policyjnych „kogutów”. Gdzieś z daleka kolejny „kogut”, tym razem żółty, zmierzał w stronę tamtych dwóch.

– Wygląda na to, że to gdzieś niedaleko liceum – stwierdziła Mo.

– Ciekawe, co się stało? – dodała Ronnie.

Bone również się nad tym zastanawiał – bo nagle usiadł sobie, gdzie dokładnie znajdowały się błyskające światła.

Jeden z sąsiadów Cuttera, młody rzeźbiarz nazwiskiem Fishman, zaparkował właśnie dzipa przed zaadaptowanym na mieszkanie garażem, który wynajmował. Kiedy wysiadał z wozu, Mo zapytała go, czy jechał ulicą Anapamu.

– No... chodzi o ten raban na dole? Znaleźli zwłoki jakiejś dziewczyny. Nastolatki. W pojemniku na śmieci, uwierzycie? Trup w pojemniku na śmieci.

Jego słowa zdzieliły Bone'a jak wiadro lodowato zimnej wody. Przypomnił sobie „kije golfowe” i pamięć zaczęła nadawać im kształt, przyoblekać w ciało.

– Nasza biała? – usłyszał pytanie Mo. Napruta prochami i wódką najwyraźniej zapomniała o stojącej obok Ronnie.

– Tak, biała – odparł Fishman. – Biała nastolatka.

Wszedł do swojego mieszkania.

– I pewnie załatwił ją jakiś wielgachny czarnuch, stary zbok – rzuciła Ronnie.

Mo poniewczasie ugryzła się w język. – Ależ nie o to mi chodziło – zaprotestowała.

– A o co? O cóż więc chodziło, kobieto?

Bone miał gdzieś ich problem. Miał swój. Przecież on tam był, na własne oczy widział, jak ciało zostało porzucone.

– Widziałem, jak to się stało – wyrwało mu się. I obie dziewczyny spojrzały na niego.

– *Że co?* – spytała Mo.

– Widziałem to. Byłem tam, kiedy do tego doszło, po drugiej stronie ulicy. Nie widziałem tylko, co właściwie facet upychał w śmietniku. Myślałem, że to zestaw kijów do golfa, główkami do góry, rozumiecie? Ale to musiały być jej stopy.

Ronnie milczała, stała tylko i patrzyła na niego.

Mo uśmiechnęła się, rozbawiona. – Nabierasz nas.

Pokręcił głową. – Zabrakło mi paliwa tam koło liceum. Więc szedłem piechotą. I jakiś typ podjechał pod bloki, na podjazd. Wepchnął to coś do śmietnika i pojechał. Nawet się nad tym nie zastanawiałem. Mówię przecież, myślałem, że to kije golfowe czy coś. Po prostu szedłem dalej.

– Czyli nas *nie* nabierasz... – Mo podeszła do drzwi i zawołała, żeby Cutter wyszedł na werandę. – Mamy tu trochę rozrywki. Rich naogładał się różnych rzeczy...

Najpierw wyszedł Erickson, po drodze zataczając się na framugę, ale udając, że nic się nie stało, jakby to był sceniczny gag. Za nim pojawił się Cutter, ostrożnie podpierając się na lasce z orzechowego drewna. Mo zwięzłe streściła to, czego się dowiedziała od Bone'a i Fishmana. A Cutter się wyszczerzył.

– W *śmietniku*? – Można by pomyśleć, że ten koncept go ubawił.

– To nie wyglądało na element planu – wtrącił Bone. – Już raczej nagły impuls. Facet zobaczył śmietniki, więc podjechał i wywalił trupa dziewczyny.

Erickson zawrócił z powrotem do salonu. – Zadzwoń na policję.

Cutter przegrodził mu drogę laską. – Synu, chyba nie mówisz poważnie?

– Chryste Jezu, Alex, jak najbardziej. Przecież on musi powiedzieć im, co widział.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście.

– Czemu? Może dziewczynie się należało.

Erickson z przerażeniem spojrzął na Cuttera. Potem przeniósł wzrok na Bone'a.

– On tak serio?

– Nie widziałem twarzy tego faceta – stwierdził Bone. – Ani tablic wozu. Nie za bardzo się im przydam.

– Poczekaj, ten samochód. To przynajmniej widziałeś, nie?

– Tyle, że to nowy model. I nie wiem, jakiej firmy. Ale to nie ma nic do rzeczy.

– Jak to, nic do rzeczy?

– Bo nikt tu niczego nie zgłosi na policję. Zapomnij. Daj sobie spokój.

– *Spokój?! – Erickson zrobił wielkie oczy. W jego głosie brzmiało niedowierzanie i uraza. – Słuchaj, facet, w całej tej mojej akcji chodzi o walkę z przestępcami. Zgoda, głównie z przestępczą działalnością korporacji, ale to jeszcze nie znaczy, że mam wyrażać zgodę na inne rodzaje zbrodni. A ten facet, ten gość, którego tam widziałeś, Rich... przecież on, do cholery, jest przestępcą! Popelnił zbrodnię. A naszym obowiązkiem jest...*

– Powiedziałem ci już, co widziałem – przerwał mu Bone. – Czyli nic. Nie mam nic do powiedzenia policjantom.

– A ja twierdzę, że oni lepiej będą mogli to ocenić.

I znów skierował się do telefonu, bardzo rzeczowo, Pan Porządnicki, odpychając laskę Cuttera.

Bone dopadł go w drzwiach, na chwilę lekko łapiąc go za ramię – wciąż z nadzieją, że temu człowiekowi da się coś wyperswadować. Młody jednak wyrwał mu się z całą siłą i poleciał do tyłu, wywracając się na jednym z tandetnych składanych krzeseł z aluminium, które Alex ustawił na werandzie. Bone nie lubił przemocy, z reguły jak każdy rozsądny człowiek starał się jej unikać, lecz teraz czuł dużo silniejszą odrazę na myśl, że miałby jutro siedzieć na komendzie przez cały boży dzień, próbując wytłumaczyć sforze mundurowych, że nie ma im nic do powiedzenia.

Pochylił się więc i postawił Ericksona na nogi, trzymając go za klapy kamizelki z jeleniej skóry. Potem pchnął go na ścianę z dykty.

– Żadnych telefonów – rzucił. – Żadnej policji. Dotarło?

Kiedy Erickson nie odpowiedział, Bone chwycił jego kudłate blond włosy i szarpnął głowę hipisa w tył i do góry, żeby szczaw musiał w końcu na niego spojrzeć.

– Dotarło?!

Tym razem Steve przytaknął. Bone wypuścił go i chłopak, potykając się, wszedł do domu. Wszyscy słyszeli, jak trzasnął drzwiami od łazienki, po czym bezskutecznie walczył z zamkiem. Gdy Bone obrócił się ku pozostałym, Cutter ze smutkiem pokręcił głową.

– Robisz za osiłka – wytknął. – To niedobrze.

– Bo młody nie chciał słuchać.

– Bo walczy ze zbrodnią.

– Też to słyszałem.

– Założę się, że nosi nabój ze srebrną kulą. Pewnie trzyma go w dupie.

Bone nie chciał patrzeć na Ronnie, ale nie mógł się oprzeć pokusie i w końcu uległ. Bez zdziwienia spostrzegł, że w jej wzdorczym wyluzowaniu przebijała teraz nutka zadowolenia, wręcz triumfu. Ten widok wzbudził w nim irracjonalną wściekłość, więc Bone wrócił wzrokiem do sceny rozgrywającej się w dole zbrocza, gdzie gęstniejąca sieć światel rozpościerała się coraz szerzej, w miarę jak podjeżdżały kolejne samochody. Tu i tam błyskały flesze niczym mgnienia dnia. W końcu tamten pojazd z żółtym kogutem zawrócił i ruszył z powrotem trasą, którą przybył, tylko wolniej i już nie na sygnale. Wszyscy zgromadzeni na werandzie stali po prostu i patrzyli na to, co się tam działo, niezbyt skorzy do rozmowy, szczególnie po tym, jak Erickson wrócił z łazienki z bardzo głupią miną. Kiedy samochody zaczęły się rozjeżdżać tu i tam, Cutter i Mo wrócili do salonu, a za nimi Steve. Ronnie została jednak na werandzie.

– Nie jestem z nim. Ani w tym jego durnym wyglądzie z bombami.

– Po prostu jego dziewczyna, co?

– Ale tam.

– No to towarzyszy podróży.

– Słuchaj no, facet poderwał mnie dwa dni temu w Hollywood, na takiej obłej imprezce dla pedałów, tak jakoś wyszło. Byłam splukana, zresztą dalej jestem, nie mam dokąd pójść. Więc kiedy złożył propozycję, przyjąłam.

- Naturalnie.
- Facet, ten gość jest dla mnie zerem. Sam nie możesz być gorszy...
- To nie robi żadnej różnicy.
- Według ciebie.
- Aha.
- No i co ty na to?
- Na co?
- Jak to na co! Wiesz, o czym mówię.

Bone rozważył jej propozycję. Było późno, był zmęczony, a po dwóch dniach z nauczycielką z Dakoty czuł się równie rozerotyżowany, co wałach. Potem jednak pomyślał o Mo i o tym, że będzie leżała w sypialni z Cutterem i słyszała jego, Bone'a, a nie odwrotnie, jak zazwyczaj. I nie wiedzieć czemu ta wizja sprawiła mu przyjemność. W głębi serca wiedział jednak, że prawdziwy powód będzie dokładnie ten sam, co zwykle – stare, dobre soki znów zaczęły żywiej krążyć.

- A twój przyjaciel? – zapytał.

Wzruszyła ramionami. – No, faktycznie polubił tę czarną dupcię.

- Ale to za mało...

Dziewczyna parsknęła śmiechem. – Wiesz, chyba masz rację.

Wtedy schwyił ją za ramiona i pocałował, z początku lekko, niemal na rozpoznanie, jakby składał symboliczny hołd odmiennej rasie, ale w końcu głębiej, otwierając usta, wyczuwając w jej tchnieniu słabiutki posmak trawki.

Gdy wrócili do salonu, Erickson poświadczył, że w rzeczy samej mocno za mało polubił tę czarną dupcię. Bone powiedział mu, że jeśli chce zostać na noc, to tylko samotnie, w śpiworze, na werandzie, więc młody burczał i pienił się przez te pięć czy dziesięć minut, jakie zajęło mu zebranie maneli i spakowanie plecaka. Przez cały ten czas jednak ani razu nie skierował słów krytyki przeciwko Bone'owi. Nie, winą obarczona została wyłącznie Ronnie, ta tania, oportunistyczna zdzira, jakiej świat nie widział, ba, co więcej, parszywa czarna suka, o tak, właśnie, smoluch, dobrze słyszeliście. Erickson nigdy wcześniej nie użył tego słowa wyłącznie dlatego, że dopiero teraz trafił na prawdziwego smolucha.

Kiedy już poszedł, niewiele pozostało do powiedzenia. Cutter, kręcąc głową w parodii żalu, zalecił Bone'owi i Ronnie, by cudzołożyli, jeśli już muszą, ale po cichu, bo musiał się wyspać – na cały następny dzień zaplanował sobie medytację. Potem poszedł z Mo do ich sypialni, gdzie wciąż spało dziecko, i zamknęli za sobą drzwi.

Gdy Ronnie poszła do łazienki, Bone pościągał poduchy z wersalki i ułożył je na podłodze przed kominkiem. Potem u stóp improwizowanego posłania ustawił jedno z krzeseł kupionych na kiermaszu Armii Zbawienia, wiedząc, że Cutter wstanie w nocy kilka razy – za potrzebą albo żeby pokuśtykać na werandę i snuć tam posępne rozważania.

Ronnie wyszła w końcu z łazienki, naga i bardzo urodziwa. Jej szczupłe, brązowe ciało było jak wyjęte z egipskiej płaskorzeźby, godne królewskiej nałożnicy. Kiedy się kochali, było mniej więcej tak, jak się spodziewał – bez miłości, bez humoru, ale jednak lepiej niż to mu się przydarzyło od dłuższego już czasu, raczej akt walki niż jakiegokolwiek czułości, ciche, brutalne posiadanie się nawzajem przed wygasłym, pełnym popiołu kominkiem. Jeszcze zanim skończyli, Bone zaczął się zastanawiać, czy Ronnie gardziła nim równie dogłębnie, jak on nią. Miał nadzieję, dla jej dobra, że tak właśnie było, że przynajmniej tyle jeszcze miała w sobie dumy.

Potem niemal natychmiast zasnął, ale nie tak głęboko, żeby nie słyszeć co jakiś czas różnych dźwięków – płaczu dziecka, otwieranych i zamykanych drzwi, szczęku garnków w kuchni, aż w końcu gdzieś rozległ się przeszywający dzwonek, którego odgłos przeszył Bone'a niczym tępa stal, przybijając go, wijącego się, do minionych dni, zniecierliwionych codziennych pobudek, kiedy musiał się ogolić, wykapać, ubrać i *pędzić*, czort wie gdzie, gnać do jedyne go miejsca na świecie, gdzie naprawdę nie chciał iść.

I nagle poczuł, że coś naciska mu na łokieć. Ocknął się i zobaczył, że stoi nad nim Mo, znów ubrana w kimono. Bosą stopą trącała go w ramię.

– Wstawaj, Rich – powiedziała. – Przyjechała policja.

Ujrzał ich za jej plecami, dwóch facetów w garniturach, którzy patrzyli z góry na niego i na Murzynkę niczym na coś, co rozmazano po szkiełku i wetknięto pod mikroskop.

– Richard Bone? – zapytał jeden z nich.

Bone nie odpowiedział.

– Ubierać się – rzucił ten drugi. – Jedziemy na komendę.

2.

O dziesiątej trzydzieści rano Bone – kolejny raz – siedział pod biurkiem porucznika Miltona Rossa, niedużego, schludnie przyodzianego mężczyzny tuż po czterdziestce, który z początku był bardzo grzeczny i miodousty, gdy przyszedł do pracy o ósmej rano i sądził, że szybko wyciągnie z Bone'a to, czego nie uzyskali pomniejsi funkcjonariusze w przesłuchaniach, jakie rozpoczęły się jeszcze przed świtem – czyli „prawdę” na temat wydarzenia, którego Rich był świadkiem. Kiedy jednak Bone odmawiał uzupełnienia swojej opowieści czy poczynienia w niej jakichkolwiek zmian, ta uprzejma fasada zaczęła się kruszyć i pękać. A popularność Bone'a spadła na łeb, na szyję. Nagle zrobił się z niego łgarz, parszywy, cholerny społeczny obszczymurek. Drobnym kanciarz, który aż się prosił o grubszą sprawę, na przykład odsiadkę za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Tyle że o to Bone nie powinien się martwić, bo zaraz zacznie śpiewać na inną nutę. Już Rossa w tym głowa.

Bone nie poczuł zatem większej przyjemności, gdy znów otworzyły się drzwi biura i porucznik gestem zaprosił go do środka.

– Siadaj tutaj – polecił Ross, wskazując drewniane krzesło z prostym oparciem, stojące niemal pośrodku pomieszczenia, na wprost rzędu okien, przez które wpadało oślepiające światło słońca. Pod oknami stał sierżant Verdugo i jakiś inny, starszy mężczyzna. Bone zignorował krzesło i podszedł do stolika konferencyjnego, stojącego naprzeciwko biurka Rossa po drugiej stronie niedużego biura. Odchylił się nieco i obojętnie zapalił papierosa. Zawział się, że nie pozwoli, żeby ten mały łaps go zastraszył. Miał wrażenie, że mimo blasku z okien zauważył cień uśmiechu na twarzy sierżanta, jednego z policjantów od zabójstw, którzy przyjechali po niego do domu Cuttera prawie siedem godzin temu. Tego starszego faceta Bone widział po raz pierwszy. Gość był masywny i siwowłosy, a sądząc po purpurowym nosie, ostro pił. Stał teraz z założonymi rękami, opierając się o kaloryfer i cicho posapując władzą.

Do niego właśnie zwrócił się teraz Ross:

– Kapitanie, na początek pozwoli pan, że pokrótce przedstawię tego tu naszego świadka. Nazywa się Bone. Richard Kendall Bone – porucznik podniósł

kartkę i zaczął czytać. – Lat trzydzieści trzy. Urodzony w Chicago Plains, stan Illinois. Ukończył Uniwersytet Stanowy Wisconsin w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym. Służby wojskowej nie odnotowano. Pracował w sprzedaży i marketingu, był kierownikiem marketingu dla sporawej firmy papierniczej w Milwaukee już w wieku dwudziestu ośmiu lat. Żona i dwójka dzieci, córeczki. Dom na przedmieściach, członkostwo w klubie towarzyskim itepe. Nigdzie nie notowany do trzydziestego roku życia. Potem nagle dwa areszty za jazdę pod wpływem alkoholu. Zawieszono prawo jazdy. Następny areszt pod zarzutem gwałtu, ale kobieta później wycofała oskarżenie. Stracił pracę i przybył tu, na wybrzeże, bez rodziny. Od tamtej pory bez stałej posady. Mamy na niego nakaz z Wisconsin za porzucenie rodziny i alimentarstwo, ale żona wycofała oskarżenie. Rok temu zwinęliśmy go za grubszą kradzież, bo miejscowa kobieta zgłosiła, że zabrał jej z domu magnetofon za tysiąc pięćset dolców. Ona też się wycofała.

Kapitan, który wyciągnął sobie grube cygaro i rozwinął je z czułością, zapalił je teraz. – Fascynujące – sapnął.

Ross się nie przejął. – Choć nie mamy w tej materii żadnych pisemnych skarg, wśród naszych krąży pogłoska, że ten facet słynie w motelach przy plaży jako ogierek. Jego łupem padają kobiety...

Kapitan parsknął śmiechem. – *Łupem?*

- Tak słyszałem.
- Jeszcze bardziej fascynujące.
- Cóż, moim zdaniem odbija się to na jego zeznaniu. Powiedziałbym, że wskazuje swoistą życiową orientację.

Kapitan machnął cygarem w geście kapitulacji.

- Dobra, Milton. W cholerę z tym, lećmy dalej.

Sztywno potakując, porucznik wrócił spojrzeniem do swojej kartki.

- Jasne, to jedziemy od początku. Sprawdziliśmy tego barmana, Murdocka, i tych ludzi, u których Bone mieszka, Cutterów. Wszyscy całkiem zgodnie potwierdzają ramy czasowe, które nam opisał. Opuścił bar około jedenastej czterdzieści. Na Anapamu zabrakło mu paliwa, więc porzucił auto, przez co znalazłby się na scenie zajścia około jedenastej pięćdziesiąt. To z kolei pasuje do zeznań tamtejszych mieszkańców... właśnie wtedy porzucono ciało, wszyscy słyszeli raban. Następnie Bone na piechotę dotarł do domu Cutterów. Ciało odkryto o dwunastej dwadzieścia, wtedy dostaliśmy pierwsze zgłoszenie. O pierwszej czterdzieści pięć dostaliśmy anonimowy telefon w sprawie Bone'a...

– Dla *was* może i anonimowy – wtrącił Richard.

Ross uniósł wzrok znad kartki. – Cutterowie podtrzymują tu twoją wersję. Może faktycznie to był ten cały Erickson. Póki co, nie udało się nam jednak go namierzyć.

– A po kiego?

– O co tu chodzi? – zapytał kapitan.

– Młody znajomy Cuttera, był przejazdem w mieście – wyjaśnił Ross. – Ze-szłego wieczora był u Cutterów w domu. Wyszedł po utarczce z Bone'em.

Kapitan pokiwał głową, coś już mu mętnie świtało. – Dawaj dalej.

– Właściwie to by było na tyle. Ma pan już tego zeznanie.

– A i owszem – z westchnieniem kapitan wy dostał kartkę papieru z kieszeni wymiętolonej marynarki, rozłożył ją i przeleciał wzrokiem. – No, i za wiele to tu nie ma, co? Sylwetka mężczyzny... masywny... duża głowa... i tyle.

– To właśnie widziałem – stwierdził Bone.

Kapitan spojrział na niego. – Ależ my to rozumiemy, panie Bone. I proszę mi wierzyć, że nie mamy o to do pana pretensji. Jeszcze tylko świadków z wybujałą wyobraźnią nam potrzeba. Nie o to chodzi. Kłopot jest z czym innym, z tym, że odmówił pan udziału w okazaniu podejrzanych czy przejrzenia albumu z fotkami notowanych. Wie pan, my tu naprawdę mamy oko na przestępców seksualnych, więc w takiej sprawie nie ma żadnego problemu, żeby ich wszystkich postawić przed świadkiem... Kto wie, a nuż któryś z czymś by się panu skojarzył.

– Twarzy nie widziałem – odparł Bone. – Nie mógłbym zidentyfikować twarzy.

– Tylko sylwetkę, co?

– Zgadza się. Postać. W mroku.

Kapitan uśmiechnął się chłodno. – Może to Księżę Ciemności.

– Głowy bym nie dał – odpowiedział Bone.

– Nie przedstawiono go panu, hę?

– Nie tak, żebyśmy pamiętał...

– Cóż, w rzeczy samej szczęściarz z pana – kapitan, najwyraźniej realista, wyprostował się powoli. Schował zeznanie Bone'a i podjął: – Cóż, niech będzie. Tak tylko myślałem, że dodam moje trzy grosze, bo ta sprawa naprawdę ludźmi szarpnęła. Nie uwierzycie, ilu ludzi dzwoniło już do mnie dziś rano. Oni naprawdę bardzo by chcieli, żebyśmy nakryli tego typu. I chyba wiem, dlaczego. To ten kubeł na śmieci tak ich ruszył, tak mi się widzi. Czemu facet nie porzucił zwłok gdzieś w rowie, może na plaży, co? Albo w górach? Ale nie, nie on. Gość wybrał *kubeł* na

śmieci. I widzi mi się, że to nam coś o nim mówi, coś niezbyt przyjemnego. I ludzie nie mogą tego przelknąć.

Bone nie odezwał się ani słowem.

U drzwi kapitan obejrzał się na Rossa: – Powiedziałeś mi o autopsji?

– Jeszcze nie.

– Zmiażdżona tchawica i pęknięta czaszka – oświadczył kapitan Bone'owi. – Spermę w przelyku i na twarzy. Grupa krwi zero.

Powoli, w zadziwieniu pokręcił głową. I dodał:

– Raptem siedemnastolatka. Cheerleaderka. Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem.

Bone wciąż milczał.

Szef uniósł nieco jedną rękę. Wychodząc, pozwolił jej opaść w geście pożegnania albo ekspresji bezcelowości – Bone nie potrafił określić, co to właściwie miało być. Do tej pory był cierpliwy, aż nadto, biorąc pod uwagę, że spędził pół długiej nocy i cały ranek, usiłując wyklarować szwadronom policjantów, że był tylko świadkiem porzucenia zwłok, niczego więcej, a już na pewno nie mordercą, za którego z początku go wzięli, wręcz mieli nadzieję, że nim był, ale skoro już się z tym pogodzili, przez resztę poranka broniąc ścisłości opisu tego, co widział, czy, by ująć rzecz precyzyjniej, czego nie widział. Bone uważał więc, że okazał im już wystarczająco dużo cierpliwości, robił za ofiarę losu tak długo, jak tylko mógł.

Zgniół niedopałek i ruszył w stronę drzwi. – Wychodzę – stwierdził. – Albo dzwonię po adwokata.

Ross uniósł słuchawkę i dźgnął palcem w guzik telefonu. – Minutkę, Bone. Jeszcze tylko minuta, słowo.

Do słuchawki rzucił:

– Wprowadźcie ją.

Przez okienko w drzwiach Bone zobaczył, jak jedna z sekretarek w dyspozytorni skinęła głową młodej kobiecie, siedzącej przy jej biurku. Ta wstała i ruszyła w stronę biura Rossa. Była niska i bardzo zgrabna, a jej oczy wydawały się odporne na wszelkie zaskoczenia, gotowe na wszystko ze strony każdego człowieka.

– A to kto? – zapytał Bone.

– Siostra ofiary, Valerie. O ile dobrze zrozumiałem, dziewczyna była na jej utrzymaniu. Podobnie jak ich matka, inwalidka.

– A co ja mam do tego?

– Powiedz jej tylko, co widziałeś, i tyle.

- Czemu nie wy?
- Nie sądzę, żeby uwierzyła, gdyby usłyszała to ode mnie. Pomyślałaby, że wciskamy jej kit, że odwalamy chałturę, no, sam rozumiesz.

– Więc chcesz, żebym robił na wasze konto.

Ross wzruszył ramionami. W końcu miał chwilę zabawy. – To twoja historia, nie nasza.

Gdy dziewczyna weszła, Ross zwięźle przedstawił jej Bone'a, po czym wyjaśnił, iż znajdował się on zeszłej nocy na miejscu, gdzie doszło do „wyrzucenia” zwłok – wyglądało na to, że porucznik wcale nie był zażenowany takim właśnie doborem określenia – i był świadkiem tego czynu. Potem oddał głos Richardowi, a ten powiedział Valerie dokładnie to samo, co policjantom, bez ozdóbek czy przeprosin za skąpe informacje.

Obróciła się z powrotem do Rossa. – Więc tak naprawdę niczego jeszcze nie ustaliliście. Nie wiecie, kto to był.

– Jeszcze nie. Niestety.

Uśmiechnęła się przelotnie, brutalnie. – Ale się dowiecie, oczywiście.

Ross nie zrewanżował się jej uśmiechem.

– Może pani na to liczyć – stwierdził.

– Jasne.

Spodobała się Bone'owi. Żałował, że nie mógł jej zaoferować niczego więcej. Wciąż jednak milczał. Minęła jego minuta, cała długa noc cierpliwości. Gdy otwierał drzwi, Ross rzucił mu jeszcze kilka słów na drogę.

– Nie wyjeżdżaj z miasta. Jeśli będziesz musiał, skontaktuj się ze mną lub sierżantem Verdugo. I spróbuj sobie przypomnieć. Spróbuj...

Ale Bone zamknął już za sobą drzwi.

Gdy wyszedł z komisariatu, zastał czekającego nań Cuttera – Alex wyciągnął się niczym jaszczurka w słońcu na jednym z kamiennych murków okalających frontowe schody budynku. Bone zapukał w protezę nogi Cuttera. Otworzyło się samotne oko.

– Wyszedłem – oznajmił Bone.

Cutter usiadł, ziewnął. – Ano wyszedłeś. Jezu, jak fajnie tak poleżeć na słońcu. – Zdołał wstać, po czym ruszył o lasce w dół schodów. – Wiesz, gdybym tylko miał przy sobie blaszany kubek, zbiłbym tu fortunę.

– I tak wszystko byś przepuścił.
– Samochód stoi kawałek dalej – powiadomił go Cutter. – A w nim Mo z dzieciakiem. Gówno żeśmy sobie pospali. Autentycznie mieliśmy przez ciebie przesrane, wiesz? Musiałem pilnować bachora na dworze, kiedy przesłuchiwali Mo, a potem zmiana.

- A co z Ronnie? Ją też zwinęli?
- Pewnie by chcieli. Ale dała nogę. I tyle widziałeś swoją czarną dupcię.
- To dobrze.
- Nie była aż taka rewelacyjna, co?
- Nie aż na tyle, żeby było warto.
- Święte słowa.
- A co z moim wozem?

Cutter zignorował pytanie. – Nie uwierzysz, ci żandarmi cisnęli mnie prawie przez dwie godziny.

– Czemu?
– Kto wie? Może dlatego, że zacząłem się nudzić... zapytałem jednego z nich, czy trzymają mnie tylko po to, żeby wypytywać o ciebie.

– Sprytnie – skwitował Bone.
– A powiedz, że nie – Cutter wyszczerzył się jak stuknięty wilk. – Z miejsca zabrało się do mnie trzech gości, wszyscy pytają o to samo: „A jest jeszcze coś?” Więc pękłem i przyznałem się do wszystkiego: seks analny... parkowanie na drugiego...!

Jego śmiech niósł się po ulicy grzechotliwym echem. Bone pokręcił głową. – Przyjdzie taki dzień, że cię zapudłują. A klucz zjedzą.

- Tylko kiedy? Nigdy nie podajesz tych najistotniejszych szczegółów.

Bone spróbował wrócić do ważniejszej kwestii. – Mój samochód, Alex. Wciąż jeszcze mi nie powiedziałeś.

– Zgadnij.
– Dwadzieścia pięć?
– Więcej.
– Ile?
– Dycha za parkowanie na drodze szybkiego ruchu. Trzy dychy za odholowanie. I czterdzieści pięć za każdy dzień na parkingu.

Żołądek Bone'a skurczył się raptownie. – Chryste Panie. Aż tyle?

- Spokojnie, coś poradzimy.

Gdy doszli do samochodu, zastali tam Mo rozpartą na przednim siedzeniu z

zapałonym papierosem, gdy tymczasem mały stał obok i z rykiem szarpał ją za włosy, usiłując przekrzyknąć radio, z którego dudnił kawałek Carly Simon. Cutter, który niemal całkowicie ignorował dzieciaka, po prostu otworzył drzwi auta i poczekał, aż Mo w końcu wgramoli się na tylne siedzenie wraz z małym i zabierze się za zmianę pieluch.

– Czekałam, aż wrócić – wyjaśniła, gdy obaj sadowili się z przodu. – Została tylko jedna pielucha, a jeśli mamy iść gdzieś na lunch...

– Jasny szlag! – Cutter próbował uruchomić samochód, ale bez efektu. – Mówiłem ci, cholera, żebyś nie słuchała radia przy wyłączonym silniku!

Bone zapalił papierosa i usiadł wygodniej, próbując ulżyć spiętemu brzuchowi. Jego MG był paskudny, ale przynajmniej dostał go w prezencie. Nie zapłacił za ten wóz ani grosza. Natomiast to, ten upiornie brzydki kabriolet, packard clipper, model z 1948 roku, był starannie wybrany przez Cuttera, nabyty z rozmysłem i odrestaurowany za ciężkie pieniądze – wyłącznie dlatego, że swego czasu wóz dokładnie tego samego modelu był własnością jego ojca, który robił w nim rundki od klubu towarzyskiego przez marinę do położonej niedaleko Misji rodzinnej sadyby, wielkiego starego domostwa, obecnie podzielonego na mnóstwo klitek do wynajęcia.

– Śledztwo ruszyło w ogóle z miejsca? – Mo zapytała Bone'a.

Pokręcił głową. – Nic się nie zmieniło. Jeden ślepy świadek.

– Więc co chcieli ci wmówić, że nie wyglądasz na niewidomego?

– Mniej więcej.

– Jak przypuszczam, hm... doznali rozczarowania.

– Pewnie tak.

– W sumie trudno mieć do nich pretensje – stwierdziła. – Sam rozumiesz: dorosły facet, miły, przystojny, typ jak z wyższych sfer, znajduje się po drugiej stronie jakiejś marnej uliczki, kiedy sprawca wywala trupa. Jest niemal oko w oko z tym facetem... i co może im o tym opowiedzieć? Nic. Ja też byłabym, hm, rozczarowana.

Cutter wciąż dusił stopą rozrusznik. – Przestań mu wiercić dziurę w brzuchu, Mo!

– W jakim znowu brzuchu? – zaprotestowała. – Nic ci nie robię przy brzuchu, prawda, Rich? Boże drogi, przecież przyjechałam tu, żeby za niego poświadczyć. Posprzątałam z podłogi po nim i jego afro panience. Ba, nawet wyprałam ręczniki ze spermy.

Cutter wcale jej nie słuchał.

– Rusz się! No, rusz się! – wrzasnął, kiedy starter zaczęła nieco żwawiej kręcić.

Bone jednak usłyszał, co powiedziała. Zerknął w jej stronę, próbując odczytać wyraz twarzy Mo, ocenić cierpienie czy wzdargę ukryte za lekkim, kpiącym uśmiechem. Mo obróciła się jednak do dzieciaka i zaczęła go obcałowywać. I właśnie wtedy silnik zaskoczył.

– Stary wierny packard! – rozpromienił się Cutter. – Dobra, jedziemy na jakieś sandwicze. Jest biznes do obgadania.

Przejechali więc tych parę przecznic do nowej samoobsługowej kafejki z ogródkiem, Ziggie's, położonej niedaleko tego punktu na State Street, począwszy od którego ekskluzywne butiki i równe szpalery drzew wzdłuż wyłożonych kostką chodników, z których słynie centrum Santa Barbara, zaczynają schodzić na psy, ba, w rzeczy samej tam właściwie jest już bandycka dzielnica, a przynajmniej jej ekwiwalent z racji braku w tym mieście naprawdę zapuszczonych okolic. W większości amerykańskich miast ten kawałek gruntu pewnie i tak kwalifikowałby się na rejon wysokich czynszów, co nakręcało Cuttera do wykładu na jeden z jego ulubionych tematów – że miasto Santa Barbara padło ofiarą pelzającej zamożności, czy też – jak to ujmował, rozwijając zagadnienie – Wymiatającego Stylu Białasów. Co parę dni buldożery zapuszczały się głębiej pomiędzy te budy, demolując po kilka meksykańskich chatynek, na miejscu których powstawały kunsztownie zaprojektowane rezydencje dla ortodontów, z wyglądu przypominające ranczo Ponderosa, których koszt budowy za stopę kwadratową powierzchni oscylował wokół miliona dolarów. Przyjdzie czas, kiedy zniknie ostatnia rudera, jęczał Cutter, kiedy zabraknie miejsc, gdzie mogliby zamieszkać Meksykanie. I kto wtedy będzie strzygł Anglosasom trawę czy przetykał im kible? Kto wychowa im dzieci? Zdecydowanie trzeba było temu przeciwdziałać już teraz, zanim jeszcze zupa – po meksykańsku – się wyleje.

Znaleźli stolik na słońcu i przez jakiś czas cała trójka siedziała w niemal całkowitym milczeniu, żarliwie pochłaniając pulchne hamburgery i frytki serwowane w Ziggie's. Tylko maluch, stojący na podołku Mo, miał mnóstwo do powiedzenia w kwestii nosa, oczu i warg mamy, które wciąż obmacywał, ścisnął i całował. A Bone zorientował się, że nie wiedzieć czemu nie mógł odwrócić od nich wzroku – od tej urodziwej, młodej blondynki siedzącej po drugiej stronie niedużego stolika i zalanej bladym, cytrynowym blaskiem słońca, i jej pulchnego synka, jednoroczniaka, bulgoczącego radośnie na kolanach mamy. Próbował myśleć o własnej rodzinie, o Ruth i córeczkach, ale nie znajdował niczego, co dałoby się porównać z tym widokiem. Zalecał się do Ruth, poślubił ją, mieszkał z nią i spał z

nią przez ponad siedem lat, razem mieli dzieci, razem je wychowywali, a przynajmniej rozpoczęli ten proces. Kiedy jednak próbował teraz *poczuć*, o co właściwie chodziło przez tamte lata, nie za wiele przychodziło mu do głowy, może oprócz przyzwyczajenia, tej męczącej, starej kurwy – nawyku. Owszem, niestety tak właśnie można by podsumować tamten związek. W końcu Ruth stała się tylko nawykiem, niczym więcej; a być może także i dziewczynki, Janey i mała Beth, nie wiedzieć czemu tak podobne do matki, takie chłodne i poprawne, tak opanowane.

Z niewiadomych przyczyn nie mógł sobie przypomnieć, czy w tamtych czasach zdarzyło mu się kiedykolwiek czuć to, co czuł teraz, patrząc na Mo z małym.

Na Cutterze jednak ich obecność nie robiła najmniejszego choćby wrażenia. Miał inne problemy. – Kasa – rzucił do Bone'a. – Oto, co musimy obgadać, młody. Szmalec. Soki życiowe.

– Czyli?

Cutter odgryzł kęs hamburgera. – Ni ma. – Przeżuł jedzenie.

– Zabrakło ci, co?

– Można by tak rzec. Nie ma socjalnego. Do renty jeszcze dwa tygodnie. Mo i ja mamy wszystkiego ze cztery dolce. A w spiżarni puściuteńko.

– Faktycznie zabrakło.

– Brałem kasę już od tyłu typów na mieście, że jak wpadam gdzieś do lokalu, ludzie wieją przez okna. A ta tutaj, siostra Weneryka, nie zadzwoni do domu, żeby sępić od mamusi, więc co nam zostaje?

– Zapodawaj.

Cutter dopił resztkę coli. – Ty, kumplu.

Bone parsknął śmiechem. – Na pewno myślisz o tym samym facecie?

– Aha. Tylko na początek, Rich, tu nie chodzi o to, że mieszkasz u nas w domu, że wydajemy na twoje żarcie te parę dolców. Nikt tu nie wystawia rachunków. Luz. Cieszymy się z twojego towarzystwa.

– Dzięki ci, szlachetny panie. I tak chciałem się wynieść za dzień czy dwa.

– Nie ma potrzeby. Fajnie, że z nami mieszkasz.

Bone zerknął na Mo, która uśmiechnęła się tajemniczo.

– Miło to słyszeć – odparł Cutterowi. – Tylko ta twoja wersalka jest do chrznanu. Chyba znalazłbym sobie coś lepszego.

– Sny o potędze – stwierdził Alex. – Zresztą nawet gdyby ci się udało, to i tak nie robi różnicy. Bo potrzebujemy krótkoterminowej pożyczki. Tyle, żeby Mo mogła pójść robić swoje na mieście.

– Jasne. Rozumiem. Tylko gdzie w tym wszystkim miejsce dla mnie?
Cutter jednorącz wyciągnął papierosa, po czym jednym płynnym, zwinnym ruchem zapalił go.

– Pan jeździe pożyczkodawca – oznajmił. – My som pożyczkobiorce.

– Chyba cię porypało.

– Nie no, wiem, też jesteś bez kasy. Ale twój stary kumpel nie próżnował. Pozwól, że zapytam: jak chcesz odzyskać swój wóz?

– Jeszcze nie wiem.

– Spróbujesz kogoś naciągnąć, nie? No, pozwól, słonko, że ci coś wyjaśnię: zero szans. Ostatnio wszyscy są pod tym względem strasznie na nie, choćby nie wiem ile zarabiali. Równie dobrze mógłbyś prosić o łyk krwi.

Bone odnalazł na tekturowej tacce ostatnią frytkę i zjadł ją. – Do czegoś zmierzasz?

– Jak już mówiłem, nie próżnowałem.

– No i?

– Mam kupca na twój samochód.

– Kupca?

– Otóż to. On kupuje, ty sprzedajesz. Rach ciach, dzyń dzyń, znów coś wpada do kasy. Facet daje ci dwie stowy.

I znów Bone zerknął na Mo, z nadzieją, że ujrzy jakąś reakcję na ten popis werbalnego stepowania. Dziewczyna miała jednak pokerową twarz – zawsze wierna popleczniczka Cuttera.

– A kto mówi, że chcę sprzedać auto? – zapytał.

– A na co ci ono na miejskim parkingu? Poza tym i tak się sypie, mam rację? Nie dasz rady go wyremontować. A ten koleś może. Ma własny warsztat. To on zrobił większość blacharki przy packardzie.

Bone pokręcił głową z podziwu. – Pięknie, Alex. Po prostu prześlicznie. Sprzedaję brykę, a kasę oddaję tobie.

– *Pożyczasz.*

– Więc pożyczam. Jak zwał, tak zwał. Ale jak mam się poruszać po mieście?

– Moim wozem.

– Jeśli odpali.

Cutter wzruszył ramionami. – Twoja broszka, stary. Przemysł to. A póki co, starannie przeżuwasz każdy kęs. W domu zostały nam tylko płatki kukurydziane z kakao i gorzala.

Przez jakiś czas Bone siedział w milczeniu. Zapalił papierosa i obserwował ciągnącą chodnikiem wątlą defiladę żuli, hipisów i tych porządných. Na najbliższym rogu zatrzymała się ciężarówka. Jej kierowca, młody Murzyn, wysiadł i załadował do automatu stertę gazet. Mo podała małego Cutterowi.

– Kupię – rzuciła, sięgając do torebki. – Chcę pierwsza o tym przeczytać.

Kiedy odeszła od stolika, Cutter przesunął malca na skraj kolana.

– Jezu, mam nadzieję, że ten maluch nie jest mój. Pracuje dupą ostro. Znow zrobił swoje. Mistrz brązowych gaci...

Przez parę chwil Bone wołał się nie odzywać.

– Ależ z ciebie wał, Alex – powiedział w końcu. – Autentyczny wał pierwszej klasy.

Cutter zmusił się do śmiechu. – Ty, o co ci biega? Co cię znow ugryzło?

– Dobrze wiesz, cholera.

– Że masz sprzedać auto?

– Chodzi o Mo, ciulu. To twój dzieciak i dobrze o tym wiesz.

Cutter przez chwilę siedział nieruchomo, udając zaskoczonego i zdumionego. Potem jego rysy znow skrzywił stary, sardoniczny grymas. Znajomość wiedzy ukrytej przed innymi.

– Nic a nic o tym nie wiem, młody – powoli pokręcił głową. – W ogóle o nim niczego nie wiem. Co, myślisz sobie, że Mo to jakaś święta z gipsu? Facet, ona żyje tak, jak teraz, od kiedy miała naście lat. Miała przerwę w tej komunie czubków od Jezuska, ale jej przeszło. Myślisz, że da się przejść przez takie życie i zachować dziewiczą czystość?

– Mnie chodzi o to, co się dzieje *teraz*, w ciągu ostatnich dwóch lat. Mały ma roczek, nie? Więc jest twój.

– Ją spytaj, nie mnie.

Mo właśnie wróciła do stolika. – O co ma mnie pytać?

– Czy trafiłem na pierwszą stronę – odparł Bone.

Podawała mu gazetę. – Nie z nazwiska. Przynajmniej nie, żebyśmy zauważyła. W artykułach piszą, że był świadek, i tyle.

Wiadomość nie robiła za główny tekst numeru – tu wciąż rządził kryzys gospodarczy – ale załapała się na drugie miejsce. Były dwie fotografie, jedna przedstawiająca kubły na śmieci i podjazd pod tamte bloki, druga – szkolne zdjęcie zabitej dziewczyny, Pameli Durant. Obok fotografii był spory nagłówek:

MORDERSTWO MIEJSCOWEJ NASTOLATKI CIAŁO ZNALEZIONO W KUBLE NA ŚMIECI

Bone nie wyczytał w artykule niczego, co byłoby dlań nowością. Mężczyzna idący ulicą Alvarez miał rzekomo widzieć samochód skręcający na podjazd i zatrzymujący się tam, ale według oświadczenia zauważył tylko zarys postaci podejrzanego. Zeznanie świadka i ślady opon na podjeździe wskazywały, że widziany tam pojazd to któryś z nowych, większych modeli. Mieszkańcy bloków słyszeli odgłos gwałtownego hamowania, a po chwili samochód odjechał z piskiem opon. Ofiara, ładna siedemnastolatka nazwiskiem Pamela Durant, była cheerleaderką i kandydatką na królową piękności swojego rocznika w liceum Santa Barbara. Według opisu cieszyła się sporą popularnością, była aktywną uczennicą żywo zainteresowaną ekologią i muzyką współczesną. Pozostawiła pogrążoną w żałobie rodzinę: matkę, Angele Durant, oraz siostrę Valerie, lat dwadzieścia trzy, zatrudnioną w przedsiębiorstwie ubezpieczeniowym Coastline.

Bone podał gazetę Cutterowi, który już zdążył zwrócić malucha Mo. Teraz Alex błyskawicznie przejrzał pierwszą stronę, po czym zajrzał do środka, gdzie coś przykuło jego uwagę. Przez chwilę wydawał się czymś zaskoczony, potem jednak na jego twarzy znów zagościła przyjazna kpina.

– No no, chyba nasz kumpel Erickson był zeszłej nocy nawet bardziej zapracowany, niż się nam wydawało – oddał gazetę Bone'owi, by i ten zobaczył, o co chodzi.

Richard spojrział na trzecią stronę i zamieszczone tam spore zdjęcie, i miał wrażenie, że rozstał się pod nim chodnik. Fotografia uderzyła go zarówno z zewnątrz, jak i od trzewi, negatywnie i pozytywnie. Usłyszał własne stęknienie: – Mój Boże...

Cutter spojrział na niego w zadziwieniu. – Facet, co ty, żartowałem. Przecież ten koleś nawet z gumową lalą by sobie nie poradził.

Bone jakby tego nie usłyszał.

– Hej, co z tobą? – naciskał Alex.

– To on.

Teraz także Mo patrzyła na Bone'a, jakby się chłopak rozstał z rozumem.

– Znaczy, kto? – zapytała.

Bone jednak zdążył już oprzytomnieć, zdał sobie sprawę z absurdalności tego, co powiedział.

– *Jak on* – poprawił się. – To wszystko. Wygląda *jak* tamten.

Cutter pochylił się nad blatem, by ponownie przyjrzeć się fotografii.

– Jaja sobie z nas robisz, facet? – wszedł na wysokie tony. – *J.J. Wolfe?* Człowiek-firma? Gość z okładki „Time'a”?

Mo wciąż nie miała pojęcia, o co im chodzi, więc bezceremonialnie wyrwała Bone'owi gazetę i obejrzała zdjęcie, które wciąż przerastało jego możliwości pojęciowe: masywnego, wielkogłowego mężczyznę stojącego obok wypalonego wraku auta i uśmiechającego się radośnie, jakby demonstrował byka-czempiona. Szeroki nagłówek powyżej wyjaśniał:

WYSADZONO SAMOCHÓD J.J. WOLFE'A
FBI WEZWANE DO ZBADANIA PODPALENIA WOZU
PRZEMYSŁOWCA W DELEGACJI

– *On przypomina* tamtego – powtórzył Bone. – Równie duży, podobnie zbudowany. Podobny. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

Cutter wpatrywał się weń uporczywie, niemal mrużąc oko, jakby na całej twarzy Bone'a wypisano coś maczkiem.

- Na początku mówiłeś coś innego – stwierdził.
- Ale to mówię teraz.

Cutter przybrał minę, mającą świadczyć o głębokim zakłopotaniu, i obrócił się do Mo. – Dziwna sprawa, nie ma co. Najpierw facet widzi zdjęcie i mówi nam „To on”, ni stąd, ni zowąd. A zaraz potem wszystko odszczekuje. No, nawet więcej niż dziwne, nie sądzisz?

Mo jednak była zaabsorbowana historią o podpaleniu.

– Rzecz stała się kwadrans po pierwszej rano – streściła im. – Jeździł sobie po nocy, sam, wynajętym fordem LTD. Wrócił do motelu około północy, zabrakło mu papierosów, więc ruszył z powrotem do auta, żeby pojechać kupić paczkę. I gdy szedł, babach. Zobaczył, jak auto wybuchło. Ale tylko to. Nie widział, żeby ktoś stamtąd uciekał, czy coś. I facet zupełnie nie rozumie, jak ktokolwiek mógłby chcieć mu coś takiego zrobić...

Uśmiechnęła się wrednie.

– Cytuję: „Wszystkie moje firmy pracują dla Ameryki. Tworzą miejsca pracy, nowe szanse i dostatek dla tysięcy ludzi. My nie zabieramy, my dajemy.” Koniec cytatu – Mo skłoniła się pokornie, sama na moment w roli magnata przemysłu dbającego o prosty lud. Potem wróciła do lektury: – Zatem wie, że to nie o niego tu chodziło. Albo czyjś dowcip posunął się zbyt daleko, albo ktoś pomylił samochody, i tyle. Mimo to jednak pan Wolfe docenia świetną robotę, jaką wykonała miejscowa policja i FBI.

– Sama słodczy, ten facet – stwierdził Cutter. – A napisali, co robił na mieście tak późno w nocy?

– Podziwia nasze piękne miasto tak bardzo, że wędruje jego ulicami, kiedy tylko ma okazję, w dzień czy w nocy – zameldowała Mo znad gazety.

– Jak rozumiem, przybył tu na tę konferencję energetyczną?

– Tak piszą.

Cutter spojrzął na Bone'a. – I co powiesz teraz, facet? Jeździł sobie o północy, zupełnie sam. Fordem LTD, który, o ile wiem, zdecydowanie zalicza się do tych większych modeli.

– Podobnie jak miliony innych.

Cutter wzruszył ramionami.

– Dobra, Rich. W porządku. Zgoda. Szanse na to, że ten gość to psychol, który upycha zwłoki po kublach na śmieci, są... no, mikroskopijnie niskie. Skoro jest tu w mieście, ma masywną sylwetkę, dużą głowę, i o akuratnej porze jeździ sobie samochodem akuratnej wielkości... zgoda, to jeszcze nie musi niczego oznaczać. W Santa Barbara muszą być dziesiątki obywateli... może i setki... którzy pasowaliby do opisu według tej listy – Cutter zaczął zapalać kolejnego szluga, ale jakby o nim zapomniał. Papieros zwisał mu z wargi, a on sam konspiracyjnie przymrużył oko. – Tylko, wiesz, są w tym dwie sprawy, które normalnie nie dają mi, cholera, spokoju. Na początek: dlaczego powiedziałaś: „To on”? Nie „wygląda jak on”, nie „podobny do niego”, czy „wykapany on”, ale „on”.

Kropka. A po drugie, to podpalenie samochodu. Ile, półtorej godziny po tym, jak pozbyto się zwłok dziewczyny? Co, może nie dziwne? Nie intryguje to ciebie ani odrobinę, Rich?

Bone spojrzął na zegarek. Minęło południe i na chodniku przed kawiarnią zaczęło się robić gęsto od ludzi na przerwie na lunch. Wielu stało w kolejce, czekając, aż zwolni się jakiś stolik.

– Skończyliśmy jeść – powiedział. – Chodźmy stąd.

– A te moje dwa problemy? – dociekał Cutter. – Dostanę jakąś odpowiedź?

– Masz tylko jeden problem, Alex: nadmiar wyobraźni.

Kiedy jechali z powrotem na wzgórze, Bone ledwo mógł pojąć rozmiary ruchu na ulicach, przez który musieli się przebijać. Nawet w swoim małym MG rzadko kiedy zdarzało mu się pojechać nieco szybciej, ale kiedy jednoręki Cutter manewrował packardem rocznik 1948, który przywodził Bone'owi na myśl wyrzuconego na plażę wieloryba, rozdętą rozkładem blaszaną rybę, szło dużo wolniej. Skoro już teraz było

tu tyle samochodów, aż się odechciewało myśleć o lecie, a już szczególnie o tygodniu Fiesty, kiedy turyści zlecają się tu niczym szpaki na ulubione drzewo.

Kiedy tak parli naprzód ulicami, wzdłuż których ciągnęły się szpalery palm, hibiskusów i palisandrów, mijając kolejne miłe oku, stare budynki udające, że wykonano je z suszonej na słońcu cegły, zatrzymując się i znów ruszając, grzechocząc i plując dymem, Bone niemal mógł się wczuć w mdlącą wściekłość, jaką czuł urodzony i wychowany w Santa Barbara Cutter. To miasto bowiem po prostu konało przez własną olśniewającą urodę i klimat, ostatnimi czasy już niemal bez przerwy nadstawiało tyłka wszelkiej maści alfonsom, picerom i deweloperom, każdemu, kto mógł zapłacić za sztos. Santa Apartamenta, nazywał je teraz Cutter, smakując zdradę także i z tej strony.

Tyle że Bone niezbyt potrafił się przejąć tym problemem. Ba, nie udawało mu się nawet skupić na nim myśli. Wciąż rozpraszało go zdjęcie z gazety. Tam, w Ziggie's, zagrał obojętnego, ale tak naprawdę nie potrafiłby odpowiedzieć na pytania Cuttera. Nie miał pojęcia, dlaczego wypalił „To on!”. I był pewien, że to właśnie ta niewiedza dręczyła go nawet bardziej niż Cuttera, bo tylko Bone wiedział, jak natychmiastowe i pozbawione udziału myśli było to skojarzenie. Oczywiście nie chodziło o twarz, bo twarzy tamtego nie widział. Nie była to również prosta zbieżność misiowatych sylwetek i dużych głów. Nie, tu chodziło o coś głębszego, o mentalność, niemal nieludzką arogancję, którą w równej mierze tchnęła mroczna sylweta upychająca zwłoki w kuble na śmieci, jak i twarz na zdjęciu, sławetny nowy twórca kartelu, uśmiechający się przyjaźnie tuż obok wypalonego wraku samochodu z wypożyczalni. Swoją drogą, tu także Cutter celnie zauważył: auto poszło z dymem w ciągu godziny od odnalezienia zwłok... ile zbiegów okoliczności można spiętrzyć, zanim przestaną być dziełem przypadku?

Lecz Bone znów pohamował rozpędzone myśli. Odbiło mu czy to po prostu ze zmęczenia? Jakby chciał sam sobie wykazać absurdalność tych rozważań, podniósł gazetę, która leżała na przednim siedzeniu między nim a Alexem, i machinalnie, niemal beztrzesko otworzył ją na trzeciej stronie, spodziewając się znaleźć tam tylko zdjęcie wyszczerzonego w uśmiechu obcego człowieka. Zamiast tego znów doświadczył owych mdlących sensacji. A Cutter tego nie przeoczył.

Nim dojechali do domu, Bone zaczął odczuwać potrzebę samotności i ruchu, więc zapytał Cuttera, czy może pożyczyć auto i przejechać się na plażę. Alex popsuł mu plany:

– Świetny pomysł. Pojadę z tobą. Możemy się pościgać.

Kiedy wysiadła Mo z maluchem, Cutter ruszył spod domu. Po drodze minęli apartamentowiec, który niegdyś był rodzinnym domem Cuttera: wielką, trójkon-dygnacyjną budowlę z białego kamienia stojącą z dala od ulicy pośród ocalałych palm i sykomorów. Rozległy trawnik zalano asfaltem i przeobrażono w parking, a ganek tak wielki, że pod jego dachem zmieściłby się powóz z zaprzęgiem, został przesklony, zmodernizowany i służył jako hol. Na zapleczu domu wschodzące gwiazdy maklerstwa giełdowego i fachowcy od łączności zadawali szyku, miesz-kając w przebudowanych stajniach i służbówkach, popijając koktajle mai-tai nad tym samym basenem, do którego matka Cuttera wpadła po pijaku i utonęła kilka lat po tym, jak jego ojciec – ni mniej, ni więcej, tylko Alexander Cutter III – zginął w podobny sposób, idąc na dno wraz z zadłużonym po czubek masztu jachtem wartym sto tysięcy dolarów w sztormie opodal przylądka Conception. Gdy woda zabrała matkę Cuttera, zarządcy majątku rodziny zdołali uskładać dla Alexa tylko czesne na rok studiów na uniwersytecie Stanforda, a potem już było po wszystkim, kaput, trzy pokolenia bogactwa i przywilejów urwały się jak nieopłacona prenumerata. A Cutter poszedł dalej, nie patrząc wstecz, swobodnie zanurzył się w Amerykę połowy lat sześćdziesiątych, w tę złotą erę sloganów, bosych stóp, kwasu i Wodnika, po której mogło nastąpić tylko rozczarowanie lub nuda; Alex nie potrafiłby powie-dzieć, co to właściwie było, ale skończyło się skrętem o sto osiemdziesiąt stopni, totalną przemianą, i to w żołnierza piechoty morskiej, twardego trepa, który dotarł do Wietnamu w sam czas na Ofensywę Tet w 1968 roku, w samą porę, by wdepnąć na minę przeciwpiechotną.

Większość z tego Bone usłyszał od Mo. Cutter, kiedy już zdarzyło mu się po-wiedzieć coś o sobie, z reguły bazował na czarnym humorze, jak wtedy, gdy nazwał swoich rodziców akwaryczną odnogą rodu. Teraz, kiedy przejeżdżali obok domu jego dzieciństwa, nawet nie zerknął w tamtą stronę. Mimo to Bone nie potrafił zapomnieć, jakiej marki samochodem jechali i z jakiego roku był to model, więc mógł się tylko zastanawiać, jakie – poza banalnym – kryło się w tym znaczenie, jak dokładnie, w których punktach, psychiczne korzenie pętały Cuttera do ciała i ducha przeszłości.

Zaparkowali przy Arroyo Burro i lawirując pomiędzy olbrzymimi głazami, pamiątkami po zimie, zeszli na plażę, gdzie obszarpana gromadka maniaków nur-kowania szykowała się do zejścia pod wodę. Każdy z nich wydawał się Bone'owi nieskończenie bardziej dziwny niż jakiegokolwiek stworzenie, które udałoby im

się upolować w głębinach. Kuśtykając obok, Cutter poprosił jednego z nurków, żeby miał oko na jego psa, labradora imieniem Checkers, który szczególnie o tej porze roku uwielbiał całymi dniami pływać na zbitych kłębach morskoczynu. Facet miał dość niewyraźną minę, ale kiwnął głową.

– Tylko uważaj pan – zawołał jeszcze do niego Cutter. – Może ugryźć!

Bone odszedł kawałek dalej, pod klif, ku głazowi, gdzie – jak wiedział – Cutter będzie potem na niego czekał. Tam zdjął buty i kurtkę i ruszył, najpierw truchtem, potem powoli nabierając prędkości, kiedy biegł w stronę opadającego słońca, które zalewało czerwonymi płomieniami samotne Stonehenge wieżowców na wyspie Isla Vista. Nad oceanem burzowe chmury nadciągające z południowego zachodu nadziały się na pas wysepek w kanale, niczym stare gazety, ciśnięte wiatrem na sztachety płotu. Bone przebiegł ponad milę pomiędzy klifem a wodą, mijając odsłonięte przez odpływ skały najeżone małżami i anemonami. Potem zawrócił, utrzymując równy krok, aż w końcu poczuł, jak wypełnia go czystość, bo ciało najpierw strawiło paliwa, a potem także trucizny, stesy, gniew i całą resztę szamba, pozostałego po tym długim dniu, zmywając je wezbranym potokiem krwi. I biegł dalej, choć później zamiast oczyszczenia przyszedł ból, topór wbity pod zebra i z każdym krokiem grzęznący głębiej, aż wreszcie osiągnął punkt, w którym Bone miał wrażenie, że zaraz pęknie na pół, i dopiero wtedy odpuścił sobie, najpierw trochę zwolnił, potem zaś to szedł, to truchtał te ostatnie pół mili do kamienia, na którym siedział Cutter, patrząc w morze.

– Kiedyś też tu biegałem – powiedział Alex. – No, ale chyba już ci o tym mówiłem.

Bone, wciąż zadyszany, nie odpowiedział.

– Wtedy nie dałbym ci szans, Rich. Ty tylko markujesz, facet. Bujasz się. Nie ciśniesz. Ja ciśnałem.

– Nie wątpię. – Bone zapalił papierosa i zaciągnął się, zastanawiając się, czy w ten sposób nie przekreśla wszystkich pożytków biegu.

– Ale za prezesowskich czasów, kiedy miałeś dwadzieścia osiem lat, chyba nie markowałeś, co? Nie wydaje mi się, mój panie. O nie, założę się, że wtedy mógłbyś wrębać sobie jakiegoś staruszka na drugie śniadanie.

– Nie za bardzo podoba mi się ta metafora.

Cutter parsknął śmiechem. – I tu masz rację.

Przez jakiś czas obaj milczeli. Obok przeszła ładniutka nastolatka z buldogiem na smyczy i Cutter rzucił jej swoje tradycyjne powitanie: „Hej, maleńka, chcesz cukierka?” – ale nie było w tym ani trochę agresji. Uśmiechnęła się, pokręciła głową i poszła dalej. A oni odprowadzali ją wzrokiem, obserwując długie nogi i drobne, kształtne pośladki, których wędrówka w dal plaży i za zakręt klifu wystarczała za setki słów. Kiedy Cutter w końcu odwrócił wzrok, miał dziwnie posępne spojrzenie. A jednak zdołał się uśmiechnąć. Wyszczerył zęby i rzucił: – Ostatnio myślałem o tym, żeby z sobą skończyć, Rich. Doradzisz?

Bone zaciągnął się dymem, grając na czas. Za pasmem przyboju pelikan zanurkował w wodę oceanu. Bone pokręcił głową. – Nie. Nie wydaje mi się.

– Tak przypuszczałem. Skoro facet o tym gada, normalne, że nie przejdzie do czynu, nie? Tylko wali na oślep. Robi z siebie dramat.

– Tego nie powiedziałem.

– A ja na twoim miejscu bym powiedział.

– Więc po co o tym komukolwiek mówisz?

– Bez powodu. No, tyle że to prawda.

I Bone poczuł pierwszy podmuch lęku, jak bryzę od dryfujących wodorostów, cuchnącą, nieco złowieszczą. – Dłaczego, Alex? – zapytał.

Cutter wzruszył ramionami. – Bo ja wiem. To nie przez oko, cholera, ani przez rękę czy nogę... niezła lista, co? Nie, żebym się z nich cieszył, Bóg świadkiem. Ale to nie o to chodzi, nie z brakującymi kończynami mam problem. Nie, to siedzi tutaj – poklepał się po głowie. – I nie mogę tego naprawić. Tego nie potrafię zmienić.

– A co to takiego?

Cutter obrzucił go spojrzeniem, krótkim i bez wyrazu. – No, to jest mniej więcej tak: rzygać mi się chce przez ciebie, Rich. Naprawdę, fizycznie mam mdłości, jakby mi się bez przerwy zbierało na pawie, jakaś grypa, kurna, czy kac. Rozumiesz chyba. I nie chodzi tylko o to, co mówisz czy co robisz. Po prostu dlatego, że *jesteś*, jaki jesteś, jakim cię znam, w duchu...

Chyba zauważył, że Bone czuł rosnącą urazę, bo uniósł dłoń na znak, że to jeszcze nie koniec.

– I widzisz, młody, problem, olbrzymi problem polega na tym, że ty jesteś ten najlepszy. Poważnie, myślę, że chyba właśnie ciebie najbardziej lubię... czy raczej powinienem powiedzieć, że tobą w najmniejszym stopniu gardzę. Mniej, niż wszystkimi innymi, nawet mniej, niż samym sobą. To pewnie kwestia stylu,

dyskrecji, nic wielkiego. Ale to nie zmienia faktu, że co rano wstaję z łóżka, jakby właśnie nadszedł Armagedon. Na myśl o tym, że mam patrzeć na ludzkie twarze i słuchać głosów, robi mi się niedobrze. Odrzuca mnie od komunikowania się z ludźmi. Wolę całować szparkę Mo niż jej usta. Wolę sam pograć w piłkę, niż się, cholera, pobawić z bachorem. Mam już dość czytania, nie chcę chodzić do kina, nie chcę nawet siedzieć tutaj i gapić się na to pieprzone morze. Bo od tego wszystkiego bierze mnie na rzygi, Rich. Telepie mnie. Przypuszczam, że to właśnie jest rozpacz. A teraz działa już jak moje serce. Rozumiesz? Pompuje dzień i noc, bez przerwy. Nigdy mnie nie opuszcza. Wciąż mam mdłości. Więc myślę o śmierci. Myślę, że chyba wolałbym już umrzeć. Tu urwał, nie patrząc nawet na to, jak zareaguje Bone. Nieświadomie znaczył piasek swastykami.

– Nie powiem, żeby cię rozumiał – powiedział Bone. – Sam miewam depresje, Alex. Łęki też. Ale czegoś takiego, w życiu. A Mo, czy ona...

– Ona w to w ogóle nie wchodzi. Nie liczy się. Z nią czy bez niej, wychodzi na to samo.

– A szpitale dla inwalidów wojennych?

– Co, znów do psychiatryka? – to rozśmieszyło Cuttera. – Za chińskiego boga. Banda kalek w szlafrokach siada w kółeczku na podłodze i opowiadają sobie nawzajem, jak to dali dupy albo jacy to wszyscy inni są drętwi i wrogo nastawieni. A psycholog ma od tego suche orgazmy, siedzi tylko na krzeselku z jedną łapą w rozporku. – Wzgardliwie pokręcił głową. – Nie, dzięki. Zresztą nie wydaje mi się, żebym był chory. Moim zdaniem jestem zdrow, jeden z nielicznych zdrowych gości. Myślę, że widzę życie dokładnie takim, jakie jest, całe, bez fałszerstw. A jedyną zdrową reakcją na ten widok jest właśnie to, czego doświadczam: rozpacz.

Bone wiedział, że z Cutterem zawsze jest ryzyko, iż facet cię nabiera. A jednak drażył dalej: – Czyli to na serio?

– Samobójstwo? Tak, w myślach. Nie widzę powodów, żeby tego nie robić. Ale zrobić to, faktycznie wziąć i zrobić... no, to się dopiero okaże w praniu, nieprawdaż? Kiedy już bym to zrobił. A wtedy oczywiście nie będę już miał nic do powiedzenia. Więc mogę chyba powiedzieć tylko jedno: tak, to na serio.

Bone upuścił papierosa na piasek i zagrzebał go stopą. – Na początku prosiłeś o radę. Dobra. Radzę ci: poczekaj. Nic na tym nie tracisz. Może jeszcze będzie lepiej.

– Tak właśnie robię – odparł Cutter. – Czekam już od jakiegoś czasu.

- I dobrze. Czekaj dalej.

Cutter poważnie pokręcił głową. – Nie tak. Nie w tym układzie. Mo, dzieciak i zasiłek socjalny. I jeszcze to kurewskie miasto, na które przyszły złote czasy. Jakbym żył na paradzie sklepikarzy.

- Czyli coś innego? Tylko gdzie?

– Nic wielkiego, Rich, naprawdę. Najpierw oczywiście kasa. Bez niej nie dam rady. Tyle, żeby wystarczyło na porządną operację tej starej facjaty, dość mam robienia za straszdyło. W szpitalu dla weteranów dodali mi kolejne blizny. Coś mi się widzi, że chirurg był kiedyś pielęgniarzem, pochodził z murzyńskiego getta w Los Angeles i kroił mnie starym sprężynowcem. I żadnych nowych protez. Wystarczy mi stopa. Nie będę sobie walił konia stalowym hakiem. Mało estetyczne – uśmiechnął się wzgardliwie. – Co do „gdzie”, obawiam się, koleś, że cię rozczaruję. Bo moje pragnienia to sen frajera, autentyczny, stuprocentowy sen frajera. Uwierzysz? Jakaś egzotyczna wyspa, wentylatory pod sufitem, ciemnoskórzy tubylcy, a do tego Peter Lorre, Sidney Greenstreet i ja, każdy w przepoconej koszuli w palmy. Coś jak Ibiza, powiedzmy, Clifford Irving i jego popieprzeni, dekadency kumple. Idealnie bym do nich pasował, nie? Popieprzony i dekadency. Nie wiem, może w takim miejscu i wśród takich ludzi odpuściłyby mi te... mdłości.

Bone też zaczął się teraz uśmiechać, pewien, że nawet jeśli w poprzedniej części rozmowy Cutter go nie nabierał, tym razem bez wątplenia żartował.

- Czyli co, Ibiza? – podjął.
- Coś jak Ibiza.
- Powodzenia.
- Samo powodzenie nie wystarczy. Potrzeba jeszcze forsy.
- No tak. Dobra, może wracajmy...

Bone już wstał i czekał, aż Cutter do niego dołączy, co ten zaraz uczynił, powoli, podpierając się laską.

Gdy ruszyli plażą z powrotem, Cutter zmienił temat rozmowy, a przynajmniej tak się przez moment wydawało Bone'owi.

- Wtedy, w samochodzie, zauważyłem, że znów zajrzałeś do gazety. Na zdjęcie. Wciąż nie jesteś pewien, co?
- Czego?
- J.J. Wolfe'a.

– Muszę ci znów powtórzyć, Alex? Nie widziałem twarzy tamtego. Więc jak mam rozpoznać jego twarz?

– Ty mi powiedz.

– Zapętlasz.

Lecz pęta zaraz się zacisnęła. Cutter podniósł kamyk i puścił kaczkę w fale przyboju.

– Bogaty gość, ten J. J. Wolfe – stwierdził z namysłem.

A Bone roześmiał się w głos. Obok kuśtykał sobie Cutter, uśmiechając się krzywo, jakby z poczuciem winy.

– I co w tym śmiesznego? Powiedziałem tylko, że jest bogaty. Bo jest, nie?

– Bo jest.

– Więc skąd cała afera?

– Daj spokój, Alex. Albo lepiej daj z siebie wszystko. Wał śmiało.

– Ale co?

– Najpierw te pierdoły o rozpacz i dojmującej potrzebie kasy. Ciężkiej forsy.

A teraz zwinnie schodzimy na J.J. Wolfe'a.

Cutter wciąż się szczyrzył. – Znaczy, szantaż? Myślisz, że proponuję szantaż?

– Tak mi przeleciało przez głowę.

– Wiesz, Bone, ostatnio zbyt wiele czasu spędzasz na komisariatach. Mózg ci sparciał. Co jest, cholera, co ty sobie myślisz, że jestem jakimś dupowatym Irlandczykiem, handlarzem srajtaśmą, podstarzałym, ale zawsze zdolnym plażowym żigolakiem, który mógłby wylizać nawet krokodylicy, gdyby mu zapłaciła?

Bone uśmiechnął się, słysząc ten opis. Niezbyt rozmijał się z prawdą.

– Więc jeśli nie szantaż, to co? Skąd takie obsesyjne zainteresowanie tym facetem?

– A czemu nie, jak Boga kocham? A jeśli to on? Społeczeństwo ma prawo, by się o tym dowiedzieć, nie? Mamy prawo bronić się przed takimi jak on.

– Ty i Erickson... duet młodocianych stróżów prawa.

– Wiesz co, Rich, przesadzasz z tym luzactwem. Nie dręczy cię ciekawość?

Nie zastanawiasz się, czy to jednak czasem nie był Wolfe?

Mijali właśnie rybaka, przysadzistego faceta w kaloszach i sztormiaku, który stał w przyboju i ponuro obserwował zbliżającą się żyłkę. Bone od dwóch lat biegał po tej plaży i jeszcze nie zdarzyło mu się zobaczyć, żeby któryś z tych wędkarzy złapał coś poza drobnicą i morszczykiem.

– A czemu nie ten typ? – zapytał Cuttera. – Zbudowany jest mniej więcej podobnie. Może jeździ dużym autem, mógł być zeszłej nocy sam, zero alibi. Może to właśnie on. Czemu nie jemu mielibyśmy się przyjrzeć?

– Och, pieprzysz.

– Pieprzę? Mówię tak samo z sensem jak ty.

– Wiesz, facet, ja cię znam. Byłem przy tym, pamiętasz? Ledwie zobaczyłeś to zdjęcie, od razu można ci to było wyczytać z ryja: w tym pierwszym ułamku sekundy, nim zacząłeś dumać, nim namysłem rozcieńczyłeś swe poblądle oblicze...

Byli już przy samochodzie.

– Śmiesznie pan gada, panie szefie – rzucił Bone.

– To się śmieję.

– Ha ha.

Cutter cofnął, zawrócił i wyjechał z parkingu, powoli, jakby jechali w kondukcje pogrzebowym.

– Więc jak, zrobimy z tym coś? – spytał.

– Nie sądzę. Bo co taki facet miałby robić z cheerleaderką?

– A jak myślisz?

– Chrzanisz.

Cutter przytaknął. – Ależ oczywiście, że chrzanię. Bez dwóch zdań. Gdyby nie jeden drobiazg: ty, koleś. Pan Luzak. Mister Bystrzacha. Jeśli tobie nie da się zaufać jako świadkowi, to już nie wiem, komu. A czym nas z miejsca poczęstowałaś? „To on.” Nie wyłgasz się z tego, facet. Za Chiny.

Bone przez dłuższy czas siedział w milczeniu, tyleż zmordowany, co obojętny. W końcu jednak odezwał się: – Więc co proponujesz?

Cutter wzruszył ramionami. – Wybadajmy, co tylko możemy. Sprawdzimy ten samochód. Dowiemy się, gdzie była dziewczyna. Gramy na czuja.

– Masz zbyt dużo wolnego czasu, Alex. Szajba ci odbija.

– Możliwe.

– A poza tym, gdzie tu związek? Jeśli nie robimy tego dla szantażu, jak to się łączy z tą twoją... rozpaczą?

– Po prostu chcę wiedzieć, i tyle. Czy to był on.

– Dlaczego właśnie on?

– Bo typa nie lubię, jasne?

3.

Tego wieczora George Swanson, stary kumpel Cuttera, jak zwykle stanął na wysokości zadania i wpadł z wizytą, przywożąc olbrzymią butlę szampana Mumm i największe wiaderko z kawałkami kurczaka, jakie można było dostać w KFC. Bone przyłączył się do Swansona, Cuttera i Mo przy kuchennym stole, ale jadł pospiesznie i pozostawił niemal bez komentarzy sardoniczną opowieść Alexa o wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin, który to opis niespodziewanie obył się bez jakiegokolwiek wzmianki na temat J.J. Wolfe'a i reakcji Bone'a na widok zdjęcia w gazecie. Wtedy Bone nie zastanawiał się nad tym zbyt, może dlatego, że był zbyt zmęczony, by o czymkolwiek myśleć. Kiedy skończył jeść, zabrał swój śpiwór na werandę i wsunął się do środka, a sen, w jaki niemal natychmiast zapadł, trwał ponad czasem, bez snów, niczym głęboka, mroczna dziura, z której zaczął się wygrzebywać dopiero o dziesiątej rano następnego dnia.

O tej porze Cutter już dawno był na nogach i wybył z domu, a Mo zdążyła zarzucić pierwszą z dziennej serii pigulek. Leżała na podłodze salonu i bawiła się z małym, a z porysowanej płyty duetu Seals and Crofts w kółko rozbrzmiewała ta sama, mdląco słodka fraza. W kuchni Bone znalazł mleko, pepsi i wielką, foliową torbę oproszonych cukrem pudrem pączków, które smakowały tak, jakby w stu procentach składały się z ulepszcza. Znak, że Cutter, Wielki Dietetyk, zdążył już pójść na zakupy, pewnie Swanson dał mu forszę.

Bone napiłby się mleka – w odróżnieniu od Cuttera nie przepadał za pepsi na śniadanie – ale wiedział, że mleko było przede wszystkim dla dziecka, więc zadowolił się kolejnym pączkiem i odgrzaną kawą. Kiedy już się ogolił i ubrał, zadzwonił do faceta, o którym powiedział mu Cutter, tego mechanika, który chciał odkupić auto. Owszem, typ wciąż był zainteresowany, ale nie zamierzał płacić więcej niż dwie stowy, odliczając koszty odebrania wozu z miejskiego parkingu. Bone zgodził się na taki układ, pod warunkiem, że kiedy już odbiorą wóz, będzie mógł zeń skorzystać tego popołudnia. Facet trochę marudził, ale w końcu dał się przekonać. Zgodził się nawet podjechać po Bone'a.

Gdy Richard odkładał słuchawkę, Mo zdołała w końcu wstać. Jak zwykle odziana w grubsze dzinsy i bluzę od dresu, zygakiem podeszła do Bone'a.

– Ojej, jakiś ty dzisiaj rzeczowy – stwierdziła. – To jakiś atawizm, co? Nawrót do błogich czasów w sprzedaży papieru?

– Owszem, jestem zajęty.

– Czemu?

– Konieczność.

– Co za konieczność?

– Wikt i dach nad głową.

Uśmiechnęła się obojętnie. – A, te rzeczy.

Bone spojrział na malucha na podłodze, wysmarowanego i szczęśliwego, wymachującego grzechotką. – Co u malca?

– Mały ma się świetnie. Z tatą jest dużo gorzej.

– Ma jakieś problemy?

Mo wzruszyła ramionami. – Kto go wie? Przez pół nocy kręcił się po domu. Przeważnie niedaleko ciebie, tak mi się wydaje, że był na werandzie.

– Spałem.

– Tak też sądziłam.

– To z bólu? Noga?

– Może i ból. Powiedziałabym jednak, że raczej ten w głowie. Cutter był bardzo podekscytowany. Pobudzony. Wciąż mówił coś o „wyjściu z sytuacji”. Wiesz, o co mu mogło chodzić? Co to za wyjście? Są jeszcze w ogóle jakieś wyjścia?

– Jak jakieś znajdę, zaraz dam ci znać – odparł.

O drugiej po południu odzyskał samochód, na chwilę, a w portfelu miał sto sześćdziesiąt dolarów. Jechał właśnie w podgórze pasma Montecito po asfaltowych serpentynach, mijając niewysokie domki w stylu kalifornijskim, przycupnięte na niedużych parcelach na zboczach, pośród chaparralu i wątych dębinek. Całe to zielsko przez osiem miesięcy w roku było wyschnięte na wiór, istna pochodnia gotowa do podpalenia. Widok tłumaczył wszystko: pejzaż czerwonych dachów miasta, portu i wysp na kanale, olśniewającej tafli oceanu, nierzadko zapierał dech w piersiach. Za te doznania trzeba było słono zapłacić. Działki chodziły po trzydziści-czterdzieści tysięcy dolarów za akr, a stojące na nich domy były tam nie tyle budowane, co wręcz wbudowywane, trzymane na kosztownych smyczach, jakby były gotowe rwać się do lotu.

Więc w tym rejonie profil socjoekonomiczny nie był zbyt zróżnicowany: byli tu ludzie bogaci i jeszcze bogatsi. Dobre miejsce dla tych, którzy zamieszczaali ogłoszenia takie jak to, na które właśnie chciał odpowiedzieć Bone:

PRACA – Młody mężczyzna do prac w ogrodzie i przy basenie, niepełny wymiar. Ładny pokój, posiłki, dodatkowo 50 \$ mieś. Tel. 969-2626

Bone zadzwonił tam, kiedy zobaczył ofertę w południowym wydaniu gazety. Ogłoszeniodawcy, niejakej pani Little, najwyraźniej spodobał się głos Bone'a lub to, co usłyszała, bo ze zgody na osobistą rozmowę zrobiła wielkie halo – zdradziła, że był pierwszym, z którym doszła do tego etapu, i Bone oczywiście omal się nie popłakał z wrażenia. O mało co, a powiedziałyby kobiecie, żeby poszła się samozaspokoić, ale robota zanadto kusila, by się temu lepiej nie przyjrzeć, oferując nie tylko wolność od Cuttera, lecz również miejsce do spania, żarcie i do tego jeszcze parę doliców. W jego obecnej sytuacji dla takiej propozycji byłby w stanie naprawdę wiele zdzierzyć.

Gdy dotarł pod właściwy adres, nie zdziwił się, widząc, jak kosztowny musiał być ten dom – samo szkło, drewno sekwojowe i granit za płotem z ciętego kamienia, który mógłby zastopować nawet czołg. Musiał się trochę naczekać pod drzwiami, aż w końcu przybyła wezwana dzwonkiem krępa pokojówka, Meksykanka. Zaczął jej klarować, kim jest i po co tu właściwie przyjechał, ale odwróciła się i odeszła, najwyraźniej zdolna rozpoznać najemną siłę roboczą na pierwszy rzut oka. Parę minut później zjawila się pani domu, obdarzyła go ciepłym uśmiechem, przedstawiła się i zaprosiła Bone'a, by jej towarzyszył na werandzie. Była wysoka i czar-nowłosa, zapewne około pięćdziesiątki, choć staranne prace remontowe miały jej dawać wygląd trzydziestki. Wyszło nie najlepiej.

Z beztróską swobodą małej dziewczynki klapnęła w fotelu, wyrzuciła przed siebie nogi, zapaliła papierosa.

- Byłam w studiu, spawałam – wyjaśniła dzinsowe spodnie i kurtkę, robocze glany. – Jestem rzeźbiarką.
- Myślałem, że wyjechała gdzieś pani konno.
- Konno? – roześmiała się na to. – A w życiu. Koniarze z Montecito... to dopiero towarzystwo. Dziwne typy. Bardzo dziwne.

Bone przez chwilę milczał, a ona po prostu siedziała i patrzyła na niego, szacując go wzrokiem, jakby to była aukcja niewolników. Niemal jęknął w głos, gdy przeszło mu przez głowę, do czego właściwie pani Little mogła sobie szukać najmity w jego

osobie. Zaczął się zastanawiać, czy aby nie miał jakiegoś piętna, wielkiej, czerwonej litery J reklamującej to, co miał do dania, i skazującej go na spędzenie reszty życia w tej branży.

– No, siadaj – rzuciła. – Jeszcze się nastoisz.

Zrobił, jak mu kazała.

– Poważnie, interesuje cię ta posada? – zapytała.

– Tak.

– Wcześniej przeważnie zgłaszali się studenci. Chłopcy z college'u. To w sumie nieźle pasuje do ich potrzeb. No, rozumiesz.

– Pewnie.

– Jesteś trochę starszy.

– Mam trzydzieści trzy lata.

Uśmiechnęła się lekko, niemal figlarnie. – Jeśli mogę... nie wyglądasz na najemnego ogrodnika.

– Robiłem inne rzeczy.

– Na przykład?

– Biznes. Marketing i takie tam.

– Rzuciłeś to?

– Można by tak rzec.

– A co zostawiłeś za sobą? Żonę i dzieci?

– Tak.

– Tak po prostu?

– Nic nie jest „tak po prostu”.

– I skąd cię tutaj przywiało?

– Z Chicago.

Zastanawiał się, czemu nie powiedział tylko, że z Milwaukee, ale to nie robiło żadnej różnicy.

– I co, jak ci się ułożyło nowe życie po rzuceniu starego?

– Nie za dobrze.

– No, przynajmniej jesteś szczery.

– Bywam.

Teraz już nie kryła uśmiechu, otwarcie ironicznego i pełnego życiowej mądrości. – W pracy tutaj nie ma żadnych specjalnych zawłości. Jak pisałam w ogłoszeniu, teren wokół domu i basen. No i mam jeszcze pic-kupa, jeżdżę po złom i rzeczy wyszukane na wysypiskach, z reguły gdzieś na wybrzeżu, w Oxnard i dokoła. To,

czego potrzebuję do rzeźb. Przy tym też mi pomożesz. Czasem trafiają się naprawdę ciężkie kawałki.

- Nie ma sprawy.
- Mój mąż ma firmę w biznesie komputerowym. Nazwał ją Software Systems

Inc. Wiesz, co to software?

- Tak.
- Często musi wyjeżdżać. Właściwie nigdy nie ma go w domu.
- Rozumiem.

Teraz zgasiła papierosa, ostrożnie, i podsunęła się na brzeg fotela. Przez chwilę zastanawiał się, czy pochyli się i położy dłoń na jego kolanie, czy od razu rzuci się do rozporka. Z bliska było widać tapetę na twarzy – gruba kredka do brwi, doklejane rzęsy, puder. Widząc ostrą linię szczęki, skórę napiętą jak na bębnie, Bone niemal mógł dostrzec blizny nad linią włosów, ślady liftingu sprytnie ukryte wśród siwych odrostów. Poczul lekki skurcz żołądka. Da radę? Zdoła zamknąć oczy i robić swoje? Może, jeśli się upali. Będzie potrzebował trawki, na pakiety.

– Jedna ważna sprawa – powiedziała. – I mam nadzieję, że będziesz ze mną szczerzy. Nie potrzebuję kogoś, kto rozgląda się tylko za metą, posiedzi tu parę dni, a potem... – wyrzuciła dłoń w powietrze. – Znika. Ciach.

Bone zapewnił ją, że nie takie miał zamiary.

– Myślę, że właśnie czegoś takiego szukałem – dodał. – Tego właśnie chcę.

– Świetnie – wstała z uśmiechem. – Chodźmy więc. Jeśli pozwolisz, pokażę ci pokój.

Kiedy już doszli na miejsce, do małej służbówki na końcu garażu na trzy auta, pani Little położyła dłoń na jego ramieniu. Drobnym, przyjaznym gestem, nic wielkiego, ale Bone'owi wystarczyło, by ustalić niezbędne fakty. Nie pomylił się w ocenie tej kobiety.

- Może być? – zapytała.

Bone rozejrzał się wokół, ujrzał starannie dobrane, drogie meble, w tym łóżko dla dwojga, kolorowy telewizor, klimatyzator. – Doskonale – odparł.

- Kiedy możesz zacząć?

Mógłby tu wrócić z rzeczami już za parę godzin, ale uznał, że to za wcześnie. Jeszcze nie był gotowy na tę robotę ani na panią Little.

- Jutro – powiedział.

Zrobiła rozczarowaną minę. A jednak się uśmiechnęła. – A zatem do jutra.

Gdy Bone wrócił do domu Cuttera, nie zastał tam nikogo poza małym, łkającym niepowstrzymanie w kojcu. Bone podniósł chłopca i uspokoił go, po czym zmienił mu pieluchę, czego nie wykonywał już od tak wielu lat. Następnie odgrzał mleko ze znalezionej w lodówce butelki i nakarmił brzdąca niemal całą jej zawartością, czując nie tylko absurd sytuacji, lecz także gniew, odrazę do Mo za to, że zostawiła małego bez opieki. Ruth nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Ba, z nią był zupełnie odwrotny problem – niemal nie spuszczała oczu z córeczek. Bone nie potrafiłby powiedzieć, który wariant był gorszy. Na pewno dzieciaki by wiedziały, ale były jakies takie mało gadatliwe.

Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że ani jemu, ani maluchowi nie zaszkodziłaby odrobina słońca, więc napisał notkę dla Mo: „Dzieciak jest ze mną. Chyba trafił mi się na niego kupiec. B.” – a następnie założył chłopcu kurtkę i czapkę. Pojechali kilka przecznic dalej, do parku naprzeciwko Misji.

Mały Alex Piąty, jak go nazywał Swanson, miał trzynaście miesięcy i dopiero zaczynał stawiać pierwsze kroki. Bone zaniósł go zatem do ławki przy rozległym ogrodzie różanym, gdzie krzewy jeszcze nie zaczęły kwitnąć, a malec natychmiast powędrował dokoła, przeważnie przytrzymując się ławki, ale czasem wypuszczając się na kilka niepewnych kroczków na trawę, gdzie zatrzymywał się i przez chwilę odstawał cyrk z łapaniem równowagi, by zrobić szybkie w tył zwrot i ruszyć w kierunku bezpieczeństwa i podpory kamiennego siedziska. Bone odsunął się o jakieś trzy kroki i siadł sobie na ziemi, usiłując grać rolę podstarzałej niańki na maksymalnym luzie. Gdyby zauważył go ktoś ze znajomych, trudno. Nie chciał jednak sprawiać wrażenia, że zanadto mu się to zajęcie *podoba* – uważał, że to mogłoby wyglądać nieco nienaturalnie, może wręcz chorobliwie. Dorosły mężczyzna z cudzym dzieckiem... w tych czasach w Ameryce taka sytuacja zdecydowanie groziła zapłonem. Siedział więc sobie w bezpiecznej odległości i od czasu do czasu rzucał okiem na malucha. I z czasem zdał sobie sprawę, że mały Alex nie był zachwycony dzielącą ich nagle odległością, co więcej, zamierzał temu zaradzić. Dwa razy ruszał w stronę Bone'a, by się zatrzymać, sięść i poradzować z powrotem do ławki, gdzie natychmiast podciągał się na nogi i znów zabierał się do wymarszu, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w Richarda niczym piłkarz usiłujący rozgryźć nową strategię obrony. W końcu Bone dał mu dyskretny znak zachęty i malec znów ruszył w drogę, pierwszą połowę trasy pokonując ostrożnymi kroczkami, a drugie pół – rzutem na taśmę, padając w ramiona Bone'a. Ten powiedział małemu, że z niego wielki gość, a brzdąc zabalgotał radośnie. Tyle że

chciał jeszcze. Zaraz poradzował z powrotem do ławki, stanął na nogi i znów zyzgakiem dotarł do Bone'a. A potem powtarzał tę zabawę raz za razem.

Mimo to Bone miał dość czasu, by sobie palić i spokojnie siedząc, obserwować, co się działo w parku. Jak zwykle zwalili się maniacy frisbee, młodzi hipisi, którzy wyroili się z furgonetek, by owocnie spędzić popołudnie na przerzucaniu się plastikowymi dyskami, nie tylko między sobą, lecz także każąc psom aportować zabawki. Bo były też psy, tradycyjna sfora sparszywiałych dobermanów, owczarków alzackich i temu podobnych, łagodnych ras, bez których ci młodzi niemal nigdzie się nie wypuszczali. Gdy Bone wspominał swoją jurną młodość, czasy studiów i zaraz potem, nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógłby w to wszystko wpakować psa. Jego zdaniem młodemu chłopakowi pies był potrzebny mniej więcej tak samo, jak syfilis. A jednak ci tutaj nie rozstawali się ze swoimi kudłatymi przyjaciółmi. A Bone mógł dostrzec chyba tylko jeden powód tego stanu rzeczy: przedstawiciele psiego gatunku potrafili z miejsca i bez zastrzeżeń obdarzyć człowieka uwielbieniem. Nakarm psa, a staniesz się swego rodzaju bogiem. Może nie dla mamy i taty czy tych palantów w szkole, czy też mend i frajerów w dorosłym świecie, ale dla psa, o tak, dla psa byłeś mistrzem, byłeś piękny i mądry, byłeś *kochany*.

Zaraz potem jednak Bone musiał przyznać, że ten syndrom dotykał nie tylko napalonych szczawi w furgonetkach, a już na pewno nie w Santa Barbara. W centrum, na plażach czy tu w parku, żeby już nie wspomnieć o alejkach wśród domów mieszkalnych, jedna rzecz była niezmienna – obfitość psich gówien. Czy też, jak to ujmował Cutter, „*rodowodowych* psich gówien. Od razu da się je poznać, na bucie zostaje plama z odcieniem królewskiej purpury”.

Dzień był jednak zbyt piękny, by go spędzać na rozważaniach o psach i ich odchodach. Popołudniowe słońce, ciepłe i olśniewające, kładło swe promienie jak warstwę świeżej farby na wykonanej z suszonej cegły fasadzie Misji. Grupa turystów rozsiała się na kamiennych schodach przed budynkiem, a inni wędrowali pod kolumnadą lub robili sobie obowiązkowe zdjęcia przy mauretańskiej fontannie. A nieco bliżej, za ogrodem różanym, miotacze frisbee, nieliczni spacerowicze i nastolatki w zwartych grupkach rozsypali się po rozległym trawniku, ciągnącym się w górę łagodnego zbocza aż do pierzastych palm i wielkich, rozwichrzonych eukaliptusów wyznaczających granicę parku. Więc póki co, świat wcale nie wydawał się taki zły. Alex Piąty zdecydowanie miał tu radochę. Właśnie znów udało mu się niepewnym krokiem sforsować otchłań i wpaść w ramiona Bone'a. Gdy zaś ten podniósł dziecko, by zanieść je z powrotem pod ławkę, poczuł świeżą,

ostrą woń, która przypomniła mu ksywkę, jaką obdarzył małego Cutter: „Mistrz brązowych gaci”. Bone nie czuł jednak odrazy do malca. Był z niego taki wesolutki mały grzdyl, bez żadnych komplikacji. Zarazem jednak Bone nie potrafił naprawdę cieszyć się tym dzieckiem. Pulchna, różowitka cera, niemal bezwłosa główka, słodki oddech i oczy przejrzyste jak szkło – wszystko to nie wiedzieć czemu aż nazbyt żywo przywodziło mu na myśl wymalowane i przycięte ciało pani Little, martwą czerń włosów i oblepione tuszem oczy, desperację, jaka biła od tej kobiety niczym aromat kolejnego kosmetyku. Bo mały też zmierzał już w tę stronę, miał tylko parę kroków do nadrobienia. Minie tylko trochę czasu, a w brązowych gaciach zacznie się pojawiać krew, albo słodkie wargi złączą zionąc kwaśnym smrodkiem konających płuc i żołądka, a różowa skóra stanie się popielatobiała, gdy serce zacznie siadać. Pani Little czy dzieciak, właściwie żadna różnica, tylko kwestia czasu.

– Jakie to wzruszające – rozległo się mruczenie. – Jak bardzo, ach, bardzo słodkie...

Bone odwrócił się i znieacka stanął twarzą w twarz z Mo, choć połowa jej oblicza kryła się pod wielkimi okularami przeciwsłonecznymi.

– O, matka roku – rzucił.

– Gdybym tylko miała polaroida – odcięła się. – „Poradnik Domowy” z miejsca by to kupił. Jedną odbitkę mogłabym też dać Alexowi, żeby wiedział, o co właściwie chodzi z ojcostwem.

Bone uśmiechnął się ze znużeniem, patrząc, jak usiadła po drugiej stronie malca i posadziła go sobie na podółku.

– Nie dał mi wielkiego wyboru – wyjaśnił. – Wrzeszczał tak, że farba ze ścian zlazła.

– No, mogę sobie wyobrazić. Mama wychodzi na pięciominutowy spacer wokół domu i...

– Już raczej godzinny – przerwał jej Bone. – Przewinąłem go w domu. I nakarmiłem. A tutaj jesteśmy od...

Mo jednak już parsknęła śmiechem. – *Przewinąłeś! Nakarmiłeś!* Och, Rich, nie wytrzymam, przesadziłeś. Zrozumiałabym, gdyby to była mała dziewczynka, zważywszy na twoje skłonności.

– Z dnia na dzień coraz bardziej przypominasz Alexa.

– Taka uczciwa, znaczy się?

– Taka odpychająca, znaczy się.

Zapaliła papierosa i obojętnie wzruszyła ramionami. – Dobra, przyznaję się do winy. Zeszło mi dłużej, niż myślałam. Ale na dworze było tak miło, wiesz? A mały

spał. Chciałam się przewietrzyć, a jak już wyszłam... – bezsilnie machnęła ręką, wskazując park i ten prześliczny dzień.

- Dlatego właśnie czynsz macie taki wysoki.
- Pewnie tak. Jak ci poszło szukanie pracy?
- Jutro się od was wyprowadzam.

Znów się uśmiechnęła. – Moi dwaj Alexowie będą za tobą tęsknić.

I jak zwykle Bone dał się wciągnąć w jej grę.

- I tak będę was odwiedzał. Nie bój nic.
- Ale fajnie. – Zdjęła okulary i dla odmiany spojrzała prosto na Bone'a. – I dlaczego właściwie to robię, he? No, że zawsze przy tobie jest ze mnie straszna suka. To nic nie znaczy, Rich, naprawdę, to nic. Po prostu nie wiedzieć czemu wyzwalasz we mnie taką reakcję.

- Jestem naturalnie bezbronny. To skłania do ataków.
- A pewnie. Może to tylko dlatego, że taki z ciebie przystojniak, jak sądzisz? No wiesz, skoro kocham Alexa, naturalnie taki przystojny sukinkot jak ty musi budzić moją odrazę. A jednak tak naprawdę, no, wcale tej odrazy nie czuję. Ja...

- Daj już spokój, co?
- Z przyjemnością.

Mały złapał ją za ucho, więc się oswobodziła i cmoknęła go w szyję, aż zachichotał. Kiedy uniosła wzrok, Bone zauważył, że w jej oczach wezbrały łzy. Skoro nie próbowała ich ukryć, zapytał, czy coś było nie tak.

- Nie wiem.
- Między tobą i Alexem?

Nawet nie chciało jej się skinąć głową. – Powiedział ci coś, Rich?

- O czym?
- O czymkolwiek, nieważne o czym. O mnie, o dziecku, o całym tym układzie.
- Nie. Nic specjalnego.
- Nie wierzę. Nie mogę ci wierzyć. Ale gdyby chciał nas rzucić, powiedziałbyś mi, prawda?
- A on nie?
- Proszę, Rich. Pomóż mi. Powiedz, czy mówił ci o czymś.
- Już mówiłem. Nic nie powiedział.

Siedziała tak i patrzyła na niego. – Boże, jak ja gardzę wami wszystkimi. Jesteście jak drapieżne ptaki, wiesz? Patrzycie na wszystko z góry, chyba że pora coś zjeść albo zaruchać.

Bone wzruszył ramionami. – Wybacz, młoda. Sama zapytałaś.

– I mam z tego mnóstwo pożytku.

– Czemu myślisz, że w domu coś się nie układa?

– Byłeś żonaty. Kiedy się z kimś mieszka, takie rzeczy da się wyczuć. Ostatnio po prostu jest inaczej. Patrzy na mnie jak na powietrze.

– To problemy z forszą. Przeważnie chodzi tylko o pieniądze, Mo. Nie mów, że nie wiesz. Kiedy dostanie kolejny czek od rządu...

– A pewnie. I będzie cud-miód...

Nagle zerwała się na nogi i podniosła małego. – Zawieziesz nas do domu?

– Oczywiście.

Gdy szli do auta, Mo powiedziała mu, że Cutter zadzwonił wcześniej do domu.

– Mówił, że przyprowadzi na kolację gościa – dodała. – Co ty na to, hę? Kolacja u Cutterów. Czy też u Alexa i Mo, chyba tak powinnam powiedzieć. W każdym razie prosił, żebym zapytała, czy też przyjdiesz.

– A kogo chce przyprowadzić?

– Siostrę ofiary.

Bone nie zgubił rytmu kroków, choć ta wieść trafiła go niczym mały, silnie rzucony kamień. – Tej dziewczyny, co to zeszedł nocy...?

– Tak, tej cheerleaderki. Jej siostrę.

– Niech go wszyscy diabli.

– Alexa? Ale czemu? Co on wymyślił?

Bone zbył ją. – Wolałbym nie wiedzieć.

Tego dnia Cutter wrócił do domu dopiero tuż przed dziewiątą wieczorem, parę godzin po tym, jak przygotowana przez Mo nieduża pieczeń szerniała w piekarniku, a sama Mo ze stoickim spokojem zrezygnowała z przygotowywania posiłku na rzecz siedzenia przy buzującym kominku z kolejnymi szklankami martini i Bone'em, któremu zawdzięczała oba powody do zadowolenia, bo tego popołudnia wyczyścił palenisko i kupił w supermarkecie nieco udawanych bierwion i prawdziwego alkoholu. Jemu też podobał się kominek, jak i drinki, ale nie był tak obojętny na jedzenie jak Mo, więc zaczął od wypadu do kuchni, gdzie ukroił sobie piętę przypalonej pieczeni i zeżarł ją pospołu z pieczonym ziemniakiem o konsystencji skały i odrobiną zieleniny, która miała być użyta do (ostatecznie nie przyrządzonej) surówki.

Dlatego też było mu teraz całkiem przyjemnie przy tym kominku – pełny brzuch,

w jednej dłoni szklanka z drinkiem, w drugiej papieros, a do towarzystwa ładniutka dziewczyna. Tyle że z nią akurat był problem – z punktu widzenia Mo Bone'a właściwie mogłoby tam nie być. To posyłała Cuttera do wszystkich diabłów, kręcąc głową z goryczą i poczuciem bezsensu, to znów ze smętnym uśmiechem kapitułowała i wygłaszała jakieś idiotyzmy, na przykład że na szczęście nie była żoną Cuttera, bo wtedy takie sytuacje naprawdę by ją wkurzały. Wtedy, wiadomo, mogłaby myśleć, że Alex jest jej własnością. No, ale oczywiście nikt nie był niczym właścicielem, a żaden człowiek wart złamanego grosza nie dałby się traktować jak przedmiot. Więc oczywiście miała prawo zastanawiać się, gdzie się podział Cutter i co porabiał, jak też, swoją drogą, podziwiać go właśnie za to, za zdolność wkurzania jej, bo to oznaczało, że był niezależny, wolny, godzien Mo... Słuchając tego terkotania, Bone od czasu do czasu wznosił szklankę w toaście. Biała kobieta mówić głupia mowa, rzucał. Biała kobieta pieprzyć brednie.

A ona go nie słuchała.

Aż wreszcie usłyszeli, że Cutter wraca do domu – stary silnik packarda wył na stromej ulicy. Bone bez głębszego zastanowienia podszedł do okna w samą porę, by zobaczyć, jak Alex zatrzymał się pod domem, nie mogąc wjechać na podjazd, bo nieszczęśliwie zaparkowana toyota blokowała pół wjazdu. Nie zbiło go to jednak z pantafyku. Raptownie wrzucił bieg i z rykiem ruszył naprzód, uderzając w toyotę, która cofnęła się trochę. Słyszając huk, Mo poderwała się i podbiegła do okna akurat w momencie, gdy Cutter po krótkim cofaniu znów zaatakował importowane auto, tym razem wpychając jego przód nad krawężnik i na trawę, usuwając tarasującą wjazd przeszkodę, po czym beztrósko wjechał na podjazd i zaparkował. Jeśli packard był choćby drażnięty, Bone nie był w stanie tego dostrzec. Natomiast toyota wyglądała jak po czołowym zderzeniu.

Cutter wysiadł z auta, sam, wyszczerzony od ucha do ucha.

– Jest pijany – rzuciła Mo, otwierając drzwi od frontu.

Bone parsknął śmiechem. – Skąd ten wniosek?

Mieszkańcy sąsiednich domów i z naprzeciwka zaczęli wychodzić ze swoich domów i mieszkań. Wśród nich była również nauczycielka z podstawówki, po trzydziestce, właścicielka toyoty. Podbiegła do swojego wozu, przyjrzała mu się, jakby samochód wykrwawiał się właśnie na śmierć, ale wciąż jeszcze była szansa, by go ocalić. Potem naskoczyła na Cuttera.

– Obląkaniec! – wrzasnęła. – Pijany szalenciec!

– Stał na moim podjeździe – odpowiedział. – Nawet cholerstwa nie zauważyłem.

– Kłamliwy gnojek. Parszywy obleśny kaleka.

Słyszając to, Cutter pokręcił głową, jak dorosły karcący dziecko. – Pokój z tobą, dziecko. Słuchaj, może wpadniesz do mnie i obgadamy sobie to wszystko, co? Ba, powiem więcej, jak wejdiesz, pokażę ci mojego ptaszka i może nawet dam ci się z nim pobawić, i uznamy, że sprawa załatwiona. Jak ci się podoba taki pomysł?

– Boże drogi, ależ jest dziś napruty – sapnęła Mo.

Tamta zaczęła łkać, a sąsiedzi nakłaniali ją, żeby wróciła do domu i zadzwoniła na policję oraz do firmy ubezpieczeniowej, bo ten typ nigdzie się już nie wybierał, o to nie musiała się martwić, a jakby co, to oni poprą jej wersję w sądzie.

Tylko jeden facet, Murzyn z naprzeciwka, złożył Cutterowi salut pięścią – Black Power.

– Tak trzymaj, brachu – zawołał. – Mój podjazd też zastawiają.

Cutter odwzajemnił salut lewą ręką, tą urwaną.

– Władza dla ludu – rzucił, a czarny wyszczerzył zęby.

Alex wszedł do domu.

– Coś pięknego – powiedziała mu Mo. – Wręcz przepięknie. Wiesz, że wygasło nam ubezpieczenie?

– To ma baba pecha.

– A jeśli odbiorą ci prawo jazdy?

Poszedł do toalety, żeby oddać mocz, nie zamykając za sobą drzwi.

– I tak jest już nieważne – odezwał się, przekrzykując chłupot. – A poza tym, gdzie masz napisane, że prawo jazdy jest niezbędne, by jeździć samochodem? Mój działa doskonale mimo braku prawka.

Mo zrobiła sobie kolejnego drinka i wróciła na wartę przed kominkiem. Kiedy Cutter wyszedł z łazienki, Bone zapytał go, gdzie się podział gość wieczoru.

– Jaki gość?

Bone spojrzał na Mo.

– Siostra tej dziewczyny, Durant, pamiętasz? – zapytała. – Ta, dla której kazałeś mi zrobić „prawdziwy obiad”. „Nie te pomyje, które zwykle jemy”... jeśli się nie mylę, tak właśnie powiedziałeś.

– Oboje macie halucynacje, wiecie? Przesadzacie z kwasem, i tyle.

– Więc chcesz powiedzieć, że do mnie nie dzwoniłeś? Nie powiedziałaś, że przyrowadzisz ją do domu i że chcesz, żeby Rich też tu był?

Cutter zmarszczył brwi i przeniósł wzrok z Mo na Bone'a.

– Też próbujesz mnie w to wkręcić? – zapytał.

– Aha.

– Jak nic zadzwonił ktoś inny – stwierdził Cutter. – Jakieś mroczne siły.

Właśnie skończył się czesać przed lustrem w korytarzu. Po chwili cofnął się do łazienki i zaraz wyszedł stamtąd z butelką płynu do płukania ust Lavis, używanego przez Mo, z której pociągnął potężny łyk, zbulgotał i wypluł wszystko do donicy z uschniętym kaktusem, którego dostali od Swansona jako „obiekt przystający do charakteru Cuttera”, jak to ujął.

– Jak nic, mendi będą tu za minutę – wyjaśnił Alex. – Trzeba im będzie wykręcić mały numer. Mały, ale fajny.

Mo zapytała wtedy, gdzie się podziewał przez cały dzień.

– Jeśli wolno – dodała.

– Oczywiście, że ci wolno, najdroższa. Wybrałem się, proszę ja ciebie, na przejażdżkę. Na sto pierwszej zabrałem taką wesołą gromadkę, czarnego pedzia i dwie dupy, Latynoski, z tresowaną małpą. Pojechaliliśmy razem do El Capitan i zakręciliśmy orgietkę. Facet był w porządku, ale ta małpa, Chryste Jezu, jak ta ugryzła...

Mo upiła lyczek ze szklanki.

– I po cholere mi to? – zapytała Bone'a. – Po cholere?

Bone milczał. Pod dom podjechał radiowóz. Błyski czerwonego koguta omiatały Cuttera, kiedy płukał usta na środku pokoju. W końcu odstawił butelkę i przeciągnął dłonią po twarzy, magicznym trikiem przywołując trzeźwość. Potem ruszył w stronę drzwi.

– Chodź ze mną, stary druhu – rzucił do Bone'a. – Może mi się przydać twoje wsparcie.

Ale go nie potrzebował. Wchodząc w rolę pokornego inwalidy wojennego, wyraźnie utykał, idąc po schodach na dół i chodnikiem do radiowozu, gdzie nauczycielka składała właśnie policjantom skargę. Cutter cierpliwie poczekał na swoją kolej, po czym odpowiedział na wszystkie pytania, jakie mu zadali. Jejku, było mu naprawdę strasznie przykro z powodu tego całego zajścia. Choć nie do końca rozumiał, co się stało. Za pierwszym razem, kiedy skręcił w podjazd, nawet nie widział tego drugiego wozu – z naprzeciwka jechał jakiś samochód na długich światłach i chwilowo go oślepił. A kiedy po pierwszym zderzeniu Cutter próbował się cofnąć, najwyraźniej zamiast tego wskoczył pierwszy bieg, i stąd ponowne uderzenie. Oczywiście, że brał na siebie pełną odpowiedzialność za ten wypadek, i oczywiście firma ubezpieczeniowa pokryje wszelkie koszty, szanowna pani nie musiała się w ogóle o nic martwić. Nie miał jednak zupełnie pojęcia, o co chodziło z

tym drugim zarzutem, o rzekome obrażanie tej pani i obsceniczne wypowiedzi. O ile pamiętał, owszem, zaprosił ją do domu, ale tylko w celu omówienia wypadku z dala od gapiów, żeby szanowna pani miała okazję ochłonąć, gdy tymczasem on mógłby zawiadomić policję i firmę ubezpieczeniową. Czy wiedział, że jego prawo jazdy już wygasło? Nie, ale zdawał sobie sprawę, że stróżowie prawa nie mają innego wyjścia, jak tylko ukarać go upomnieniem za to przeoczenie – to w końcu ich obowiązek, a Cutter wiedział to i owo o wykonywaniu obowiązków. Przy tej ostatniej kwestii Bone był na wpół pewien, że Cutter podwinie spodnie i pokaże wszystkim protezę nogi, lecz Alex ograniczył się do stania ze skromnie spuszczonego wzrokiem, pozorując zażenowanie i smutek.

Więc policjanci z pewną niechęcią faktycznie spełnili swój obowiązek i upomnieli go za brak ważnego prawa jazdy. I na tym się skończyło. Nauczycielka zaczęła na nich wrzeszczeć, pluć, wyzywając ich od brunatnych koszul i parszowych faszystowskich świń, ale byli już do tego przyzwyczajeni – wręcz uśmiechali się, odjeżdżając. Cutter pomachał im na pożegnanie, po czym przyjaźnie położył dłoń na ramieniu nauczycielki.

– Daj sobie spokój – powiedział jej. – Toyoty to i tak do dupy auta.

Od tej chwili noc nieustannie kuśtykała w coraz gorsze rejony. Cutter zwymiotował krewetkami, ostrygami na połówkach muszli i innymi przekąskami, którymi się obzał przy darmowym bufecie serwowanym w El Paseo podczas „godziny koktajlowej”. Potem uspokoił żołądek porcją pepsi, a po niej wódką z lodem. Nic ekstremalnego, jak powiedział. Nie chciał znów się zrzygać. Po drodze przyznał, że faktycznie dzwonił wcześniej do Mo i że w rzeczy samej część dnia spędził w towarzystwie Valerie Durant, siostry ofiary, która jednak nie mogła przybyć z nim na kolację.

– Przez ten cholerny pogrzeb – wyjaśnił. – Czy raczej to, co się robi dzień wcześniej, jak to się zwie... wystawienie zwłok?

Bone obserwował go z pulsującą, rosnącą wściekłością. – Po co poszedłeś się z nią zobaczyć? – zapytał.

– Potrzebowałem odpowiedzi na parę pytań.

– Jakich?

Cutter wyszczerzył zęby. – Jakbyś był spięty, Richard...

– Po co poszedłeś się z nią zobaczyć?

– A, nic ważnego. Taki mój mały plan. Taki, że tak powiem, wyskok zainteresowania.

– Zainteresowania J.J. Wolfe'em?

- Cóż, można by to tak ująć.
- I jak ci do tego pasuje panna Durant?
- Mów na nią Val. Val to naprawdę fajna dziewczyna.
- Jasne, więc co z Val?

Na jakiś czas Cutter wstrzymał się z odpowiedzią. Skończył robić sobie kolejnego drinka, po czym pokuśtykał dokoła stolika i opadł na wersalkę, postępując niczym podstarzały aktor charakterystyczny i krzywiąc się, kiedy unosił protezę nogi nad zaimprovizowany blat z pokrywy luku, przytrzymał ją tam przez moment, aż wreszcie upuścił niczym bombę. Mo wciąż siedziała przy kominku, udając niezmierną obojętność wobec wszystkiego oprócz swojego drinka i tańczących płomieni. Jej oczy były jednak jak szare krzemienie – zaczęły tężeć i twardnieć od momentu, kiedy Cutter wspomniał o „Val”.

– No, to było mniej więcej tak – odezwał się Alex. – Budzę się rano, wciąż, by tak rzec, zaintrygowany tym, jak zareagowałeś na fotkę Wolfe'a... no, wiesz, ten greps z „To on!”, który nam odwinąłeś. Jakoś nie mogłem tego wypchnąć z mojej sponiewieranej głowy, rozumiesz? Sprawa chodziła mi w kółko po łbie, jak znajomy refren piosenki. Więc sobie pomyślałem: „Co mam do stracenia?”. Sprawdzę typa, zobaczę, gdzie się podziewał tamtej nocy, kiedy co robił i tak dalej. Tylko im dłużej o tym myślałem, tym lepiej zdawałem sobie sprawę z faktu, że całe to śledztwo nic mi nie da, póki nie dowiem się również, co w tym czasie robiła siostra Val. No, kapujesz, czy los nie sprawił, że ich ścieżki się skrzyżowały, że niespodziewanie Wolfe i panna nie znaleźli się w tym samym miejscu o tej samej porze. Ale żeby się dowiedzieć, gdzie była dziewczyna... no, przecież nie mogłem pójść na policję, prawdaż, nie bez wplątywania w całą sprawę mojego starego druha Bone'a. A to, ma się rozumieć, było absolutnie wykluczone. Więc co, miałem inne wyjście, niż pójść do Val?

– I powiedzieć jej o zdjęciu?

– Znaczy, o tym, jak na nie zareagowałeś? No, oczywiście. Przecież właśnie o to tu chodzi, nie? Ale spokojnie... powiedziałem jej, że zaraz się z tego wycofałeś. Wyjaśniłem, że nigdy dla nikogo nie zdołasz zidentyfikować tego faceta, którego wtedy widziałeś.

Bone się wściekł. – Alex, ty skurwysynu. Ty lachociągu pierdolony. Przecież ona już na pewno zadzwoniła na policję.

- W życiu.
- Oczywiście masz co do tego całkowitą pewność.
- Wspomniałbym o tym, jakbym nie był pewien? No?

Bone, ledwie panując nad sobą, spojrział na Mo, która najwyraźniej pograżyła się w sobie, niesiona wódką i pigułkami.

– A pani szanownej to wszystko ni czorta nie obchodzi? – zapytał. – Nie obchodzi pani ów „wyskok”, który doskwiera jej chłopu?

Pokręciła głową.

– Nie pamiętasz już, co ci mówił zeszłej nocy, jak chromolił o jakimś wyjściu? Więc to właśnie to, młoda. Właśnie o tę drogę ucieczki mu chodzi.

– Przykro mi, ale nie nadążam – odparła Mo.

Bone obrócił się do Cuttera. – Wytłumacz jej.

Alex wyszczerzył zęby. – Niby jak? Pogubiłem się w tym bełkocie, który teraz zapodałeś, dokładnie jak i ona.

– Ten mój bełkot dotyczy twojego olbrzymiego zainteresowania osobą J.J. Wolfe'a. Więc powiedz nam teraz... *jej* powiedz... co się za tym kryje.

– Jak już mówiłem, ciekawość.

– Oczywiście. I wyostrzone poczucie sprawiedliwości społecznej.

– To też, ma się rozumieć.

Kręcąc głową, Bone wyciągnął papierosa i zapalił.

– Poddamę się – stwierdził. – Wygrałeś, Alex. Idź rób swoje, co ci tam sprawia przyjemność. A jeśli znów skończę w pierdłu, każdego dnia srając w gacie, co z tego, nie? Ja to nie ty.

– Aj, facet, dałbyś spokój. Przecież ci mówiłem. Val rozumie, co jest grane. Nie zadzwoni na policję. Wie, że nie zidentyfikowałeś typa na sto procent, a cała ta sprawa to tylko moja rzecz, nic więcej, słabość taka, rozumiesz.

– Nie mam pojęcia, czemu nie potrafisz ci uwierzyć.

Cutter wzruszył ramionami. – Zapomnij wreszcie o tym, co? Mamy ważniejsze sprawy. Nie chcesz usłyszeć, czego się dowiedziałem?

– Od *Val*? – zapytała Mo.

– Między innymi. Wierście mi, napracowałem się jak mróweczka.

I Cutter zaczął nawijać, opowiadając im wszystko, co zdołał ustalić na temat ofiary. Te gazetowe artykuły o tym, jaka to była typowa uczennica liceum, grzeczna i śliczna cheerleaderka itepe, to były same pierdoły. Według siostry mała na dobrą sprawę wymknęła się całkowicie spod kontroli, a już na pewno nie panowała nad nią matka, niemal inwalidka i alkoholiczka ze zszarpanymi nerwami i nadciśnieniem. Dziewczyna wędrowała, gdzie i kiedy miała ochotę – siedemnastoletni wolny duch, zakochana w muzyce rockowej, a już szczególnie w jej wykonawcach, którym

służyła jako swego rodzaju miejscowa grupie, jednoosobowy komitet powitalny, co oczywiście oznaczało, że już zaczęła „przygodę” z seksem i prochami. Na miesiąc przed śmiercią dostała od siostry trzysta dolarów na skrobankę, którą przeprowadzono w Los Angeles. Od tamtego czasu nie pojawiła się już w szkole. W domu także prawie nigdy jej nie było. A do tego była nieuleczalną, nałogową auto-stopowiczką – co Cutter podkreślił tonem głosu.

– W każdym bądź razie – ciągnął – przedostatniej nocy była w Kamiennej Gąbce, tym nowym klubie rockowym w Goleta, dzieciaki kochają to miejsce. Poszła z parką koleżanek, starszych od niej. Policja oczywiście już zgarnęła je obie i wszystkich innych, których tylko udało im się znaleźć, każdego, kto mógłby zauważyć, kto towarzyszył jej w klubie i z kim mogła stamtąd wyjść. Jednak z tego, co słyszałem, póki co nie mają nic.

Mo, ziewając, szturchnęła dogasające kłody.

- Nie powiesz nam chyba, że był tam J. J. Wolfe – rzuciła.
- Zgadza się, nie powiem.
- Też mi niespodzianka.

Cutter jednak miał minę tak zadowoloną, jakby właśnie zjadł misjonarza na obiad.

- Był naprzeciwno – stwierdził.
- Naprzeciwno?
- W Kalifii, tym olbrzymim motelu, który właśnie postawili, tej pomarańczowej kupie padliny przy Fairlane.

– Wolfe mieszkał w *takim* miejscu? – zdziwiła się Mo.

Cutter spojrzął na nią z politowaniem.

– Kobieto z pamięcią absolutną... Racz sobie przypomnieć, Matko Ziemi, że kiedy wczoraj *ty* sama czytałaś nam artykuł z gazety, stało tam, że mieszkał w Biltmore, zgadza się? Tam ktoś zrobił mu z autka smażeninę... Halo? Ziemia do Mo?

Ta przyjęła gryzące uwagi jak coś zasłużonego i skłoniła się Cutterowi w parodii pokory.

– To nie tak, Wolfe był tam na przyjęciu, tam w Kalifii, koktajlu dla delegatów na konferencję energetyczną. Wszedł około dziesiątej, może jedenastej.

Bone zapytał Cuttera, skąd miał te informacje.

– Od faceta, który robił PR dla tej konferencji, taki typ z uniwerku. Powiedziałem mu, że piszę artykuł dla magazynu „Sunset”, więc naturalnie koleś

robił dla mnie wszystko, nawijał jak najęty. Skoro już taki gość, jak Wolfe, pojawia się na czyjejs konferencji, trzeba się postarać, żeby wszyscy o tym wiedzieli...

– Ale wyszedł wcześniej? – wtrącił Bone.

– No, tak, tak powiedział tamten koleś. Lecz tak czy inaczej, Wolfe tam był, dokładnie po drugiej stronie ulicy od Kamiennej Gąbki.

Bone wstał, by zrobić sobie kolejnego drinka, wrzucił parę kostek lodu do swojej szklanki – niegdyś słoiczka po galaretkę. Wśród ciszy trzask lodu zabrzmiał jak komentarz bez słów, które jednak Bone zaraz do niego dodał.

– To wszystko, co wiesz?

– *Mało* ci?

– Weź się nad tym zastanów. To nie zmienia faktów, które znaleźliśmy z gazety, nie? Facet wciąż jest sam. Nie masz związku między nim i dziewczyną. Dokładnie tak samo jak przedtem, nie wiesz, co robił około północy. I wciąż jeszcze nie usłyszałem ani słowa o tym, jaki mógłby mieć motyw.

Cutter splunął w płomień; zasyczało.

– Chryste, jak ci mało trzeba do szczęścia – prychnął. – Pół dnia poświęciłem na to, żeby skontaktować się z siostrą dziewczyny i wyjaśnić jej, o co mi biega, i wciąż jeszcze miałem czas, żeby ustalić, co robił Wolfe zeszłej nocy. A ty co mi na to? „To wszystko, co wiem?”

– Wielka mi rzecz – odparł Bone. – Słuchaj, łosiu, zanim walnę się w kojo, a Mo całkiem odpłynie na drugą stronę lustra, może wreszcie nam coś powiesz, tylko nam dwojgu. Po prostu powiedz szczerze, w prostych, żołnierskich słowach... – I tu Bone niemal wrzasnął: – O co ci, do cholery, chodzi z tym wszystkim?!

Mo w zadziwieniu oderwała wzrok od podłogi. Na Cutterze jednak nie zrobiło to najmniejszego choćby wrażenia. Powoli osuszył butelkę wódki, po czym wstał i kołyszając się, wykonał niezłą podróbkę Johna Wayne'a.

– Mężczyzna musi zrobić to, co zrobić trzeba – oznajmił.

Pokuśtykał w stronę łazienki, karykaturalnie parodiując rozkołysany krok Wayne'a. Zza otwartych drzwi dobiegły Bone'a odgłosy wymiotowania.

Korowody ciągnęły się przez całą noc. Bone już niemal zdołał usnąć na wersalce, gdy Cutter zaczął się drzeć na Mo. Ewidentnie chciał się z nią kochać, albo przynajmniej skłonić ją do tego, by mu obciągnęła, ale Mo była już nie do życia, nawalona. Zrobił więc to, co zrobić było trzeba. Zaczął skakać po łóżku, zbudził

dzieciaka i kopniakiem wywalił dziurę w drzwiach garderoby. No i wrzeszczał przez cały ten czas bryzgającym monologiem seksualnej frustracji. Mo była więcej niż oziębła – ogłosił światu, była trupem, zewłokiem z zaspawaną macicą i cipą jak szczurza nora, pełną kurzu, strzępków siana i starych piór z gniazd, których od pokoleń nikt nie ruszał. Cycki zaczynały jej obwisać tak, jak wszystko jej zwisało, bo zdychała, jasne? Oziębłość miała ją w swym morderczym uścisku, ba, to był już przypadek śmiertelny. Ale on miał już tego dość, nigdy więcej nie próbuje szukać z nią szczęścia. Nigdy więcej nie narazi już tak własnych jaj, nie wystawi ich na łup śmierci i rozkładu. Nie, od tej pory przestawia się na kurwy, kurwy i małych chłopców, może owce, jeśli uda mu się jakąś znaleźć, cokolwiek, byleby żyło, bo miał już potąd tej zimnej, szczurzej nory.

W końcu Bone zdołał zasnąć. Później jednak obudził go odgłos otwieranych drzwi na werandę, i gdy w końcu przewrócił się na bok, by spojrzeć w tamtą stronę, zobaczył Cuttera stojącego tam, ba, wręcz na balustradzie werandy. Balansował tam, sikając w mrok w dole zbocza, śpiewając „Jezus kocha mnie” i machając penisem to w lewo, to w prawo, jak mały dzieciak.

A jeszcze później – jak długo potem, Bone nie potrafiłby powiedzieć – obudziło go szarpanie za ramię. Ocknął się i ujrzał Cuttera siedzącego obok, na łuku z łodzi. Nawet w ciemnościach Bone widział desperację w oku Alexa.

– Chcę ci wyjaśnić, Rich – Cutter szeptał z naciskiem. – Chcę wytłumaczyć, o co chodzi z tym typem, Wolfe'em, okay? Kiedy byłem w Wietnamie, chyba już ci o tym mówiłem, robiliśmy właściwie to samo, co wszyscy inni. Może nie tak jak w My Lai, na pewno nie na taką skalę, ale robiliśmy swoje, tam każdy dokładał swoją cegiełkę. Z kobietami i dziećmi też, bo skąd mieliśmy wiedzieć, no skąd, gdyby ktoś nas pytał, każdy skośny mógł być z Wietkongu, a poza tym i tak chuj nas to obchodziło. Nie tam, nie na miejscu, nie wtedy, kiedy robiliśmy swoje, zero problemu, człowiek był jak maszyna, nic go nie brało, nic nie miało znaczenia. Ale później... później, już po powrocie, kiedy wyszła afera z My Lai... pamiętasz te fotki w „Life”? Zdjęcia chłopów? Ta młoda dziewczyna z matką starowinką i dzieciakiem, wszyscy objęci ramionami kulą się i łkają, czekają, aż ktoś wpakuje im kulkę. A na następnym zdjęciu leżą razem w rowie. No, tutaj miałem już czas, kapujesz, miałem czas, żeby porządnie przyjrzeć się tym zdjęciom, przestudiować je. I tak właśnie zrobiłem. Żebyś wiedział, że je przestudiowałem. Jakbym się szykował do jakiegoś egzaminu. I wiesz, czego się dowiedziałem? Otóż tego że

doświadczasz trzech reakcji, Rich, trzech i kropka. Pierwsza z nich jest banalna: nienawidzę Ameryki. Potem patrzysz na to nieco dłużej i poprzeczka idzie wyżej. *Boga nie ma*. Ale wiesz, co byś powiedział Rich kiedy już napatrzyłbyś się na nie do bólu? Dwa słowa: Zjadłbym coś

Próbował się uśmiechnąć przy tych ostatnich słowach, roześmiać się nawet, ale usta wykrzywiło mu cierpienie raczej niż jakieś inne emocje.

– Śpij – powiedział. – Śpij już, Rich. Po prostu chciałem, żebyś wiedział...

4.

O poranku Alex Piąty przypomniał dorosłym, że choć oni mogli sobie łapać rytmiczny oddech do muzyki snu, jego osobisty dobosz był hałaśliwym typkiem, który zaczynał służbę punkt szósta rano. Mo dała małemu ryczeć przez jakiś czas, ale w końcu skapitulowała, mozolnie wygramoliła się z łóżka i podniosła chłopca, po czym przewinęła go i nakarmiła, próbując skłonić go, by się uciszył, choć sama wciąż poruszała się jak zombi.

Skacowany i wciąż wymęczony Bone, nawet nie ruszając się z wersalki, przynajmniej częściowo łączył się z Mo w nieszczęściu. Jednak ruszył się i wstał dopiero wtedy, gdy mały był już nakarmiony i przewinięty, i zabrał się za rączkowanie po pokoju, gaworzenie i próby eksploracji paluszkami uszu lub oczu Bone'a. Nim do tego doszło, Mo zakończyła już w łazience próby przywrócenia sobie ludzkiego wyglądu, więc Bone poszedł w jej ślady, jak zawsze z wiarą, że zimny tusz zdoła tchnąć weń choćby namiastkę życia.

Gdy wyszedł z łazienki, Mo przygotowała mu już śniadanie – część zakupionych przez niego zeszłego popołudnia jajek przerobiła na jajecznicę i zaserwowała ją z czerstwymi pączkami oraz nieuniknioną kawą rozpuszczalną. Bone oddałby ostatniego dolara za szklankę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, ale ma się rozumieć w kuchni Cutterów taka transakcja nie wchodziła w grę – obiekty tak ryzykowne, jak świeże owoce czy warzywa, były tu niedopuszczalne. Zresztą już teraz, przed ósmą rano, Bone mógł dostrzec podstawową przyczynę tego stanu rzeczy w oczach Mo, które już się delikatnie szklily, skrywane pod coraz cięższymi powiekami, gdy ona popijała kawę, nic nie jedząc, nie chcąc stłumić efektów działania metakwalonu, czy który tam środek uspokajający zażyła po zajęciu się dzieckiem. Bone osobiście niezbyt chętnie sięgał po prochy, więc nie bardzo pojmował zawilości jej nałogu. Środki uspokajające na śniadanie wydawały mu się czymś totalnie nielogicznym, potęgowaniem wyczerpania otępieniem, ale według Cuttera do nich właśnie ograniczała się Mo, rano, wieczór, we dnie, w nocy, tylko głupie Jasie, a i tego nie za wiele, ot, w sam raz, żeby stępić zębate ostrza rzeczywistości. Cóż, nie Bone'owi było oceniać, czy pigułki spełniały to zadanie. Na pewno jednak w zamian postarzały Mo. Nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat, a wyglądała na znużoną i sponiewieraną trzydziestkę. A przy obecnym tempie jej

życia... Bone niezbyt chciałby ją zobaczyć za kolejne pięć lat. Oczywiście nie nie stałoby się z kośćmi twarzy, z doskonale kształtnymi oczyma. Wciąż jeszcze mogłaby być piękna, ale nie za ładna.

– Nie sądzę, by zdążył wstać, zanim wyjdiesz – powiedziała.
– Nie ma sprawy. Niech sobie pośni. I tak wolę, kiedy sobie siedzimy we dwójkę.

– Nie, naprawdę?
– Naturalnie.
– Jaka szkoda, że nie mam silniejszego popędu płciowego.
– Nieprawdaż?
– Ale przecież to twój przyjaciel, Rich. Daje ci dach nad głową. Nie mów, że mógłbyś zdradzić własnego przyjaciela i gospodarza?

- Normalnie nie.
- A więc nienormalnie?
- Chyba nie to miałem na myśli.
- Prawdziwy z siebie przyjaciel.

Bone zapalił papierosa. – No, wreszcie do ciebie dotarło. W końcu zrozumiałaś, o co chodzi. Jestem przyjacielem w *biedzie*.

– A pewnie. Znaczy, w potrzebie? Akurat tego trzeba ci – jak u Heinza więcej keczupu...

– O tym nie powiedziałem ani słowa.
– Więc o co chodzi? – mówiąc to, próbowała utrzymać ten sam ton swobodnych docinków. Bone jednak nie odpowiedział, po prostu siedział przy kuchennym stole i patrzył na nią, aż w końcu, z lekkim rumieńcem i miną świadczącą chyba o poczuciu winy, spuściła wzrok.

– Chcesz, żebym zadzwoniła do George'a, żeby po ciebie przyjechał? – zapytała, wstając.

Bone zdążył złapać ją za nadgarstek i przytrzymał. – Sam zadzwonię – odparł.

– Przepraszam, że cię tam nie zawiozę. Ale sam wiesz, jak jest z biegami w tym packardzie. Po prostu nie mogę...

– Mo – teraz Bone także wstał i ujął ją za ramiona.

Nie chciała jednak na niego patrzeć, odwróciła twarz.

– *Mo*.

– Nie – jęknęła. – Proszę, Rich.

Puścił ją wtedy. Obserwował, jak podeszła do okna i stanęła tam, patrząc na zewnątrz, opasana ramionami, jak gdyby, nie wiedzieć czemu, mroziło ją jasne słońce poranka.

– Zrób mi przynajmniej jedną przysługę – powiedział.

– No?

– Idź do lekarza. Daj się przebadać. I rób, co ci każe. Zaczniij o siebie dbać.

– Znaczy co, porządna dieta, dużo wypoczynku i codziennie porcja lecytyny z witaminami?

– To całkiem niezły pomysł.

Obróciła się teraz ku niemu z uśmiechem znużenia. – Kiedyś, dla kogoś, będziesz idealną żydowską matką.

– Może tobie by się taka przydała.

– Twoja kandydatura zostanie uwzględniona.

– A kochanek-goj? Może i tego ci trzeba?

– Już jednego mam.

– Patrz, wciąż zapominam.

Bone zadzwonił do Swansona z pytaniem, czy ten mógłby go podwieźć do Montecito – oczywiście mógł, nigdy nie miał nic przeciwko pretekstom do wyrwania się zza biurka – po czym zapakował swój skromny dobytek, wyniósł manele na schody i usiadł tam, żeby paleniem skrócić sobie czekanie. Cutter wciąż jeszcze nie wstał, a Mo wróciła do łazienki, zapewne po to, żeby być jak najdalej od Bone'a. Kiedy jednak w końcu Rich usłyszał, jak jaguar Swansona z rykiem silnika wspinał się na zbrocze, wszedł z powrotem do domu i zastukał do drzwi łazienki, Mo natychmiast otworzyła, jakby stała tam po drugiej stronie i tylko na niego czekała. Miała zaczerwienione oczy, drżącą dłońią zbierała pod szyją otwarty kołnierz kimona, które zwieszało się z jej ciała niczym worek, unoszone tylko przez koniuszki piersi.

– George przyjechał – powiedział jej. – Spadam.

Milczała.

– Wpadnę jeszcze w tygodniu.

Ograniczyła się do potaknięcia. A Bone miał już obrócić się i wyjść, gdy uświadomił sobie, jak bardzo byłoby to nienaturalne, jak strasznie pogwałciłoby prawidła tej chwili. Więc wyciągnął ręce i chwycił ją za ramiona. I pocałował ją, z początku skromnie, tylko w policzek, ale ponieważ nie czuł, żeby sztywniała, nie

napotykał spodziewanego oporu, przeszedł do ust Mo, całując głęboko, przygar-
niając ją do siebie. I dopiero wtedy stało się – wycofanie, spazmatyczne odwrócenie
twarzy, jakby ją z całej siły spoliczkował.

– Idź stąd – rzuciła. – Proszę, Rich. Idź już.

Więc wyszedł, niemal potykając się o dzieciaka, który siedział na podłodze i
wesolo bawił się pozostałą z wczorajszego wieczora pustą flaszką po wódce.

Jak twierdził Cutter, Swanson nie trafił w kamasze do Wietnamu, bo zanadto
przykładał się do pilnowania, żeby mu faja nie zgasła. Z tego samego powodu
najpewniej przegapi zbliżające się Wielkie Kalifornijskie Trzęsienie Ziemi. Co
więcej, był jedynym z żywych Amerykanów, który wciąż jeszcze na serio żył
wzorem Straconego Pokolenia. Z wyglądu przypominał Cutterowi to ormiańskiego
handlarza dywanami, to głównego prokurenta króla Faruka z Egiptu, to z kolei
Johna Wilkesa Bootha, tego ćwoka, który zabił Lincolna. Krótko mówiąc, z punktu
widzenia Cuttera, czepianie się Swansona zawsze było w modzie. Jednak jeśli
przyjaciel Alexa miał coś przeciwko temu stanowi rzeczy, nigdy nie dał tego po
sobie poznać. Niedużo po trzydziestce, Swanson mógłby udawać osobę o dziesięć
lat starszą, bo już nabył wygodnych wymiarów mężczyzny w średnim wieku, a
równowagi ducha mógłby mu pozazdrościć katatonik. Mimo to jednak nie kom-
promitował się, gdy grał w tenisa, miał też słabość do kłopotliwych związków z
młodymi, atrakcyjnymi mężatkami z okolicy. Opinie Cuttera na temat wyglądu
Swansona były o tyle uzasadnione, że zdecydowanie przypominał on Araba, mając
ulizane czarne włosy, cieniutki wąsik i orle, acz zaokrąglone rysy – prawdę mówiąc,
klasyczną filmową bandycką mordę, co sprawiało, że jego naturalnie swobodne i
nienatrętne usposobienie było jeszcze większą niespodzianką. George był jak małe,
niewzruszone oczko spokoju, utrzymujące się pośród wybuchających co jakiś czas
burz, czy to prowokowanych przez Cuttera, czy przez życie uczuciowe.

Podobnie jak Alex, Swanson pragnął niegdyś zostać pisarzem, ba, wręcz spędził
w Europie kilka lat, oglądał walki byków, łowił ryby w tych samych strumieniach,
co niegdyś Hemingway, a nawet wynajął sobie lokum wysoko na wieży nadreń-
skiego zamku, gdzie pisał krótkie, zagadkowe opowiadania o pokoleniu rozczaro-
wanej, powojennej młodzieży. Teraz zajmował się swoją agencją nieruchomości i
sklepem z pamiątkami, ale to, co zostawił za sobą, jeszcze nie przebrzmiało, nie
zamierzał o tym zapomnieć. Niewiele było rozmów, w których nie

spróbowałby w pewnym momencie zahaczyć o Hemingwaya, Fitzgeralda czy innych straconych. Prawdę mówiąc, Cutter zarzekł się, że pierwsze małżeństwo Swansona rozpadło się, gdyż George, szczytując, nie potrafił powstrzymać się od okrzyku „Och, Zeldal!”

Bone jednak zupełnie się tym wszystkim nie przejmował. Nawet nie to, że nie przepadał za tym typem – jeśli już, miał problem ze stwierdzeniem, czy Swanson naprawdę istniał w tym świecie. Czasem zastanawiał się, czy nie nadejdzie kiedyś taki dzień, że George złapie za siekierę i pierwszej żywej istocie, jaka się nawinie, zafunduje szybkie przetworzenie na rąbankę. Bone zdawał sobie jednak sprawę z tego, że tak przejawiała się jego małość. Tak bardzo przyzwyczaił się do własnej nieustającej paskudności, a teraz także i Cutterowej, że z lękiem konstatawał, iż osiągnął punkt, w którym widząc człowieka nie obdarzonego tą wadą charakteru, od razu miał go za podejrzanego.

- Więc ptaszek opuszcza gniazdko – zagadnął Swanson, kiedy odjeżdżali.
- Dwa tygodnie i wystarczy.
- Ofiarność granicząca z męczeństwem, co?
- Powiedzmy. Ale kiedy go potrzebowałem, pomógł. Bez zadawania pytań.
- Ano, cały Alex. Wciąż jeszcze spał?

Bone przytaknął. – W sumie też powinienem.

- Ciężka noc, co?

Pamięć podsunęła Bone'owi obraz wielkiego jak czołg packarda, jak walnął w toyotę, cofnął się i przyłożył jeszcze raz.

– W każdym razie niezwykła. Przynajmniej dla Cuttera – rzucił, szczerząc zęby.

- Czemu? Co się stało?

Bone opowiedział mu całą historię, akcentując najlepsze momenty. A Swanson parsknął nieopanowanym śmiechem.

– Och, Boże, jaka szkoda, że mnie przy tym nie było – płakał ze śmiechu. – Oryginał z tego naszego Alexa, bez dwóch zdań.

- Ano bez – potwierdził Bone.

Swanson jednak zmarszczył brwi, pokręcił głową.

– Tyle że nie wiem, co w niego ostatnio wstąpiło, Rich. Owszem, jest zabawny i w ogóle, ale to coś więcej, jakieś takie... chore. Naprawdę się o niego martwię. Wiesz, co mi powiedział w zeszłym tygodniu? Że może mi *sprzedać* pięć następnych lat swojego życia... uwierzysz? Dziesięć tysięcy za rok, powiedział.

A w zamian za to obiecał „nie demolować mi towaru”, jak to ujął. W pale się nie mieści: „demolować towar”. Powiedziałem na to, że mu odbiło. Pięćdziesiąt tysięcy? Skąd miałbym wziąć taką forszę? I za co mam mu płacić? Jak byś to nazwał? Takim szantażem inaczej?

– Mniej więcej.

Swanson znów pokręcił głową. – Boże, co za koleś. Powiedz, widziałeś kiedyś jego zdjęcie z czasów sprzed Wietnamu, tak, jak kiedyś wyglądał?

– Nie.

– To ci powiem, co stracił. Nie należał do tych, rozumiesz, śliczniutkich przystojniaków. Miał jednak urodę, bez dwóch zdań, i pewien magnetyzm... to zresztą wciąż mu zostało. W każdym razie często się zastanawiam, co mógłby ze sobą zrobić, gdyby sprawy poukładały się inaczej, kapujesz? Gdyby jego stary nie przeputał całej forsy, gdyby oboje rodzice nie zginęli tak, a nie inaczej, gdyby nie przydarzył się żaden Wietnam...

– Strasznie dużo tego gdybania.

Swanson wzruszył ramionami. – No wiem przecież. Ale on chyba też nie może myśleć o tym inaczej, kumasz? Nie da się inaczej. Chryste, naprawdę chciałbym móc mu pomóc. Jemu i Mo. Ostatnio ta dziewczyna ma ciężkiego doła.

Bone powiedział mu, żeby skręcił na następnej przecznicy, i Swanson wykonał polecenie. Zmienił też temat.

– Są jakieś wieści w sprawie morderstwa? Miałaś jeszcze jakieś wezwania z policji?

Bone odparł, że nie, i że nie słyszał niczego nowego. Co nie było dla Swansona żadnym zaskoczeniem – gliniarze, cholera, za wiele czasu spędzali na wypisywaniu mandatów porządnym podatnikom (jak on), żeby na serio zajmować się mordercami, szczególnie takimi, co upychają cheerleaderki po kubłach na śmieci. „Ty, Bone, słyszałaś ten greps, że tamten typ to jakiś kopnięty ekolog, że wpakował trupa do śmieci, bo protestuje przeciwko zanieczyszczeniu środowiska?” Nie, tego dowcipu Bone jeszcze nie słyszał.

– Rockmeni – rzucił Swanson. – Podobno to do nich doczepiły się gliny, tak słyszałem. Wszyscy mówią, że to na pewno zrobił któryś muzyk.

– Policjanci już na pewno wiedzą, co robią...

– Co, myślisz, że to zrobił ktoś inny?

– Nie mam pojęcia.

Swanson spojrział nań pytająco, jakby miał nadzieję, że zostanie dopuszczony do jakiejś tajemnicy.

– Więc naprawdę nie widziałeś tamtego typu?

– Nie, nie jego twarz.

Zbliżali się już do domu pani Little.

– Następny po prawej – wskazał Bone.

– Fajny – stwierdził Swanson. – Ej, co właściwie będziesz tu robił?

– Pomagał w domu i ogrodzie.

Wyglądało na to, że Swanson był pod wrażeniem. – Pomagier... Chryste. Słuchaj, Rich, zamierzasz kiedyś wrócić? No, rozumiesz, do stałej roboty? Ożenisz się i ugrzęzniesz w długach jak normalni ludzie?

– Jeśli mi się uda.

– No, a czemu nie? Co ci broni?

– Zawsze coś wyskoczy.

– Mógłbym ci coś znaleźć.

– Tylko bym to spieprzył.

– No, z takim podejściem, to na pewno.

Bone wzruszył ramionami. – Właśnie o to mi chodzi. Zawsze coś wyskoczy.

Okazało się, że w domu pani Little była tylko pokojówka, która przyjęła Bone'a równie oziębłe, co poprzednim razem, dwa dni wcześniej.

– Pani Liter w San Francisco za mężem – wyjaśniła. – Mówi ty tylko się wprowadź i czekaj, rób co chcesz. Za dwa dni wróci. Jedzenie w kuchni.

Bone próbował jej podziękować, lecz znów pokazała mu plecy. Upokorzony, podniósł swoje skromne tobołki i zaniósł je do służbówki w garażu. Łóżko wyglądało ogromnie kusząco – akurat w tej chwili perspektywa spania, jak dzień i noc długa, pociągała go dużo bardziej, niż jakakolwiek kobieta – lecz wiedział, że to tylko pogłębiłoby wrogość pokojówki, a chciał tu przynajmniej dobrze zacząć, chciał, żeby wszystko się dobrze ułożyło, bo nie zostało mu już zbyt wiele opcji. Wyciągnął więc kosiarkę i przyciął trawę wokół domu, choć w sumie nie było po temu większej potrzeby. Potem spulchnił ziemię wokół krzewów pod murem. Ciężka, nieustająca robota sprawiła, że jego ciało spływało potem. Co jakiś czas zdarzało mu się spostrzec, że pokojówka obserwowała go zza tej czy innej firanki, ale nie dawał tego po sobie poznać. W końcu wyszła z domu, statecznie kolebiąc się z nogi na nogę, kiedy zmierzała w jego stronę po trawniku.

– Ty dzisiaj nic nie je? – zapytała. – Czemu ty nie przerwie praca?

Uśmiechnął się. – Faktycznie, czemu nie?

W kuchni podała mu zimną pieczeń wołową na razowcu, trochę sałatki ziemniaczanej na bardzo ostro, i chianti. Powiedziała, że na imię ma Teresa. Teresa Chavez. I nie mogła zrozumieć, po co tak ciężko pracował, skoro „ona pani” wyjechała, więc co za sens? Odparł, że lubi pracę na świeżym powietrzu, a poza tym myślał, że skoro ona pracuje w domu, on również powinien się czymś zająć, tylko na dworze. Roześmiała się wtedy.

– Praca? Jaka tu praca? Taki dom, jedna kobieta, bez dzieci, męża prawie nigdy nie ma... żeby tu sprzątać, potrzeba mnie dwie godziny na tydzień, wszystko i tyle. Najwięcej roboty, żeby znaleźć coś do roboty, rozumiesz? Żeby wyglądało, że pracujesz. No i chyba właśnie dlatego ona płaci tak mało. Bym więcej zarobiła z zasiłku.

– Jak my wszyscy, nie?

– Ja nie rozumiem?

– Mnie też przydałby się jakiś zasiłek.

Otakowała go spojrzeniem. – Kiedy indziej ona tu miała chłopcy, że do twojej roboty. Studenty, rozumiesz? Leniuchy. Ale ty wyglądasz na taki, co mógłby zarabiać dużo pieniądze. Mógłbyś być boss. Gruba ryba.

– Powoli się wspinam – odpowiedział.

Przez chwilę nie była pewna, czy mówił ironicznie, ale gdy się uśmiechnął, pokręciła głową.

– Och, ja myślę, że ja już wiem, kto ty jesteś. Macho, ot co. Ona pani, ona lepiej uważa, co?

– Będę delikatny – obiecał.

A Teresa, jego nowa przyjaciółka, aż się zatrzęsła ze śmiechu.

Po południu uciął sobie niemal dwugodzinną drzemkę, po czym bez pośpiechu wrócił do rezydencji i przyłączył się do Teresy, która potrzebowała paru drinków, by wybrać się w drogę powrotną do domu na „płaskowyżu” Santa Barbara, małego bungalowu, który wynajmowała, a gdzie czekał już w zasadzce jej mąż listonosz i siódemka dzieciaków. Najwyraźniej nie radowała jej ta perspektywa, więc wzięła się „za szczeniennego” (czysta whisky, Red Label) – aż w końcu odjechała swoim cadillakiem z początku lat sześćdziesiątych, który kładł tak gęstą i ciemną zasłonę dymną, że stary MG Bone'a nijak nie mógłby mu dorównać. Pozostawiony samemu sobie Bone wybrał się na wycieczkę po rezydencji i stwierdził, że była nawet

bardziej luksusowa, niż to się mu z początku zdawało. Same meble musiały kosztować dobre trzydzieści albo i czterdzieści tysięcy, a przecież było tu tylko sześć pokoi. Kuchnia również była szczerze zaopatrzona. W lodówce, zamrażarce i szpiżarni znalazł tyle żarcia, że miał problem z dokonaniem wyboru, ale w końcu zdecydował się na gruby stek porterhouse, grzyby i olbrzymią misę sałaty ze wszelkich świeżych warzyw, jakie wytropił w lodówce. Popił to wszystko szampanem i udał się do pokoju rekreacyjnego, gdzie obejrzał mecz ostatniej szansy Celticsów z Bullsami i przeczytał ostatni numer „Time'a”.

Kiedy więc o jedenastej położył się spać, zmęczony i przyjemnie wstawiony, spodziewał się, że szybko zmorzy go głęboki sen. Zamiast tego jednak wypuścił się na martwe, gładkie jak stół morze bezsenności, całe długie godziny, w czasie których jego umysł najwyraźniej zaczął żyć własnym życiem, niezależnym od woli Bone'a, przez co Richard rychło zorientował się, że rozważa akurat tę kwestię, nad którą wcale nie chciał dumać. W ciemnym pokoju nie miał problemu z ponownym wyobrażeniem sobie pogrążonej w mroku ulicy, wielkiego samochodu hamującego pod blokiem i wjeżdżającego w uliczkę, skulonej postaci poruszającej się na podświetlonym reflektorami tle, okrążającej wóz i znikającej na parę sekund z pola widzenia, by zaraz potem znów wsiąść do środka i ponownie z piskiem opon ruszyć spod bloku, aż tył auta zatańczył, a potem przepaść w oddali. Ów mężczyzna wciąż był dla Bone'a tylko zarysem, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. A jednak fotografia w gazecie, stary ramol z prowincji J.J. Wolfe stojący z dobrodusznym uśmiechem nad wypaloną skorupą wynajętego LTD – co do tego też nie miał cienia wątpliwości – to zdjęcie walnęło Bone'a niczym pięść, i nie dało się zaprzeczyć, że wciąż tkwiło mu w głowie, coś niecałkowicie ujrzanego i pojętego, palimpsest, coś, czego nie mógł wyraźnie dojrzeć pod późniejszymi gryzmołami, ale jednak w jakiś sposób rozpoznał, bo już gdzieś wcześniej widział. Ale tam, w uliczkę pod blokiem? Nie, tego nie mógł być pewien, ani teraz, ani kiedykolwiek później. I to dlatego nagły entuzjazm Cuttera, niemal religijna gorliwość, z jaką podchwycił owo nieszczęsne „To on”, przeszywał Bone'a jak bryzg stonej wody w środku zimy. Bo Richard znał charakter Cuttera od podszewki, lepiej, niż by chciał, i wiedział, że jego przyjaciel nie był w stanie zostawić tej sprawy w spokoju, tak, jak nie zostawiłby tykającego pudełka. Jednak to nie chciwości lękał się u Alexa, ale śmierci, tej beztroski wiodącej do śmierci, tego ukochania śmierci, które biło od Cuttera niczym smród gnijącego ciała.

W końcu jednak sen wyzwolił go od tych myśli. Śnił o tym, jak był w parku z Mo

i brzdącem, pośród turystów i miotaczy frisbee z psami. Jedyna różnica polegała na tym, że w ogrodzie różanym ktoś ustawił parę kubłów na śmieci, z których wystawały kije do golfa. A gdzieś z oddali niósł się odgłos płaczu, męskiego. Czyżby Cutter? – zadumał się Bone.

Gdy obudził się następnego ranka, usłyszał, że Teresa już pracowała, zmywała chodnik między domem a basenem. Wstał więc i ubrał się, szykując się na kolejny dzień pozorowanej pracy w rezydencji państwa Little. Niespodziewanie powitała go równie chłodno i kwaśno, co w dniu rozmowy z panią Little, ale kiedy poszedł do kuchni zrobić sobie śniadanie, zdecydowanie odtajała i przyszła towarzyszyć mu przy kawie i papierosach. Jak powiedziała, miała bardzo ciężką noc. Jej mąż znalazł marihuanę w torebce najstarszej córki – wyjaśniła, że szukał pieniędzy na kręgle – i oczywiście obił dziewczynę. Zamknął ją w pokoju, ale wyszła oknem i przez całą noc nie wróciła do domu. Tymczasem chłop się urznął i przypadkowo rozciął sobie rękę na maczecie z wojskowych nadwyżek, którą lubił im wygrażać, kiedy był „napruty”. Teresa przysięgła, że kiedyś go zarąbie „oną cholerną maczetą”. Bone przeczyta o niej w gazetach: „Teresa Chavez porąbała męża na kawałeczki”. Podsunął jej, żeby raczej po prostu wychlastała mu *cojones*, co było znacznie mniej poważnym przestępstwem, ale zadziałałoby niemal równie skutecznie. Była tak zachwycona tym pomysłem, że śmiała się, aż lzy pociekły po jej twarzy.

Po śniadaniu Bone wrócił do kopania gruntu pod murem, a kiedy już po ponad dwóch godzinach uporał się z robotą, wziął prysznic, założył kąpielówki i położył się na słońcu, na sekwojowym leżaku obok basenu. Leżał tak przez dziesięć czy piętnaście minut, próbując wyprzeć z myśli wszystko poza doznaniem słońca grzejącego ciało. A potem padł na niego cień. Cień obdarzony głosem Cuttera.

– E, koleś, mogę ci usiąść na twarzy?

Bone przymrużył oczy, patrząc pod słońce na stojącego nad nim, wyszczerzonego upiora. Potem zauważył dziewczynę, która bez uśmiechu obserwowała ich z niewielkiej odległości. Nawet olśniony słońcem nie mógłby przeoczyć znużonego luzu w jej oczach, twardej, uczciwej twarzy. Znow spojrzał na Cuttera.

– Musiałeś, nie? Nie mógłbyś sobie odpuścić.

– Ta sprawa nie chciała *nam* odpuścić.

– Alex, ty załgany skurwysynu.

Gdy Bone wstawał z leżaka, dziewczyna podeszła bliżej.

– Spotkaliście się już, jeśli się nie mylę – stwierdził Cutter.

Valerie Durant uśmiechnęła się z wahaniem. – Można by to i tak ująć.

– Jak się pani miewa? – akurat w tej chwili Bone'owi nie przyszło do głowy żadne mniej idiotyczne powitanie osoby, która dwa dni przedtem pochowała siostrę.

– Znośnie – wzruszyła ramionami. – Alex nie pozwala mi się nudzić.

– Ma do tego talent.

Tymczasem Cutter karykaturalnie reagował na nowe otoczenie, gapiąc się z rozdziawionymi ustami na wielki dom Little'ów, wystrzyżone trawniki, basen.

– Kurza melodia, synu – zaciągnął. – Ty się normalnie potrafisz urządzić, psiajucha.

Bone okrył się swoim wysłużonym, frotowym szlafrokiem.

– Jasne. Dwadzieścia minut temu tyrałem z łopataą na podwórzu.

– Popatrzcie państwo tylko – zakrzyknął Cutter, zadziwiony. – Jeszcze dwadzieścia minut temu pospolity robot. A teraz proszę bardzo, byczy się nad basenem. Czyż trzeba więcej dowodów na to, że nawet teraz uczciwością i pracą można dojść do bogactwa?

– Siądźmy może – Bone wskazał ocieniony parasolem stolik na końcu basenu.

– A ta stara lisica, która cię zatrudniła... – zaczął Cutter. – Jakiego właściwie masz na nią haka? Przyłapałeś ją na tym, że była wierna mężowi?

– Coś w tym stylu.

– Tak trzymać, młody.

Bone chciał właśnie usiąść, gdy zauważył, że Valerie nie ruszyła się z miejsca. Obrócił się i spojrzał tam, gdzie ona – na tyły domu, gdzie zobaczył Teresę stojącą tuż za lekkimi drzwiami z siatki i obserwującą całą ich trójkę.

– Jest jakieś inne miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać? – zapytała dziewczyna. – Gdzieś na osobności?

Bone chciał jej wyjaśnić, że nie ma sensu chować się gdzieś dla prywatności, bo to, co miał jej do powiedzenia, mógłby oświadczyć choćby i tutaj. Jednak jej wygląd i spokojne, otwarte spojrzenie nie prowokowały wrogości.

– Dobra – rzucił. – Chodźcie.

Poszli za nim do służbówki na tyłach garażu, gdzie wyciągnął flaszkę szkockiej, którą sobie zawłaszczył w rezydencji. Gdy szykował drinki dla wszystkich, Cutter znów zaczął udawać kmiota zadziwionego gwałtownymi postępami Bone'a w hierarchii bożych stworzeń.

– Jejku jej, Red Label – cmoknął. – Mówiłem ci, Val: trzymajmy się tego gościa, a skończymy obwieszani diamentami.

– Diamenty mnie nie obchodzą – odparła. – Nie po to tu przyszedłem.

Bone usłyszał w jej głosie wyraźną sugestię, żeby skończyli z pustą gadaniną i przeszli do konkretów. Cutter jednak najwyraźniej nie był jeszcze na to gotowy.

– Więc myślisz, że to wszystko to lepszy układ niż nasza wersalka – zagadnął Bone'a.

– Tylko Mo tu brakuje.

– A czynsz też jest taki przyzwoity?

– Mniej więcej w tej samej wysokości.

– A Bóg jest miłością – wyszczerzył się Alex.

Bone zerknął na Valerie, która usiadła w jedynym fotelu na wyposażeniu pokoju. Wciąż bardzo swobodna i opanowana wyjęła sobie papierosa, ostukała go i zapaliła. I nie wiedzieć czemu Bone stwierdził, że drażniło go to, iż nie było w niej ani jednej rzeczy, czy to w zachowaniu, w bezpośrednim i twardym spojrzeniu, czy nawet w odzieży (luźne, beżowe dzwony i biały sweter o grubym splocie), która sugerowałaby stratę, żalobę. Równie dobrze mogłaby tak przyjść na rozmowę kwalifikacyjną.

– Pewnie wie pan, czemu przyjechałam tu z Alexem – odezwała się.

– Mogę sobie wyobrazić.

– Zastanawiałam się, czy może zmienił pan zdanie. No, w kwestii tego, co widział pan tamtej nocy.

Bone pokręcił głową. – Nie. Wszystko bez zmian.

– Szczególnie zastanawiałam się, czy nie doszedł pan do wniosku, że widział pan właśnie tego całego Wolfe'a.

– Znaczący, J.J. Wolfe'a? Wielkiego przemysłowca?

– Tak.

Bone z uśmiechem spojrzał na Cuttera. – Ciekawe, skąd mogłaby wpaść na taki pomysł, he?

Cutter wzruszył ramionami, udając niewiniątko.

– Przykro mi, panie Bone, ale dla mnie ta sprawa bynajmniej nie jest śmieszna – ciągnęła Valerie. – To bardzo poważna rzecz.

Bone nie miał ochoty jej przeproszać.

– Nigdy nie sądziłem, że jest inaczej – odparł.

– On po prostu taki już jest – wtrącił Cutter. – Nic na to nie poradzi. Nie ma w sobie normalnych, ludzkich uczuć, nie to, co my.

– Prawda jest taka, że nie widzę powodu, by panią tym dręczyć – stwierdził Bone. – To ślepa uliczka. I Alex dobrze o tym wie.

– Mówił, że pan tak powie.

– Doprawdy? I coś jeszcze pani powiedziała?

– Jak z tym było. Znaczy, co pan powiedział. I jak pan potem wycofał się ze swoich słów.

– Teraz mówi pani o zdjęciu?

– Tak.

Bone wyjaśnił, że to nie było do końca tak.

– Naprawdę to tak tylko palnałem – tłumaczył. – Kiedy zobaczyłem zdjęcie w gazecie, chyba powiedziałem coś o tym, że facet wyglądał jak tamten... sylwetka... w uliczce. No, ale kiedy zobaczyłem, że mój tu obecny przyjaciel zaraz będzie miał zawał, ugryzłem się w język i próbowałem wyjaśnić mu, co właściwie miałem na myśli. A chodziło mi dokładnie o to, co mówiłem pani na komendzie i co powtórzę teraz: nie wiem, kto zabił pani siostrę. Nie widziałem twarzy tamtego mężczyzny.

Valerie przez jakiś czas siedziała nieruchomo, patrząc na niego w milczeniu. A wyraz jej twarzy mówił aż nadto dobitnie, że nie była ani trochę zaskoczona – ani też przekonana.

– Więc nie mówił pan serio – odezwała się w końcu. – Kiedy powiedział pan „To on”, to było po prostu takie palnięcie?

– Nie wydaje mi się nawet, żebym faktycznie powiedział „To on” – odparł Bone. – Naprawdę powiedziałem „To mógłby być on”, czy coś w tym stylu.

Valerie spojrzała na Cuttera, który kręcił głową.

– Jak rozumiem, woli pani jego wersję – zwrócił się do niej Bone.

Nie odpowiedziała.

– Cóż, oczywiście może pani wierzyć, w co zechce.

– Chciałabym móc *panu* wierzyć.

– Też bym tego chciał.

Valerie zgasła papierosa. – Więc, jeśli można, zapytam o jedno: mógłby pan uznać, że miał pan rację, choć nie miał pan po temu podstaw?

Bone odparł, że za nią nie nadąza.

– No, chodzi mi o to, że jeśli to, czego dowiedziałam się wraz z Alexem o Wolfie, wskazuje, że to faktycznie *był* on... czy wtedy mógłby pan zmienić zdanie?

- Na temat tego, co *widziałem*?

To, jak podkreślił ów czasownik, ewidentnie wystarczyło jej za odpowiedź, bo pokręciła głową, nawet zanim Bone zdążył to zrobić. Obróciła się do Cuttera, z ponurym, pytającym spojrzeniem.

- Mówiłem ci, młoda – powiedział jej. – Z kamienia krwi nie wyciśniesz.

Bone w milczącej odpowiedzi pokazał mu wyprostowany środkowy palec.

Tymczasem Valerie postanowiła podejść do tematu z innej strony: – Mimo wszystko chciałabym, żeby posłuchał pan, czego udało się nam dowiedzieć na temat Wolfe'a. To przecież nic nie szkodzi, prawda?

- A mam wybór?

Najwyraźniej nie miał, bo zrobiła tylko krótką przerwę na oddech.

- Cóż, przede wszystkim chyba pan wie, że Alex skontaktował się ze mną kilka dni temu, przed pogrzebem, a ja powiedziałam mu wtedy, że jestem zainteresowana sprawą, ale oczywiście musimy trochę poczekać.

- Aż siostra ostatecznie pójdzie do piachu. – Bone z miejsca pożałował, że to powiedział, choć w jej oczach widział nie tyle ból czy gniew, co raczej niecierpliwość.

- Owszem, aż pochowamy moją siostrę. W każdym razie wczoraj w bibliotece wyciągnęliśmy wszystko, co mieli na temat Wolfe'a: artykuł z „Time'a”, wpis do „Kto jest kim”, to przede wszystkim. Zrobiliśmy z tego kserokopie, żeby pan również mógł je przeczytać.

- Świetnie. Dziękuję. Już się nie mogę doczekać.

- Na przykład w tym artykule z „Time'a” napisali, że Wolfe lubi chodzić do robociarskich knajp, samotnie, i rozmawiać z „prawdziwymi ludźmi”, jak on to nazywa, innymi od tych typów po ekonomii na Harvardzie, których zatrudnia, żeby prowadzili jego koncern. I dalej... to dla nas ważne... piszą też, że ma w zwyczaju zabierać autostopowiczów, szczególnie młodych, bo lubi to, co *wnoszą*... to jego ulubione słowo.

- Rozumiem – rzekł Bone. – Cóż, w takiej sytuacji bez wątplenia jest winny.

Chciał być z nią szczery, ale tak się jakoś złożyło, że najlepszą obroną był werbalny atak.

- A Alex wspomniał już panu, że Wolfe był na tym koktajlu naprzeciwko Kamiennej Gąbki, tego lokalu, gdzie moja siostra była wcześniej tego wieczora. Jeśli wyszła stamtąd sama, na pewno łąpałaby stopa.

- Widzę ten związek...

– Wczoraj po bibliotece sprawdziliśmy z Alexem stacje benzynowe między blokami, gdzie zostawił zwłoki mojej siostry, a motelem Biltmore. Na jednej z nich, z sieci Union 76, zaraz przy drodze szybkiego ruchu, jeden z pracowników pamiętał, że sprzedał jakiemuś facetowi dwa galonowe kanistry i napelnił je benzyną... około północy, tego dnia, kiedy to wszystko się stało. Alex pokazał mi zdjęcie Wolfe'a z „Time'a”... tylko zdjęcie, nie mówiliśmy mu, kto to... ale nie miał pewności. Powiedział, że pamiętał o tamtym facecie tylko tyle, że miał na głowie czapkę golfową i okulary przeciwsłoneczne, choć przecież był środek nocy.

Teraz włączył się Cutter.

– Nadażasz teraz, Richard? Powiedzmy, że to ty jesteś Wolfe. Byłeś na koktajlu, łyknąłeś pić, może sześć luf, a ponieważ taki masz zwyczaj, wzięłeś taką nastoletnią autostopowiczkę. Zabijasz ją i porzucasz jej ciało Bóg wie dlaczego, może to był przypadek, ale nieważne, jaki by nie był twój powód, to już nieistotne. Ważne jest to, że masz ten wynajęty samochód, a w nim plamy krwi. I nie wiesz, czy ktoś widział cię razem z dziewczyną, czy kiedy jeszcze żyła, czy też kiedy pozbywałeś się zwłok. Więc co robisz? Pędzisz do pokoju w motelu, bierzesz mokrą ściereę i czyścisz wóz? Splatasz ręce na brzuchu i masz nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży? Nie, tak nie postępuje facet tak bystry, że z kurzej fermy w górach Ozark zrobił przemysłowe imperium. Nie, po prostu kupujesz sobie parę kanistrów benzyny, zawartość jednego wylewasz w samochodzie, drugi zostawiasz otwarty i wrzucasz zapalną przez uchylone okno. A potem wrzeszczysz, że to robota bojówkarzy. Że to jakiś popieprzony ekolog typu Ericksona dybie na twoje życie, chce cię zastraszyć. A policja, FBI i media oczywiście ci wierzą. Wszyscy ci wierzą. Bo masz szmal. Twoja jest potęga i chwała, dany od Boga dowód twej słuszności na wieki wieków amen.

Bone, zadziwiony, pokręcił głową. – Nie próżnowałeś, Alex.

– Żebyś wiedział.

Bone wstał i nalał sobie kolejną porcję whisky, zapalił papierosa. Robił to nie bez świadomości, że Valerie go obserwowała, niemal tak, jakby za chwilę miał wygłosić wyrok w jej sprawie. I wściekał się na to, bo cała ta poroniona afera nie była jego pomysłem, to Cutter zaczął, więc zdaniem Bone'a to Cutter powinien odpowiadać za wszelki ból, każde rozczarowanie, jakie mogłoby z tego wszystkiego wyniknąć. Póki co zatem postanowił grać w ich grę, pozwolił tej sprawie zdechnąć własną śmiercią, zamiast zarznąć ją w zarodku.

– Dobra, więc macie te nowe informacje i taką piękną, logiczną hipotezę –

powiedział. – Co dalej? Co chcecie z tym zrobić? Macie jakiś plan?

Valerie spojrzała na Cuttera z uniesionymi brwiami, jakby pytała go o zgodę, a on wzruszeniem ramion wyraził przyzwolenie.

– Szantaż – powiedziała.

Bone roześmiał się w głos.

– To znaczy, tylko *udajemy* szantaż – poprawiła się Valerie. – Jeśli Wolfe zapłaci, to już jest nasz. Możemy go zgłosić na policji.

Przez chwilę Bone nie odzywał się. Siedział na rogu łóżka, obserwując oboje gości, Valerie całą bezpośrednią i poważną, podczas gdy Cutter, co było do przewidzenia, robił za przeciwwagę, krzywym uśmiechem sugerując swoją zwyczajową chińską łamigłówkę pełną ironii, pozór ukryty wewnątrz fałszu w uludzie.

Bone zapytał więc Valerie, czy sądziła, że Cutter pójdzie na ten element jej planu.

– Uważa pani, że on nakręca tę sprawę tylko po to, żeby dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość? – dodał.

Jednak Valerie także na to miała gotową odpowiedź.

– Jeśli się okaże, że Wolfe faktycznie to zrobił, i jeśli zapłaci, Alex przyznał, że zapewne spróbowałby namówić nas, byśmy zatrzymali forszę i zostawili sprawę, jak jest, nie mieszała w to policji i w ogóle. Powiedział też jednak, że ostateczna decyzja należy do mnie, bo to była moja siostra, więc ja rozstrzygnę. I prawdę mówiąc, panie Bone, nie wiem, co wybiorę. Nie jestem pewna, jak miałyby się naprawdę dokonać sprawiedliwość: czy państwo ma wydać kolejny wyrok skazujący, czy też mam wziąć pieniądze dla siebie i dla mamy. Musiałyśmy się zapożyczyć na ten pogrzeb. Jesteśmy splukane. A ona choruje. Więc przyznaję, że nie wiem, jak bym w końcu postanowiła. Wiem tylko jedno: jeśli jest jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że to ten człowiek zrobił to, co spotkało moją siostrę... chcę, żeby za to zapłacił. On *musi* za to zapłacić. I nie bardzo mnie obchodzi, komu będzie płacił, nam czy społeczeństwu.

Bone dopił drinka. Wciąż jeszcze był wściekły, ale już w inny sposób, mniej na Cuttera, a bardziej na samego siebie, bo dziewczyna spowodowała, że poczuł się osobiście winny, jakby sprawił jej zawód.

– Gdybym miał się w to włączyć, to po to, żeby wam pomóc – stwierdził. – I to mi się podoba. Mam tylko jeden problem. Nie widzi mi się, że powinienem kłamać przed sądem, żeby pani nowy kumpel mógł się objąć na Ibizie...

Słyszac to, Cutter roześmiał się, płasko, niewesoło.

– Bone, ty świętoszkowaty bucu – rzucił. – Co ty, staje ci na myśl, że mam się przed tobą usprawiedliwiać? A kto ty jesteś, do cholery? Najszybsza pała na całej plaży? Wielkie mi co. To faktycznie uprawnia cię, żebyś prawil ludziom morały. Jak chuj.

Cutter wściekły od Cuttera kpiącego różnił się tylko doborem słów, ton głosu i wyraz twarzy nie ulegał najmniejszej choćby zmianie. Bone zawsze podejrzewał, że działo się tak dlatego, iż Alex żył wiecznie o włos od eksplozji furii, więc drobne wychylenie w jedną czy drugą stronę nie robiło mu żadnej różnicy. O ile jednak Bone już miał okazję widzieć i słyszeć cały ten show, dla Valerie była to nowość, więc teraz jawnie wstrząśnięta gapiła się na Cuttera, który przemierzał nieduży pokoik, szczerząc zęby i mamrocząc jak furiat.

– Powiem ci tylko coś, przyjacielu. Tylko ten jeden raz, wyłącznie dla jaj, dla osobistej rozrywki, myślę, że na chwilę, może dwie, dopuszczę cię do najściślej strzeżonego sacrum i dam ci dla odmiany posmakować prawdy, Richie, mojej prawdy, a wygląda ona po prostu tak: nie podoba mi się ten skurwysyn Wolfe i wszystkie inne skurwysyny w jego typie, ci, co to trzęsą tym światem, młody, bo już zbyt wiele razy ich widziałem, i widziałem też tych, którymi tacy ludzie potrzęsają. Widziałem pulchnych, bladych skurwieli w cywilnych łachach pod kamizelkami kuloodpornymi, których przywozili nam śmigłowcami z Long Binh, żeby mogli sobie popatrzeć, jak bniemy przez ryżowiska, upewnić się, że wszystko idzie gładko i po bożemu, mordowanie, rąbanka i zakładanie szwów, a potem każdy taki stęknął, pierdnął i wciskał się z powrotem do helikoptera, żeby wrócić do Waszyngtonu, na Wall Street czy do jakiegoś Burakowa i powtarzać: „Tak, róbmy tak dalej, Ameryko, jeszcze parę bomb i będzie po wszystkim, jeszcze tylko kilka urwanych rąk czy nóg”. I nie obchodzi mnie, czy robili to gładko, jak bracia Bundy*, czy po wsiowemu, jak senator Eastland czy ten buc Wolfe, bo jeden fakt nie zmieniał się i *wciąż* się nie zmienia: ci goście nigdy nie nadstawiali własnego tyłka, facet, co to, to nie. *Zawsze nasze, mój.*

* William Bundy – doradca prezydentów Kennedy'ego i Johnsona ds. polityki zagranicznej, oraz McGregor Bundy, który doradzał im w sprawach bezpieczeństwa narodowego.

Przerwał na parę chwil, żeby złapać oddech, stanął nad Bone'em, wciąż uśmiechnięty, rozedrgany.

– Więc mnie nie osądzaj, malutki, dobra? Nie szufladkuj mnie jako totalnego łowcy szmalu. Może na dziewięćdziesiąt procent masz rację. Jest też jednak trochę reszty, ta moja skromna dziesięcina furii, moje dziesięć centów wściekłości prosto z serca.

Bone nie rwał się do przeprosin. Z tak uzdolnionym aktorem jak Cutter nic nie było pewne na sto procent. Poza tym jeszcze był ten drobny detal, zadziwiające wyznanie, jakie zeszłej nocy złożył Alex przy jego łóżku: w tym świetle motyw dla szantażu wyglądał zupełnie inaczej.

– Więc po prostu wybierasz sobie jednego z nich – powiedział Bone. – Wybierasz go sobie i szantażujesz.

– To ty go wybrałeś! – odparł Cutter.

Bone zapalił kolejnego papierosa, wstał i podszedł do otwartych drzwi. Po drugiej stronie podwórza, w domu, znów zobaczył Teresę – pracowicie pucowała jedno z okien jadalni, co dawało jej niczym nieskrępowaną możliwość obserwacji lokum Bone'a. Mało brakowało, a pomachałby do niej, ale zaraz się rozmyślił. Obrócił się z powrotem do swoich gości, dochodząc do wniosku, że należało położyć kres ich rojeniom.

– Ten numer się nie uda – stwierdził. – Nie ma *prawa* się udać.

– A czemu, cholera, nie? – postawił się Cutter.

– Powiedzmy, że się okaże, iż nasz Wolfe jednak *jest* niewinny. Naturalnie z miejsca uderzy do policji. I co wtedy?

– Mówimy im prawdę – odparła Valerie. – Że w całej sprawie chodziło tylko o wykurzenie sprawcy, nic więcej. Próbowaliśmy się dowiedzieć, czy to czasem nie on.

– To wciąż próba szantażu, zbrodnia.

– Ale policjanci zrozumieją, dlaczego to zrobiliśmy, no, szczególnie w moim wypadku. Ona była moją siostrą. A nie mogliśmy pójść do nich z samymi podejrzeniami, bo pan *nie wie*, pan nie jest pewien, nie może pan *zeznać*, że widział mordercę.

– A oni tak po prostu wybaczą nam i zapomną o wszystkim, co? Wycofają oskarżenie, wyczyszczą nam kartotekę?

– A nawet jeśli nie, co z tego? – odparł Cutter.

– Ale druga strona medalu wcale nie jest lepsza – ciągnął Bone. – Znaczy, jeśli ten strzał w jednego ze stu okaże się trafny, jeśli Wolfe to faktycznie ten właściwy. Wiecie, on nie jest idiotą. Sami wspomnieliście, że zabił dechami fermę drobiu rozbudował w koncern, więc możemy spokojnie założyć, że potrafi sobie radzić w różnych sytuacjach. Cóż, jako winowajca jedno wie na pewno: że podpisał już zeznanie, iż tamtej nocy nie widziałem niczego innego, jak tylko zarys sylwetki. Żadnej twarzy. Ani jego, ani niczyjej innej. Więc jak mogę zmienić własne zeznania,

znaczy, jak to zrobić, żeby ktokolwiek w nie uwierzył? Nie da się. Wolfe musiały być totalnym idiotą, żeby zapłacić. W ten sposób przyznałby się do winy... a wcale nie musi się przyznawać.

Wyglądało na to, że Valerie wreszcie zaczęła mieć wątpliwości. Spojrzała na Cuttera, który oczywiście znalazł odpowiedź także na to.

– Pewnie, że to byłby idiotyzm – przyznał. – I dlatego mamy niemal sto procent gwarancji, że wypali. Bo tak właśnie zachowują się ludzie przerażeni: wyprawiają durne rzeczy. Widziałem, jak szczawie podnosili fanty po Wietkongu, które, jak *wiedzieli*, prawdopodobnie były podczepione do min-pułapek, ale i tak się za nie brali, i w nagrodę gryźli piach. Więc nie wyskakuj nam tu z logiką, facet. Jeśli Wolfe faktycznie jest tym, którego szukamy, już zdążył udowodnić, jaki jest durny, jak bardzo nie po kolei ma pod dachem. Jeśli go przyciśniemy, pęknie. Uwierz mi.

Bone przez jakiś czas wstrzymał się od odpowiedzi. Usiadł z powrotem na łóżku, niemal na nie klapnął, prawie jakby kapitulował, szykując się, by w odprężonej atmosferze zacząć wraz z gośćmi układać plany przyszłych działań. Zamiast tego jednak skręcił w boczną uliczkę i zniknął.

– No to pięknie. Jeśli czujecie się aż tacy mocni, śmiało. Nie jestem wam do niczego potrzebny. Powiedzcie mu tylko, że go widziałem... powinno wystarczyć. A w ten sposób odpadnie wam jeden chętny do podziału kasy.

Cutter prychnął wzgardliwie.

– Chodź, Val – rzucił, ruszając w stronę drzwi. – Jakbyśmy próbowali uwieść eunucha.

Stojąc w drzwiach, Valerie odwróciła się jednak do Bone'a.

– Zastanowi się pan jeszcze nad tym, prawda? – Po czym dorzuciła, jakby dopiero sobie o czymś przypomniała, swobodnie: – Pokazali panu jej ciało?

Bone pokręcił głową. – Nie było takiej potrzeby.

– Tak się tylko zastanawiałam. Bo gdyby pokazali, może jednak by pan do nas dołączył.

– Możliwe.

Tego wieczora wrócili do domu państwo Little, podjeżdżając tuż po siódmej lincolnem continental model IV. Bone leżał na łóżku i czytał to i owo, w tym również kserokopie artykułu z „Time'a” i notki z „Kto jest kim” na temat J.J. Wolfe'a. Dzięki temu widział, jak oboje wysiedli z wielkiego, szkarłatnego wozu.

Osobno, nie odzywając się do siebie, przeszli podjazd i weszli do domu, obecnie pustego, gdyż Teresa znów porzuciła anglosaską oazę spokoju na rzecz wzburzonych wód swojego domostwa. Pan Little był dla Bone'a pewnym zaskoczeniem, wyglądał bowiem na męskiego modela po pięćdziesiątce, a nie na jajogłowego wodorosta, który to typ ludzki był w dotychczasowym doświadczeniu Bone'a najczęściej spotykany wśród przedstawicieli usług komputerowych. Pan Little natomiast był wysoki i szczupły, mocno opalony, o krótko przyciętych siwych włosach. Emanował dokładnie taką aurą kudłatej męskości, władzy i powodzenia, jaką prezentowano w reklamach drogich marek whiskey i wielkich aut na stronach kolorowych magazynów.

Bone zastanawiał się, czy nie powinien czasem podejść do domu i przedstawić się nowemu pracodawcy, co przy okazji wykazałoby pani Little, że stawił się do roboty. Rozmyślił się jednak. Jeśli pani Little chciałaby przedstawić go mężowi, wystarczyłoby, żeby wpadła do garażu i wezwała Richarda do domu.

I po kilku minutach wydawało się, że tak właśnie się stanie – pani Little szybkim krokiem przeszła przez podwórze, zapukała raz do drzwi służbówki i weszła.

– Świetnie – rzuciła. – Wciąż tu jesteś.

– Wciąż?

– Rozmawiałam wczoraj z Teresą. Przez telefon.

– Nie wspominała mi o tym – wstał już z łóżka i rozważał, czy powinien zaproponować, żeby usiadła, ale odstręczało go jej zachowanie: była zdyszana i podekscytowana.

– Mąż bierze prysznic, więc pognałam, żeby powiedzieć ci o jednym: wolałabym, żebyście jeszcze się nie spotkali – wyjaśniła. – Powiedziałam mu, że najęłam nowego *chłopaka* do ogrodu.

Bone nie zdołał ukryć uśmiechu. – Więc nie chce pani, żebym wystawiał nos z garażu.

– Przynajmniej na jakiś czas, dobrze? Najwyżej godzinę. Potem będzie wyjeżdżał... rano ma spotkanie w Los Angeles.

– Nie ma sprawy.

– Ale kiedy już pojedzie, przyjdź do mnie do domu. To znaczy, jeśli chcesz. Naturalnie masz pełne prawo wychodzić i przychodzić, kiedy zechcesz.

– Nigdzie się nie wybieram.

– Świetnie. Wiesz co... to może wybierzemy się gdzieś na kolację? Konam z głodu. A ty?

- Przeważnie też.
- No to doskonale. Tylko, hm... masz marynarkę? Albo sportową kurtkę?
- Nawet dwie. Buty też.

Parsknęła śmiechem na te słowa, nadto gorliwie. – Doskonale. To do rychłego.

Znów samotny, Bone nie miał niczego lepszego do roboty, jak tylko kolejny raz przeczytać te kserokopie o Wolfe'ie. Notka z „Kto jest kim” była tak zwięzła, że niemal brutalna:

„WOLFE, J. JAMES prezes konc. ur. Rockhill, Missouri, 05.08.1929, syn Orala W, i Sary z d. Russell. Ślub z Olive Field Hawley 15.12.1949; dzieci: J. James jr., Oral C, Virginia F., Harlan J. Założyciel i prezes Spółdzielni Drobiowej Ozark (1949-1955); założyciel i prezes Targów Ozark SA (1953-1958), założyciel, dyrektor i prezes Wolfe Enterprises, Inc. (1959–). Członek Amerykańskiego Tow. Menedżerów Sprzedaży, Amerykańskiej Izby Drobiowej, Klubu Kiwanich. Adres pocztowy: Doręczyciel wiejski, Rockhill, Missouri. Adresy biur: 64840 Rockhill, Missouri; ul. 42 Wschodnia nr 109, 10017 Nowy Jork; Unicorn Drive 407, 90028 Hollywood, Kalifornia.”

Ta skondensowana, uporządkowana lista faktów obok opisu J.J. Wolfe'a w magazynie „Time” wyglądała jak diagram wyrysowany przez trenera na tablicy w porównaniu do krwi i zgiełku autentycznego meczu futbolowego. Artykuł dotyczył nie tyle samego Wolfe'a, co całego nowego pokolenia „koncernowców”, jak ich nazwał reporter magazynu. Wolfe był po prostu jednym z nich, i to raczej płotką w porównaniu do postaci typu Perrota, Linga czy Vesco, ale nieźle się prezentował na zdjęciach i dobrze się go cytowało, więc trafiło mu się gwiazdorskie miejsce, fotos na okładce i panel na całą stronę w środku artykułu, w którym z tradycyjną dla „Time'a” banalną zręcznością opisano Wolfe'a jako ojca, męża, hodowcę bydła, lotnika, geniusza biznesu ze słomą w butach.

Zasadnicza historia przedstawiona w artykule i panelu była dość prosta, wręcz sztampowa. Wolfe urodził się w południowo-zachodniej części stanu Missouri, w piątym pokoleniu biednych jak kościelne myszy wsioków, którzy wierzyli w świętą trójcę w postaciach wysokoprocentowego alkoholu, zawistnego Boga, i przede wszystkim „krwi”, pojęcia, którego konkluzją była automatyczna nieufność i nie-nawiść do wszystkich, z którymi nie było się złączonym więzami krwi. Mężczyźni byli drwalami, hodowcami drobiu i myśliwymi, kobiety były w ciąży, a dzieci, jak sam Wolfe, rzadko kontynuowały edukację poza obowiązkowe osiem klas, rzucając ją na rzecz hodowli drobiu lub regularnych cięż.

Sam J. J. Wolfe był jednak już od początku inny od pozostałych, niemal odmiennego *rodzaju*, istny mutant. Gdy jego ojciec, bracia i wujkowie polowali, pili i snuli marzenia, on zbudował pierwsze zautomatyzowane kurniki i hale niosek w okolicy, potem pokazał innym okolicznym hodowcom, jak to się robi, i w końcu zorganizował ich w spółdzielnię sprzedawców, która błyskawicznie objęła swoim zasięgiem Arkansas na południu i Oklahomę na zachodzie. W wieku dwudziestu lat, jako prezes liczącej czterystu członków Spółdzielni Drobiowej Ozark, za pożyczone pieniądze uruchomił firmę paszową. W teorii miała ona dostarczać tańszą karmę członkom spółdzielni, lecz w rzeczywistości spętała ich kontraktami, które na dobrą sprawę dały Wolfe'owi władzę nad każdą z ich ferm, nie tylko dyktując rodzaj i cenę paszy, jaką kupowali, ale też gdzie, kiedy i z jaką marżą mogli sprzedawać jaja i brojlery. Dzięki temu około dwudziestego piątego roku życia Wolfe miał już w kieszeni sporą część krajowego rynku drobiowego i szybko posłużył się nią, by zdobyć pakiet kontrolny w niewielkiej sieci supermarketów, później w większej, aż w końcu przeszedł na dyskonty i zupełnie inne dziedziny przedsiębiorczości.

Jako trzydziestolatek miał już tyle różnorodnych interesów, że celowe stało się założenie Wolfe Enterprises, Incorporated – holdingu, który według raportu „Time'a” był obecnie istotnym graczem w niemal wszystkich sektorach gospodarki Stanów Zjednoczonych. Wolfe był największym producentem drobiu i produktów pochodnych w skali kraju i drugim na liście wytwórców paszy dla bydła; jego udziały w sieciach supermarketów i dyskontów dawały w sumie niemal czteroprocentowy udział w *całości* handlu detalicznego w Stanach, a jak to ujęto w artykule, „siedział” też w bankach, przemyśle drzewnym, energetyce i telekomunikacji. Innymi słowy, koncern. I czytając między wierszami artykułu, Bone odniósł niejasne wrażenie, że ów koncern trzymał się w jednym kawałku głównie dzięki papierom, taka krzywa wieża kredytów.

J.J. Wolfe jako osoba nie wydawał się wcale Bone'owi bardziej interesujący niż od strony korporacyjnej. „Time” próbował zrobić z niego troskliwego ojca rodziny, artykuł wzmiankował też jednak, że facet spędzał wiele czasu poza domem, przeważnie w Nowym Jorku i Hollywood. Strasznie rozdmuchiowano jego „małomiasteczkową proslinijność”, to, że z reguły nie nosił krawata, na lunch lubił sobie zjeść hamburgera, a garnitury kupował prosto z wieszaka w swoich dyskontach. Wspomniano również ten jego zwyczaj odwiedzania robociarskich barów i brania autostopowiczów, bo dzięki temu mógł „dowiedzieć się o ludziach o wiele, cholera, więcej, kiedy myślą, że gadają z durnym wsiakiem... którym zresztą

przecież chyba jestem, nie?” Zamieszczono też jego zdjęcia z rodziną na ich farmie bydła, zajmującej ponad tysiąc dwieście hektarów gruntu w pobliżu jego rodzinnego miasta w Missouri, jak również fotografię Wolfe'a w kasku, na inspekcji w nowej fabryce. Te zdjęcia jednak nie wzbudzały w Bone'ie żadnych uczuć. Widział na nich tylko kolejnego giganta przemysłu, napawającego się własnym sukcesem. I o dziwo, ta postać zupełnie nie przystawała również do osoby uwidocznionej na zdjęciu w gazecie z Santa Barbara, jak też do sylwetki, którą Bone zauważył w ulicze. Wszyscy oni wydawali się obcy, i sobie nawzajem, i jemu.

Podobnie jak lepsze spodnie, także obie sportowe kurtki w garderobie Bone'a pamiętały jeszcze czasy, kiedy był wiceprezesem od marketingu w Milwaukee. Kupił je, drogie, ze średnio grubej tkaniny, w sklepie sieci MacNeil and Moore's w hotelu Pfister. Wciąż jeszcze nie przynosiły mu wstydu, choć były powyciągane, przybrudzone i przecierały się na rękawach, co ostatnimi czasy zmuszało go, by częściej wybierać tę ciemniejszą, granatowy blezer, a to z kolei narzucało szare spodnie od Farah i wierną koszulę w miętowozielone prążki. Nie czuł się zatem zupełnie wystrzałowo, kiedy czekał w pokoju wypoczynkowym Little'ów, sącząc martini i oglądając odcinek „M.A.S.H.” na ekranie telewizora wielkości sarkofagu, gdy tymczasem pani Little, ukryta w którejś innej części domu, kończyła pracę nad własnym kamuflażem.

I gdy po kilku minutach zeszła po schodach z piętra, Bone musiał docenić skuteczność jej zabiegów. Z oddali wyglądała na olśniewającą trzydziestopięciolatkę: burza lśniących, czarnych włosów, ocienione długimi rzęsami oczy i wilgotne wargi, w sumie niemal lepki, latynoski seksapil, chyba jeszcze spotęgowany wieczorowym komplecikiem w kolorze stonowanego beżu. W jej uśmiechu nie było jednak nawet cienia kamuflażu. Wyglądała na szczęśliwą i podekscytowaną, do tego stopnia, że Bone'a zadziwił jej talent do oszukiwania samej siebie.

- Gotów? – zaśpiewała.
- Pewnie.
- Chciałbyś się wybrać w jakieś specjalne miejsce? Gdzieś w centrum, na przykład?
- Niech pani wybierze.
- Więc może coś na uboczu?
- Doskonale.

– Jest takie jedno miejsce na południu, nad oceanem – powiedziała, gdy wychodzili tylnymi drzwiami. – Tuż za Carpenteria. Nowa, mała knajpka, a jedzenie... cóż, powiem tylko, że drinki mają spore.

– Dla mnie bomba.

Przy garażu rzuciła mu kluczyki do auta. – Ty prowadź, co? Wiesz, zaliczyłam już parę martini... tak żeby szybciej rozkręcić wieczór.

– Jasne.

Samochód, jeden z najnowszych modeli buicka century, miał chyba całe możliwe wyposażenie dodatkowe, w tym elektrycznie rozkładane siedzenia, co pani Little natychmiast wykorzystwała, rozciągając się niemal całkowicie poziomo, gdy tymczasem Bone wyjechał z garażu i ruszył do bramy.

– Jakże się cieszę – stwierdziła. – Jakże się cieszę, że ten skurwysyn jebany już pojechał.

„Nowa, mała knajpka”... faktycznie, tylko tyle dało się o niej powiedzieć, a drinki wcale nie były większe czy mocniejsze niż w innych okolicznych restauracjach. Bone doszedł jednak do wniosku, że ten lokal oferował dyskrecję – dojmujący brak renomy dawał niemal pisemną gwarancję, że pani Little nie spotka tu nikogo, z kim nie chciałaby się spotkać. A Bone był niemal przekonany, że do tej grupy ludzi należeli nie tyle sąsiedzi czy przyjaciele jego mocodawczyni, co raczej klienci jej męża i jego partnerzy w interesach, osoby niezmiernie istotne, bo gdyby nie one, pani Little nie mogłaby sobie pozwolić na wynajmowanie „chłopaków” do opieki nad zielenią. O ile jednak troszczyła się, by nie zaszkodzić mężowi w interesach, jego reputacji nie darzyła podobną atencją, więc zaraz po tym, jak podano im drinki, a oni sami rozstrzygnęli kwestię zwracania się do siebie (miał jej mówić Beth, a nie „pani Little”, a ona jemu Richard albo Rich, nigdy Dick, bo tego nie znosił), natychmiast podjęła kwestię poruszoną w czasie jazdy.

Jack Little był skurwysynem nie do wytrzymania, koniec i kropka. Spędziła z tym typem trzy dni w San Francisco, a on nawet jej nie pocałował, uwierzysz, Rich? Gdy zabrał ją na kolację, nic, tylko siedział, miętolił płatek ucha, a w myślach rozbierał i dymał każdą panienkę na sali... a Beth tylko piła – za dużo, jak sama przyznała. Podobnie jak tego wieczora. Tyle że dziś piła dla zabawy, dlatego, że miała dobre samopoczucie, a nie złe, a to była olbrzymia różnica.

– Ten typ myśli tylko o interesach – poskarżyła się. – Nic, tylko biznes, od czubka kudłatego łba po stopy prosto od pedikurzystki. Nawet seks to dla niego interes. Mówi, że niepotrzebne mu czasochłonne i stresujące romanse, więc ogranicza się do kurew, uwierzysz? Poważnie. Ba, wręcz się tym chwali: najlepsze call girls, mówi, dwadzieścia-dwadzieścia pięć lat, profesjonalistki, sprawne i czyste. Stówa, sto pięćdziesiąt za strzał. Babach, raz, dwa i skończone, można wracać do interesów.

Podobnie jak pani Little, Bone również opróżniał szklanekę za szklanką, i to martini. Coś mu mówiło, że tej nocy bez nich byłoby ciężko.

- I rozmawia o tym z tobą? Tak po prostu?
- O swoim życiu seksualnym? Ależ oczywiście. Jest z tego dumny.
- No, to już coś.
- Tak... jasne, to nas zbliża.
- I nie ma niczego innego? Dzieci, na przykład?

Pociągnęła spory łyk martini i odwróciła wzrok. Wyraźnie trafił w czuły punkt.

- Dwoje – odparła. – Syn i córka.
- Gdzie są teraz?
- Chłopiec w college'u – teraz cierpienie w jej obłożonych grubą tapetą oczach było odsłonięte, obnażone. – A córka wyszła za męża. I ma dwójkę własnych dzieci, co, jeśli się nie mylę, robi ze mnie babcie, prawda?

- Niby tak.
- Ale jestem babcia, czy nie?
- Liz Taylor też jest babcia.
- To jednak nie jest odpowiedź.
- Więc ujmę to inaczej: są babcie i babcie.
- Więc co, nie przejmujesz się tym? Nie uważasz, że to śmieszne?
- Co takiego?
- Ty i ja. Różnica wieku między nami, a my tak razem.
- A tobie to przeszkadza?
- Właściwie to nie.
- Więc czemu miałoby mi przeszkadzać? Jeśli komuś się to nie podoba, do diabła z nimi.

Znów się uśmiechnęła. – Mój Boże, atrakcyjny jesteś, wiesz? I miły.

- Oczywiście.
- Strasznie się cieszę, że się wycofałeś, czy jak to sobie nazywasz. Może dla

ciebie nie był to najlepszy obrót rzeczy, nie mam pojęcia. Ale dla mnie, dziś wieczorem... – z zażenowaniem wzruszyła ramionami. – Chyba jestem lekko wstawiona.

– Po to się pije.

Kelnerka przyniosła ich posiłek: *filet mignon* dla Bone'a, homara dla pani Little. Gdy znów zostali sami, Beth zaproponowała, żeby pospieszyli się zjedzeniem.

– Chcę wrócić do domu – stwierdziła. – Chcę, żebyśmy *oboje* wrócili.

Bone spojrział na nią, na wilgotne, pożądliwe oczy, na kąciaki ust rozedrgane od niepokoju.

– Jasne – powiedział. – Ale wszystko w swoim czasie, prawda? Najpierw jemy.

– A potem?

Jednak niezupełnie mógł spojrzeć jej prosto w oczy. – Do domu.

– *Tak* – powiedziała to jak panna młoda przy przysiędze małżeńskiej.

Nie minęła godzina, a Bone znów znajdował się w pokoju rozrywkowym państwa Little, tyle że tym razem próbował rozpalić w wielkim kominku z polnego kamienia. To pani Little wpadła na ten pomysł: „Noc taka chłodna, a my tylko we dwoje, idealna okazja, żeby napalić”. Nie wzięła tylko pod uwagę, że po pięciu kolejkach martini i lufie whisky dłonie słuchały się go tak, jakby założył rękawice hokejowego bramkarza. Na szczęście bierwiona były dokładnie takie, jak tamte kupione dla Mo – prasowany papier, który palił się „tęczą kolorów”. Z ich zapaleniem było mniej problemów, więc w końcu udało mu się wykonać zadanie. Wtedy zdołał dotrzeć do barku pod przeciwległą ścianą, gdzie wrzucił do szklanki trochę lodu, zalał wódką i ostrożnie uniósł napitek do warg. Śmiejąc się pod nosem, stwierdził, że akurat tej jednej nocy na pewno nie stanie, jak to ujęła tamta nauczycielka, na wysokości zadania. Nie, zademonstruje smutny zwis i zwali wszystko na gorzałę. Jeśli baba zacznie jojczyć i marudzić, trudno. Z głodu nie umrze. Zawsze mógł wrócić do Cuttera, nie? Do Cuttera i J.J. Wolfe'a. Znów prychnął śmiechem.

I wtedy właśnie pani Little miała swoje drugie wejście tego wieczora, tym razem niepewnie zstępując po schodach w jaskrawoczerwonej, półprzezroczystej piżamie, która przypomniała Bone'owi nagranie z czasów, kiedy chodził do liceum, stary skecz Lenny'ego Bruce'a. Lenny opisywał w nim starszą panią w „takiej bluzce, że można było przez nią to i owo zobaczyć... ale bardzo się chciało nic nie widzieć”.

Podobnie jak Bone, pani Little najwyraźniej również potrzebowała lufy dla kurażu, bo zamasyżycie podeszła do barku i nalała sobie brandy, przez cały czas popatrując na swojego nowego chłopca do ogrodu z niemal ponurym erotycznym wyczekiwaniem. Szybko opróżniła kieliszek, upuściła go na barek i ruszyła zygzakiem w stronę Bone'a przez szeroki dywan o długim włosiu. W połowie drogi zaczęła jednak drobić kroczi, niczym japońska służąca. A potem w ogóle się zatrzymała, zastygła pośrodku pokoju, a jej wymalowana twarz zniecka przybrała barwę drzewnego popiołu. I nagle Beth obróciła się i rzuciła przez pokój ku łazience piętro niżej, gdzie zaczęła zwracać kolację, sądząc po odgłosach, z co najmniej siedmiu dań. Bone wiedział, że te dźwięki powinny go cieszyć, jak gong ratujący boksera na koniec rundy. Jednak jedynym, co teraz czuł, była odraza.

Na zimno, z rozmysłem dał jej wyraz – w trzech szybkich krokach podszedł do jednej z rzeźb pani domu, wyglądającej jak pospawany na sztywno i najeżony wnętrzościami zegarów łańcuch od roweru, i kopnął ją tak, że wraz z postumentem przeleciała przez pokój i utłukła kawał narożnika z telewizora.

Wtedy, czując się lepiej, poszedł do łazienki i przyjrzał się swojej nieszczęsnej chlebobawczyni. Stała o krok od toalety, jakby bała się wielkiej kałuży paskudztw, które z siebie wydalila. I pojękiwała.

Bone nie bardzo wiedział, co jej powiedzieć.

– Nie czujesz się najlepiej, co? – spróbował.

To sprawiło tylko, że zajęczała głośnie.

– Oj, faktycznie, paskudna sprawa – przyznał, odklejając się od drzwi i szykując do odwrotu. – No to trzymaj się ciepło. Do zobaczenia jutro.

– Nie możesz teraz wyjść!

– Nie? A czemu?

– Bo mam mokrą piżamę!

– To ją zdejmij.

– Szlafrok... Przynieś mi z góry szlafrok.

– Jasna sprawa.

Jedyny szlafrok, jaki zauważył w jej pokoju, należał do mężczyzny: był ciężki i nie prześwitywał, więc Bone nie byłby narażony na kolejne niechciane widoki. Nie szukał dalej. Zszedł z powrotem na dół i zastał panią Little w ukryciu za drzwiami łazienki, skąd wystawiła tylko rękę po podomkę. Kreacja od Frederick's of Hollywood leżała w wannie, zwinięta w kłęb.

– No, teraz sobie poradzisz – rzucił z nadzieją, znów kierując się do wyjścia. A jednak się sprzeciwiła. – Nie. Pomóż mi wejść na piętro.

Nie rozumiał, czemu nie miałyby poradzić sobie z tym sama, ale skoro nie zamierzał wylądować już jutro na bruku, znów mruknął „Jasna sprawa” i pomógł damie w tarapatach wspiąć się po schodach i dotrzeć do pokoju, gdzie zwała się na łóżko i pociągając nosem, to błagała go o wybaczenie, to grała *la grande dame* wstrząśniętą własną nieporadnością.

– Nie pojmuję, co się mogło stać... nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego. W życiu.

A zaraz potem niezgrabnie spróbowała go capnąć, ale ze znużeniem wymknął się z uścisku.

– Wciąż śmierdzisz rzygami – wyjaśnił, u szczytu swych łóżkowych manier.

– No to wynoś się stąd w cholerę – zaczęła marudzić. – Baw się sam z sobą.

Zaczął wstawać, ale złapała go za rękaw kurtki i nie dała się odczepić.

– Nie, Joe, sieś sobie tutaj – wymamrotała, sklejjając słowa razem. – Sieś tu i szymaj mnie za rękę.

Bone był na tyle trzeźwy, żeby zdawać sobie sprawę, iż to nie on był tym Joe, ale i tak usiadł na brzegu łóżka i ujął ją za dłoń. I nagle poczuł potworne znużenie. Niczego na świecie nie pragnął tak bardzo, jak tego, by położyć się obok niej i zasnąć, ale nie zamierzał wpakować się w pozycję, która mogłaby doprowadzić do seksualnej próby sił.

– Pewnie myślisz, że mi ftyd – mruknęła. – Pewnie myślisz, że wyglądam choszmaranie.

– Ależ skąd.

– Sranie w banię, alesz skąd, Joe. Pewnie, że wyglądam choszmaranie... dobrze wiem. Ale nie zawsze, wierz mi. Wiesz, na kogo patrzysz, Joe? Masz jakieś pojęcie?

– Ani cienia.

– Na misskę, wiesz. Miss Monmouth College roku tysiąc ziewięćset szter... – zachichotała, ubawiona własną głupiotką pomyłką – pięśiesiątego piątego. Dawno temu, nie?

– Gratulacje – odparł Bone.

– Mówili na mnie „płonące wargi”, Joe, tak było.

- Płonące wargi, tak?
- Ciało nie do zmęczenia, mówię ci.
- Wciąż tak jest.
- Szebyś wiedział – i uśmiechnęła się do wspomnień. – Ale te Teksańce... to

była banda napaleńców, co nie? Mieli taką aukcję, rozumiesz. Zbierali pieniądze, nie wiem, na co... nie pamiętam... i wiesz, na sso mnie namówili?

- Nie.
- Ssriptiz, a jak! Ale tylko do bielizny, no wiesz. Wtedy jeszcze nie byliśmy takie superne śfinie.
- Stare dobre czasy.
- A szebyś, kurna, wiesiał.
- Znowu?

Od tego momentu Bone mówił tak mało, jak tylko mógł, a z czasem miłe wspomnienia pani Little zaczęły tracić swą moc, a jej oczy zamykały się ciężko i otwierały z trzepotem – widocznie powieki nie dawały już rady unosić półcalowych sztucznych rzęs. W końcu Bone po koleżeńsku poklepał ją po ramieniu i na paluszkach wyszedł z pokoju. Właśnie miał ruszyć w dół schodów, gdy jej głos przeszył go jak harpun:

- Jutro w nocy snów spróbujemy, co? Nie będę asz tyle piś.

Na te słowa Bone uniósł wzrok do nieba, bezmyślnie parodiując rozterkę, i natchmiast pojął, jaki popełnił błąd – pijacki błąd. Prawą stopą nie trafił w następny stopień i resztę wyłożonych dywanem schodów pokonał, koziółkując, aż w końcu konkretnie trzepnął głową w ostatni słupek balustrady. I leżał tam – miał wrażenie, że całymi minutami – zastanawiając się, czy powinien rozdziawić usta i wrzeszczeć, czy też wbiec na górę i zatłuc chlebobawczynię jedną z jej własnych rzeźb. Zamiast tego jednak wstał i poszedł do kuchni, gdzie zdjął ze ściany słuchawkę i wybrał numer.

Dla odmiany tym razem odebrał Cutter, ziewając i marudząc.

- Tu Rich – powiedział mu Bone. – Zmieniłem zdanie.
- W kwestii?
- Wolfe'a.
- Za późno, facet.
- Czemu?
- Właśnie podciąłem sobie nadgarstki.
- To wyciągaj plaster – poradził mu Bone.

5.

Późnym rankiem następnego dnia Bone zaparkował pickupa pani Little na ulicy Alvarez i podszedł do miejsca, z którego najpierw zauważył, jak tamten mężczyzna skręcał w uliczkę pod blokami. Przez chwilę stał tam, przenosząc wzrok z opustoszałej alejki na trzymane w dłoni gazetowe zdjęcie J.J. Wolfe'a przy wypalonym aucie, i z powrotem.

Przeszedł chodnikiem kawałek dalej i powtórzył tę procedurę. A potem jeszcze raz. W końcu zawrócił i poszedł z powrotem do samochodu. Pojechał ulicą Anacapa na południe, dotarł do skrzyżowania z drogą numer 101 i skręcił w lewo. Przy pierwszym zauważonym znaku sieci Union 76 zjechał z drogi szybkiego ruchu i zatrzymał się pod stacją. Na tej zmianie pracowało dwóch facetów, jeden mniej więcej w wieku Bone'a, drugi chyba jeszcze przed dwudziestką. Obaj zdrowo zasuwali, usiłując nadążyć z obsługą stale nadjeżdżających klientów. Bone nie miał więc wyjścia, musiał uzbroid się w cierpliwość i poczekać, aż nadarzy się przerwa w tankowaniu benzyny, żeby spróbować zatankować nieco informacji. Powiedział tamtym, że pracuje dla tego gościa ze zdjęcia. Może jeszcze pamiętają, jak na początku tygodnia pisano w gazetach o tym, że ktoś podpalił wóz J.J. Wolfe'a? Potraktowali go jak natręta, nawet nieco wrogo, ale to Bone'owi nic nie dawało. Więc naciskał dalej. Szef chciał wiedzieć, czy ktokolwiek dokonał tamtej nocy, znaczy w poniedziałek, jakichś niezwykłych transakcji. Może na przykład ktoś kupił na wynos parę galonów benzyny? Bone dodał, że istniała również możliwość, iż ktoś taki musiał też kupić przy okazji kanistry.

Oczywiście naprawdę chodziło mu o to, że akurat ta fotografia Wolfe'a odświeży im wspomnienia – wyglądał na niej inaczej niż na zdjęciu z „Time'a”, które pokazał im Cutter, a przynajmniej tak twierdził. W końcu ten nastolatek puścił farbę. Owszem, pamiętał, że w poniedziałkową noc sprzedał jakiemuś typowi parę kanistrów i napełnił je benzyną, ale niezbyt dobrze mu się przyjrzał.

- Miał ciemne okulary i czapkę golfową – powiedział. – Tylko tyle pamiętam.
- A jak był ubrany? W garnitur?

– Przecież ci tłumaczę, facet, że nie pamiętam, mieliśmy tamtej nocy urwanie głowy.

– Może chociaż sportową kurtkę – naciskał Bone. – Albo marynarkę.

Młody wzruszył ramionami. – No, chyba marynarkę. A pod spodem koszulkę.

– To wszystko?

– Tak, koszulkę z tym durnym świniakiem.

– Jakim znowu świniakiem?

– A co ja, farmer?

– Może to był Prosiak Porky, ten z kreskówek Warnerów?

– *Świniak* i tyle. Po prostu świniak, kurwa jego mać.

Bone znów pokazał mu zdjęcie Wolfe'a. – A nie przypominał aby czasem mojego szefa?

– Przecież właśnie ci tłumaczyłem, że nie przyjrzałem się facetowi za dobrze – młody z irytacją pokręcił głową. – Kurna, wszyscy by chcieli coś o nim wiedzieć. Wczoraj ten pieprznęty kaleka, a teraz ty.

– Wszystkim jest ciężko, takie czasy – odparł Bone.

Ze stacji benzynowej pojechał na Cabrillo Boulevard. Znow zaparkował pickupa i ruszył w poprzek szerokiej plaży nad brzeg oceanu, tam gdzie zlepiiony, twardszy piasek ułatwiał chodzenie. A czuł, że musi się przejść. Musiał pomyśleć, potrzebował wtłoczyć w krew nieco porządnego, czystego tlenu, żeby zwalczyć toksyczne pozostałości po ochłaju zeszłej nocy. Wspomnienie własnego kaca poprowadziło nieuchronnie do myśli o nieszczęsnej pani Little, przykutej do łoża bóleści w Montecito. Rano podszedł do jej pokoju, żeby zapytać, czy może skorzystać z pickupa, żeby załatwić kilka prywatnych spraw, ale była zaprzątnięta zupełnie czym innym.

– Moja głowa! Mój brzuch! Moje nogi! – Ikała.

Bone zaproponował, że coś dla niej zrobi, na przykład jajecznicę. To jednak sprawiło tylko, że zaczęła głośniej jójceć. Pośród tych udręk zdołała jednak odpowiedzieć na prośbę Bone'a – owszem, jeśli chciał, mógł zabrać tego cholernego pickupa. Mógł go sprzedać, zezłomować, wsadzić go sobie, miała to gdzieś.

Kiedy tak szedł plażą, próbował poukładać sobie w głowie, co właściwie zrobił i z jakiego powodu. Nawet jeszcze urżnięty, po nocnej rozmowie z Cutterem z

poprzedniego dnia, zakładał, że gdy tylko obudzi się rano, zaraz odkręci całą sprawę, ponownie zadzwoni do Alexa i wytłumaczy, iż tylko tak żartował, że po pijaku naszło go o północy na głupie pomysły.

Nie zadzwonił jednak, nie rozmyślił się; i spotkał się rano z Cutterem. Mimo kaca odkrył, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczynający się dzień nie był tylko czymś, co musiał przeżyć, czy tego chciał, czy nie, ale terenem, który istotnie budził w nim zainteresowanie, polem pełnym nieznanym, a intrygujących możliwości. A kiedy zastanowił się nad tym fenomenem, nie potrafił znaleźć lepszego powodu dla tego stanu rzeczy, niż podejrzenie, że wciąż nie wierzył własnym oczom. Bo wciąż pamiętał, że tamtej nocy widział tylko mroczny zarys postaci. Wiedział też jednak, że gdyby miał obstawić zakład, do kogo mogła należeć ta sylwetka, bez większych oporów postawiłby na J.J. Wolfe'a. Musiał zatem przyjąć, że świadoma część umysłu przeoczyła tamtej nocy coś, co jednak nie umknęło podświadomości. Musiało być coś takiego, jakiś widoczny znak, zjawisko tak dyskretne i ulotne, że nie zarejestrował go inaczej, jak tylko podświadomie. Sprowadzało się to do *uczucia*, że to właśnie Wolfe'a wtedy widział. I tyle. Ale to już wystarczało.

Nie miał pojęcia, co dalej miałby z tym zrobić i czy w ogóle chciał zrobić cokolwiek. Oczywiście zasadniczą sprawą były tu pieniądze, marchewka całej sprawy. Nawet przez chwilę nie traktował poważnie stanowczych zarzekań Valerie, że chodziło tylko o wymierzenie sprawiedliwości winnym. Nie, był pewien, że Val weszła w to z tego samego powodu co i Cutter, a teraz być może także i on – żeby zrzucić brzemień życia w nędzy na tym słonecznym padole zamożności. Już od jakiegoś czasu indeksy giełdowe szorowały po dnie, bezrobocie wzrosło, i gdy tylko wszedł do jakiegoś baru czy odwiedził imprezkę (mniej lub bardziej rozbieraną), zaraz słyszał jeremiady o nadciągających katastrofach, kryzysie gospodarczym, głodzie i załamaniu się systemu politycznego. Nawet gdyby tylko ułamek tych przepowiedni okazał się prawdą, Bone nie zamierzał próbować przetrwać w takich czasach jako starzejący się ogierek z plaży ubrany w dary z Armii Zbawienia. Nie, podobnie jak wszyscy inni potrzebował własnego schronienia, a nie zanosilo się na to, żeby miał na to zarobić w któryś z tradycyjnych sposobów, na przykład znajdując stałą posadę. Cóż – może przyjdzie mu zwrócić się o pomoc do J.J. Wolfe'a. Może, jak ludzie uwięzieni na Przełęczu Donnera*, będzie musiał przestać myśleć o sobie

w pewnych kategoriach, i zacznie robić to, co konieczne, żeby przetrwać w jakikolwiek sposób.

* Przełęcz, na której zimą 1846-1847 została odcięta grupa 87 ludzi pod przywództwem George'a Donnera, z których 41 zmarło przed nadejściem wiosny. Niektórzy z ocalałych, by przeżyć, jedli ludzkie zwłoki.

Oczywiście Bone zdawał sobie sprawę, że cały ten plan opierał się na dwóch niezupełnie uzasadnionych założeniach: po pierwsze, że Wolfe jest winowajcą, i po drugie, że jest zdrowy na umyśle, na tyle rozsądny, że ustąpi przed wymuszeniem, a nie spróbuje zniszczyć szantaż u źródła bądź pięknie pod presją i pójdzie się przyznać do wszystkiego przed policją. Naturalnie, nie było jak zweryfikować punktu pierwszego – tutaj odpowiedzi musiałby udzielić sam Wolfe. Jednak co do drugiego założenia, łączącego winę z poczytalnością, Bone nie widział powodu, dla którego sprawca nawet tak brutalnego mordu nie miałby być osobą całkowicie racjonalną. Swoją drogą nie sądził również, by tego morderstwa nie można było postrzegać w kategoriach banalnego wypadku, nie zaś celowego aktu psychopaty, jak najwyraźniej uważali wszyscy inni ludzie. Sperma w przełyku dziewczyny w żadnym stopniu nie była podstawą do teoretyzowania o psychopatycznych mordercach. Sam Bone przez lata zabrał liczne młode autostopowiczki, które, jak się okazywało, nie tyle wybierały się w jakieś określone miejsce, co wychodziły do pracy, gotowe zarobić szybką dychę czy dwie, gdziekolwiek kierowca zechciałby zaparkować. Stąd też fakt, że siostra Valerie miała w przełyku spermę, właściwie nic nie znaczył – Bogiem a prawdą, Bone mógłby się założyć, że przez zeszły rok młoda spożyła więcej nasienia niż lodów.

Niepokoila ta reszta – pęknięta czaszka, zmiądzona tchawica. Nawet to jednak Bone mógł sobie wyobrazić jako część standardowego scenariusza, rzeczy, które wynikły z samych okoliczności zdarzenia, a nie z psychopatycznego popędu. Wolfe, czy kto tam inny, zabiera dziewczynę, wozi ją po mieście, zagaduje, w końcu albo namawiają na numerek, albo kupuje usługę. I tu, jak to się nader często zdarza, w parady wchodzi alkohol, być może redukując możliwości mężczyzny przy jednoczesnym wyolbrzymieniu pogardy, jaką czuje dla niego dziewczyna, nie tylko dla jego zachowania, ale całej osoby – wieku, wyglądu, akcentu, z braku czego innego nawet fryzury na żołnierza. Więc kiedy krztusząc się śmiechem, wypluwa z powrotem na niego, w twarz czy na ubranie, większość tego, co zdołał z siebie wydusić... Bone niemalże mógł to ujrzeć oczami wyobraźni, beztrąsko roześmianą nastolatkę, nawaloną na wesoło, niesioną na amfie i piwie, gdy tymczasem on siedzi, złany tłustym potem i smrodem mężczyzny w średnim wieku, a urażona

duma i wstyd tężeją, zalewane śmiechem, palącym śmiechem dziecka. Więc uderza, twardą, mięsistą łapą oracza wali ją prosto w twarz, w ten śmiech, raz za razem, a kiedy już skończy, raczej w geście pogardy niż czegokolwiek innego odpycha od siebie to coś, ten zużyty kawałek dupy biednego ujaranego dziecka Kalifornii, odpycha ją brutalnie od siebie tak, że głowa uderza w przednią szybę czy w słupek, nieważne, aby twardsze od kości, twardsze od czaszki. I po wszystkim, wyzerowano, dwadzieścia pięć lat krwawego znoju i złodziejstwa jawi się anulowane w kilka sekund.

Potem jednak, jak to sobie wyobrażał Bone, wszystko musiało do niego wrócić, chytrość i upór starych kmieci przyszły na pomoc jak adrenalina sportowcowi. Więc porzucił zwłoki dziewczyny. Podpalił własny wóz. Odstawił szopkę dla tubylców, odegrał stary, zgrany numer „na wieśniaka” jako milioner-prowincjusz na wizycie w Wielkim Świecie, nieco zaskoczony, może zdumiony tym, że akurat on spośród wszystkich ludzi stał się nagle celem dziwnego aktu przemocy, ale jednocześnie nie żeby go to jakoś specjalnie wyprowadziło z równowagi, ni, panie, gdzie tam, to nie taki stres, żeby się nie dało dalej uśmiechać i ścisnąć dłonie jak każdy inny swój chłop, któremu przypadło zarządzać pomniejszym, wręcz kurdupłowatym imperium. Innymi słowy Wolfe błyskawicznie wrócił do pierwotnej roli, do charakteru człowieka, który wystawi się policji mniej więcej wtedy, kiedy szakale przejdą na vegetarianizm, a w górach Ozark ludzie zaczną głosować na komunistów. Wszystko to doprowadziło myśli Bone'a do interesującej konkluzji: czy zatem istniało prawdopodobieństwo, że Wolfe pęknie przed trójką szantażystów amatorów? I jedyną odpowiedzią do przyjęcia, jaka przychodziła mu do głowy, było „możliwe” – o ile zażądają rozsądnej kwoty i odpowiednio się zabezpieczą. To był jeden z powodów, dla których cieszył się, że Cutter wciągnął w to wszystko Valerie – uważał, że troje to niezła, niemal optymalna liczba uczestników spisku, zbyt wielu, by ktoś taki jak Wolfe mógł sobie z nimi łatwo poradzić, a jednocześnie nie taki tłum, żeby nie dało się nad nim zapanować. W dodatku, jak to Valerie wykazała wczoraj w służbówce u Little'ów, w pewnym sensie przydawała całemu przedsięwzięciu praworządności: gdyby sprawa się rypla i Wolfe zgłosił ich na policję, Valerie jako siostra ofiary mogłaby rzucić cień wątpliwości na kwestię ich winy. Któż mógłby udowodnić, że nie próbowali po prostu spłoszyć Wolfe'a? Ciężko byłoby oskarżyć ich o coś w sądzie, trudne zadanie dla prokuratora.

Więc włączenie jej do grupy, danie jej udziału w obietnicach Cuttera miało niezłe uzasadnienie. Mimo to Bone powątpiewał, czy owo uzasadnienie było robotą Alexa – powody obecności Valerie w grupie były zbyt proste, zbyt praktyczne, by mogły być tworem splątanego okablowania umysłu jego przyjaciela. Bone nawet przez sekundę nie mógłby uwierzyć, że Cutterem kierowała szczodrość czy współczucie. Nie, miał wrażenie, że Alexem powodował tu raczej impuls, nic innego, może wyłącznie dlatego, że jego przerośnięte ego domagało się większej i bardziej entuzjastycznej widowni, nie tylko samego Bone'a. Ten jednak, zwracając ku pickupowi, upomniał sam siebie – to nie była pora, żeby się martwić o takie rzeczy. To musi poczekać, podobnie jak inne sprawy: jak zaplanować i uruchomić operację, jakiej kwoty zażądać. Przede wszystkim trzeba było odpowiedzieć na jedno proste pytanie. I tylko jedna osoba mogła to uczynić.

Był już prawie południe, gdy Bone wszedł do knajpy Murdocka. Myślał, że czekając na Cuttera, posiedzi sobie przy barze, zje kanapkę, może nawet załapie się na darmowego drinka albo i dwa. Ku swemu zaskoczeniu zobaczył jednak, że Alex już tu był, siedział sam w niszy w głębi sali. Poza nim w barze znajdowało się tylko dwóch klientów, para zapuszczonych staruszków przy kontuarze starających się, by piwo z kija starczyło im na jak najdłużej. Za barem Murdock krzątał się, szykując zapasy alkoholu, dodatków i szklanek na kolejny długi dzień pracy. Mimo to znalazł chwilę, by obrzucić Bone'a spojrzeniem pełnym rozpaczy.

– Twój kumpel już tu jest – oświadczył.

Bone zapalił papierosa. – Przecież widzę.

– I nic nie mądrzejesz, co?

– Pewnie tak. Ale wyprowadziłem się z jego domu, jak radziłeś, ojczu.

– No, bystry z ciebie chłopak.

– Masz może kawę?

Murdock w poszukiwaniu współczucia obrócił się do staruszków. – Słyszeliście? Kawę. Chryste Panie, przez tych dwóch dorobię się dziś majątku.

– A co, on też pije to samo? – zapytał Bone.

– Aha, tylko pewnie dolewa sobie metylaku. Albo krwi nietoperzy.

– Ależ marudzisz.

Bone poczekał przy kontuarze na kawę, po czym zaniósł ją do niszy Cuttera i usiadł. Przez jakiś czas Alex nie reagował na jego przybycie, po prostu siedział

sobie rozparty na siedzeniu i zaciągał się cygarem, wydmuchując pokazowy ciąg dymnych kótek.

– Stało się coś strasznego, prawda? – zagadnął go Bone. – Coś wręcz upiornego.

– Bo przyszedłem punktualnie?

– Ba, jesteś przed czasem.

– To nowy ja, Rich. Ha, od zeszłego tygodnia zacząłem tyle nowych kart, że chyba, cholera, zaraz zabraknie mi notatnika.

– Więc to cały twój problem? Nowy notatnik?

– A co żeś myślał, bloczek czekowy?

– W ogóle nie myślałem. Staram się tego unikać.

Cutter odparł, że rozumiał ten punkt widzenia – sam na przykład starał się nie biegać, jeśli nie musiał.

– Oczywiście, w świetle teorii kompensacji – ciągnął – powinieneś być filozofem o światowej sławie, a ja skrzydłowym w drużynie Rams.

– Masz większe szanse.

– Chyba masz rację.

Bone upił łyk kawy, skrzywił się na jej gorycz i dosypał cukru. Przez cały ten czas Cutter siedział i obserwował go, starannie taksował jedynym, przekrwionym okiem.

– No, wyrzuć to z siebie – powiedział w końcu. – W nocy powiedziałaś, że wciąż masz problem, że coś cię dręczy.

– Zgadza się. Nim w to wejdziesz, potrzebuję jeszcze jednej odpowiedzi.

– W kwestii?

– Ciebie.

Cutter wyszczerzył zęby. – No popatrz, że sam o tym nie pomyślałem. O *mnie*. A wydawało mi się, że idzie o Valerie. Kombinowałem, że nie chcesz jej w to mieszać.

– Nie, z nią nie mam problemu.

– Za to ze mną masz? – Cutter zmarszczył się potężnie, parodiując zdumienie i zatroskanie. – I cóż to może być za problem? Niech pomyślę... podejrzewasz, że mam nieczyste motywy, tak?

Bone zgasił papierosa. – Sram na twoje motywy. Nie, chodzi po prostu o ciebie, koleś. O twój nieskalany charakter. Muszę wiedzieć, czy zabierasz się za to na poważnie, czy grasz serio. Czy też bawisz się po staremu, nabierasz nas, kmiotków, dla własnego widzimisię.

Cutter wyglądał na zranionego. – Zdarzyło się kiedyś, żebyś cię nabierał?

– Wiele razy.

– Ale nie przy czymś takim, Rich. Nie wtedy, gdy gra idzie o tak wysoką stawkę. Nie wtedy, gdy to ważne.

Bone wspominał młodego Ericksona i jego krucjatę przeciwko trucicielom środowiska, i sposób, w jaki Cutter go zmiażdżył. Przypominał też sobie, kiedy po raz pierwszy ujrzał Alexa – na wieczorze wyborczym młodego profesora z tutejszego uniwersytetu, naprawdę porządnego gościa, który zdobył nominację swojej partii do mandatu radnego. Wśród wystrzałów szampana i ogólnego pandemonium ten kaleka w stroju apasza wgramolił się na stół i przekrzykiwał wszystkich. „Toast!” – wrzasnął. „Toast za jedyne go polityka, jakiego zdarzyło mi się spotkać, który miał dość odwagi, by zmierzyć się z prawdą o sobie samym! By stanowczo bronić poglądu, że życie seksualne każdego człowieka jest jego prywatną sprawą, jakkolwiek dziwne może się wydawać innym! A zatem niech nam żyje – kandydat wasz, jak i mój – Ralph Herman!” Klasyczna wrzutka Cuttera, do tego stopnia, że Alex pomylił się nawet z imieniem profesora. Mimo to w pokoju na chwilę zapanowało pogrzebowe milczenie, a nerwowe śmiechy, które po nim przysły, jakoś nie do końca przywróciły pierwotny, radosny nastrój. I choć na pewno stało się to z zupełnie innych powodów, „Ralph” Herman nigdy nie znalazł się w parlamencie stanowym w Sacramento.

Bone nie mógł więc traktować deklaracji Cuttera zbyt poważnie. Co więcej, z doświadczenia wiedział, że im „poważniejsza” sprawa trafiała na celownik Alexa, tym większe były szanse, że ją storpeduje.

– Cały ten pomysł jest nieźle odjechany – powiedział w końcu. Cutter wzruszył ramionami. – Życie całe jest odjechane.

– Możemy skończyć w pierdlu.

– Bywałem w gorszych miejscach.

– Ja nie.

– Cóż, facet, twoja broszka. Rzecz sprowadza się do priorytetów: ile jesteś gotów zaryzykować?

– A problem moralny?

– Jaki znów problem moralny?

– Szantaż jest przestępstwem.

– Morderstwo też.

– Nie można zła zwalczać złem.

– Ojej, mogę cię cytować?
– Kiedy mnie to dręczy. Nic na to nie poradzę.
– Jaja sobie robisz.
– Nie, poważnie.
– Na tym świecie! – w uśmiechu Cuttera było niedowierzenie. – Na tej planecie z piekła rodem. Tej kolonii karnej. Tym szambie pełnym szczyń i niedoli. I tobie się wydaje, że zabranie części kasy takiemu wsiowemu skurwielowi z krwią na łapach, jakim jest Wolfe, jest... niemoralne? Naprawdę tak sądzisz?

– Nie wiedzieć czemu, owszem – przyznał Bone. – Może to skutek purytańskiego wychowania w Milwaukee.

Cutter filozoficznie pokiwał głową.

– Chyba wiem, w czym problem... nasza sprawa wydaje ci się niedostatecznie szlachetna. A to ostatnimi czasy najważniejsze. Na ten przykład, jeśli pragniesz kogoś wyzwolić: Palestyńczyków, żółtków, krasnoludki... wtedy możesz robić, co chcesz. Masz *carte blanche*. Możesz masakrować nawet tych, których właśnie wyzwalasz, nie ma problemu. Najważniejszy nie jest cel, ale środki.

Bone już to wszystko kiedyś słyszał.

– Wiem, wiem – mruknął.

– I co, nie pomogło? – Cutter zrobił minę, mającą wyrażać rozczarowanie i niezrozumienie. – Cóż, możliwe, że problem jest natury czysto teoretycznej. Może przyda ci się po prostu parę minut wykładu z cyklu *Herr Doktor Cutter o Podstawach Filozofii*”, część 2A.

– Daj sobie spokój.

– Wierzysz w Boga? – zapytał Alex i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Oczywiście, że nie, nieszczęsny grzeszniku. Zastanówmy się więc nad tym głębiej. Skoro twoim zdaniem Boga nie ma, wynika z tego logicznie, iż nasze tak zwane prawo moralne to wymysł ludzi, a nie rzecz nadana od Boga. To aspekt russowskiej umowy społecznej, ot co, wygodny mechanizm oliwiący tryby współżycia społecznego, robienia interesów, czy choćby dogładania, by pociągi jeździły zgodnie z rozkładem. A zatem jest to rzecz względna. Zastrzelić Jasira Arafata to jedno, zabić Rodneya Allena Rippy'ego* – coś zupełnie innego.

* Wówczas dziecko – gwiazda reklamówek hamburgerów.

Bone uniósł dłoń. – Wystarczy, Alex, proszę. Właśnie miałem powiedzieć, że niezależnie od własnych odczuć mogę wejść w to z wami... o ile ty podchodzisz do tej sprawy poważnie.

Przez dłuższą chwilę Cutter siedział nieruchomo, nie uchylając się przed obojętnym spojrzeniem Bone'a. Potem zerknął na stół, gdzie jego dłoń bez większych sukcesów próbowała osadzić wygasłe już cygaro w pustym świeczniku.

– Co ci mogę na to powiedzieć? – odezwał się w końcu. – Cóż więcej mogę ci dać niż moje słowo? Jestem poważny, Rich. Stuprocentowa powaga. Co jeszcze mam zrobić? Podpisać jakiś kontrakt? Złożyć przysięgę krwi?

Bone słyszał te słowa – brakowało mu w nich jednak mocy deklaracji złożonej bez świadomego wysiłku, jaką było szerniałe cygaro sterczące teraz obscenicznie ze świecznika. Richard starał się zignorować oczywisty przekaz, jaki z tego płynął.

– Nie zamierzam podkładać łba akurat pod ten topór z kimś, kto pajacuje – stwierdził. – Albo zamierza popełnić samobójstwo... na swój sposób. Innymi słowy, Alex, nie chcę, żeby mnie złapano. Nie chciałbym czytać o sobie w gazetach.

Cutter pokręcił głową. – Faktycznie masz o mnie świetne zdanie, wiesz?

– A kto mi opowiadał, że chce ze sobą skończyć?

– Człowieku, ta sprawa to dla mnie odroczenie wyroku. Akt łaski. Nie widzisz? Nie dociera do tego twojego ślicznego łebka? Kolejnej szansy już nie dostanę, Rich – i dopiero teraz głos Cuttera nabrał ostrości. – Więc żebyś wiedział, naprawdę biorę to na serio. Śmiertelnie poważnie. Wystarczy ci to? Kupisz taką gwarancję?

Choć właśnie po te słowa Bone tu przyszedł, jakoś nic się przez nie nie zmieniło, wciąż jeszcze dręczył go ten sam niepokój, co w chwili, kiedy podszedł do boksu Cuttera. Wiedział jednak, że to już jego, a nie Alexa problem.

– Pewnie – powiedział. – Czemu nie?

Wypili tylko po jednym, żeby uczcić decyzję Bone'a. Cutter oznajmił, że miał jeszcze zabrać Mo na zakupy, a potem zamierzał spotkać się z Valerie i zacząć układać plany. Radził Bone'owi, żeby również wziął się za planowanie, żeby na spotkaniu następnego dnia – chciał zadzwonić później do Richarda, powiedzieć mu, gdzie i kiedy mają się zebrać – mieli już z czym pracować.

Po wyjściu Cuttera Bone wypił jeszcze jednego drinka przy barze i przekąsił kanapką z konserwową wołowiną – zapowiedział Murdockowi, że nie zapłaci pełnej ceny, bo chleb był już czerstwy, a mięso zieleńiało na brzegach. Potem jednak w roztargnieniu zjadł całą kanapkę, co poważnie zaszkodziło jego twierdzeniom. Murdock jednakowoż w przystępie szczodrości poszedł na kompromis i postawił

mu trzeciego drinka na koszt firmy, serwując przy okazji parę tysięcy słów o tym, jak to Bone fatalnie dobiegał sobie przyjaciół i że zupełnie brakowało mu ambicji. Bone odciął się, mówiąc, że zamierzał zejść na ścieżkę bezprawia, w związku z czym niedługo będzie stawiał drinki wszystkim obecnym w tej knajpie za każdym razem, gdy raczy przejść przez jej tapicerowane drzwi. Murdock oświadczył, że jakoś nie zamierza oczekiwać takiego rozwoju wydarzeń ze wstrzymanym oddechem.

Bone pojechał do biblioteki, gdzie spróbował znaleźć coś na temat Wolfe'a poza artykułem z „Time'a” i notką w „Kto jest kim”, ale nic więcej nie mieli. Podszedł więc do działu czasopism i siadł do lektury ostatnich numerów magazynów „Harper's” i „Esquire”, lecz po jakimś czasie zorientował się, że choć czytał słowa, ich sens do niego nie docierał. Więc wyszedł. Przez jakiś czas spacerował po centrum miasta, aż wreszcie zawinął do kina przy State Street, gdzie puszczano powtórkę starych filmów o Bondzie, „Goldfinger” i „Operacja Piorun” – pomyślał sobie, że tego właśnie mu trzeba, czterech godzin kiczowatej przemocy i niewiarygodnych panienek, dość posoki i gołych cycków, żeby zająć czymś oczy, gdy umysł będzie sobie szukał innych rozrywek. Kiedy jednak usiadł w okrytej mrokiem rokokowej sali, z pudłem nader obficie zalanej masłem prażonej kukurydzy na kolanach, stwierdził, że myślami wciąż nawracał do jednego zagadnienia: rychłego debiutu Richarda Bone'a w roli *przestępcy*. To określenie i cały ten pomysł wydały mu się nagle niewiarygodne, niemal równie prawdopodobne jak to, że olśniewająca uroda panna wyciągająca się na ekranie, a wkrótce mająca się wyciągnąć na łóżku u boku Bonda, była w rzeczywistości rosyjskim superagentem. Jedyna różnica polegała na tym, że rojenia Bone'a mogły się z czasem okazać realne. Wystarczyłoby, żeby twardo trzymał się obranego kursu, a Richard Bone, przestępca, mógłby się stać aż nadto rzeczywisty.

Te rozważania nad własnym obsunięciem się w przestępczość nie poprawiały mu nastroju. Do tej pory bowiem Bone uważał się za człowieka praworządnego, mimo ponuro brzmiącej „przeszłości”, jaką we wtorek rano odklepał kapitanowi porucznik Ross. W gruncie rzeczy wszystkie tamte przewiny wynikały z pewnego rodzaju przyspieszonego rozwoju Bone'a – z tego, że z typową dla człowieka korporacji psychologiczną menopauzą zderzył się jakieś dziesięć lat wcześniej, niż to się zazwyczaj zdarza. Znienacka, w trzydziestym roku życia zaczął widzieć w sobie coś jakby okryte garniturem zwierzę w zoo, nerwowo przemierzające przestrzeń między kratami pracy i domu. Nie wiedzieć czemu, w ciągu ostatnich

paru lat Ruth przeobraziła się w totalną, koszmarną nudziarę, kwokę upiornie pogdakującą nad dwoma bezcennymi kurczaczkami, nadzorującą wszystko i wszystkich, którzy wkraczali w ich aseptyczne życie. Jej kosmologia obejmowała witaminy, opiekę ortodontyczną, komitet rodzicielski i niewiele więcej. Seks między nimi stał się właściwie aktem masturbacji – co dwie-trzy noce udostępniała mu swoje ciało jako coś w rodzaju pojemniczka, co, jak podejrzewał Bone, niezbyt różniło się od używania w tym celu nadmuchiwanej lali z seks-shopu, ba, mogło być nawet gorsze, bo zawsze miał wrażenie, że Ruth układała sobie w myślach listy zakupów, kiedy on beznamiętnie i wściekle orał ją niczym robol obserwujący zegar z oczekiwaniem na nędzne wynagrodzenie za swój trud.

Praca także nie przynosiła ulgi. Nagle w luksusowym biurze i budzącej zawiść pozycji ujrzał schody wiodące nie do jeszcze lepszych rzeczy, lecz tylko do kolejnych schodów, które wcale nie spodobają mu się bardziej od tych, na które wspinał się w tej chwili. Wskutek tego nagle zorientował się, że na wpół świadomie wszczął program sabotowania własnej kariery, począwszy od otwartych kpin z przełożonych, po tradycyjną, ponurą kombinację nieobecności w pracy, chłania i – w jego przypadku – seksu, intensywnego, nieustannego i niemal urzędowego seksu poza-mażeńskiego, co miało być terapią, rekompensatą za utratę tego, co niegdyś uważał za swój życiowy cel.

I stąd się wzięła cała ta jego „przeszłość”. Na przykład zarzut gwałtu z Milwaukee. Fakty były takie, że i on, i druga „strona medalu”, pani Sharon Hartley, małżonka niejakiego Johna H. Hartleya, powinni zostać skazani za dopuszczenie się zbrodni kiepskiej farsy. Posuwał był tę damę od ładnych paru miesięcy, ba, zrobił dla nich permanentną rezerwację w hotelu w centrum Milwaukee. Jednakowoż w nocy, gdy dokonała się „zbrodnia”, mogli się rozkoszować wygodą jej domu, bo-wiem John musiał wyjechać w interesach do Cleveland. Tyle że się rozchorował i wrócił do domu – gdzie zastał żonę oddającą się seksowi analnemu z nieznanym facetem w ich własnym, olbrzymim łożu. John, osobnik z tych narwanych, kopnął się do szafki z bronią i z pomocą śrutówki kaliber dwanaście usunął dwie ściany sypialni, które to prace rozbiórkowe wytłumaczył policji jako próbę ujęcia maniaka seksualnego, co właśnie zgwałcił mu żonę. A przerażona Sharon potwierdziła wersję męża. Że wszystko stało się właśnie tak, jak opisał John. Że w ogóle nie знаła tego całego Bone'a. Zapukał do drzwi, nieznanemu, któremu samochód nawalił, więc chciał skorzystać z jej telefonu. A ona wpuściła go do domu i nigdy sobie tego

nie wybaczy. Tak więc Bone został aresztowany, oskarżony i siedział w areszcie... aż do następnego ranka, kiedy nakłonił jednego z policjantów, by pokazał zdjęcie pani Hartley w recepcji hotelu, w którym byli stałymi klientami.

Podobnie wyglądała ta sprawa kradzieży tu, w Santa Barbara. Kobieta, Sylvia Colombo, była niegdyś żoną jednego z najlepiej prosperujących przedsiębiorców budowlanych w tym hrabstwie. Miała już pod czterdziestkę, ale była atrakcyjną, acz wybuchową niewiastą, targaną na przemian przyływami impulsywnej rozrzutności i neurotycznej zaborczości. W związku z tym najpierw nie miała nic przeciwko obdarowaniu kochanka na święta magnetofonem marki Garand, ale potem spowodowała, że wsadzono go do aresztu za kradzież tego sprzętu dzień po tym, jak jadąc na swoim wążu czystej krwi arabskiej po plaży koło Hope Ranch zastała Bone'a leżącego z Mo na wielkim ręczniku – Cutter był sporo dalej, rysując w piachu olbrzymie POMOCY dla rozrywki wszystkich przelatujących nad plażą. Więc po paru dniach także i to oskarżenie zostało wycofane. A co do okazjonalnych pozwów Ruth o alimenty... cóż, Bone nie traktował zaległości w utrzymywaniu dzieci jako czegoś szczególnie zbrodniczego, tym bardziej że przez większość czasu nie za bardzo utrzymywał sam siebie. W związku z tym jego kryminalna przeszłość, jeśli to odpowiednie sformułowanie, sprowadzała się raczej do braku dyskrecji, zenującego talentu do pakowania się w kłopotliwe sytuacje.

Jedno było pewne – nie miał na koncie niczego porównywalnego z szantażem czy wymuszeniem. Ale też nie zaliczył morderstwa. Więc póki co będzie musiał zadowolić się tą różnicą między *możliwym* morderstwem a *rozważanym* wymuszeniem. Od zarania dziejów ludzie dokonywali egzekucji morderców. Tutaj jednak we trójkę zamierzali tylko *obciążyć* zabójcę, pozwolić mu zapłacić za swoje przewiny mniej niż gardłową cenę. A jeśli się okaże, że wybrali niewinnego człowieka, ten po prostu nie zapłaci. Wtedy to właśnie *im* przyjdzie zapłacić. Kiedy spojrzeć na sprawę od tej strony, nabierała ona cech niemal moralnego przedsięwzięcia, coś jak łowy na lwa z włócznią. Istniała możliwość porażki.

Bone tak dalece pogrążył się w myślach, że ledwie zauważył, iż miejsca obok zajęły trzy młode dziewczyny, nie zważając na to, że sala była niemal pusta. Teraz jednak nagle poczuł lekki nacisk na udo, a spoglądając niżej, dostrzegł jego przyczynę – długą, nagą nogę siedzącej obok nastolatki w mini. Za nią dwie inne, ciemnoskóre i przysadziste – z wyglądu siostry – kolebały się i klepały po kolanach, ledwo zdolne opanować eksplozję śmiechu. Dopiero wtedy Bone uniósł wzrok i spojrzął w oczy swojej sąsiadki, tej o agresywnym kolanie. Była wysoka, o włosach

blond, typ twardej chłopczycy wiecznie żującej gumę. Patrzyła teraz na niego tak, jak na Bonda zawsze spoglądały superagentki, z kpiącym uśmiechem: „No, frajerze, teraz twój ruch”. Wydawało mu się, że nie była starsza od tamtych dwóch, miała czternaście, może piętnaście lat, ale to ona im przewodziła, ewidentnie była wodzem tej szajki. Teraz znów potarła o niego kolanem, a jej koleżanki nie opanowały już wesołości i zaczęły parskać i syczeć jak powietrze uchodzące z przedziurawionych balonów. Tymczasem dłoń sąsiadki zawędrowała na ramię Bone'a.

– Cześć – odezwała się dziewczyna.

Bone doszedł do wniosku, że robiła to wyłącznie dla zakładu, dla zabawy. Zastanawiał się, co tamte dwie jej zaoferowały: najnowszą płytę Donniego Osmonda czy Jackson Five? Szlag go trafiał, że pozwoli się takiej siksie wygonić z kina, da jej takie łatwe zwycięstwo. Pamiętał jednak, że każda inna reakcja mogłaby się skończyć spotkaniem z prokuratorem. Wszystkie trzy były niepełnoletnie. Miały też przewagę liczebną, mogłyby obwołać go pedofilem czy loliciarzem i narobić mu smrodu, może nie na stałe, ale i tak nie potrzebował tego typu problemów, ani teraz, ani kiedykolwiek indziej.

Więc wstał i wyszedł. A przez całą drogę do drzwi ścigał go ich śmiech, jak sznur uwiązanych do samochodu grzechoczących puszek.

Minęło kilka godzin, nim Bone'a opuściła zimna wściekłość na siebie samego, nie tyle za to, że pozwolił, by te nastolatki pogoniły go z kina, co raczej za fakt, że w ogóle *sprovokował* je do tego ataku tylko przez to, że był taki, jaki był: przegrany facet bez dachu nad głową, co więcej, nawet na takiego wyglądał od rozczochranej, kędzierzawej czupryny do niemal przetartych zelówek znoszonych zamszaków. Myślał sobie, że gdyby miał cokolwiek, choćby najędźniejszy przeblysłk majątności, pozycji czy odpowiedzialności, ta gołonoga pannica nie wybrałaby go sobie na cel, nawet gdyby siedział tam w stroju sportowym i do tego napruty, bo wciąż też byłaby tam z nim rzeczywistość posiadania, ten ciężar, ta subtelna emanacja *treści*. Tymczasem one ujrzały tylko zapuszczonego ogierka po trzydziestce, pleśniącego na olbrzymiej sali kinowej i snującego wódczane marzenia o szantażu i zamożności.

Całą resztę popołudnia spędził w mroku baru Pod Wawrzynem, pijąc więcej wody i zgłębiając ten problem, aż w końcu uświadomił sobie, jakie to wszystko było śmieszne, choć był to smętny, żaloszny, ledwie słyszalny śmiech – nie tylko sam

plan Cuttera, ale nawet bardziej fakt, że Bone brał w nim udział, i to rewelacyjne drobne pranie mózgu, jakie przeprowadził sam na sobie, żeby uwierzyć, iż cała sprawa była możliwa do wykonania, rozsądna, do przyjęcia – a przecież wcale tak nie było, ale on tak bardzo chciał w to uwierzyć, właściwie tak bardzo *musiał* w to uwierzyć, bo taki już był los ludzi, którzy nieświadomie wyzwalali w nastolatkach okrucieństwo nawet w miejscach publicznych. Po czwartym drinku stwierdził, że musi dokonać w swoim życiu jakiejś drastycznej przemiany, i to już, natychmiast, tego wieczora, zanim pograży się bardziej w bagnie Cutterowych mrzonek. Przypomniawszy sobie, jak parę dni temu George Swanson zaoferował mu pomoc w znalezieniu porządnej roboty, i nie widział przeszkód, by dziś wziąć go za słowo.

Sprawa ta wydawała mu się tak pilna, że już po chwili siedział za kierownicą pickupa pani Little, pokonując niewielką odległość do domu Swansona, pięknie odrestaurowanego starego budynku niedaleko Misji, raptem kilka przecznic od rodzinnego domu Cuttera. Tu mieszkwały stare pieniądze, rdzenni Kalifornijczycy, których rodowody sięgały niemal tak daleko, jak *drzewa genealogiczne ich służących*.

Bone wiedział, że to nie był najlepszy dzień na wizytę u Swansona, bo jego żona miała ambicje towarzyskie, a był sobotni wieczór. Albo będzie się wybierała z mężem na jakieś przyjęcie, albo zacisną zęby i zniosą pomniejsze niedogodności związane zjedzeniem kolacji z przyjaciółmi w jakiejś nowo odkrytej, rojącej się od motłochu knajpce, która w tym miesiącu robiła za miejsce kultowe. Wciąż jednak było dość wcześnie, nawet nie wpół do ósmej, więc Bone miał nadzieję, że złapie George'a, nim ten ulotni się gdzieś z żoną. Kiedy jednak parkował samochód, zobaczył, że było już za późno – podjazd i ulica przed nim wyglądały jak plac przed przedstawicielstwem Mercedesa, zaś dom za szerokim trawnikiem był jaskrawo oświetlony i rozbrzmiewał odgłosami hucznego przyjęcia. Bone zawahał się na kilka chwil, zapalił papierosa, po czym pomyślał sobie, co tam, załapie się na darmowego drinka, może dwa, wrąbie kilka kanapek, no i pogada z George'em, o ile nadarzy się okazja. Wysiadł więc z wozu i ruszył ku domowi, z zaskoczeniem słysząc, kiedy już był bliżej domu, że muzykę wykonywał prawdziwy zespół. A jeszcze bardziej zdziwił się, kiedy dotarł pod drzwi i zobaczył, że stoi pod nimi odziany we frak Tonto, ogrodnik, szofer i ogólnie podręczny Swansonów. Tonto, niewysoki i krzepki Meksykanin, miał bardzo czarne włosy i olśniewająco białe zęby, które wyszczerzył, gdy Bone zapytał go, czy sprawdza bilety.

– Pomysł pani Swanson – wyjaśnił służący. – Wieczorowe, tak powiedziała. Bo dziś w mieście balet z San Francisco. Wielka impreza, na mój rozum. Wszystko naprawdę klasa...

Bone uśmiechnął się. – Cóż, może trochę przedtem – powiedział, wskazując na siebie i próbując przejść obok. Tonto jednak zastawił mu drogę.

– Przepraszam, nie możesz wejść – oznajmił. – Tylko zaproszeni goście, powiedziała. Tylko stroje wieczorowe.

Bone przez chwilę nie mógł uwierzyć, że Tonto mówił poważnie, że na serio zastąpił mu przejście, *zablokował* drogę, jakby Bone był pariasem czy kimś takim. Ten wstrząs jednak trwał tylko przez chwilę, niemal natychmiast zniknął pod nagle wezbraną falą gniewu, takiej oślepiającej, słodkiej, zniewalającej furii, jakiej niemal nie zdarzało mu się odczuwać, a nigdy nie musiał nad nią zapanować, więc i teraz nie zapanował nad sobą, gdy pulchna ręka Tonta uniosła się i lekko dotknęła jego piersi – nie to, żeby służący go popchnął, raczej wskazywał mu kierunek, w jakim powinien się oddalić. Skutek jednak był przeciwny do zamierzonego, gdyż Bone gwałtownie pchnął kurdupla tak, że ten przeleciał nad palmą w donicze i wyrznął w przeszkłone drzwi, które rozleciały się w deszczu odłamków. Muzyka – przesłodzona aranżacja „Aquarius” na kwartet – urwała się, jak ucięta nożem, w połowie taktu, a do holu masowo rzuciła się grupa ludzi w strojach wieczorowych, ściskając w dłoniach kieliszki z koktajlami. Paru z nich wyszło przed dom, po czym rozstąpili się, robiąc miejsce dla żony George'a. Ta wyglądała, jakby wzorem Salome okryła się siedmioma woalami, wszystkimi nader barwnymi – tylko twarz miała białą.

– Co to jest? – zażądała wyjaśnień. – Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?!

Tonto wstał już z ziemi i z pokorną miną wybierał sobie z włosów kawałki szkła.

– Przewrócił się – zaczął Bone. – Pchnąłem go i się przewrócił... Proszę wysłać rachunek do mojego adwokata.

Ruszył już z powrotem, zmierzając chodnikiem w stronę ulicy. Nim tam dotarł, usłyszał za sobą tupot, po czym obok pojawił się George, złapał go za ramię i spróbował zatrzymać.

– Hej, Rich, co jest? Co się tam w ogóle stało, cholera?

Bone wyrwał się z uchwytu i szedł dalej, zatrzymując się dopiero przy samochodzie.

– Daj spokój, Rich – nalegał George. – Muszę wiedzieć, co się tam stało. Nie potrafię tego zrozumieć.

– Nic – powiedział mu w końcu Bone. – Nic się nie stało. Po prostu twój odźwierny robił swoje.

George ze smutkiem pokręcił głową. – Chryste, facet, przepraszam. To zwykłe nieporozumienie, nic więcej. Było mu powiedzieć, kim ty jesteś...

I w końcu Bone miał się z czego śmiać.

6.

Bone jak zawsze uznał, że podjazd do przełęczy San Marcos był tyleż męczący, co zachwycający – tu i ówdzie w pole widzenia trafiał odległy ocean, gdy droga pięła się w góry, wciąż zielone po zimowych deszczach – roślinność była bujna, niczym latem w Wisconsin, tak delikatna i obfita, że tutaj wydawała mu się nie na miejscu, istna kpina, bo zawsze kojarzył sobie „prawdziwą” Południową Kalifornię z latem i jesienią, kiedy wzniesienia były żółte, góry matowo brązowe, równiny wyschnięte na wiór: uwiędła kraina, ojczyzna kondorów.

Wciąż jeszcze nie miał pojęcia, dlaczego Cutter chciał, żeby spotkali się w tawernie Źródłko. Nie dość, że lokal leżał daleko od miasta, to jeszcze przewalały się tam hordy turystów – niegdyś był to przystanek dyliżansu na starym nadbrzeżnym gościńcu, w miejscu gdzie droga przekraczała góry Santa Ynez. Stację pocztową odnowiono i starannie zabezpieczono, by przynajmniej przypominała oryginał. W związku z tym w takie jak dziś, niedzielne popołudnie, będzie tam standardowa reprezentacja kalifornijskich turystów, pełna gama od włochatych pach po stare koronki. Mimo to, Cutter powiedział, że tam właśnie będzie czekał z Valerie i tam też ma do nich dołączyć Bone. „Okolo południa – polecił w rozmowie telefonicznej. – O ile oczywiście zdołasz się urwać na tak długo. O ile pani domu zrobi ci przerwę w dosiadanu”.

Tymczasem tak naprawdę zeszłej nocy nie doszło ani do dosiadanania, ani do zsiadanania. Gdy Bone wrócił w końcu do domu, przeprosił panią Little, że zmonopolizował pickupa od rana do nocy, ale wyjaśnił, że jeden z jego przyjaciół, alkoholik, poszedł w trasę i większą część dnia zajęło odszukanie tego nieszczęsnego frajera i odstawienie go do żony i dzieci. Pani Little odparła, iż nie musiał się tłumaczyć, że mógł używać pickupa wedle woli, bo pracował dla niej, bądź co bądź miał się zajmować ogrodem i w ogóle, a poza tym, gdyby chciała się gdzieś wybrać, miała własne auto. Potem uparła się, żeby przyszedł do niej i zjadł co nieco, czyli kurczaka z grilla na zimno i importowane chablis. Następnie pograli chwilę w bilard w pokoju rozrywek, gdzie teraz woniało aerozolem o zapachu sosny, a nie wymiocinami. W końcu usiedli sobie, patrząc na płomienie w kominku i sącząc brandy, aż wreszcie Bone wyznał jej swój wielki problem: sześć miesięcy

wcześniej złapał wyjątkowo złośliwą odmianę rzeźączki i odchorował to ciężko, a teraz straszliwie doskwierała mu impotencja. Pani Little przyjęła te wieści zaiste po męsku, nawet nie mrugnęła okiem (widać uważała na te sztuczne rzęsy), i złożyła solenne ślubowanie: razem pokonają ten problem. Załatwi mu najlepszego psychoanalityka w mieście. To zaradzi wszystkiemu. Twardego chłopca byle co nie pokona.

Bone czuł się w miarę pewnie, mając świadomość, że zagwarantował sobie wikt i dach nad głową przynajmniej na najbliższą przyszłość. Ta pewność siebie zaczęła go jednak opuszczać w miarę zbliżania się do umówionego miejsca spotkania, a gdy podjechał pod tawernę, pozostał już po niej ledwie ślad. Pod budynkiem stały masy samochodów turystów, istna falanga fordów capri, chryslerów ventura i chevroletów malibu jaskrawo kontrastujących ze spłowiałym drewnem ścian starej stacji pocztowej, która wtapiała się w krajobraz wąskiego wąwozu, naturalna jak piętrzące się wokół ściany skał i rozłożyste sykomory, ocieniające okolicę. W rzeczy samej wszystkie te samochody wyglądały tak, jakby Ameryka odwiedzała własną przeszłość, nieudany syn marnotrawny z wizytą w rodzinnym domu na jeden nerwowy weekend. Jeśli między historią a teraźniejszością istniał tu jakiś związek, był nim packard Cuttera, stojący samotnie w miejscu oznaczonym oczywiście „ZAKAZ PARKOWANIA”, co zawsze działało na Alexa jak zaproszenie.

Wewnątrz ten kontrast zaczął się kruszyć. Choć w głównej sali był kominek z polnego kamienia, podłoga z desek, a sufit opierał się na grubych belkach, to jednak za barem wisiał isticie odpustowy zegar, wyświetlający czas w kolorach tak jaskrawych, że idealnie pasowały do głównego elementu wyposażenia sali: gigantycznej grajszafy, która właśnie z rykiem katowała lekko zdezorientowaną klientelę utworem „Piano Man” Billy’ego Joela. Większość osób na sali stanowiły starsze panie z fryzurami po błękitnych płukankach – Bone podejrzewał, że to uciekiniarki przed hollywoodzkim szpanem hrabstwa Orange.

Wyszedł z sali przez osłonięty ganek i zobaczył ich dwoje przy stoliku obok ogrodzenia z belek, za którym górski strumień toczył swe wody w kierunku jeziora Cachuma. Cutter masował kark dziewczyny, siedząc bardzo blisko niej i mówiąc coś półgębkiem, zaś Valerie siedziała z zamkniętymi oczami, uśmiechnięta, a minę miała taką, jakby była o włos od orgazmu.

Widząc Bone’a, Cutter uniósł sprawną nogę i wysunął dla niego krzesło.

– Ach, na Jowisza, wszak to sam mościpan we własnej osobie – powiedział. –

Ano ano, dziedzic Richard Bone, nie kto inny... dostawca wibratorów na dwór królewski, wybawca młodzieńców.

Valerie uśmiechnęła się swobodnie, bynajmniej nie zażenowana sytuacją, w jakiej ich zastał.

– Cieszę się, że zmieniłeś zdanie – przywitała go.

Bone usiadł, zapalając papierosa. – Chwila słabości – wyjaśnił.

Cutter prychnął. – Ciężko zapracowana chwila słabości.

– A owszem, naprawdę ciężko pracowałem.

– Służył swej nowej pani – wyjaśnił Alex na użytek Valerie.

– Prawdę mówiąc, spulchniałem jej ogród.

– I jak znajdujesz ów ogród, Richard? Jakże on się, w rzeczy samej, *rozrasta*?

– W dupie ci się rozrasta.

– O nie, *u mnie* żadne tam ślimaki nie włożą, to ci mogę zagwarantować – Cutter odchylił się w krzesło i zaczął swój rytuał zapalania papierosa jedną ręką. – Ale tak serio, Richard, co sądzisz o tych gruntach? Nadmiernie wyeksploatowane?

– Wiesz, Alex, może po prostu podjedź i sam zobacz. Zobaczysz, że ziemia... mam tu na myśli tę ciemną, kruchą substancję, której masz mnóstwo za paznokciami... więc zobaczysz, że została zryta wokół całego tego cholernego domu, aż po mur. Tymi rękami.

– Ojeczku... *rękami*? Jak sądzę, nie jest to ulubione narzędzie twojej pani?

Valerie prychnęła wymuszonym śmiechem. – Ach, dajcie spokój. Możecie tak godzinami?

– Czasem mam wrażenie, że całymi dniami – odparł Bone.

Do stolika podeszła kelnerka. Bone zamówił dla wszystkich piwo Coors – zostali dwoje już mieli po szklance. Kiedy kelnerka odeszła, zwrócił się z powrotem ku Valerie.

– Po prostu chciałem wyjaśnić, dlaczego tu jestem – oświadczył. – Dlaczego zmieniłem zdanie.

– To ta chwila słabości?

– Coś w tym stylu.

– Wygląda mi na to, że chyba jednak nie zmieniłeś zdania – stwierdziła.

– Gdybym go nie zmienił, nie przyszedłbym tutaj.

– Dla pieniędzy? – zapytała. – Czy z tego drugiego względu?

Bone wzruszył ramionami. – Tak samo jak wy. Się zobaczy, kiedy przyjdzie pora na decyzję.

– A przyjdzie, koleś, przyjdzie – zapewnił go Cutter. – Zobacysz.

– A co? Dowiedzieliście się czegoś nowego?

– A po co? Ja to po prostu wiem, i tyle. Czuję to w kościach... dzięki negatywnej wierze w słuszność i precyzję twoich odruchowych reakcji.

Valerie uśmiechnęła się na te słowa, lub może na widok miny Bone'a, który miał wrażenie, że skrzywił się niczym ojciec kopnięty przez własne dziecko w publicznym miejscu.

– Jakkolwiek, prawdę mówiąc, nie zajmowałem się tylko pleceniem warkoczyków z włosów łonowych – dodał Cutter. – Na ten przykład wczoraj, Rich, nawet nic ci nie powiedziałem, ale wstałem z samego rana, żeby spróbować znaleźć auto Wolfe'a, tego forda LTD. Zobaczyć, czy w środku nie zostało coś ciekawego, jakieś plamy krwi, cokolwiek, byle się uchowało przed ogniem. Cóż, zdążyli już grata zezłomować. Pewnie już go nawet sprasowali, czeka w kolejce do przetopu w którejś z firm starego Wolfe'a. J. J, już o to zadbał.

Bone zgasił papierosa. Nie wiedzieć czemu, miał ochotę pobawić się w adwokata diabła.

– Ja też dziś rano zajrzałem sobie tu i tam – powiedział. – Na te stacje benzynowe przy sto jedynce, pewnie te same, które i wy sprawdziliście. Wiecie, czego się dowiedziałem?

Cutter wydmuchnął długą wstęgę dymu. – Że sprzedają mnóstwo kanistrów, tak?

– Skąd wiedziałeś?

– Bo jestem wróżka.

– No właśnie, mówili, że nie ma dnia, żeby nie sprzedali komuś kanistra i jeszcze go napelnili, przeważnie typom, którym zabrakło paliwa na autostradzie. Mówili też, że ostatnio zdarza się to coraz częściej, bo wiele stacji zamyka się na noc.

Po Cutterze to spłynęło.

– Kiedy my to wszystko wiemy, facet. I to nie robi żadnej różnicy. Ważny jest tylko jeden fakt: tamtej nocy pewien szczególnie mężczyzna, koleś, który bardzo pośpiesznie spróbował zamaskować swój wygląd, rozmyślnie nabył nie jeden, a dwa

kanistry benzyny na stacji benzynowej położonej jakże dogodnie pomiędzy tamtymi blokami a motelem Biltmore.

– Żeby spalić samochód, wystarczyłby jeden galonowy kanister – wytknął Bone. – Albo kwarta benzyny, ba, nawet pinta.

– Zgoda. Ale taki typ jak Wolfe nie wierzy w półśrodki, stary. Woli przesadzić. Kupuje *dwa* kanistry.

– Masz co do tego pewność?

– Oczywiście.

– A co z kolesiem ze stacji benzynowej? Wolfe założył tylko czapkę golfową i ciemne okulary, wielkie mi co. Nie rozpoznałbyś mnie, gdybym się tak przebrał?

– Tak się nieszczęśliwie składa, że znam cię dużo lepiej, niż ten koleś zna Wolfe'a.

– O ile to faktycznie był on.

Cutter uniósł swoją szklanę, upił łyk piwa i odstawił ją, nie spuszczać wzroku z Bone'a.

– Jesteś z nami czy nie? – zapytał w końcu. – Bo jeśli przyjechałeś tu tylko po to, żeby obrabiać mi dupę...

– Już mówiłem, jestem z wami.

– No, wybaczone, że to powiem, ale twoje wypowiedzi wcale na to nie wskazują.

– Widzisz, Alex, potrzebujesz też tak zwanych opinii negatywnych. Dobrzy generałowie słuchają także złych wieści, nie tylko dobrych.

Cutter pokręcił głową. – Czym jak czym, ale dobrym generałem to ja na pewno nie jestem.

Valerie sięgnęła do torebki i wyjęła z niej dwa arkusze papieru biurowego, pokryte równymi rządkami maszynopisu.

– Przejdźmy może do rzeczy – zaproponowała, kładąc kartki na stole.

– Ta kobita to normalnie kurna geniusz – zwierzył się Bone'owi Cutter. – Nie dość, że umie stenografować i pisze na maszynie pięć tysięcy słów na sekundę, to jeszcze i dyktuje. Lepiej miej na nią oko, bo raz-dwa obejmie władzę nad światem.

Valerie pchnęła maszynopis po blacie w stronę Bone'a.

– Opracowaliśmy to wczoraj we dwoje. To taki szkic planu. Zarys tego, o czym myśleliśmy do tej pory.

– Zarys, akurat – prychnął Cutter. – To regularny plan bitwy, cholera, zupełnie jak w kraju żółtych ludzi. Tyle że tutaj to my, a nie jakiś skurwysyn wazelinarz w sztabie, decydujemy, jak dostaniemy w dupę.

Valerie spojrzała na niego prosząco. – Musisz się tak wyrażać?

– Czasem sam się zastanawiam – odparł Cutter ze współczuciem.

Bone poprawił się na krześle i zaczął czytać te dwie strony gęstego maszynopisu. Z początku uważał je za dowód nieodpowiedzialności i głupoty: zapisywać ich plany? Przecież kartki mogły się gdzieś zapodziać. Nie wiadomo, komu wpadną w ręce, kto je przeczyta, może nawet posłuży się nimi jako dowodami przeciwko trójce spiskowców, gdyby doszło do czego. Choć nie do końca opuściło go to krytyczne nastawienie, w miarę postępów czytania coraz lepiej widział jednak, jak użyteczne było zapisanie tego wszystkiego, wypunktowanie detali procedury, taktyki, zakazów.

Pierwsza reguła postępowania była oczywista: załatwiamy sprawę wyłącznie z samym Wolfe'em. Przewidywali, że dotarcie do niego nie obejdzie się bez problemów, że najpierw trzeba będzie sforsować warstwy obronne – sekretarki, wiceprezesów, osobistych asystentów, którzy będą żądać, by wyjawić im jeśli nie całą, to przynajmniej zarys sprawy, z jaką chcieli się zwrócić do szefa. Tego jednak naturalnie należało za wszelką cenę uniknąć. Zachowanie całkowitej tajemnicy było podstawowym warunkiem każdej „umowy” wiążącej się z szantażem – bez tego ofiara nie miała motywacji, by pozostawać ofiarą. Musieli więc w staraniach do nawiązania kontaktu z Wolfe'em zachować wyjątkową ostrożność. Przyjęli zatem, że będzie najlepiej, jeśli Bone osobiście uda się do biura Wolfe'a w Hollywood i powie najwyższej rangą osobie, z jaką uda mu się tam spotkać, że musi się skontaktować z prezesem, by przekazać mu prywatną wiadomość dotyczącą nocy, kiedy w Santa Barbara podpalono jego samochód. Bone miał podkreślić, iż owa wiadomość miała gardłowe znaczenie, a zatem mogła być przekazana tylko samemu Wolfe'owi. Powinien upewnić swojego rozmówcę, że Wolfe z radością przyjmie tę wieść, ale wyłącznie wtedy, gdy Bone przekaze mu ją osobiście. Gdyby prezes miał się z nią zapoznać w inny sposób, na przykład za pośrednictwem policji, byłby zaiste nader nieszczęśliwy.

Bone miał zostawić kontaktowy numer telefonu. Gdyby faktycznie doczekał się odpowiedzi, gdyby otrzymał zaproszenie do biura Wolfe'a czy w jakimkolwiek inne miejsce zaproponowane przez samego prezesa lub kogoś z jego podwładnych, miał grać potulnego, zgodzić się na ich sugestię. Jednak w momencie spotkania twarzą w twarz powinien zaimprovizować coś i przenieść się z rozmową gdzieś indziej, na przykład na chodnik przed biurowcem czy choćby do toalety, gdzie raczej nie powinno być podsłuchu. Zawsze bowiem istniało prawdopodobieństwo,

jakkolwiek nikłe, że Wolfe nie był jednak mordercą, a podejrzewając szantaż, mógłby spróbować nagrać rozmowę z Bone'em.

Jeśli w ogóle doszłoby do spotkania, Bone przede wszystkim miał dać jasno do zrozumienia, że nie on jeden brał udział w tym przedsięwzięciu, żeby zniechęcić Wolfe'a do dumania nad siłowym rozstrzygnięciem sytuacji. W tym celu miał mu pokazać fotkę z polaroida, ukazującą całą trójkę spiskowców z egzemplarzami tego numeru gazety z Santa Barbara, w którym pisano o morderstwie Pameli i spaleniu auta. Twarze Cuttera i Valerie miały zostać wycięte ze zdjęcia, tak że Wolfe miałby świadomość, iż zagrożenie, przed jakim stanął, nie ograniczało się wyłącznie do Bone'a, nie wiedziałby jednak, kto jeszcze był zaangażowany w tę sprawę.

Następnie Richard miał przedstawić ich żądania, bez możliwości negocjacji. Wraz ze swoimi towarzyszami zachowa milczenie w sprawie zbrodni popełnionej przez Wolfe'a, jeśli ten będzie im co roku płacił kwotę stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, w formie ryczałtu dla firmy doradczej, jaką miał wyłącznie w tym celu założyć Bone. W ten sposób płatności mogły wychodzić z kasy koncernu Wolfe'a, nie uszczuplając jego osobistego majątku, bowiem Bone i jego towarzysze nie zamierzali zarzywać kury znoszącej złote jajka. Opłaty miały być uiszczane co kwartał, a pierwsze trzydzieści siedem i pół tysiąca miało zostać wpłacone w tydzień po pierwszym spotkaniu.

Cutter i Valerie mieli pojechać z Bone'em do Los Angeles i zatrzymać się w tym samym hotelu co on – na wypadek, gdyby miało dojść do jakichś nagłych komplikacji, czegokolwiek, co wymagałoby natychmiastowego przedyskutowania dalszych działań nie tylko samego Richarda, ale całej trójki. Wszelkie różnice zdań miały być rozstrzygane większością głosów. A jeśli którekolwiek z nich zechciałoby się wycofać z tej imprezy, proszę bardzo. Tyle że od samego początku mieli się zobowiązać, że całą sprawę zachowają wyłącznie dla siebie – przyszłych „kochanków, małżonków czy kogo tam jeszcze” nie wolno było informować o tym, czego dopuściła się trójka spiskowców ani skąd pochodziły ich dochody.

Kończąc lekturę, Bone spojrzał na Cuttera.

– Ten tutaj ostatni punkt... dotyczy również Mo? – zapytał.

Cutter obojętnie wzruszył ramionami. – Dotyczy również Mo.

– To będziesz miał mały problem, co, żeby wyjaśnić swoją nagłą zamożność? – uśmiechnął się Rich.

– Może nie będę musiał.

Przez pięć, może sześć sekund Bone siedział nieruchomo i patrzył na Cuttera, oczekując wyjaśnienia tych słów. Alex jednak milczał.

– A co z resztą planu? – wtrąciła się Valerie. – Jesteś za?

Bone zapalił kolejnego papierosa. – Nie jestem pewien. Trochę, prawda, wystawia mnie na odsłoniętej pozycji.

– Na szpicy – sprostował Cutter. – A to najlepsze miejsce, Rich. Jak to nazywaliśmy, Krzyżewo Waleczne. Idealna pozycja, żeby dowiedzieć się wszystkiego o sobie samym.

– Jesteś logicznym kandydatem – dodała Valerie. – Wolfe bez wątplenia wie już, że byłeś tam na miejscu i widziałeś go, a przynajmniej jego sylwetkę. Będziesz wiarygodny, a nam to się nigdy nie uda.

O to Bone nie zamierzał się z nimi sprzeczać.

– Skąd będziemy wiedzieć, kiedy Wolfe przyjedzie do Los Angeles?

– Nasza już wiedzieć, proszę pana kapitan – odparł Cutter. – Wielga biała szef przylatywać tamój jutro po południu. No i także samo my musimy wtedy tamój być.

– Jak się dowiedzieliście?

– Znów kogoś grał – uśmiechnęła się Valerie. – Ciołka z gór Ozark.

– Właściwie to nie ciołka – poprawił ją Cutter. – Po prostu starego kumpla w sosie południowym. Zadzwoiłem wieczorem do biura Wolfe'a w Hollywood, była szansa, że centralkę obsługuje ktoś żywy, no i patrzcie i podziwiajcie, odebrała słodziutka młoda dziewczuszka. Wolfe Enterprises Incorporated, powiada. Znakiem tego ja jej na to, że nazywawszy się Tommy Joe Didwell i że kiedyś, za bajbusa, to żeśmy z J.J.-em często łowili razem ryby, a że się właśnie przeprowadziwszy z Muskogee tu do Los Angeles, to pomyślawszy, że zadzwonię do starego kumpla, może jest w mieście, pogadamy se o starych pierdołach, wi pani, jak to jest, a jeśli stary J. J. wziął się i od dziecka nie zmienił, to się wścieknie gorzej niż mokry szerszeń, co mu ktoś wziął i wetknął kaczana w dupę na sztorc, jeśli się dowie, że jego stary przyjaciel Tommy Joe próbował się do niego dodzwonić i nie mógł... a tylko dlatego, że taka inteligentna i miodousta panienka wzięła i się nie chciała zgodzić.

Dopił piwo.

– No, żeby przejść do samego sedna tego sedna, zapodała, że mój stary kumpel J.J. przyleci w poniedziałek rano na trzy dni nasiadówek, a potem wraca do Missouri.

Wlał do swojej szklanki resztkę piwa z butelki, po czym w tym samym celu zawłaszczyl sobie coorsa Valerie, aż Bone zaczął się zastanawiać, które to już było

piwo dla Alexa tego dnia. Południe minęło dość niedawno, a Bone nie miał ochoty spędzić reszty dnia z Cutterem, jeśli go suszyło, bo to z reguły oznaczało awanturę, albo przynajmniej zawracanie tyłka.

Na odpowiedź musiał czekać raptem parę minut. Dwóch dawców narządów wymaszerowało buńczucznie z tawerny. Zajęli stolik obok, biorąc się za to, jakby zamierzali ten mebel zgwałcić i skopać do nieprzytomności – walnęli butelkami piwa o blat, kopniakami odsunęli zbędne krzesła, klapnęli w wybranych, i z łomotem zarzucili nogi na stół. Jeden był gruby i zapuszczony, z krótką, rzadką bródką i obwódka długich, lecz równie rzadkich włosów zwisających z przedwcześnie wylysiałej głacy. Drugi był chudy jak norka i niewiarygodnie brzydki – miał wredną twarz właściwie bez podbródka, barwy brudnej mąki, a bujne, przetłuszczone czarne włosy zebrał z tyłu w kucyk. Ich stroje były zbliżone tylko pod względem ogólnego wyświnienia i tego, że obaj mieli czarne skórzane kamizelki, na których niewielkie znaczki identyfikowały ich jako OUTSIDERÓW – akurat z punktu widzenia Bone'a ten opis był całkowicie zbędny. Inni klienci lokalu póki co udawali, że nic się nie stało – z wyjątkiem Cuttera. Ten od początku wpatrywał się w dwóch motocyklistów, szczególnie w tego w typie norki, który przez pewien czas jakby nie potrafił, a przynajmniej nie chciał uwierzyć, że takie bluźnierstwo może się dzieć w publicznym miejscu, w biały dzień, w świecie porządných obywateli. Na kilka sekund spuszczał wzrok z Cuttera, udając, że zainteresowało go coś innego, drapał się po tatuażach na brzuchu, splotwał, oglądał cygaretkę, studiował hagiografię pierścieni na krótkawych palcach, ale w końcu zawsze wracał spojrzeniem do Alexa... a ten Cyklop wciąż się na niego gapił i jeszcze się *śmiał*.

Tymczasem Bone i Valerie próbowali wciąż rozmawiać na stary temat, rozprawiając na przykład o funduszach operacyjnych – jak powiedziała, tym właśnie się zajmowała, finalizowała pożyczkę pod zastaw własnego auta, trzyletniego forda pinto, którego całkiem niedawno skończyła spłacać. Jednak niemal natychmiast norka i jego kumpel wstali od stołu, dokładnie tak, jak to tysiąc razy widzieli w telewizyjnych serialach, westernach z Johnem Wayne'em i filmach o niegrzecznych motocyklistach z lat ich młodości. Obaj podnosili się powoli, niemal ze znużeniem, z odcieniem rezygnacji, jak przystało na prawdziwych *macho*, przy okazji przewracając jedno z krzesel, po czym bez pośpiechu ruszyli przez ziemię niczyją dzielącą ich od *wroga*, tego jednookiego cwela z dziwnym ryjem, któremu Bóg wie czemu wydawało się, że ujdzie mu na sucho, jeśli będzie się na nich beczelnie gapił.

Bone odruchowo wstał, kiedy podeszli do ich stolika – nie miał zamiaru czekać, aż rozwałą mu łeb butelką od piwa – i z pewną ulgą zauważył, że jest wyższy od obu intruzów, choć grubas górował nad nim masą.

– Na co się, kurwa, gapisz? – norka z miejsca uderzył do Cuttera.

Ten zastanowił się przez chwilę. – Niech zgadnę. Na księżniczkę Annę?

Na te słowa norce najwyraźniej odebrało mowę. Przez parę chwil facet łapał tylko powietrze i gapił się na Alexa. Potem zwrócił się do Bone'a.

– Ty, co jest z tym koleś, co? Dawno wpierdol nie dostał? Ma jeszcze o jedno oko za dużo?

Bone usiłował zachować spokój, przynajmniej na zewnątrz, jak psychiatra na zajęciach terapeutycznych z grupą psychopatów.

– Luz, chłopaki – powiedział. – Nie zwracajcie nim sobie głowy. Hej, chodźmy stąd gdzieś indziej. Może dam radę wyjaśnić, o co tu biega.

Gestem wskazał przeciwległy narożnik dziedzińca. Ale Cutter wcale nie miał dość. – Czyżby na Presleya?

Valerie zaczęła go prosić, żeby się przymknął.

– Słusznie radzisz, matka – stwierdził gruby.

Bone ruszył przez dziedziniec.

– Dajcie spokój, chłopaki – rzucił. – Przynajmniej mnie posłuchajcie. Żal wam chwili? Koleś i tak wam nie ucieknie.

Gruby wzruszył ramionami i poszedł za nim. Po chwili to samo zrobił też ten drugi, zygzakując pomiędzy niemal wyludnionymi stolikami, bo większość klientów dała nogę do wnętrza tawerny, kiedy tylko sytuacja zaczęła zmierzać ku konfrontacji.

– Chyba nie na Tomcia Palucha? – zawołał za nimi Cutter.

Norka już chciał zawrócić, ale gruby pociągnął go dalej.

– I co ja wam mogę powiedzieć? – zaczął Bone. – Jest dokładnie tak, jak widać. Facetowi palma odbiła. I tak cały czas, od kiedy wrócił z Wietnamu. Jak nie w jednym szpitalu, to w drugim, bez przerwy. Teraz akurat ma, znaczy, przepustkę, tylko na tydzień. Muszę nad nim czuwać jak anioł stróż, bo facet wciąż próbuje się zabić.

– No, lepiej niech zacznie uważać – mruknął gruby. – Bo jeszcze mu ktoś dopomoże.

– Wierzcie mi, nawet by się ucieszył – Bone rzucił okiem w stronę stolika, gdzie Cutter spoglądał na nich z uprzejmym uśmiechem. – Widzicie laskę? – ciągnął.

– Facet już sobie nie potańczy. Do tego nie ma też kontroli nad pęcherzem i zwieraczami. Jednooki kaleka, który wciąż chce popełnić samobójstwo... to cały mój brat, panowie. A przynajmniej to, co z niego zostało. Co nam oddał rząd.

Norka nagle wałnął pięścią w blat najbliższego stołu.

– Ta pierdolona wojna! – wrzasnął. – Parszywa wojna, kurwa mać!

Gruby motocyklista przyjacielsko klepnął Bone'a w ramię.

– Spoko wodza, facet – stwierdził. – Luz. Idziemy do środka.

– Dzięki – odparł Bone. – Serdecznie dziękuję.

– Nie ma za co.

Kiedy już tamci zabrali się z piwem do tawerny, Bone wrócił do stolika i usiadł.

– No, pięknie, po prostu ślicznie – powiedział Cutterowi. – Tak ślicznie, że właśnie przestałem ci wierzyć, przyjacielu.

Przez całą resztę popołudnia Bone trwał przy swej decyzji, by się wycofać ze sprawy z Wolfe'em. Oświadczył Cutterowi, że rzecz była sama w sobie wystarczająco niebezpieczna, żeby jeszcze ryzykować jej podejmowanie, mając za partnera figlarza ze skłonnościami samobójczymi. Alex oczywiście zaczął się z nim spierać, przechodząc od ironicznych kpín do nalegań „po starej przyjaźni” i z powrotem, upierając się, że Bone przyrównywał do siebie diametralnie różne sytuacje, jak psa do kota. Przecież to, że Cutter postanowił podpuścić dwóch durnowatych dawców narządów tu, w Santa Barbara, *przed* rozpoczęciem projektu, nie oznaczało wcale, że odwinie podobny numer później, w Los Angeles, kiedy będzie się liczył każdy krok, kiedy już sędzia dmuchnie w gwizdek i zacznie się mecz. Przecież Bone bez trudu mógł dostrzec, że tak właśnie będzie, prawda?

Otóż nie, Bone wcale niczego takiego nie dostrzegął. W rzeczy samej, bez kłopotu mógłby przyjąć, że ktoś, kto wykręcił taki numer jak Cutter przed chwilą, w weekend *tuż przed* wyjazdem do Los Angeles, w chwili kiedy na stole leżał maszynopis ich planów... więc że taki typ, ciągnął Bone, może w każdej chwili zrobić cokolwiek, co akurat wyda mu się zabawne.

Valerie właściwie nie mieszała się do rozmowy, zapewne dlatego, że czuła się rozdarta między ich stanowiskami. Bez wątpienia chciała, żeby projekt wszedł w życie, a jednak Bone miał wrażenie, że przynajmniej częściowo podzielała jego zastrzeżenia co do tego, czy Cutter nadawał się na uczestnika tego przedsięwzięcia. Miała już łzy w oczach, kiedy Bone wrócił do stolika. A kiedy całą trójką wyszli z tawerny, w ogóle się nie odzywała i z pewnymi oporami wsiała z Alexem do

packarda, zapewne przewidując, że zjazd z przełęczy będzie bardzo nerwowym przeżyciem dzięki kombinacji ciężkiej stopy Cuttera oraz zawodnych hamulców, układu kierowniczego i chyba wszystkich innych podzespołów jego auta. Bone jechał za nimi w pickupie. Trzy razy widział, jak packard zjeżdżał z krętej serpenty i wracał na drogę tak gwałtownie, że przecinał ciągłą linię na środku jezdni, i sam w sobie czuł przynajmniej część tego stresu, jakiego musiała w tych chwilach doznawać Valerie.

W końcu jednak udało im się opuścić góry i Bone pojechał w ślad za Cutterem na plażę, gdzie całą trójką przeszli się na koniec falochronu i puszczały kaczki ku setkom łódek i jachtów przycumowanych w porcie. Potem poszli do Murdocka na parę kolejnych piw, tym razem na koszt Bone'a, bo Cutter oświadczył, że znów dobił do dna – „pożyczka” Swansona już się rozeszła. Do materii udziału Bone'a we wspólnym przedsięwzięciu wracali już tylko okazjonalnie, kiedy Cutter znajdował sobie nowy argument, ale gdy ten okazywał się bezskuteczny, zmieniali temat albo po prostu siedzieli wygodnie i słuchali muzyki z płyt, takiego samego popu, z jakiego Cutter drwił tydzień temu wraz z Ericksonem i jego czarną dziewczyną. Zasadniczo zatem było to kolejne popołudnie z Alexandrem Cutterem, silne szkwały przerywane okresami całkowitej ciszy. A przy okazji Bone dowiedział się całkiem sporo o Valerie.

Jak to ujął Alex, jej ojciec „poszedł na Bone'a” – porzucił matkę, kiedy Valerie była jeszcze w podstawówce. Przez jakiś czas matka wiązała koniec z końcem, pracując jako kelnerka w motelu Biltmore i uciekając się do wszelkich możliwych sztuczek, by znaleźć nowego męża, lecz kiedy dobiła do czterdziestki i zaczęła się żegnać z urodą, coraz częściej zaglądała do flaszki, więc Valerie w wieku szesnastu lat stała się właściwie głową rodziny – opiekowała się mamą, zajmowała się domem, gotowała, próbowała wychowywać młodszą siostrę, a wszystko to wciąż jako uczennica liceum. Kiedy ukończyła szkołę w wieku siedemnastu lat, zaszła w ciążę z młodym i przystojnym reprezentantem handlowym od dżinsów Levi's, który był jednak na tyle uprzejmy, że dał jej namiary do tego specjalisty od skrobanek, u którego później wylądowała także jej siostra. Niedługo potem mama zaliczyła pierwsze załamanie psychiczne, po którym trzeba ją było hospitalizować i poddać programowi gruntownej psychoterapii, a to z kolei zakończyło się utratą domu.

Tymczasem Valerie ruszyła ścieżką kariery w towarzystwie ubezpieczeniowym Coastal, aż wreszcie osiągnęła obecną pozycję referenta ds. obsługi klientów, na której zarabiała zawrotną sumę czterystu dolarów miesięcznie, co zdecydowanie nie

pokrywało wydatków rodziny na życie i opiekę medyczną. A ponieważ mama odmówiła ubiegania się o zasiłek socjalny – „to dla czarnuchów i meksów”, powiedziała – Valerie musiała znaleźć inne źródło dodatkowych dochodów. Początkowo podkradała drobne kwoty z firmowego funduszu na imprezy, było to jednak zajęcie tyleż mało pożyteczne, co z góry skazane na katastrofę. W związku z tym pewnej soboty w przystępie desperacji włożyła najbardziej seksowną sukienkę i pojechała na południe, do plażowego kompleksu hoteli przy marinie w Oxnard. Znalazła najbardziej szycowny bar i samotnie zabrała się za picie kolejnych martini. W ciągu pół godziny znalazła pierwszego klienta, numer na całą noc, który przyniósł jej tyle, ile zarabiała w firmie przez bity tydzień. Był to pierwszy z weekendowych wyjazdów, czasem do Los Angeles czy nawet do San Francisco, lecz przeważnie do tego samego baru w Oxnard. A po powrocie do domu zawsze kończyło się tym samym pytaniem, jakie sobie stawiała: „Czemu nie pójść na całość? Czemu nie zbić na tym szmalu, póki jeszcze czas?”

Jak im powiedziała, odpowiedź również była zawsze taka sama:

– Nie zdzierzyłabym bycia kurwą.

Roześmiała się wtedy – cicho, sucho, niemal jak gdyby kaszlnęła, a nie demonstrowała rozbawienie.

– Twoja siostra o tym wiedziała? – zapytał Bone.

– Nie sądzę. Przecież z reguły i tak nie było jej w domu. Pewnie przypuszczała, że mam chłopaka.

– Bo miałaś – wtrącił Cutter. – Niejednego.

– A jakie z nich były fajne chłopaki. Istna sól ziemi.

Bone dopił piwo. – To wiele wyjaśnia – rzucił.

– Co takiego?

– No właśnie to. Twoja uboczna działalność. Zastanawiałem się, jak Alex zdołał cię namówić.

– On o tym nie wiedział.

– Ale jednak cię namówił. A ja zastanawiałem się, jak mu się to udało. Większość ludzi w twojej sytuacji poszłaby prosto na policję z taką historią, jaką on ci opowiedział.

– Też to rozważałam – przyznała. – Alex powiedział jednak, że nigdy nie przyznasz na policji, iż to był Wolfe. A nawet gdybyś to zrobił, oni i tak nie ruszyliby palcem przeciwko takiemu człowiekowi.

– Do tego doszła jeszcze kwestia pieniędzy – stwierdził Bone.

- Tak. Doszła kwestia pieniędzy.
- Nie bez znaczenia.
- Oczywiście. Tak, jak miała ona znaczenie i dla ciebie.

Przez parę chwil Bone siedział w milczeniu. Już wiedział, że znów do nich dołączył, zresztą chyba nawet przez chwilę nie zrezygnował z uczestnictwa, no, może tylko dla pozorów, żeby dać Cutterowi nauczkę.

- *Ma* – powiedział. – Wciąż ma znaczenie. Ale wszystko zależy od Alexa. Ten spojrzał na niego pytająco. – Że niby jak?
- Czy zrobisz coś dla mnie, czy nie...

Pół godziny później, niosąc kupione po drodze pizze, całą trójką stanęli na progu domu Cuttera, gdzie Alex miał spełnić warunek, pod jakim Bone zgodził się wciąż uczestniczyć w tym przedsięwzięciu.

– To nic takiego – wyłożył Alexowi. – Chcę tylko, żebyś powiedział *Mo*, o co tu chodzi, wyjaśnił jej, co takiego robimy i dlaczego.

Cutter tytułem reakcji wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Na dzień dobry mogę ci powiedzieć, że ona w to nie wejdzie. Gdyby zaczęła myśleć o kasie, wystarczyłoby, żeby złapała za telefon i zadzwoniła do mamusi w Beverly Hills. Jednak nie będzie też nam przeszkadzać, bo to moja baba. Jak Alex czegoś chce, to dostanie.

Bone również nie oczekiwał, że *Mo* do nich dołączy. Ba, gdyby chciała to zrobić, wycofałby się ze spółki. Chciał jednak, żeby *wiedziała*. Przynajmniej tyle pragnął jej dać.

Pod domem stał jaguar George'a Swansona, więc spodziewali się, że zastaną go w środku, ale jednak to, że opasany fartuchem stał w kuchni i zmywał naczynia, było dla nich niespodzianką. *Mo* obserwowała go, siedząc z nogami na stole i bawiąc się słojkiem po dzemie, do połowy wypełnionym czymś, co wyglądało na mieszankę szampana z czerwonym winem. Pod stołem mały z satysfakcją tłukł chochlą w sosjerkę.

Cutter dokonał przedstawienia Valerie ze zwykłą sobie gracją: – To Val. Właśnie żeśmy ją znaleźli na poboczu.

Potem rozpakował pizze i zaproponował Swansonowi, by przysiadł się do nich i zjadł coś, ale potem będzie musiał wyjść, bo planują orgietkę, a w pięć osób robi się już tłoczno. Znaczy, może zostać, jeśli ma ochotę na bobasa, no, jego sprawa, ale Cutter nie mógłby niczego zagwarantować, bo George widział chyba, że mały

właśnie czerpał wiele radości z sześciocalowej łyżki, więc niekoniecznie może chcieć się bawić czymś o połowę mniejszym. Swanson zdołał się nawet roześmiać, zgodnie z oczekiwaniami Cuttera, po czym wymówił się, twierdząc, że pizza i piwo kłócą się z jego dietą, a poza tym i tak musiał już jechać, bo obiecał żonie, że będzie w domu na kolację, a zresztą i tak dostał już „wszystko, o czym w życiu marzył”. Z tymi słowy puścił oko do Mo, która tradycyjnie otepienym wzrokiem przyglądała się im wszystkim z cieniem uśmiechu, niedoskonale zamaskowaną wzdargą. Napomknął też w paru słowach o wydarzeniach zeszłego wieczora, że było mu bardzo przykro z powodu tego, co zaszło, i że oczywiście Bone zawsze jest w jego domu mile widziany, ale Richard zbył to skinieniem głowy i uśmiechem, nie chcąc, żeby sprawa została rozdmuchana do tego stopnia, by Alex się nią zainteresował.

Tymczasem Valerie siedziała cicho i delikatnie jadła pizzę, niepewna, jak się zachować w tym nowym otoczeniu, tym bardziej że wokół niej posykiwały zawilgocone fajerwerki dowcipu. Nie rozluźniła się nawet po tym, jak Swanson wyszedł, a wszyscy pozostali także zabrali się do jedzenia. Była ubrana lepiej niż Mo, w białej bluzce, naszyjniku z koralami i spodniach w kratkę, gdy gospodyni jak zwykle siedziała w grubszych spodniach i bluzie od dresu. Mimo to Valerie w tym zestawieniu wypadła tandetnie – Bone zastanawiał się, czy tylko on tak to widział, czy tajemnica kryła się w oku patrzącego, czy też jednak nie emanowało to z samej dziewczyny, która być może sama *czuła* się tandetnie w porównaniu z instynktownym luzem Mo, rezultatem wychowania w Beverly Hills i szkołach na wschodnim wybrzeżu, które nie wiedzieć jak dało jej prawo, by siedzieć sobie za stołem i nie powitać Valerie choćby jednym słowem czy gestem aż do tej chwili, kiedy w końcu przemówiła głosem, który tylko wzmocnił ów efekt: jego czyste, beztróskie brzmienie też na swój sposób było oznaką odziedziczonego przywileju.

– Bardzo mi przykro z powodu pani siostry – powiedziała Mo. – To straszne, że takie rzeczy się dzieją.

Biorąc pod uwagę kpiące przedstawienie Valerie, jakiego dokonał Cutter, Bone był zaskoczony, że Mo wiedziała, kim ona jest. Najwyraźniej wiedziała również, że to z nią Alex spędzał ostatnio mnóstwo czasu, gdyż patrzyła na dziewczynę zdecydowanie chłodno, zresztą podobnie jak i na obu mężczyzn. Nie był to więc zbyt wesoły posiłek. Gdy oni we trójkę zajadali się pizzą, Mo tylko sączyła swój napitek i zaliczała kolejne pall maile, jakby to były paciorki różańca. W końcu Cutter zaczął jej o czymś opowiadać, ale przerwała mu w pół słowa, wstając od stołu i oznajmiając, że pora nakarmić małego.

Wtedy Cutter zrobił w dzbanku swoją niewiarygodną kawę – nie patrząc, sypnął granulkami instant do ciepłej wody z kranu – i poszli we troje do salonu, gdzie zasiedli wokół klapy luku.

Wyglądało na to, że nie mieli sobie nic do powiedzenia. Valerie znalazła stary numer „Penthouse'a” i oglądała gołe panienki, a Cutter i Bone po prostu czekali na Mo.

Kiedy ta w końcu weszła, ze szklanką na nowo pełną wina i świeżo zapalonym papierosem, zapytała, co się tu działo.

– Co jest, mamy stypę? – dodała.

Potem zerknęła na Valerie i ugryzła się w język.

– Przepraszam. Nie pomyślałam. Jak zwykle, palnęłam coś bez namysłu.

– Nie ma problemu – odparła Valerie. – Nawet sobie tego nie skojarzyłam.

Cutter obdarzył je swoim błogosławieństwem.

– Pokój z wami, moje dziatki – oznajmił. – Czeka mnie tu pewien obowiązek.

– No chyba nie w tym pokoju – zaproponowała Mo.

– Śmieszka, naprawdę. Nie, kochanie, właśnie tutaj. Dla ciebie.

Mo udała, że przeszedł ją dreszczyk. – Jestem taka podekscytowana.

– Pamiętasz naszą rozmówkę pewnej niedawnej nocy? Z Richem, na temat tego typu Wolfe'a i tego, co udało mi się o nim dowiedzieć?

– Mgliście. Pamiętam za to, że miałaś owego wieczora problem z zaparkowaniem auta, czy coś takiego. A później zgłaszałaś pewne zastrzeżenia co do jakości naszego związku.

Cutter uśmiechnął się przyjemnie, wchodząc w nastrój tej pogawędki.

– Tak jest, moja droga, właśnie o tamtą noc chodzi. Otóż od tamtej pory, można by rzec, sprawy się wyklarowały. Val i Rich są tu ze mną. To znaczy, wszyscy troje uważamy, że to Wolfe zamordował siostrę Val. I zamierzamy się z nim skontaktować. Chcemy spróbować go zaszantażować. Jeśli zapłaci, mamy go przy jajach. Wtedy możemy iść ze sprawą na mendownię.

Mo milczała, patrzyła tylko na Alexa tak, jak gdyby jego nos właśnie zmieniał się w marchewkę.

– To Rich wymyślił, żeby ci o tym powiedzieć – ciągnął Alex. – Mnie się wydawało, że lepiej będzie poczekać, opowiedzieć ci o tym po wszystkim. Byłoby prościej.

– Ależ oczywiście. Oczywiście – Mo uśmiechnęła się teraz do Bone'a. –

Dziękuję ci jednak, Richard, że zatroszczyłeś się o mnie. Prawdziwy z ciebie dżentelmen i jeszcze coś, bez dwóch zdań.

– Proszę uprzejmie, Mo.

Dopiero teraz przestała go dusić – ten śmiech, łączący mniej więcej równe części rozbawienia i wzgardy.

– Na wypadek, gdyby mi się pomieszało... Zamierzacie szantażować tego faceta, J.J. Wolfe'a, bo zabił jej siostrę – skinęła w stronę Valerie, uśmiechnięta, jakby rozmawiali o zaletach pudełek na produkty spożywcze firmy Tupperware. – A jeśli wam zapłaci, oddacie go w ręce sprawiedliwości... oczywiście wraz z pieniędzmi.

– Taki mamy plan, owszem – odparła Valerie.

– Rozumiem – wciąż z uśmiechem zwróciła się do Cuttera. – To wręcz obelżywe, Alex. No wiesz, naprawdę spodziewałeś się, że kupię takie brednie? Ostatnio rzeczywiście dobiłeś do dna, wiesz? Robi się z ciebie buc. Żałosny buc.

– Skoro tak twierdzisz – Cutter wzruszył ramionami.

– Tak twierdzę.

Znów wtrąciła się Valerie: – Ale to może wypalić dokładnie tak, jak powiedział Alex. Wiem, że przynajmniej ja właśnie tego bym chciała... to znaczy, oddać pieniądze i doprowadzić do skazania Wolfe'a.

Mo spojrzała na nią, rozżalona. – Goń się na drzewo, co?

Cutter cmoknął kilka razy. – Hej, kochanie, po co te obelgi?

– *Obelgi!* – znów roześmiała się Mo. – Jak do diabła można zelżyć was troje, taką bandę zboczonych szantażystów?

Cutter pokręcił głową, udając smutek, jak gdyby źle wychowane dziecko zachodziło mu właśnie za skórę. Bone widział jednak wzbierający w nim gniew.

– Chyba zapominasz o paru sprawach – orzekł Cutter. – Tu obecna Valerie straciła siostrę, tak się złożyło. Pamiętasz taki drobiazdek? A jeśli to Wolfe jest winien jej śmierci... a mamy mocne powody, by w to wierzyć... będę się upierał, że cokolwiek wyrządzimy mu my, czy ktokolwiek inny, należy nazwać sprawiedliwością, krótko i zwięźle.

Mo jednak nie zamierzała ustąpić.

– A pewnie, Alex. Tak im wmawiaj, mały. To dopiero nowomowa... stajesz się w tym mistrzem nad mistrze, wiesz? Przydałbyś się Nixonowi w Białym Domu, ty i Ron Ziegler*. Rach-ciach i wszystkie stare słowa tracą *ważność*. Nie tylko sprawiedliwość, lecz również prawda. I duma. Honor. Pamiętasz je jeszcze?

* Sekretarz prasowy prezydenta Nixona w czasie afery Watergate.

Cutter zmarszczył brwi. – Próbuję, mamusiu. Naprawdę się staram.

– A co powiesz na jaja?

– No, o jajach to ty na pewno wiesz bardzo dużo, nie?

– Żebyś wiedział. Trzeba mieć jaja, żeby miesiącami siedzieć w tym chlewie, czekając, aż znajdziesz w sobie dość odwagi, by znów zacząć żyć. A tymczasem siedzisz tu sobie i planujesz jakieś idiotyczne przestępstwo – zaśmiała się gorzko. – Boże, ależ ze mnie księżniczka. Jak zacznę obcałowywać jakąś ropuchę, jak nie zamieni się w żmiję.

Cutter pobladł z gniewu. Miał już coś powiedzieć, ale ubiegła go Valerie.

– Jakoś nie widzę w tym większego sensu – wstała od stołu. – Chyba już pójdę.

– Z ciebie też wyjątkowo zimna ryba, nie? – powiedziała jej Mo. – Ile to minęło od pogrzebu twojej siostry, dwa dni? A ty już próbujesz na tym zarobić.

– Przecież mówiliśmy, że nie chcemy *zatrzymać* tych pieniędzy – odparła Valerie. – Chcemy...

– A, daj spokój. Przynajmniej nie oceniam mnie aż tak nisko.

Zmierzając w stronę drzwi, Valerie spojrzała ponagląco na Bone'a.

– Robi się późno – powiedziała.

– A to wszystko to i tak pomysł Richa Wielkiego Fiuta – teraz to Cutter naskoczył na Bone'a. – To ty chciałeś, żeby wyjaśnić mamusi, co i jak, nie? Więc może teraz byś się odezwał, co? Stań w obronie wiary.

Bone pokręcił głową. – Nie mam nic do powiedzenia.

Mo znów parsknęła śmiechem, tym razem niemal czysto ubawiona. – Oczywiście, że nie. Bo i czemu miałby coś mówić? To wszystko w sumie całkiem nieźle leży w jego charakterze. I z tym mogę żyć. Przynajmniej nie snuje się i nie smęci, wylewając łzy nad tym, jaki to potencjał się w nim zmarnował. Nie drwi i nie znieważa każdego nieszczęśnika, który mu się nawinie.

Cutter już zdążył odstawić piwo. Teraz bardzo ostrożnie pokuśtykał przez salon do Mo i spoliczkował ją, mocno. Bone natychmiast zerwał się na nogi i dopadł Cuttera, łapiąc go za nadgarstek, nim zdążył powtórzyć cios.

– Nie radzę – powiedział.

Cutter aż dygotał. – Trafia w nerw, co?

Bone zignorował go.

– Nic ci nie jest? – zwrócił się do Mo.

Miała suche oczy, pełne furii. – A dajże spokój, proszę. Myślisz, że to pierwszy raz?

Odwrócił się więc do Cuttera: – Postaraj się, żeby to był ostatni raz.

Cutter próbował wyrwać rękę z jego uchwytu. Nie odniósłszy sukcesu, uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

– Czemu nie? – rzucił. – Czemu nie, do chuja pana?

Jadąc z powrotem do Montecito, Bone wysadził Valerie pod jej domem, małym bungalowem niedaleko autostrady, który wynajmowała. Przez całą drogę nie odzywała się do niego, nie licząc wskazówek odnośnie trasy. Kiedy jednak zatrzymał się przy krawężniku, a ona otworzyła drzwiczki, by wysiąść, obróciła się jeszcze do niego.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Wiem, że wszystko będzie dobrze.

– Czemu?

– Bo musi.

– Spróbuję to sobie zapamiętać.

– Nie żartuję. *Naprawdę* będzie dobrze.

– Bo musi.

– Właśnie.

Powiedział wtedy, że trzyma kciuki za prawdziwość jej słów, a ona się uśmiechnęła, przelotnie, smutno. Odprowadził ją wzrokiem, kiedy wysiadła z wozu i szybkim krokiem ruszyła w stronę drewnianego domku.

Potem, kiedy po cichu zaparkował pickupa w garażu pani Little i jeszcze ciszej zakradł się do swojej służbówki, znalazł na łóżku nową parę męskich kąpielówek, obcisłych, z doczepioną karteczką, na której atramentem koloru lawendy napisano:

„Co powiesz na kąpiel o północy?”

I Bone zorientował się, że był niemal przekonany o tym, iż Valerie mówiła prawdę. Wszystko dobrze się ułoży. Bo musi.

7.

Jeśli Bone zapamiętał z liceum choć jedną lekcję, była to ta dotycząca wagi pierwotnych decyzji, tych beztrąsko podejmowanych pierwszych kroków, po których bez wysiłku przychodzi krok drugi i trzeci, i zanim się człowiek zorientuje, już tkwi po uszy w koszmarnym maratonie bez końca. Najskuteczniej wbito mu to w głowę, kiedy w pierwszej klasie zajął się lekkoatletyką – tak naprawdę wcale nie obchodził go ten sport i zapewne nie próbowałby sił w szkolnej drużynie, gdyby nie namowy ojca, który swój jedyny dyplom zdobył jako członek sztafety na milę w starych dobrych czasach segregacji rasowej, kiedy biali chłopcy rywalizowali tylko z innymi białymi chłopcami. Bone poszedł więc na trening, przebrał się i pobiegł wraz z innymi chętnymi, właściwie wcale się nie wytężając, tylko tak, żeby nie odstawać od grupy, i tyle. Nie wiedzieć czemu jednak trenerowi spodobał się jego styl biegania, więc wybrał go sobie na kandydata: „Hej, ty, Bone – dałbyś radę biegać na milę?” A Bone obojętnie wzruszył ramionami. „Pewnie, czemu nie?”

W ciągu czterech następnych lat nauczył się, czemu nie: musiał przecierpieć codzienny kierat biegów na pięć mil, żeby nie wypaść z formy, potem wzmoczoną udawkę, kiedy zaczęto mu mierzyć czas, aż w końcu same wyścigi, prawdziwe seanse tortur, kiedy zbił swój czas z pięciu minut do czterech i pół, a w końcu nawet do czterech minut i dziewiętnastu sekund, choć potem czuł się tak, jakby własne serce zatłukło go na śmierć.

Czego się jednak nauczył. Nie zgłaszać się na ochotnika. Nie przystawać na cudze propozycje tylko ze wzruszeniem ramion. Należało ugryźć się w język, uważnie obserwować, a dopiero potem dokonywać ważnych posunięć, wstępnych kroków, jak gdyby zależało od nich jego życie. Bo nader często tak właśnie było. Dlatego na studiach nie pchał się do drużyny. Nie zastosował się też potulnie do zaleceń, jakie otrzymał w wezwaniu poborowym, podobnie jak nie zamierzał wstąpić na ochotnika w szeregi piechoty morskiej. Zamiast tego lata życia, kiedy obejmował go pobór, spędził studiując, żeniąc się i wspinając na szczyble kariery w biznesowej rywalizacji. W pewnym sensie takim ruchem ochronnym było również odrzucenie tego wszystkiego i przyjęcie trybu życia, jakiego się trzymał przez kilka

ostatnich lat – sprzedając papier w Milwaukee można było stracić życie równie skutecznie, co strzelając do żółtków w Wietnamie.

Dlatego nie czuł się specjalnie szczęśliwie w poniedziałkowe przedpołudnie, kiedy Valerie wozila go i Cuttera w swoim małym pinto po ulicach powyżej Hollywood Boulevard, niedaleko La Brea. Co i raz skręcali w Unicorn i przejeżdżali obok eleganckiego, starego, pięciokondygnacyjnego budynku, który niegdyś był luksusowym kompleksem mieszkalnym, a teraz mieścił siedzibę Wolfe Enterprises, Incorporated, na Zachodnie Wybrzeże USA. I za każdym razem Bone miał niepokojące wrażenie, że znów jest dzieciakiem, głupim, zadufanym szczawiem, którego właśnie zapytano, czy chce biegać na milę, a on odparł: „Pewnie, czemu nie?” – a trener Cutter siedział z tyłu, pochylony, by wetknąć głowę między Bone'a i Valerie, psując powietrze odorem zjedzonych na śniadanie naleśników, szynki i jajecznicy – tego ranka krew żywo płynęła w żyłach, podekscytowanie uderzało do głów, ale w żołądku Alexa i tak wszystko kiśło.

– Całe najwyższe piętro to apartament Wolfe'a – powiedział Cutter. – Według „Time'a” facet wywalił kilkaset kawałków, żeby urządzili je tak, jak chciał. Ma hopla na punkcie gadżetów, normalnie jak Hugh Hefner* z gór Ozark. Przyciśnij guziczek, o, wodospad. Albo taniec brzucha, Albo galareta ze świńskich nówek.

* Założyciel i redaktor naczelny playboya”.

Bone pomrukiwał, zdradzając niepokój.

– Jasny szlag, jak patrzę na ten biurowiec, to wydaje mi się, że prędzej udałoby się nam spotkać z Howardem Hughesem**.

** Ekscentryczny miliarder, ostatnio sportretowany w filmie „Aviator”. W latach 60, i 70, odludek, niemal zupełnie zaprzestał bezpośrednich kontaktów z ludźmi poza grupką osobistych asystentów, wyłącznie mormonów.

– Gdybyś przyłapał Hughesa na robieniu tego, co wykręcił ten koleś, bez problemu udałoby ci się z nim spotkać, słowo daję.

– Straszny z ciebie ostatnio optymista, Alex.

– Co jest, zaczęło cię telepać?

– Powiedzmy tak: wolałbym, żeby już było po wszystkim.

Valerie spojrzała na niego z uśmiechem, niosąc otuchę. – Zobaczysz, nawet się nie zorientujesz, a już będzie po sprawie.

– No, wiem. Po prostu wpadnę tam, jak gdyby nigdy nic, odklepię rolę... Eee, psze pani, ja tu w sprawie zaszantażowania szefa... Do kogo mam się zgłosić?

Cutter nie był jednak w nastroju na pajacowanie. – Chrzanisz, Richard, masz ich jak na widelcu. Prościej już nie może być. Zrób to po prostu tak, jak ćwiczyliśmy. Dziesięć minut i po zawodach.

Jasne, pomyślał Bone. „Zrób to po prostu tak, jak ćwiczyliśmy”. Próba odbyła się w pokoju na dziewiątym piętrze hotelu Sheraton-Universal, wybranego przez Cuttera, bo jakiś jego stary kumpel z college'u był teraz wiceprezesem w Sheratonie, więc według Alexa mógłby pomóc, gdyby powstały jakieś problemy z kartą Master Charge na nazwisko Valerie, którą posługiwali się wszyscy troje, by pokryć przy najmniej część wydatków pierwszej fazy operacji. Oczywiście najbardziej prawdopodobny kłopot wynikłby w chwili, gdyby ktoś w hotelu sprawdził zdolność kredytową Valerie i ustawił na karcie niski limit, co zmusiłoby ich do sięgnięcia po sześćset dolarów, które udało się jej pożyczyć pod zastaw auta. Sam pokój kosztował ich trzydzieści osiem dolarów dziennie, za cztery kolejki drinków w barze nad basenem zapłacili zeszłego wieczora kolejne dwadzieścia trzy, a rosnąca determinacja Cuttera, żeby pójść na całość pod każdym względem, sprawiła, że nawet śniadanie w kafeterii zabolalo na dziesięć i pół dolca. W tym tempie, jeśli nawiązanie kontaktu z Wolfe'em zajmie więcej niż parę dni, Bone podejrzewał, że Valerie będzie musiała stawić się w sądzie, żeby ogłosić bankructwo. Najwyraźniej jej również zaświtała ta myśl, bowiem zeszłej nocy Valerie nie podzielała niemal świątecznego nastroju Cuttera.

Przebrała się w pizamę w łazience, po czym weszła do sypialni i odchyliła koldrę na jednym z podwójnych łóżek. Nim jednak zdążyła się położyć, Cutter oświadczył, że powinni zrobić sobie ćwiczenia, „grę wojenną”, jak to ujął. Odsunął od ściany biureczko na wyposażeniu pokoju i kazał Valerie, żeby zajęła tam miejsce.

– I pamiętaj – pouczał ją – nie jesteś byle referentką od ubezpieczeń w jakiejś pipidowie. Jesteś recepcjonistką w Hollywood, a to znaczy, że masz co najmniej dwie klasy liceum, od dziewiątej do piątej nie robisz balonów z gumy do żucia, i wiesz wszystko o tym, jakie kosmetyki mieszczą się w podręcznej torebeczce. A przede wszystkim nauczyłaś się mówić z klasą, z taką fajną, seksowną wyższością, chwytasz? Coś jakby tak: „Nigdy już, przenigdy nic nie złączy ze mną go...” Kojarzysz, Val? Myślisz, że dasz radę?

Spojrzała na Bone'a boleściwie – dotarło do niej, w co się oboje wpakowali.

– Myślisz, że dasz radę? – nalegał Cutter.

– Mogę spróbować.

– I świetnie. Więc teraz rusz wyobraźnią, bo właśnie wchodzę przez główne drzwi – powiedział do niej. – Kroczę wyprostowany, wysoki, rozumiesz, promieniuje ode mnie prezesowski luz. Oczy mam błękitne jak Paul Newman, mój uśmiech olśniewa. Cechuje mnie ten szczególny wygląd, łączący uzasadnioną pewność siebie z klasyczną prezencją, rozumiesz? Coś jak cap w rui.

Bone zapalił papierosa. – Skończysz wreszcie z tymi pierdołami?

Cutter pośepnie pokiwał głową. – Masz rację, Rich. Tu nie ma śmiania. Tu się robi biznes. Przejdźmy zatem do meritum. Wchodzisz do biurowca, do recepcji, i panna oczywiście obrzuca cię spojrzeniem. Osobiście, fizycznie, wyglądasz całkiem niezgorzej, ale niezupełnie jak człowiek *sukcesu*, prawda? No, rozumiesz, ubrania masz nie najświeższej daty, zgadza się? Coś jakby wczorajsze, albo i z dawniejszych dni. Więc panna najprawdopodobniej potraktuje cię deczko oziębłe. Podchodzisz zatem do niej... – Cutter wskazał na Valerie, a ta wzruszyła ramionami.

– Dzień dobry? – spróbowała.

Cutter pokręcił głową. – Chryste Jezu, faktycznie się wczułaś...

– A skąd mam wiedzieć, co twoim zdaniem powinnam mówić?

– Dobra, w porządku, odegram obie role.

Valerie wstała zza biureczka. – Przeżyję to, nie ma sprawy. Cutter zignorował ją.

– Dobra, Rich, podchodzisz do dziewczyny i mówicie sobie „dzień dobry”, „wsadź sobie”, czy co tam chcecie. Wtedy ona pyta, w czym może ci pomóc, a ty z miejsca walisz jej prawdą między oczy. „Nazywam się Bone. Richard Bone. I jakkolwiek wiem, że może to zabrzmieć dość niezwykle, przyszedłem tu spotkać się z panem Wolfe'em. *Muszę* się z nim zobaczyć”. Zapyta cię, czy byłeś umówiony, oczywiście musisz zaprzeczyć, więc od razu zaczniesz cię splawiać. A wtedy będziesz musiał skrócić dystans. Na ten przykład podsuniesz sobie krzesło, i po ekspercku załatwisz ją spojrzeniem. „To sprawa natury bardzo osobistej” – mówisz. – „Wyjątkowo istotna. I mogę pani powiedzieć tylko tyle, że wiąże się z nocą, kiedy samochód pana Wolfe'a został podpalony w Santa Barbara... i że prezes będzie bardzo wdzięczny, gdy usłyszysz, co mam mu do powiedzenia. Tyle że musi to usłyszeć prosto ode mnie. Żadnych pośredników. Jasne, mogę rozmawiać z innymi ludźmi, asystentami prezesa itede, ale powiem im dokładnie to samo, to, co już pani usłyszała. Nic więcej. Te informacje, które mam dla pana Wolfe'a, *muszę* mu przekazać osobiście. Oko w oko. W żaden inny sposób”.

Cutter ewidentnie uważał, że świetnie sobie poradził z rolą, bo uśmiechnął się skąpo, jakby oceniając cudzy występ.

– Teraz masz już pannę na widelcu – podjął. – Spróbuje cię jednak spławić, zacznie z gadką, że nie ma uprawnień, że co najwyżej może wezwać swoją przełożoną, Panią Pancerne Majtki, żeby zajęła się twoją sprawą. Wtedy po prostu zasuniesz jej takie coś: „Oczywiście, proszę pani, jak trzeba, to trzeba, ale dam głowę, że Szef nad Szefami nie będzie zbyt szczęśliwy, jeśli ta sprawa przejdzie przez zbyt wielu ludzi. Radziłbym więc, żeby uderzyła pani tak wysoko, jak tylko się da, pomijając jak najwięcej szczebli”. Kiedy już zrobi się odpowiednio bogobojna, znajdzie kogoś postawionego wyżej od Pani Pancerne Majtki, zapewne jakiegoś młodego typka, pana Cośtamcośtam. A ty na to: „Świetnie, niech go pani wezwie”.

I tak dalej. Cutter, nawet nie zwalnając tempa, przemknął przez rozmowę Bone'a z panem Cośtamcośtam, a następnie z szefem tegoż, w osobie którego Bone miał osiągnąć najdalszy punkt, w którym wystarczała werbalna perswazja, więc teraz już trzeba było posłużyć się napisanym na maszynie listem, adresowanym do Wolfe'a i opatrzonym dopiskiem „Do rąk własnych”, choć Cutter oczywiście zakładał, że otworzy go i przeczyta ktoś stojący niżej w hierarchii, aczkolwiek oczywiście nie zrozumie w pełni niuansów jego treści, bo to mógłby osiągnąć jedynie sam Wolfe. List sformułowali następująco:

Drogi Panie Wolfe,

być może pamięta pan wzmiankę w gazecie, że w nocy, kiedy pański samochód został podpalony w Santa Barbara, pewien mężczyzna był świadkiem innej zbrodni popełnionej w odległej części tego miasta. Owym człowiekiem jestem ja.

Jestem w posiadaniu informacji, które mają żywotne znaczenie dla pana, i dla nikogo innego. Dziś po południu (w poniedziałek, 7 kwietnia), o piętnastej, zadzwonię do pańskiego biura, by umówić się na osobiste spotkanie. Uprzedzam, że czas jest tu nader istotnym czynnikiem.

Richard K. Bone, *świadek*

Wreszcie Cutter skończył swój teatr jednego aktora. Bone zaś ściągnął sobie kołdrę i poduszkę na podłogę, oświadczając, że nie chciał w ten sposób Alexa urazić, ale nie zwykł był sypiać z facetami. Na co Cutter odparł, że to nawet lepiej, bo ostatnio odezwały mu się hemoroidy. Valerie spojrzała na nich żałośnie i znów poszła do łazienki – robiła sobie przy barku kolejne koktajle, gin z sokiem cytrynowym.

Kiedy jednak chciała wrócić do pokoju, Cutter zablokował ją w drzwiach, siłą wszedł z nią do toalety i zamknął za sobą drzwi. Bone spodziewał się, że usłyszy ze środka tylko dyszenie, lecz zamiast tego rozbrzmiały odgłosy kłótni – stłumione okrzyki Valerie, by Alex trzymał łapy przy sobie, gdy tymczasem zdruzony i poirytowany Cutter powtarzał tylko: „No, daj spokój, daj spokój”. W końcu coś lekko trzasnęło o ścianę, rozległ się odgłos plastikowego kubka podskakującego na kafelkach podłogi. Valerie wyszła z łazienki i położyła się do łóżka. Po chwili wyłonił się również Cutter. Padł na drugie łóżko i objaśnił Bone’owi, co się stało.

– Głowa ją boli jak cholera – po czym dodał: – Dobranoc wszystkim.

Przez prawie godzinę Bone leżał na podłodze, nie mogąc zasnąć. Kiedy w końcu zapadł w sen, była to tylko płytka drzemka, parę godzin, które dobiegły końca około czwartej rano. Wstał i wyszedł na wąski balkon, by zapalić papierosa i popatrzeć sobie na samochody na autostradzie, nieprzerwany ciąg świateł, które bez końca przemykały tam w dół nawet o tak wczesnej porze.

Stał tam przez góra parę minut, gdy zasłony za jego plecami rozchyliły się i wyłoniła się zza nich Valerie, okręcona prześcieradłem.

- Nie możesz spać? – zapytała.
- Jakoś nie.
- Nerwy?
- A nie powinienem się denerwować?
- No, nie wiem. Wydaje mi się, że to w sumie bezpieczna sprawa.
- Może ja już jestem taki nerwowy.
- Nie. To ty tam wchodzisz... „Na szpicy”, jak to mówił Alex.
- Nasz ekspert.
- Przepraszam za tamto, wcześniej.
- Co znowu?
- Tam, w łazience. Alex nie lubi, gdy ktoś mówi mu „nie”.
- A kto lubi?

Przez chwilę patrzyła tylko na niego, dygocząc na tym małym kawałku betonu wysoko nad miastem.

- Szkoda, że nie polubiłeś mnie bardziej – powiedziała w końcu.
- Bardzo cię lubię.
- Nie, myślisz, że jestem twarda i łapczywa... i chyba taka właśnie jestem.
- A ja co, wzór cnót wszelakich? Ktoś godzien osądzać innych?

– Nie, wiem, że nie. Ale i tak na pewno się nad tym zastanawiasz. No bo przecież Pam *była* moją siostrą, krew z krwi, kość z kości. I od jej śmierci nie minął nawet tydzień, a tymczasem ja tutaj próbuję na tym zarobić, dokładnie tak, jak powiedziała Mo.

– Masz powody.

– Wiem. Ale to i tak wygląda raczej dziwnie. Kiedy próbuję się temu przyjrzeć, rozumiesz, tak uczciwie i szczerze, muszę przyznać, że nie za bardzo mnie to rusza. Znaczący, Pam. Jej śmierć i w ogóle. To prawie tak, jakby to jakaś zupełnie obca dziewczyna została zamordowana, a ja tylko przeczytałam o tym w gazecie i czuję takie normalne, niezbyt konkretne oburzenie, wściekłość, że na świecie jest tylu parszywców. Ale to wszystko. Nic wielkiego. Żadnej żałoby. Tak naprawdę żadnego cierpienia.

– Może nie byliście ze sobą żyte.

– O to mi właśnie chodzi. Nie byliśmy. Podobnie jak ja z matką. I czasem mam takie koszarne uczucie, że pod tym względem wcale nie byliśmy jakiegoś niezwykle, że prawie wszyscy ludzie, których znam, inni, których widzę na mieście, znaczący, rodziny, to po prostu grupy ludzi, którzy mieszkają razem, rozumiesz? I ni diabła nie przejmują się sobą nawzajem...

Bone wrócił myślą do Milwaukee, do własnego załóżka grupy obcych sobie ludzi.

– Może i masz rację – powiedział tylko.

– Dlaczego tak jest, Rich? Co jest, wszyscy jesteśmy chorzy, czy co?

Ten temat rozmowy niezbyt przypadłał Bone'owi do gustu, tym bardziej o czwartej rano i akurat tego dnia. Dlatego spytał:

– Za kogo ty mnie bierzesz? Za mędrca ze Wschodu?

– Czasami.

– Jasne. I oto przybywam z mirrą i kadzidłem.

– Nie kpj z samego siebie.

– A kpiłem?

– Takie miałam wrażenie. I chyba wiem, dlaczego tak robisz. Bo się wstydzisz. Tak naprawdę wcale nie chcesz brać w tym udziału, prawda?

– Ale jestem tutaj.

– Przynajmniej ciałem.

– Duchem również. Jeśli dostaniemy kasę, a ty i Alex postanowicie ją zatrzymać, zgłaszam się po moją działkę.

– Lecz sam pomysł ci się nie podoba.

- Czemu nie, świetny jest.
- A dostaniemy kasę?
- Spytaj się mnie, a ja ciebie.
- Myślisz teraz, że to jednak nie był on?

Bone pokręcił głową. – Nie, to się nie zmieniło. Wciąż mam to *wrażenie*, że to był on. Ale nic więcej. Wciąż nie mógłbym zeznać o tym pod przysięgą, nie w sądzie.

- Więc mamy szansę.
- Tak, na to, że wetkniemy palce w magiel.
- Chcesz się wycofać?

Bone nie odpowiedział. Ostatni raz sztachnął się papierosem i zgasił niedopałek na stalowej poręczy balkonu.

- Strasznie jesteś spięty – stwierdziła.
- Zauważyłaś?
- Mogę ci jakoś pomóc?

Obrócił się, by popatrzeć na nią, sprawdzić, czy prawidłowo odczytał jej intencje, ale w mroku nie widział w jej oczach niczego poza blaskiem świateł samochodów na dole, jasnymi mignięciami wędrującymi przez jej spojrzenie.

- Na przykład? – zapytał.
- Odprężyć cię?
- Myślisz, że Alex by się ucieszył?
- Śpi.
- To nigdy nie trwa długo.

Wzruszyła ramionami. – Nie jestem jego dziewczyną. Jestem kurewką, pamiętasz? Mała, weekendowa cichodajka, oto i cała ja.

Bone czuł już, jak budzi się w nim podniecenie, ale nie wiedzieć czemu coś nakazywało mu, by się temu przeciwstawił. Pokręcił głową. – Może i nie jesteś jego dziewczyną. Ale on może uważać, że jest inaczej.

- No i co? Ma to jakieś znaczenie?
- Widać dla mnie ma.

Nie spodziewał się, że Valerie z wdziękiem pogodzi się z odrzuceniem, ale mimo to przeżył zaskoczenie, widząc, jak jej usta wykrzywiły się teraz w gniewie, może nawet nienawiści.

- Jak sobie chcesz – warknęła.

Potem wróciła do pokoju. I po ledwie kilku chwilach Bone usłyszał głos Cuttera, pomruk niezadowolenia po obudzeniu, a następnie cichy śmiech, szepty i powoli narastające inne odgłosy seksu.

To wszystko jednak było już historią, nieistotną wobec pogłębiającego się lęku, jakiego doświadczał Bone, gdy Cutter polecił Valerie, by zatrzymała wóz przy krawężniku. Biurowiec Wolfe'a znajdował się po drugiej stronie ulicy, przed następną przecznicą.

Cutter klepnął Bone'a w plecy. – No, to już ta pora, Rich. Jak to mawiał nasz sierżant, „czas zamoczyć dupę”.

- Pomagasz, jak cholera – Bone otworzył drzwiczki.
- Będzie dobrze – odezwała się Valerie. – Świetnie ci pójdzie.

Nie odpowiedział. Wsiadł z auta, okrążył je i przeszedł przez jezdnię, po czym ruszył chodnikiem w stronę oblicowanego białym kamieniem budynku za przecznicą. I miał wrażenie, że to poczucie lęku pogłębiało się tylko z każdym krokiem, jaki stawiał, jak gdyby stanął na starcie niekończącej się bieżni.

Otwierając ciężkie frontowe drzwi ze szkła i nierdzewnej stali, wkroczył w lodowatą atmosferę recepcji. A tu nic nie wyglądało tak, jak się tego spodziewał. Facet, który kupował sobie gotowe garnitury we własnych dyskontach, prosto z wieszaka, tutaj nie wykazał podobnego bezguścia. Wystrój wnętrza był nowoczesny, ale tak pięknie i kosztownie było ono urządzone, że panował tu niemal antyczny nastrój, półmrok, cisza i spokój mimo wielkich abstrakcyjnych malowideł, rzeźb, rozproszonego oświetlenia i opływowych, nowoczesnych mebli, przeważnie wykonanych ze skóry i polerowanego drewna. Nastrój ten wspomagała jeszcze recepcjonistka, nie byle podfruwajka pozorująca wyższość, ale siwowłosa niewiasta około pięćdziesiątki, zadbana, z wyglądu inteligentna, której cichy głos zdradzał cień angielskiego akcentu. Akurat w tej chwili zajmowała się młodym mężczyzną, który byłby bardziej na miejscu w centrum Hollywood, sądząc po długich włosach, zamszowej marynarce, sztruksach i futrzanych butach marki Dingo. Miał też jednak aktówkę i najwyraźniej jakiś problem, dzięki czemu Bone mógł spokojnie podejść do gazetki ściennej na przeciwległej ścianie. Wykonano ją bardzo zgrabnie, dyskretnie, w drewnie – ewidentnie dekorator wnętrz uległ tu jednej z bardziej zenujących zachcianek zleceniodawcy, ale była to gustowna porażka. Gazetka była bowiem po prostu hołdem dla J.J. Wolfe'a jako człowieka i twórcy imperium. Artystycznie ułożone fotografie, wszystkie w sepii, część nawet ze starych pudełkowych lustrzanek Kodaka: Wolfe jako dzieciak na fermie w górach Ozark, jako nastoletni biznesmen ze skrzynką jajek. Potem pierwszy supermarket, pierwszy dyskont. Wolfe wciska guzik i uruchamia taśmę z paszą w zautomatyzowanej

tuczarni bydła. Wolfe pilotuje odrzutowiec. Wolfe z rodziną przy medalowym byku rasy angus na wystawie w Denver. Obok fotografii znajdował się trójwymiarowy wykres, coś jakby odwrócone drzewo genealogiczne, prezentujący strukturę imperium Wolfe'a, od punktu na szczycie oznaczającego samego barona przemysłu, przez solidny pień Wolfe Enterprises, Incorporated, wypuszczający rząd grubych konarów, korporacji, do których należały spółki, a do tych z kolei inne firmy – i, o dziwo, dopiero na najdalszych krańcach drzewa znajdowały się słowa, które coś znaczyły, które w amerykańskim biznesie faktycznie były już słowami codziennego użytku: szacowne olbrzymy, które obrosły sadłem i dały się pożreć młodemu, ambitnemu Wolfe'owi.

– Mogę w czymś panu pomóc?

Recepcjonistka, już wolna, odezwała się do Bone'a z drugiego końca sali.

– Owszem – odparł. – Miałem się tu spotkać z przyjacielem. Powiedział, że ma coś do załatwienia na górze, ale zaczeka tu na mnie, kiedy już skończy.

Uśmiechnęła się przyjemnie. – Ach, rozumiem. A, jak się nazywa?

– Alexander Five.

– Five?

– Tak jest, jak liczba pięć.

– Można by pomyśleć, że zapamiętałabym takie nazwisko – przeglądała listę umówionych spotkań. – A nie pamiętam. I... nie, nie ma go na liście. Obawiam się, że nie mamy go tu odnotowanego. Jest pan pewien, że to właśnie tu mieliście się spotkać?

– W biurowcu Wolfe'a, powiedział. Tak.

– Rozumiem. Hm, może wobec tego poproszę o pańskie nazwisko.

– George Swanson.

Znów przejrzała listę zapowiedzianych gości.

– Obawiam się, że mnie również tam pani nie znajdzie – powiedział.

– Przypuszczam, że ma pan rację – znów się uśmiechnęła. – Cóż, w tej sytuacji pozostaje nam chyba tylko poczekać. Jeśli chce pan czekać na niego tutaj, proszę uprzejmie.

– Dziękuję. Może jakieś pięć minut.

– Oczywiście. Mamy tam trochę magazynów.

Wskazała mu sofę i stolik przy drzwiach wejściowych, tych szklanych drzwiach, za którymi Valerie i Cutter przejeżdżali co kilka minut.

– Zapomniałem okularów – wyznał. – Po prostu siadę sobie o, tam.

– Doskonale.

Bone ułożył swoje długie ciało w niskim, miękkim fotelu w pewnej odległości od drzwi. Pod ubraniem – nową koszulą w kratkę, granatowym blezerem i szarymi spodniami – skórę miał śliską od potu. Czuł się jednak świetnie, swobodnie, jak gdyby ktoś właśnie zepchnął mu z serca istny nagrobek. Do samej chwili, kiedy faktycznie otworzył usta i zaczął rozmawiać z tą kobietą, nie miał pojęcia, co powie czy zrobi, czy ucieknie przed tym wszystkim, czy też u boku Cuttera stawi czoła wyzwaniu jak przerażony nieszczęsny królik, zamarły pośrodku autostrady. Nie czuł wstydu, nawet odrobiny, nic, tylko ulgę i solidną dozę wstrętu do samego siebie, wściekłości, że taki był zeń osioł, taki dureń. Przecież znał Cuttera na tyle dobrze, by wiedzieć, że to tylko kolejne z jego zagrań, jeszcze jeden gambit kami-kadze, prawda? I co z tego, że szóstym czy siódmym zmysłem Bone czuł, iż *prawdopodobnie* to Wolfe był tym mężczyzną, którego widział tamtej nocy? W gruncie rzeczy, co z tego, gdyby nawet ten typ zarząnął nastolatkę i upchnął gdzieś jej zwłoki w każdym mieście, jakie kiedykolwiek odwiedził? To wszystko nie miało nic do rzeczy – bo tak naprawdę, teraz i na wieki wieków amen, chodziło tu o *władzę*. A o władzy mówiło to odwrócone drzewo na przeciwległej ścianie. Kryła się ona w górującym nad Boné'em budynku, w sieci podobnych gmachów rozciągniętej po całym falującym bursztynem zbóż kontynencie. Ostatecznie sprowadzała się do pieniędzy – wielkich pieniędzy. A to, że Bone przez jakiś czas ignorował ten podstawowy element życia, że oddał się z Cutterem tym kopniętym mrzonkom o zamożności i niezależności... cóż, lepiej późno niż wcale.

Bone nie miał więc poczucia winy z powodu tego, co zrobił, czy raczej, czego nie zrobił. Wycofał się teraz, w ostatniej chwili, nie tylko po to, by ratować własną skórę, lecz również dla dobra Cuttera i Valerie. I był pewien, że przynajmniej ona dostrzegłaby słuszność tego posunięcia, gdyby mogła być teraz z nim tu, na „szpi-cy”, w osławionym Krzyżewie Walecznym Cuttera. Owszem, Valerie mogłaby to zrozumieć, może zgodziłaby się z jego decyzją. Ale Cutter? W życiu. Nie, z nim Bone będzie musiał działać powoli, jak z bańką nitrogliceryny.

Ponieważ Cutter oczekiwał, że ktoś będzie śledził Bone'a, kazał Valerie zaparkować dwie przecznice od biurowca Wolfe'a, tuż przy rogu Unicorn. Dzięki temu Bone mógłby wsiąść do auta raptem parę chwil po zniknięciu za narożnikiem, który ukryłby go przed wzrokiem hipotetycznych prześladowców, i zniknąć bez śladu – cała trójka w pinto pochłonięta przez gęsty ruch na La Brea. I tak właśnie się

stało, aczkolwiek bez udziału żadnych tropicieli. Przez piętnaście, może dwadzieścia sekund ani Valerie, ani Cutter nie odzywali się do Bone'a. Cutter poświęcił całą uwagę szukaniu „ogona” gdzieś za tylną szybą, a Valerie gorączkowo prowadziła wóz przez wąską uliczkę, aż wreszcie wyjechała na La Brea.

W końcu Cutter obrócił się do przodu. – I jak?

Bone wzruszył ramionami. – Kto wie?

– A co to ma znaczyć, do cholery? Facet, powiedz, jak było?

– Jako ten twój pan Cośtamcośtam wystąpił sekretarz do spraw administracyjnych, niejaki Price. Strasznie ciepły typ. I strasznie znudzony. Zachowywał się tak, jak gdybym przyszedł tam starać się o robotę.

– Nie mogłeś go przeskoczyć?

Bone zapalił papierosa, nie spiesząc się, odkrywając swój gniew i rozczarowanie. – Pan Price wykonuje polecenia pana Browna, którego przełożonym jest pan Hudson.

To ostatnie nazwisko buchnął z tabliczki z nazwą ulicy, z którą krzyżował się bulwar Hollywood.

– Mówisz mi, że sprawa musi przejść przez jeszcze dwóch ludzi! – zawył Cutter. – Zanim dotrze do Wolfe'a!

Bone przytaknął. – Tak to właśnie wygląda, przyjacielu. Gdybyś przepracował choćby jeden dzień swojego życia, też byś o tym wiedział. Odwieczny schemat organizacyjny. Wychył się nad szefa, a skróci cię o głowę. Będzie miał dekorację na ścianie.

Cutter oklapł na tylnym siedzeniu. Valerie, przemykając się między samochodami, znalazła moment, by zerknąć na Bone'a, i w jej spojrzeniu było nie tyle zmartwienie, co pragnienie wiedzy, próba odczytania jego myśli. Pospiesznie dał sobie nieco luzu:

– Pod jednym względem mieliśmy jednak farta: ani Browna, ani Hudsona nie było akurat w biurze. Więc naprawdę przycisnąłem tego luja. Powiedziałem mu, że ta wiadomość naprawdę jest taka, jak stoi na kopercie: „Do rąk własnych”, że dotyczy pewnej sprawy w Santa Barbara, w którą Wolfe był *osobiście* zaangażowany, i że mogę mu zagwarantować, że Wolfe nie będzie zachwycony, jeśli po drodze do niego dowiedzą się o tym jeszcze tamci dwaj.

Cutter znów się wyprostował. – Zuch chłopak.

– Nawet sypnąłem mu nieco tradycyjnej biurowej gadki... powiedziałem, że ma wielką szansę wyrobić sobie punkty u prezesa.

– I co on na to?

– Zapytał, skąd może mieć pewność, że nie zostawiam mu listu z bombą... na to nie wpadliśmy, co? Zaproponowałem mu, żeby wziął jedną z ich firmowych kopert, a ja przełożę do niej list.

– Zgodził się?

– Nie, uwierzył mi na słowo. Powiedziałem mu zresztą, że wybuchowe listy są grubsze, bo chyba są. W każdym razie to on jest kluczem do sukcesu. Czy dotrzemy dziś do Wolfe'a, czy nie... zależy tylko od niego.

Cutter zdecydowanie był na trajektorii wznoszącej. – No zesz Chryste, Rich, niczego więcej się nie spodziewaliśmy, nie? Szczelinka w murze. List dokona reszty.

Bone pokręcił głową. – No, nie wiem. Nie podobało mi się, jak ten facet mnie traktował, jakby mi łaskę robił, cholera.

– Na obrotnego z tego opisu jakoś mi nie wygląda – wtrąciła Valerie. – Chyba nie zabierze się za cenzurowanie poczty szefa.

– Ale też nie musi zaraz pognać z listem do gabinetu Wolfe'a – odparł Bone. – To działa w obie strony.

W odpowiedzi Cutter beknął sobie soczyście, znów racząc ich duchem swojego śniadania. Zaczął też okładać Bone'a po plecach.

– Daj spokój, daj spokój! – roześmiał się. – Wyluzuj, co? Dałeś radę, facet! Weszliśmy w to jak w masło, jak Boga kocham! Skup się na tym, facet! Dałeś radę!

– Tak sądzisz, co?

– Wiem, nie sądzę.

– Nic nie wiesz. Niczego nie będziemy wiedzieli, póki nie zadzwonię do nich o trzeciej.

– No to wtedy będziemy mieli jasność.

– I powiedziałem mu jeszcze, że muszę rozmawiać z samym Wolfe'em, z nikim innym.

Cutter skłonił się w pas. – Tak, jak przeciwczyliśmy.

Valerie jednak, nie przestając kierować, zrobiła zdziwioną minę. – Wciąż nie rozumiem, dlaczego musimy skontaktować się z nim dzisiaj. Czemu nie jutro albo pojutrze? Wiadomość się nie zmieni. Sytuacja też.

Cutter wydał odgłos niezadowolenia, ujął Valerie za policzek i zaczął figlarnie kręcić jej głowę.

– Zła, niedobra Valerie – mruknął. – Głupia, niedobra Valerie. Powinna zapamiętać, że każdy mijający dzień to kolejni ludzie, zaplątani w tę aferę:

sekretarki, wiceprezesa, ciecie. A wtedy Pan Koncern nie ma już wyboru i musi iść w zaparte, jak jego niedawny głównodowodzący w Białym Domu*. Tyle że w tym wypadku idąc w zaparte, musiałby wezwać gliny. Mendy. Kumaszc?

* Chodzi o Nixona i aferę Watergate – powieść powstała w 1976 r.

Valerie, wyraźnie rozeźlona, oswobodziła policzek. – No już dobra! Kumam!

Cutter zerknął na zegarek. – Jedenasta dziesięć. Mamy cztery godziny do zabicia.

Pod przewodem Cuttera zarżnęli ten czas w pięknym stylu. Wypili co nieco w mrocznym, przytulnym barze przy specjalizującej się w stekach restauracji niedaleko hotelu, potem zamówili sobie po „kanapce” ze stekiem w stylu nowojorskim po siedem dolarów za sztukę, co w sumie zredukowało dobytek Valerie o kolejne trzydzieści zielonych. Kiedy zaś już wrócili do hotelu, Alex postanowił, że powinni skorzystać ze słonecznej, gorącej pogody i pójść się wykąpać na basenie.

– Może i ja wejdę – rzucił. – Wyobrażacie sobie? Kuśtykam po kafelkach, może nawet dla efektu nieco pokaszuję. A potem ostrożnie ściągam szlafrok i sprawdzam, czy woda jest ciepła... kikutem!

Zatrzepotał lewym ramieniem, czy raczej tym, co mu z tej kończyny zostało.

– I fiu! Wszyscy w nogi, jak gdyby z nieba zaczęły spadać gówna.

– Bardzo śmieszne – stwierdziła Valerie. – Aż się rzygać chce.

– No dobra, to idźcie tylko wy dwoje. Ja będę podziwiał.

Odparła, że nie spakowali strojów kąpielowych.

Cutter jednak tak łatwo się nie poddawał. – Już moja w tym głowa.

Bone i Valerie poszli więc z nim na dół, raczej żeby nie psuć mu humoru, niż z jakiegokolwiek innego powodu. Weszli do sklepu odzieżowego na końcu holu. Podobnie jak sąsiadujące z nim sklepiki z pamiątkami i drobiazgami, ten również był mały, kiepsko zaopatrzone, za to miał wygórowane ceny. W windzie Cutter wyjaśnił im, jaki był cel wyprawy – mieli zaopatrzyć się w stroje kąpielowe bez wydawania gotówki. Do Bone'a i Valerie należał wybór towarów, Cutter był od rozmów. No i mówił, katował Bone'a oschłym, beznamiętnym monologiem, który zaczął się z chwilą wejścia do sklepu i nie ustał nawet na chwilę, kiedy Rich i Valerie oglądali pokazywane im stroje, przymierzając je i po cichu omawiając ich zalety i ceny między sobą, jak również ze sprzedawczynią, panią, której wydawało się chyba, że jest jakąś gwiazdą kina.

Cutter tymczasem miał już potąd tych korowodów z bydłem, i kropka. Oświadczył, że muszą zlikwidować ten cholerny interes. Już dość się z tym woził, rok w rok spodziewając się, iż firma w końcu ruszy z miejsca i zacznie przynosić choćby skromny zysk, ale w życiu, ten biznes był po prostu skazany na niepowodzenie, więc im wcześniej coś z tym zrobią, tym lepiej. I co go, cholera, obchodzi, po ile idzie wołowina, po prostu weźmie i opchnie całe stado, nieważne za ile. Tam do diabła, przecież uprawa awokado Ojai miała chyba tylko połowę tej powierzchni, ale pieniędzy, które im przynosiła, nie dało się już nazwać ochłapami, nie? A skoro już o tym mowa, tylko jeden odwiert na polu naftowym Marshalla – tylko jeden, uważacie, a co dopiero dwadzieścia czy pięćdziesiąt – tylko jeden parszywy odwiert dawał rocznie więcej zielonych, niż ten biznes z bydłem zarobił przez dziesięć lat. Oj, pewnie, jasne, że można sobie było legalnie odpisać te straty od podatku... ale żeby mieć powody do odpisu przez *dziesięć* lat?! No, to już lekka przesada. Nie, trzeba się pozbyć całej tej trefnej imprezy, postanowione, koniec, kropka, żadne perswazje nie pomogą. Pracownicy rancza, cóż, pewnie, żal ich, ale co z tego? Może Bone nagle uroił sobie, że jest państwem dobrobytu socjalnego? Niech żrą kwity na zasilek.

I tym podobne, i tak dalej. Bone i Valerie wybrali sobie stroje, a panna Gwiazda Hollywoodu zapakowała je radośnie i wypisała rachunek, który Cutter wielkopańskim gestem wyciągnął spod dłoni Richarda.

– Zapłacę, ty płaciłeś za lunch.

Po czym zaczął sprawdzać kieszenie w poszukiwaniu portfela – ach, niestety, nie miał go przy sobie, prawdopodobnie zostawił w pokoju... zapomniałby o własnej nodze, gdyby nie był do niej przywiązany – najwyraźniej sprzedawczyni nie zrozumiała jednak dowcipu. Więc może szanowna pani pozwoli dopisać to do rachunku za hotel? Ma się rozumieć, że pozwoliła. Cutter zamasyżył wyciągnął więc jednorazowy długopis za dziewiętnaście centów i podpisał się na kwitku, beztrudno gryzmołując przez cały papier, od góry do dołu: „Valerie Durant”. Panna Gwiazda, chyba jednak pod lekkim wrażeniem, podziękowała mu uprzejmie i wszyscy troje wyszli ze sklepu.

Basen znajdował się na dużym dziedzińcu, zamkniętym z jednej strony przez wielopiętrową część hotelu, a z pozostałych przez piętrowy budynek, gdzie były apartamenty w stylu meksykańskim oraz bar. Cały dziedziniec usiany był palmami i przykładami innej flory nie występującej w zapyziałych miasteczkach środkowych

Stanów, co zdaniem Bone'a było głównym warunkiem sukcesu dowolnego zorientowanego na turystów przedsięwzięcia w Południowej Kalifornii. Jednak teraz, w kwietniu, przy basenie znajdowało się raptem parę żądnych opalania osób, jak Bone i Valerie, którzy rozciągnęli się na leżakach niedaleko ukrytego pod parasolem stolika, gdzie Cutter sączył szkocką z wodą. Ewidentnie Alex czuł teraz presję równie silnie jak Bone, bo skończyło się gadanie, wygłupy i pęczniejąca pewność siebie, skończyło się liczenie dolarów Wolfe'a, nim udało się je wyszantażować. Jakkolwiek jednak Cutter uległ faktycznemu niepokoju, niepewności najbliższej przyszłości, jedyny problem Bone'a był natury czysto technicznej: *jak* właściwie urzeczywistnić tę okoliczność, której lękał się jego kolega.

Im dłużej jednak się nad tym zastanawiał, tym mniej trudności dostrzegał, oprócz samej rozmowy telefonicznej – musiał mieć pewność, że Cutter nie usłyszy tego, co mówili z drugiej strony. Należy więc oprzeć się wszelkim beztrojskim zagrywkom Cuttera na ostatnią chwilę, na przykład propozycji, by zadzwonić z pokoju hotelowego, a nie z budki, żeby Alex, a może nawet Valerie mogli stłoczyć się wokół telefonu i podsłuchać rozmowę. Pozostawało uprzeć się, żeby trzymali się planu i zadzwonić z automatu, z pozorów po to, by ich nikt nie namierzył. Logicznie byłoby użyć którejś z kabin w holu hotelu. Bone nie potrafił sobie wyobrazić, by nawet Cutter zechciał wepchnąć się z nim do kabiny, nie na oczach dziesiątków ludzi. A nawet gdyby spróbował... cóż, Bone po prostu go wypchnie. To on miał rozmawiać. W końcu to on był „kontaktem”, samotnym zwiadowcą na szpicy.

A co powiedzieć osobie na centralce u Wolfe'a? Żaden problem. Bone nie zamierzał słuchać tego, co będą mu mieli do powiedzenia, tylko odbębni swoją część rozmowy, żeby Cutter miał przyjemność wysłuchania przynajmniej tego. Rozważał możliwość zatelefonowania na zegarynkę albo do informacji pogodowej, ale gdyby Alex przyłapał go na tym, byłaby wściekła chryja.

Leżąc tak i rozmyślając, Bone czuł, że słońce z wolna chowa się za drzewami. W pewnym też momencie Cutter wstał i poszedł do baru po kolejnego drinka, a Valerie z miejsca obróciła się w stronę Bone'a, jakby miała chęć coś powiedzieć. Ale nie spojrziała na nią, więc po paru chwilach położyła się z powrotem. Cutter wrócił i przez jakiś czas zajmował się zawartością szklanki. Potem jednak odsunął krzesło i wstał.

– Godzina czternasta trzydzieści, młodzieży – oznajmił. – Znaczy się, dla was wpół do czeciej. Nadchodzi godzina zero.

Bone wstał, mrużąc oczy. – Ano prawda.

Pół godziny później całą trójką zeszli do holu, w pełnej odzieży. Valerie opadła na sofę – sądząc po minie, mdliło ją z niepewności. Patrzyła, jak Bone i Cutter podeszli do rzędu kabin telefonicznych, wolnych z wyjątkiem jednej. Bone wszedł do ostatniej budki w szeregu, odszukał monetę dziesięciocentową, wrzucił ją do szczeliny i wybrał numer Wolfe Enterprises, Incorporated – Cutter tymczasem stał może pół kroku dalej, oparty o otwarte, składane drzwi kabiny. Jego poblížniona twarz stężała w napięciu.

Bone z ulgą usłyszał, że damski głos po drugiej stronie nie należał jednak do tej recepcjonistki, z którą rozmawiał rano.

– Nazywam się Richard Bone – powiedział. – Pan Wolfe oczekuje na mój telefon.

– Jedną chwilę – usłyszał, po czym przełączono go na inną linię i znów odezwał się żeński głos, tym razem oświadczając: – Biuro pana Wolfe'a.

Po raz drugi tego dnia Bone poczuł, że plecy ociekają mu potem. Powtórzył to samo, co powiedział pierwszej rozmówczyni. Ta odparła, że nie miała żadnej adnotacji o takiej rozmowie, zaś pan Wolfe był akurat na zebraniu.

– Dziś rano rozmawiałem z niejakim panem Price'em – powiedział jej. – Przekazałem mu pilną wiadomość dla pana Wolfe'a. On zaś oświadczył...

Kobieta przerwała mu. Nie znała żadnego pana Price'a. Bone jednak parł dalej, jakby wcale jej nie słyszał.

– Tak jest, pan Price. Zapewniał mnie, że wiadomość zostanie doręczona panu Wolfe'owi i że...

Znów mu przerwała, tym razem chłodno, ciętymi słowami. W całym biurówcu nie pracował nikt o nazwisku Price, absolutnie nikt.

– Oczywiście, zaczekam – wtrącił się. – Jasne, proszę go zapytać.

Jak najbardziej.

Zakrył dłonią mikrofon.

– Sekretarka Wolfe'a – rzucił, kręcąc głową. – Nie wiedziała o tym, że miałem dzwonić. Wolfe nic a nic jej nie powiedział. Teraz pyta Price'a.

Cutter zaczął bezsilnie tłuc pięścią w futrynę.

– Wiedziałem! – jęknął. – Wiedziałem! Wiedziałem!

Słyszając, że odezwał się ciągły sygnał, Bone zdjął dłoń z mikrofonu i zaczął powoli kiwać głową, jak gdyby kogoś słuchał.

– Ach, naprawdę? – powiedział w końcu. – Więc przekazał panu Wolfe'owi moją wiadomość? Oczywiście, rozumiem. Tak. Dziękuję pani.

Po czym wściekle odwiesił słuchawkę.

– I dupa – stwierdził. – Facet dostał wiadomość, Price doręczył mu ją osobiście. I na tym koniec. Żadnej odpowiedzi. Nic.

Sądząc po minie, Cutter był o włos od wymiotów.

– Skurwysyn – mruknął. – Skurwysyn morderca.

Bone położył mu dłoń na ramieniu, lecz Alex strząsnął ją.

– Wierzysz mu? – warknął. – Wierzysz, że ten pedryl Price naprawdę doręczył wiadomość?

Bone wzruszył ramionami. – Na moje oko za bardzo się bał, żeby jej nie doręczyć.

Zdążyli już dojść do sofy, na której oczekiwała ich Valerie.

– Nie kupił – powiedział jej Bone. – Nie łyknął.

– Tak mi się wydawało – wstała.

Cutter wpatrywał się w nich, jakby się spodziewał, że lada chwila zrobią coś, cokolwiek – zaczną wrzeszczeć czy pospołu z nim zabiorą się za demolowanie holu – lecz kiedy nie robili nic, stali tylko i patrzyli na niego, obrócił się na pięcie, koślawym krokiem pognął do wind i wpadł do kabiny, która dopiero co się otworzyła, a jej pasażerowie właśnie próbowali wysiąść. Jedna z potrąconych, wąż starowinka, spojrzała nań karcąco – w odpowiedzi pokazał jej wyprostowany środkowy palec. Potem drzwi zasunęły się i zniknął.

– Lepiej zostanmy przy nim – stwierdził Bone. – Mocno go trzepnęło.

Valerie przyjrzała mu się chłodno. – W odróżnieniu od ciebie.

– Owszem, w odróżnieniu ode mnie.

Kiedy jechali windą, tylko we dwoje, wciąż drążyła: – No, powiedz, w sumie chyba czegoś takiego chciałeś, nie?

– Porażki? Pewnie, od tego jestem.

– Poważnie pytam.

Bone opierał się jej mroźnemu spojrzeniu przez trzy albo i cztery piętra.

– Możliwe – przyznał w końcu. – Tak czy inaczej, w ten sposób unikamy pierdła.

– Naprawdę to przekazałeś?

– Co takiego?

– Wiadomość, ma się rozumieć. Notatkę.

– Nie, zjadłem ją.

- Szczerze – uparła się. – Proszę, Rich.
- W smaku była trochę sucha – odpowiedział.

Kiedy przyszedli do apartamentu, Cutter zaraz poszedł do łazienki i zamknął się tam. Po paru minutach złowieszczej ciszy wyszedł i zażądał od Valerie, by dała mu więcej pieniędzy.

– Przynajmniej dwie dychy – stwierdził, a kiedy zawahała się na moment, zaczął na nią wrzeszczeć: – No już, cholera! To *nasz* szmal, pamiętasz? *Nasza* impreza! Więc *dawaj*, skarbenku!

Dała. A Cutter wepchnął banknoty w kieszeń i wyszedł z pokoju.

- Gdzie idzie? – zapytała.
- Do baru.
- Powiedziałaś, że powinniśmy przy nim zostać.
- Tutaj, owszem. W barze jednak nie rzuci się z okna. To parter, pamiętasz?
- Wciąż uważam, że powinniśmy przy nim zostać.
- Jak sobie życzysz.

Nie zadowolona się tym. – Wiesz, jaki on jest.

- Owszem, wiem, jaki on jest.

Teraz wyrazem twarzy przypominała tamtą nauczycielkę z Dakoty, urażoną i poirytowaną. Powiedziała, że najpierw musi się odświeżyć, i poszła do łazienki.

Bone zapalił papierosa i wyszedł na balkon, żeby popatrzeć sobie na sunących autostradą mieszkańców Los Angeles, w każdej minucie przejeżdżały ich obok setki, istna katarakta stali, plastyku i człekokształtnych brył nienawistnego potu, waląca się z rykiem przez zatrute powietrze. Wydało mu się też nad wyraz trafne, że raptem zeszej nocy Valerie – od dziś nowy wróg – właśnie tu, raptem ileś tam pięter nad tym widokiem, nad tym nowoczesnym Infernem, ulepszoną wersją piekła, którą ludzie zbudowali sami dla siebie, zaoferowała mu coś w rodzaju miłości, czy przynajmniej coś, co zaczęło za miłość uchodzić. Jak zwykle, sam ten widok wystarczył, by nie wiedzieć czemu podbudować cynizm Bone'a, tchnąć nowy wiatr w żagle jego niegasnącej desperacji. Wiedział, że tak naprawdę wcale nie warto się już nad tym zastanawiać, że robi się z tego w najlepszym razie odklepywany paciorek. Życie jest brutalne i paskudne i człowiek musi sobie z nim radzić sam, a jeśli znajdzie po drodze miłość czy piękno, to tylko przypadkiem i z reguły na chwilę. Nic nie miało wartości samo w sobie czy samo z siebie. W życiu nie obowiązywała wymienialność. Zaś waluta żywota, papierowa zresztą, ulegała

nieustannej dewaluacji. Oczywiście. Może wreszcie coś nowego?

W końcu Valerie wyłoniła się z łazienki – na ile mógł ocenić Bone, jej wygląd nie uległ żadnej zmianie. W milczeniu oboje zjechali windą do holu i przeszli do koktajlbaru, na końcu basenu. Była to duża, rozświetlona słońcem sala – nie taki lokal wybrałby sobie Bone na popołudniowy ochłaj, szczególnie biorąc pod uwagę nastrój Cuttera. Cóż, jak zwykle, nie on dokonywał wyboru. Alex zajął miejsce przy stoliku niemal pośrodku sali i odchylił krzesło tak, że opierało się o kolumnę. Prawą nogę, tę ze stali i plastiku, wsparł na narożniku blatu, zaraz obok kieliszka z podwójnym martini. Palił też cygare, panatellę, wciąż w srebrzystej opasce. Widząc Bone'a i Valerie, przywołał ich gestem, niczym mafijny *capo* udzielający audiencji.

Kiedy zamówili sobie po drinku, Cutter walnął pięścią w stół.

– No po prostu ślicznie, że hej – stwierdził. – Znów jesteśmy we troje, stare kumple, wypijemy parę luf i powspominamy nieboszczyka.

– Ach, daj spokój – obruszyła się Valerie. – Nie wiem, czemu tak się dołujemy. Przecież możemy znów spróbować do niego dotrzeć. Co za różnica, parę dni w jedną czy w drugą?

– Liścik mówił wszystko – wyjaśnił jej Bone. – Jeśli to go nie przekonało, co tego dokona? Jeśli wciąż będziemy próbowali się do niego przebić, wezwie gliny. I kropka.

– Może nie otrzymał listu – podsunęła.

Bone spojrział na nią. – Otrzymał.

– No to jestem za tym, żebyśmy napisali następny. Próbujmy dalej.

Cutter pogrążył ją w obłoku dymu z cygara.

– A dajże sobie siana – powiedział.

– Niby czemu?

– Spójrz prawdzie w oczy, moja pani. Przerzypaliśmy.

– Nie rozumiem, czemu to ma być już koniec. Nie możemy tak łatwo się poddać. Trzeba próbować dalej.

– Może słone ciasteczko, dziecko drogie? – Cutter podsunął jej precelka z porcji przyniesionej właśnie przez kelnerkę wraz z drinkami dla wszystkich.

Zignorowała propozycję.

A Cutter prychnął pogardliwie. – Chryste, ależ ze mnie triumfator, co? Po prostu nic, tylko same fartowne rzeczy mi się w życiu zdarzają. Wiecie, dzieciaki, kto ja jestem? Midas naszych czasów. Tylko taki Midas inaczej. Czego się nie dotknę, zmienia się w gówno.

Bone wypił, jakby właśnie usłyszał toast. – Brawo, Alex, tego nastroju się trzymaj. Nie ma sensu godzić się z faktami, przyznać, że to jednak nie Wolfe jest tym, którego szukamy. Lepiej litować się nad sobą do urzygu. Srać sobie samemu na głowę.

Cutter przytaknął z posępną ironią. – Sam bym tego lepiej nie powiedział, Rich. Jak zwykle. Mój kapitanie.

Valerie zapytała, co dalej, co zamierzają teraz robić, a Cutter odparł, że właśnie to zaczęli.

– Czyli co, tak całą noc? – spytała. – Całą trójką idziemy w miasto za moje pieniądze?

– A czemu nie?

– Wróć do domu splukana.

Cutter wzruszył ramionami. – No i co? Zawsze możesz polegać, że sobie tak subtelnie zażartuję, na swoim ubocznym źródle dochodów. Jak powiada Swanson... cytując Hemingwaya, znalazłaś wszak byłaś zawód dla siebie. Wystarczy, że się z tym pogodzisz. Wyluzuj. Ba, kurna, dziewucho, przecież mogę być twoim opiekunem. Zawodnikiem, jak to mówią. Muszę sobie tylko skołować satynowe szmaty, taki miękki kapeluszek z szerokim rondem i cadillaca w kolorze lilaróż z melonem na zakrętku chłodnicy, i jesteśmy ustawieni, ja i moja kobita, moja prywatna, najwłaśniejsza kurew. Co ty na to, he? Tylko ty i ja, młoda, a przeciwko nam świat cały.

– Coś mi się widzi, że to nie będzie fajny wieczór – stwierdziła Valerie.

Bone także doszedł do podobnej konkluzji. Zamówili drugą kolejkę, po niej trzecią i czwartą, a bar powoli zaczął się wypełniać – nie tyle turystami, co raczej komiwojażerami, do tego doszła garść osób z show-biznesu, w tym parę naprawdę niezwykle pięknych dziewczyn, zapewne gwiazdeczki z nieodległego studia wytwórni Universal. A im większy robił się tłum, tym głośniej i bardziej elokwentnie wypowiadał się Cutter.

Oznajmił, iż jedną z jego mocnych stron była zdolność obiektywizowania własnych doświadczeń, postrzegania ich wyraźnie i bez emocji – sztuczka, którą posługiwał się w Wietnamie, by nie postradać zmysłów.

– Po prostu trzeba jakby wyjść z siebie, rozumiecie, coś jak śmigłowiec, po prostu start i w górę, bo wtedy można spojrzeć w dół, na luzie, bez lęku, i myśleć sobie: „Ojoj, biedny trep, zaraz łeb mu odstrzela, oj, faktycznie, aż żal patrzeć, prawda, taki smark tam, na dole, zatrzęsnięty w jednym miejscu i czasie, właściwie to *przedmiot*, nic więcej”. Ale ja jestem ponadto, dziecięcyczka moje, znaczy, ten

drugi ja... szybuję sobie ponad całym zamieszaniem, patrzę z góry na ten syf od morza do morza, kurwa jego mać. Swobodny jak ptak.

– Więc nie czujesz żadnego bólu? – zapytał Bone. – Żadnego rozczarowania? Cutter, sądząc po minie, pogrążył się w poważnych rozważaniach.

– Cóż, muszę przyznać, że akurat w tej chwili chyba faktycznie jakby coś czuję. Powiedzmy, że do pewnego stopnia współczuję temu nieszczęsnemu kulałcowi siedzącemu w barze, gdzie toleruje go, ba, kpi zeń jego parady, nie poznaczony bliźniami przyjaciół.

Bone odparł, że nikt tu nie kpił z Cuttera.

– Czy to ważne? Nie, mówię tylko, że obiektywizuję cierpienie tego nieszczęśnika. Osobiście go nie czuję, jednakowoż życzę facetowi wszystkiego dobrego. W rzeczy samej, od zawsze najgorętszym moim życzeniem i intencją modlitw było, by któregoś dnia sypnęły się na niego bogactwa... i to konkretne, nie nędzny przewał na kasę, jak ten, który mu właśnie nie wypalił... no, oczywiście na jego atrakcyjnych przyjaciół również. Nie, chodzi mi tu o autentyczny skarb... osiągnięcie natury duchowej, filozoficznej, może nawet politycznej, coś jak ten sprytny numer, który wywinął Szaweł z Tarsu na drodze do Damaszku. Coś w ten deseń, rozumiesz? Oślepiający blask, a może i jakiś czas w mroku, zaiste, gwoli przygotowania. Tylko na co, he? Epifanię? Apoteozę?

Bone zerknął na Valerie – było jasne, że nie słyszała jeszcze, jak Cutter potrafi popłynąć w elokwencję, nie wiedziała, jak wysoko umie szybować, kiedy najdzie go nastrój, więc na jej twarzy malowała się niemal cześć. Bone jednak już to wszystko zaliczył, nie pierwszy raz zwiedzał te okolice, więc po prostu się wyluzował, pił i żarł precelki, no i słuchał.

– Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda, Val? Dar z niebios, jasne? Coś jak to, co ma Erickson czy Wolfe. Budzisz się pewnego dnia i klękajcie, narody, bo oto i masz w głowie Drogę, Prawdę i Życie. I nieważne, czy będzie to podpalanie dóbr należących do bogaczy, czy sprzedawanie jajek taniej, niż to czyni konkurencja, czy, skoro już o tym mowa, bycie alfonsem takim, że bania mała... najważniejsza jest właśnie droga, jaką to osiągamy, prawda i życie, to musi cię capnąć gdzieś tu... – W tym momencie dotknął brzucha i marszcząc brwi, udając konsternację, przeniósł dłoń na klatkę piersiową, a potem na ramię... – ...czy tu, no, grunt, żeby we właściwym miejscu, rozumiesz?

Akurat tak się złożyło, że obok ich stolika przechodziła właśnie kelnerka, więc Cutter złapał ją za rękę i wyłożył resztę swojej historii.

– Ale tak się nigdy nie stało, uwierzysz? Bogowie odwrócili się ode mnie. Ba, opluli mnie z nieba, obesrali mnie. Użyli mnie niczym muszli klozetowej. Więc pytam się ciebie, czy to w porządku? Czy można tolerować u bogów podobne zachowanie?

Dziewczyna, sądząc po minie tyleż skonfundowana, co przerażona, wyrwała mu się i zaczęła się cofać, nie spuszczając wzroku z Cuttera, jakby ten dopiero co wylazł z grobu. Alex jednak uśmiechał się dobroduszenie. Uniósł dłoń i udzielił jej jednego z tych swoich papieskich błogosławieństw.

– Pokój z tobą, dziecino – zainonował. – *La piume de ma tante est dans votre derrière.*

W miarę jak popołudnie pęzło w kierunku nocy, Cutter zyskiwał na sile, a Valerie coraz rzadziej się odzywała. Palila jednego wąskiego papierosa za drugim, wypijała kolejne drinki, ale niemal nic nie mówiła, ba, właściwie nawet się nie poruszała z wyjątkiem chwil, gdy Alex chciał od niej więcej pieniędzy. Wtedy posłusznie sięgała do torebki i podawała mu gotówkę, jak gdyby to był jedyny powód jej obecności w barze. Gdy wreszcie opuścili hotel, to Bone prowadził fordą, a ona siedziała potulnie między mężczyznami, znosząc wędrówki dłoni Cuttera pod sweterkiem i spódniczką, przyjmując nawet jego pocałunki – mimo że nie minęła jeszcze godzina od czasu, gdy rzygał w męskiej toalecie, i jego oddech wciąż im o tym przypominał.

Bone był już po pięciu czy sześciu kolejkach i nie bardzo miał ochotę siadać za kółkiem, a już na pewno nie wbijać się na Hollywood Freeway i dalej, na Bulwar Zachodzącego Słońca, żeby przedzierać się przez kawalkady nocnych marków aż do Sunset Strip, ale Cutter uparł się, że właśnie tam powinni się wybrać. Twierdził, że tylko i wyłącznie Strip pasował do tej nieszczęsnej okazji, a jeśli Bone nie chce prowadzić, cóż, Cutter z przyjemnością odda wszystkim tę przysługę i sam to zrobi, przy czym jeszcze zaoszczędzą masę czasu. Więc Bone uległ. Musiał jednak walczyć z alkoholem o każdą milę, każdą przecnicę, zmuszając się, by bacznie uważać na światła drogowe, boczne ulice i samochody pędzące w jego stronę po Bulwarze. Kiedy już jednak zaparkował, czuł się tak, jakby właśnie zasnął – jak gdyby gorzała przetoczyła się po nim falą, otępiając, odrętwiając wszystko oprócz jaźni, sprawiając, że jego umysł działał niczym obiektyw-rybie oko, kurcząc i rozmazując Strip wraz z całą jego bujną fauną, przy jednoczesnym powiększeniu jego samego, Cuttera i Valerie pośrodku obrazu. I tak noc potoczyła się dalej – ten mały pęcherzyk,

epicentrum wszechświata, zygakiem brnął wzdłuż ulicy, od baru do baru, tu to-
pless, tam hetero, tu kelnerki bez majtek, tam geje. Nawet urżnięty, Bone jak zwykle
zdołował się w lokalach z golizną – dla niego wcale nie było tam seksu, czuł się jak
wykastrowany w tych rzeźniach dla duszy, gdzie podświetlone na czerwono albo
niebiesko dziewczyny machinalnie obracały, gładziły i prężyły swe zgrabne, bez-
płodne ciała w półmroku, pod dziwnie otepiałymi oczami gości, samych żywych
trupów. Nawet Cutter nie mógł tam zdzierżyć dłużej, niż trwało wypicie drinka, nie
znajdował też w sobie bluźnierstw, jakie mogłyby temu dorównać.

Nic takiego nie przeszkodziło mu jednak w knajpie dla gejów kawałek dalej, gdy
w głos zapytał, gdzie się podziały wszystkie dziewczyny. Śliczne, zadbane twarze
obróciły się w jego stronę jak jedna, niczym lufy wiatrówek – istny pluton egze-
kucyjny. Cutter jednak roześmiał się:

– Żartuję sobie, laski. Tak naprawdę to ja jestem taki, no, niezdecydowany, z
Fresno. Jeszcze nie wiem, czy się zdeklaruję.

Bone wiedział, że robienie sobie jaj z homoseksualistów na ich terenie to jeden z
najlepszych sposobów, żeby dostać łomot, więc pospiesznie wyprowadził pozo-
stałych dwoje z baru, gdy tymczasem Cutter głośno tłumaczył Valerie, że to miejsce
stanowi niezły przykład epifanii, o której wcześniej wspominał:

– Te kutafony naprawdę mają coś, w co wierzą: zasadę priapiczną, tu kutas
jest Bogiem.

Jakoś jednak udało im się wydostać na ulicę, gdzie Cutter, rechocząc radośnie,
zaczął tłuc laską we wszystko, z czego dało się w ten sposób wydobyć łomot. Cóż,
byli na Sunset Strip, więc nie zwrócił tym na siebie większej uwagi – pasował tu jak
kojot w zoo. W rzeczy samej, ta ulica przypominała Bone'owi stare filmy o Hol-
lywoody »nieuniknioną sceną w studio, kiedy bohater i heroina wędrowali po planie
zatłoczonym „statystami”: czy to kowboje i Indianie, niewolnice i rzymscy sena-
torowie, piraci czy Legia Cudzoziemska – a wszyscy, nie wiedzieć czemu, wyglą-
dali zupełnie normalnie, jak robotnicy przebrani do pracy. Z ich nowoczesnymi
odpowiednikami na Sunset Strip było jednak zupełnie inaczej. Jakoś tak się stało, że
kostium przeobraził się w rzeczywistość. Ba, ci aktorzy najwyraźniej nie wiedzieli
nawet, że są w kostiumach. Po prostu wyszli na ulicę: Koczis wódz Apaczów, Billy
Kid, Apollo, Wenus i markiz de Sade.

O przecnicę dalej Cutter, Valerie i Bone natknęli się na młodego Murzyna,
ubranego niemal dokładnie tak, jak Alex opisał swój ubiór w roli alfonsa Valerie, no

i oczywiście Cutter nie oparł się pokusie, by podejść do typa i go zagadać. Podku-
stykał więc i zaczął go szeptem, pytając, czy mógłby ustawić jego „zbereźnego
kumpla, o tego tam” z dogiem – facet miał „absolutnie zwierzęcy gust”. Na szczę-
ście alfonsowi spodobał się dowcip, typ odstawił nawet dość kaleki taniec rozba-
wienia, ba, przybił piątkę na wyciągniętej kpiarsko dłoni Cuttera. Tyle że tylko on
był ubawiony, tylko on się śmiał – Bone nie przegapił desperacji wyzierającej z oczu
Alexa. Nie miał jednak pojęcia, jak mógłby temu zaradzić, jak powstrzymać to
pikowanie. Ciągnął więc dalej wraz z Valerie, a Alex zaprowadził ich do lokalu, w
którym według reklamy odchodziło „Siłowanie z gołą babą”. Należało się za to
dziesięć dolarów, co oczywiście nie powstrzymało Cuttera ani na moment – Alex po
prostu strzelił palcami i Valerie z rezygnacją dała mu pieniądze, a on z kolei prze-
kazał je właścicielowi budy, kredowolicemu kurdupłowi z twarzą gryzonia, który,
sądząc po wyglądzie, co rano kładł się spać do trumny, typ oświadczył, że Cutter
mógł się rozebrać do pasa, jeśli chciał, ale musiał zostać w spodniach. Nie będzie tu
żadnych „hopsztosów”.

– Tylko siłowanie – klarował. – Za to żeś pan zapłacił.

Cutter wziął go za słowo, w stopniu niesłychanym chyba w historii tego lokalu.
Dziewczyna była wysoką latynoską, zbudowaną jak posąg dłuta Lachaise'a*, o
obfitych, jędrnych piersiach i udach. Kamiennym, niewzruszonym wzrokiem pa-
trzyła, jak Cutter ściągał sweter i koszulkę, odsłaniając kikut ręki i obrzydliwą
mozaikę blizn po odłamkach na torsie. Oczywiście wiedziała, czego chciał, tego
samego, co wszyscy, miętolić jej wielkie cyce i obmacywać czarną cipę, a ona to
ścierpi, bo za to jej płacą, taka robota. Cutter jednakże podszedł do niej, złapał ją za
ramię i rzucił na matę, twarzą naprzód. Potem podciągnął jej rękę za plecami i
zapowiedział, że jeśli dziewczyna nie powie „pas”, to on złamie jej kość promie-
niową, a może i radioaktywną. Nie wiedzieć czemu, wołała tak sobie leżeć i
wrzeszczeć na właściciela, który wypadł z zaplecza, ściskając mały kij do bejsbola.
Cutter jednak nie zamierzał jej puszczać.

* Francuski rzeźbiarz, słynący z aktów hożych niewiast.

– Każ jej powiedzieć pas – nalegał.

– Mów! Mów! – wydarł się na nią kurdupel. – Chryste Jezu, powiedz mu pas!
W końcu do dziewczyny dotarło, o co biega. – Pas! Pas! – krzyknęła.

Wtedy Cutter zlął z niej, demonstracyjnie triumfując, unosząc nad głową i
zdrową rękę, i kikut. Właściciel darł się na niego, groził, że wezwie policję, lecz

Alex niemal na niego nie patrzył. Facet równie dobrze mógłby trzymać słonego paluszka zamiast pały, biorąc pod uwagę, jak bardzo Cutter się nim przejmował.

– Powiedziałeś, żeby się siłować – rzucił. – To się siłowałem.

Kiedy już wyszli na ulicę, podał Bone'owi i Valerie inny powód: – Biedna dziewczucha, z taką robotą. Pomyślałem sobie, że przynajmniej dzięki mnie będzie miała co wspominać. W najgorszym razie przez dzień, może dwa.

Gdzieś między jedenastą a północą Cutter powiódł ich do małej restauracji o nazwie Bergerac, dla gości z wyższych sfer. Kopułowe sklepienie, duży kominek, matowe kule lamp oświetlające wybitnie gadatliwą klientelę, z reguły ludzi młodych, odstawionych i, sądząc po wyglądzie, cieszących się powodzeniem w interesach. Szefowi sali wystarczyło jedno spojrzenie na Cuttera, by błyskawicznie powiódł ich na salę barową, nawet mniejszą od jadalnej, gdzie pod witrażowymi oknami upchnięto rząd stolików wielkości karmników dla sikorek. Bone, z nadzieją, że nie skończy na wytrzeźwiałce, poprosił kelnera o menu, na co został z nienaganną dykcją poinformowany, iż kuchnia była już zamknięta. Cutter jednak nie do końca dał się zmarnować w pijackim ciągu owego wieczora, w związku z czym przywołał palcem tego typu, bez wątpienia już z dorobkiem aktorskim i kolejnymi rolami przed sobą, i oznajmił, że radzi przemyśleć tę odpowiedź, bo w przeciwnym razie wetknie mu w tyłek lampkę ze stołu. Szerszym końcem. Kelner przemyślał sprawę i przyniósł im karty dań oraz kolejkę drinków, po czym przyjął zamówienie, trzy razy *petit filet mignon*. Niemal natychmiast jednak Cutter zaczął zastanawiać się w głos, czemu właściwie zwracał sobie głowę zamawianiem jedzenia, skoro nie mógł przełknąć choćby kęsa.

Valerie zapytała, co mu dolegało. Czyżby znowu był chory?

– Oczywiście – odparł. – Zawsze.

– Tak chory, żeby rzygać? – sprecyzowała.

– Oczywiście. Zawsze.

Valerie obróciła się do Bone'a, patrząc nań niemal oskarżycielsko. – Powiedz coś. Zrób coś...

– Nic się nie da zrobić – wtrącił Alex. – Cokolwiek by powiedział, nic się nie zmieni. Po prostu nie jestem głodny, i tyle. Spragniony, i owszem. Ba, myślę, że spragniony będę aż do końca życia.

– Czemu nie? – wtrącił Bone.

– Posłuchaj go, co? Stare motto Bone'a: „Czemu nie?”

– Czemu nie? – powtórzył Richard.

A Cutter parsknął śmiechem. – Chcesz wiedzieć, dlaczego? *A dlatego*. Po prostu *dlatego*. Co ty, do szkoły nie chodziłeś?

– Aha, dlatego?

– A jasne, do diabła! – I Cutter zaniósł się takim śmiechem, że aż go zgięło nad drinkiem. Część osób w salce spojrzęło w jego stronę, co tylko sprowokowało go do wrzasku: – Ludzie, co z wami, do cholery! Pośmiać się już nie można? Nie wolno być szczęśliwym?

Bone zaproponował mu, żeby ściszył głos, na co Cutter zapytał, czemu miałyby to zrobić.

– Dokładnie tak, jak sam powiedziałaś: a dlatego.

– Niczego takiego nie mówiłem.

– To przepraszam.

Cutter jednak nie zamierzał spuścić z tonu. – Może tak wreszcie byście ze mnie zeszli, jedno z drugim. Pozwólcie, że spróbuję sobie z tym poradzić na mój własny sposób. Skupcie się, dzieciaki, spróbujcie sobie przypomnieć: tego ranka od pięknej wypłaty, od hoteli na Park Place i Boardwalk*, dzieliło nas raptem parę godzin. A teraz co? Nie stać nas nawet na sracz przy Baltic Avenue. Więc dajcie mi się śmiać, co? Dajcie mi płakać.

* Chodzi o lokalizację z gry „Monopoly”.

– Jak sobie chcesz – odparł Bone.

– Tak naprawdę, to chciałbym go zabić – stwierdził Cutter, na tyle głośno, że klienci baru znów zaczęli się na niego oglądać, choć raczej z politowaniem i rozbawieniem niż zaalarmowani. – Cóż bardziej logicznego? – ciągnął. – Co bardziej ludzkiego niż zabić zabójcę, hę? Zamordować mordercę? Jest lepsze kryterium oceny wartości moralnych społeczeństwa, niż jego zdolność do odebrania oka za oko, zmiążdżonej tchawicy za zmiążdżoną tchawicę? Więc jeśli już spadać, to z wysokiego konia, nie? Może po prostu zajeżdżać skurwysyna.

Bone swobodnie zapalił papierosa, usiłując stworzyć iluzję spokoju. Jego słowa jednak zadały temu kłam: – Chryste Panie, Alex, nie umiesz normalnie mówić? Musisz od razu wrzeszczeć?

– A kto tu wrzeszczy? Tyle że mój pomysł ci się nie spodobał. Bo jesteś cykor. Wic za wet, oto twój styl. A może nawet cyc, nie wic, albo i dwa. Więc co powiesz na to: może zrobimy aukcję? Może uda się nam to sprzedać tu i teraz? Te fluty wyglądają na takich, co śpią na forsie, nie? Więc może im to opchniemy?

- Co takiego mamy im sprzedać? – zapytał Bone.
- Nasze informacje, facet. Ten smakowity kąsek na temat J.J. Wolfe'a, jakim dysponujemy. Przecież, do diabła, na pewno znaleźlibyśmy tu nabywcę.
- Daj spokój, Alex. Proszę. Opuść sobie.
- A to czemu? Czemu nie mam tego sprzedać? Mamy coś innego? Samorodki srebra? Tysiąc udziałów w IBM? Akurat, cholera. Jedyne, co mamy, to J.J. Wolfe... ale jego trzymamy przy jajach, przyjacielu! Przy samiusieńkich klejnotach!

Teraz już nawet klienci z drugiego końca sali wpatrywali się w Cuttera, a Bone był bliski desperacji. Powoli, cierpliwie, jakby rozmawiał z rozbrykanym dzieckiem, ponownie poprosił Alexa, by ściszył głos i dał sobie spokój. Nagle jednak ujrzał w oku Cuttera, jak cała sprawa sprowadziła się do dzielącej ich odległości. To było już tylko między nimi i napięcie zaczęło rosnąć. Cutter skrzywił się złośliwie.

– Jasne, facet! – oznajmił. – Natychmiast... jak tylko powiesz mi, dlaczego nie powinienem tego robić, kiedy tylko dasz mi po temu jeden dobry powód.

I zaraz odsunął sobie krzesło, wyraźnie szykując się, by wstać i zacząć tę swoją „aukcję”.

Bone poczuł nagle napięcie w mięśniach nóg – był o włos od tego, by wstać i wyjść, zostawić Cuttera i Valerie każdemu losowi, jaki mogłyby na nich ściągnąć demony dręczące Alexa. Zamiast tego jednak niemal bezwiednie sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął stamtąd kopertę, ten *osobisty* list, którego doręczenie do J.J. Wolfe'a miał rzekomo zagwarantować. Teraz zaś wręczył go Cutterowi.

A ten przez długie chwile nie rozumiał, co się stało. Patrzył na kopertę zbity z tropu, po czym uniósł wzrok na Bone'a, a w końcu na Valerie, gdzie najwyraźniej znalazł odpowiedź, wyczytał ją jak wypisaną wołami w pogardzie, która łała się na Richarda z jej znużonych oczu.

– Czemu? – zapytał go Cutter. – Czemu, Rich? Jak Boga kocham, *dlaczego?*

Bone wzruszył ramionami. – Sam to przed chwilą powiedziałeś, Alex: jestem cykor.

8.

Bone jakoś zdołał dowieźć ich z powrotem do hotelu, zapewne przez całą drogę jadąc nie szybciej niż dwadzieścia mil na godzinę, choć nie mógłby przysiąc, że tak właśnie było, bo z całej podróży właściwie niczego nie pamiętał, poza mętym poczuciem osobistego heroizmu, jak gdyby był półżywym psem bernardynem, wlokącym zagubionych podopiecznych w bezpieczne miejsce. Na hotelowym parkingu Cutter w dowód wdzięczności zamachnął się na niego, ale nie trafił i wyrznął w zaparkowanego cadillaca. Wyjąc z bólu, ciosem laski wgniółł maskę beczelnego auta, po czym dopełnił dzieła zniszczenia, sikając na dwie opony o białych bokach. Z czasem jednak wszystkim trojgu udało się dotrzeć na właściwe piętro hotelu, a nawet do własnego pokoju. Gdy już tam trafili, Bone potulnie skapitulował przed gorzałą i z dwoma wyjątkami nie wynurzył się z otchłani nieświadomości aż do jedenastej rano następnego dnia.

Wyjątek pierwszy miał miejsce, gdy Rich przetoczył się na drugi bok, słysząc odgłos łomotania kontrapunktowany dyszeniem, i miał przemożne wrażenie, że zauważył, jak Cutter uprawia na balkonie gimnastykę. Z drugiego razu jak przez mgłę przypominał sobie Alexa, który nago i ociekając wodą po prysznicu otwierał drzwi dla faceta z obsługi, przygarbionego dziadka, który pchając do pokoju wózek ze śniadaniem, miał taką minę, jak gdyby spodziewał się, że żywy stąd nie wyjdzie. Bone'owi jednak wszystko to centralnie zwiślało. Potrzebował snu, niczym rozgrzewającej kąpieli na morderczego kaca, i płał w słodkim lenistwie do momentu, kiedy o jedenastej z łomotem do apartamentu weszła pokojówka. Nie zauważyła go, bo leżał półprzytomny na podłodze między łózkami, więc poszła do łazienki i zaczęła tam sprzątać, cicho podśpiewując jakąś hiszpańską pieśń żalobną. Bone pomyślał, że mógłby się wturlać pod łóżko i dać jej spokojnie skończyć pracę, ale było tam za mało miejsca, więc wybrał najlepszą z pozostałych mu opcji – wślizgnął się na jedno z łóżek i zaczął donośnie ziewać. Pokojówka wychynęła z łazienki w półprzysiadzie, z oczami jak spodki z przerażenia.

– Ja nie widziała! – krzyknęła.

Bone wzruszył ramionami. – *De nada*. Wrócisz później, *si*?

- Ja nie widziała!
- Jasne. Rozumiem. Ale wrócisz później, dobra?
- Topra! – ostrożnie wycofała się z pokoju. Czarownika potrafiła rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Znów sam, Bone zaczął się zastanawiać, kiedy opuścili go Cutter i Valerie. Przypomniał sobie nocną gimnastykę i serwis, kawę i prysznic, i przyjął, że Cutter próbował wypocić z siebie kaca, zamiast go przespać, że aż tak mu się paliło, by podjąć robotę, którą wczoraj odpuścił sobie Bone. Potwierdzenia tych przypuszczeń nie musiał daleko szukać. Po drugiej stronie pokoju na dużym lustrze nagryzmołono szminką następującą wiadomość:

JANKES DO DOMU!

Niżej była strzałka, wskazująca na blat komódki, gdzie Cutter zostawił ciąg dalszy komunikatu, spisany na hotelowej papeterii:

Kochany Cykorze Zastrany,

Tej nocy tknęło mnie jak babę klimakterium – potrzebny mi jesteś akurat tak samo, jak drugie szklane oko. Kto mi udowodni, że to nie ja byłem tamtej nocy na Alvarez Street? Kto zaprzeczy, że to nie ja sam widziałem, jak staruszek J.J. pozbywał się trupa, jak ty to widziałeś? Na bank nie sam J.J., głowę daję.

Więc, serdenko, koniec końców jest tak – niniejszym ja i V, wywalamy cię z naszej bandy. Innymi słowy, zwalnim pana – możesz sobie wrócić na piaski Santa Barbara i dalej oddawać się kontemplacji niezrównanej doskonałości własnego wacka.

A tymczasem J.J, jest nasz. Mój. Dziś nie pošlemy dzieciaka do męskiej roboty. Dziś pójdę ja sam. A jutro... cóż, odwiedzisz nas kiedyś na Ibizie, co nie?

Póki co jednak – czapka i zjazd.

Twój brat w Jezusie

Alexander N

Generalnie rzecz biorąc, Bone musiał przyznać, że to całkiem niezła rada – może nie samo życzenie, żeby zjeżdżał, im wcześniej jednak będzie go dzieliła od pozostałych dwojga spora odległość, tym lepiej. Nawet gdyby sprawą zajął się ekspert – to znaczy, gdyby sam Bone podszedł do zadania na poważnie – w najlepszym razie mieli nikłe szanse. Potrzebny tu był ktoś, kto potrafiłby manewrować w labiryntach korporacji, bo jeśli nie przedstawiło się Wolfe'owi produktu w stanie nietkniętym,

czyli bez miętolenia, rozrywania i prześwietlania przez podwładnych, to właściwie nie miało się nic na sprzedaż. Wolfe nie miałyby innego wyjścia, jak tylko wezwać mundurowych i iść blefem, grać ważniaka aż do samego końca... a to zapewne oznaczałoby, że ktoś skończyłby w więzieniu, i to raczej nie Wolfe. Biorąc to wszystko pod uwagę, Bone po prostu nie wyobrażał sobie, by Cutter miał choćby cień szansy na sukces. Na swojej trasie, zapewne ledwie parę minut po tym, jak wkroczy do królestwa Wolfe'a, Alex napatoczy się na tę czy inną odmianę biurokratycznego obłądu i zareaguje po swojemu, błyskawicznie i szokująco, co oczywiście sprawi, że wszystko zwali mu się na łeb. Szalony, kulawy byk w sklepie z plastikiem, to byłby w sumie całkiem niezły opis Cuttera. A Bone nie widział innego rezultatu dla kogoś pasującego do tego rysopisu, jak tylko katastrofa. Dlatego cieszył się, że już się z tego wyplątał, że mógł pojechać w swoją stronę.

Wciąż jednak musiał sobie poradzić z kacem, potrzebował tlenu, żarcia i ruchu. Wstając z łóżka, doszedł do wniosku, że jeśli obsługa pokojowa sprostала wymaganiom Cuttera i Valerie, jemu również wystarczy, więc zadzwonił i złożył zamówienie na opiekany chleb, jajecznicę, boczek, kawę i dzbanek świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Ten ostatni punkt wpędził przyjmującego zamówienie w taką panikę, że Bone zaczął się zastanawiać, czy nie dodzwonił się czasem do kuchni Sheratona na Islandii. Potem zaś wypalił papierosa, wypróżnił się chwalebnie i spędził kwadrans pod prysznicem, szczęśliwy, że do groźącego rzekomo świata kryzysu zaopatrzenia w wodę zostało jeszcze kilka lat.

Śniadanie okazało się niemal tyleż chłodne, co drogie, choć ten ostatni problem dało się rozwiązać wedle szkoły Cuttera, gryzmołąc kolejną wersję podpisu Valerie na doręczonym rachunku. Wpół do pierwszej był już gotów do wyjścia, najedzony i ubrany, a te parę rzeczy, które ze sobą przywiózł – zapasową koszulę, skarpetki, przybory toaletowe – upchnął do wiernej aktówki. Na parterze przeszedł przez hol i sforsował zatłoczone wejście jak każdy inny młody menedżer ze światem u stóp. Tyle że tamci wszyscy starali się łapać taksówki, a on swobodnie przeszedł na drugi koniec parkingu, zrobił sobie skrót przez krzaki i ruszył w dół zbocza, ku ulicy Lankersham. Jeszcze przecznica, i już był przy wjeździe na autostradę, nadstawiając kciuka ze zwykłym sobie cieniem wyrachowanego skrępowania, wręcz zażenowania, z nadzieją, że da odczuć pędzącej obok Wielkiej Amerykańskiej Większości, iż tak naprawdę z reguły był wśród nich, *na* drodze, a nie obok, jak teraz, bo doświadczenie nauczyło go, że ludzie chętniej zatrzymywali się dla podobnych sobie.

A z reguły dla niego zatrzymywały się kobiety, najczęściej młode, jeśli miały w wozie towarzyszkę albo i dwie, bo w ten sposób łączyły posmak przygody z pewną dozą bezpieczeństwa. Tego dnia jednak zaszczyt podwiezienia Bone'a przypadł mężczyźnie, grubemu facetowi w średnim wieku, który wyglądał na przedstawiciela handlowego. Miał karmazynowa twarz i głos chropawy od whiskey. Prowadził jedną ręką, a nogę miał ciężką, odpalał jednego camela od drugiego, lawirując między samochodami, wjeżdżając niemal w bagażniki, przeskakując z pasa na pas, przemykając się takimi szczelinami, że nawet motocykliści z Hell's Angels zastanowiliby się przed ich wykorzystaniem. Jednak Bone szybko pojął, że ten facet tak naprawdę nie pogrywał sobie z życiem innych użytkowników drogi, a to z bardzo prostego powodu: on po prostu nie miał pojęcia, że są jacyś inni ludzie. Bone był wręcz przekonany, że nieważne, czy byłby obwieszonym bronią członkiem Czarnych Panter, krysznowcem czy napakowaną lesbą z kawałem rowerowego łańcucha w garści, nic by się nie zmieniło, facet nawet by tego nie zauważył. Zatrzymał się, żeby wziąć na drogę dokładnie to, co chciał: parę uszu, autostopowego spowiednika, ersatz psychoanalityka.

W ciągu tych niecałych dziewięćdziesięciu minut, jakie zajęła im trasa do Santa Barbara, Bone z miażdżącymi detalami zapoznał się z historią trzech jebanych małżeństw kierowcy. Dowiedział się wszystkiego o niewdzięczności i głupocie jego jebanych córek i spedałonych synów, a na dokładkę zaliczył jeszcze gratisową, bitą od serca analizę biznesu urzędzeń AGD, począwszy od producentów, przez menedżerów i samych sprzedawców (najlepsi z tego całego towarzystwa, cholera, bez nich gospodarka padłaby jak bez kręgosłupa), aż po tych jebanych hurtowników, którzy uznawali zniżki tylko na jedno: starą, dobrą uczciwość – sprzedawanie dobrych towarów za dobre ceny. Jak w wielu innych branżach, w AGD uczciwy, porządny facet po prostu nie miał czego szukać, a już na pewno nie uczciwy i porządny gość, który jeszcze do tego był fenomenalnym sprzedawcą. Z takim szefowie po prostu nie wiedzieli, co począć. Rolowali go, okłamywali, wbijali nóż w plecy. Obcinali mu prowizje, podbierali klientów i odmawiali uznania niemałych w końcu osiągnięć. A wszystko to przekonało tylko Bone'a, że jak najbardziej zapracował na tę jazdę do Santa Barbara, a wręcz należało mu się jeszcze to i owo. Kiedy więc przejeżdżali już przez centrum miasta i facet skierował się ku zjazdowi z autostrady, żeby go wypuścić, Bone poprosił go, by podjechał do następnej przecznicy i skręcił w prawo.

– Musi pan coś zobaczyć – wyjaśnił. – To raptem parę kroków.

Prawdę mówiąc, bar Murdocka znajdował się sześć przecznic od autostrady, ale król AGD nie narzekał. Zapytał jednak o wyjaśnienie, kiedy Bone wysiadł w końcu z samochodu.

– No i co ja tu mam zobaczyć?

Bone zmarszczył brwi, po czym się uśmiechnął. Przecież to powinno być jasne.

– Cóż, oczywiście mój punkt docelowy – powiedział w końcu.

Niestety, bar Murdocka okazał się kiepskim punktem docelowym, bo sam Murdock był nieobecny, co oznaczało, że nie będzie picia na kreskę ani szansy pożyczenia auta, by podjechać do Cutterów, zobaczyć się z Mo i maluchem. Tak czy inaczej, Bone przysiadł tam na tyle długo, by rozprawić się z jedną szklanką wódki z tonikiem, posiedzieć sobie w przyjemnym półmroku, sącząc drinka i dumając na wszelkie sposoby nad pytaniem, czemu właściwie przyjechał tutaj, do samego centrum, zamiast wysiąść na zjeździe z drogi numer 101 w Montecito, nawet nie pół mili od rezydencji pani Little, gdzie przecież miał teraz swój nowy dom, tymczasowy wikt i miejsce do spania. Kiedy jednak się nad tym zastanowił, musiał przyznać, że nie było w tym żadnej świadomej decyzji, że po prostu przybył do Murdocka jak gołąb pocztowy, naprowadzany radarową wiązką własnej natury. Fakt, że Cutter był poza domem, w ogóle nie figurował w tych kalkulacjach. W końcu Bone już nieraz był sam na sam z Mo, takie okazje szły w dziesiątki, i jakoś nigdy nic się nie zdarzyło. Więc czemu tym razem coś miałyby się stać? Ach, oczywiście mógł sobie marzyć. Mógł nawet po staremu spróbować szczęścia, tak na pół gwizdka. To przecież nikomu nie szkodzi, powiedział sobie. Nigdy nikomu nie zaszkodziło...

Przy wyjściu z baru wpadł na sierżanta Verdugo, jednego z gliniarzy z dochodzeniówki, którzy go zwinęli w noc morderstwa. Verdugo powiedział, że wciąż był przydzielony do tej sprawy, ale do niczego nie doszli. Zapytał Bone'a, czy aby czasem nie poprawiła mu się pamięć, na co Richard odparł, że właśnie się wybierał na przedmieścia, więc mogliby sobie pogadać, gdyby pan sierżant raczył go podwieźć. Sądząc po minie, Verdugo wiedział, że Bone szukał frajera, ale i tak poszedł na jego propozycję – zabrał Richarda do domu Cuttera, kilka mil dalej. I tylko smętnie pokiwał głową, gdy Bone powiedział, że nie ma nic do dodania ponad to,

co zeznał na samym początku. Sierżant ze swej strony też nie mógł zbyt wiele zaoferować. Póki co, wszystkie ślady w sprawie prowadziły w ślepe zaułki. Wydział do niczego nie doszedł. Porucznik Ross mógł polykać jedynie ciepłe mleko i odżywki dla niemowląt. A na dobitkę wyglądało na to, że znikła również siostra zamordowanej. Matka nie wiedziała, co mogło się z nią stać, podobnie wyglądała też sprawa w miejscu pracy.

– Ross uważa, że ją również znajdziemy martwą – skończył Verdugo.

Bone milczał.

Dojechali pod dom Cuttera.

– Wciąż tu siedzisz, co? – zagadnął sierżant. – Śpisz na podłodze?

Bone, wysiadając, uśmiechnął się do niego. – Tam dom twój, gdzie serce twoje.

Nie doczekał się odpowiedzi na pukanie, więc wszedł do domu, spodziewając się, że zastanie Mo śpiącą wraz z dzieckiem w łóżku. Tymczasem znalazł ją na tarasie – naga do pasa, drzemała w słońcu na jednym z siatkowych leżaków, które Swanson sprezentował Cutterowi. Alex Piąty był u jej stóp, spał wśród usypanych na podłodze kocyków. Przez krótką chwilę Bone po prostu stał w drzwiach, bez słowa, bez ruchu, jak gdyby wystraszony, że najcichszy choćby dźwięk sprawi, iż to wszystko runie z łomotem, że szlag trafi widoczek jak spod pędzla francuskiego impresjonisty – półnagą madonnę i dziecko, śpiących w złocistych potokach światła, a za nimi góry, morze i czerwone dachy miasta. Przyszło mu do głowy, że mógłby pochylić się i dotknąć wargami jej piersi, lecz doszedł do wniosku, iż niczego by w ten sposób nie zyskał, chyba że fangę w nos, więc zastukał niegłośno w futrynę. A Mo zareagowała mniej więcej tak, jak się tego spodziewał, głównie wzrokiem, spojrzeniem zaskoczonym, lecz spokojnym. Nawet nie zakryła sobie piersi, tylko przyłożyła palec do ust, żeby go uciszyć – nie chciała, by obudził małego. Wstała, weszła za Bone'em do domu i zamknęła drzwi na taras.

– Co jest, cholera, przestawiłeś się na włamania? – zagadnęła, zakładając bluzę od dresu.

– Pukałem.

– Nie za głośno.

Uśmiechnął się. – W sam raz dla moich celów. Siadając swobodnie na tapczanie, zapaliła papierosa. – No, mam nadzieję, że się nacieszyłeś.

- Jeszcze jak.
- Ano, są całkiem niezłe – przyznała. – Sporo tego dźwigam, przyznaję.
- Nie kręć mnie cycki.
- Więc co? Łokcie? Kostki?
- Oczy, Mo. Mam słabość do pewnych rodzajów oczu.
- Na pewno do tych przekrwionych.
- Fakt, z reguły tak.

Przez parę chwil milczała, najwyraźniej póki co wystrzelała się z sarkazmu.

- Sam jesteś? – zapytała w końcu.
- Wróciłem samotnie, owszem.
- A więc on wciąż tam jest?
- Wciąż tam. Wciąż chce to zrobić.

Siedziała tak, patrząc nań z lekkim uśmiechem. – Wyjaśnij mi może, dlaczego?

– Pewnie. Jestem cykor. Kiedy wszedłem do biurowca Wolfe'a, zdałem sobie sprawę, że nie dam rady pociągnąć tego interesu... Ale i tak udawałem, że zrobiłem swoje. Ruchy pozorne. Rozumiesz.

- Czemu?
- Czemu nie potrafiłem zrobić tego, co miałem zrobić?
- Tak. Skąd ten nagły atak rozsądku?
- Właściwie sama sobie odpowiedziałas.
- No to po co udawałeś, że zrobiłeś swoje?
- Kombinowałem, że skoro nic się nie stanie... skoro Wolfe się nie skontaktuje... to cała sprawa po prostu zdechnie. Alex się zdurzi, da sobie siana.

- Jak rozumiem, nie wypaliło.
- Ano nie. Dziś to on robi solowy atak.
- I też strzeli obok bramki?
- Stanie na głowie, żeby trafić.
- Są jakieś szanse, że mu się uda?
- Miejmy nadzieję. Przynajmniej dla twojego dobra.
- Myślisz, że mogłabym jakoś na tym skorzystać?

Bone wzruszył ramionami. – Coś jakby współudział w bogactwie?

- Nie widzę przeszkód.
- Nie widzisz?
- Nie, nie widzę.

Sądząc po uśmiechu, Mo doceniała jego wysiłki, lecz wciąż nie była gotowa, by kupić całą historię. – A dziewczyna? Jak rozumiem, ona też nie pęka.

- Nie. Wciąż nie składa broni.
- Twarda mała.
- Owszem, twarda z niej mała.
- A skoro ciebie zabrakło, to jeszcze bardziej zbliży ich do siebie, nie?
- Jako współników w przedsięwzięciu, owszem.
- Po koleżeńsku, można by rzec...

Bone nie podjął tematu.

- Po partnersku – ciągnęła.
- Jak zwał, tak zwał.
- Śpią w jednym łóżku?
- Nie przy mnie.
- No jasne, że nie. Gdzieżby tam, przy panu błękitnookim. W końcu nie ma się co ludzić, że Alex miałby szanse w konkurencji z kimś takim, prawda?

Bone wszedł w tę grę. – Jeśli tak stawiać sprawę...

- Chyba że chodziłoby o mnie, oczywiście.
- Ma się rozumieć.
- Jednakże, gdyby on ją jednak rznął... powiedziałaś mi o tym, prawda?
- A czy miałyby to jakiegokolwiek znaczenie?
- Co takiego? To, że on ją rżnie, czy że ty mi powiesz?
- Wybierz sama.

Uśmiech powrócił. – Masz rację, Rich. Wygląda na to, że tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia, prawda?

- Owszem.

Mały już się obudził. Bone widział go, jak gaworzył za drzwiami na taras, po czym porazkował do balustrady i usiłował precyzyjnie przycisnąć głowę między słupkami.

– Nie ma sprawy, możesz po niego iść – odezwała się Mo. – Popiszesz się przy domowych obowiązkach, będzie zaliczone.

Bone spojrział na nią z rozpaczą. I tak jednak wyszedł na taras i zgarnął małego.

- Chcesz mu zmienić pieluchę? – zapytała.
- Nie.
- A nakarmisz go?
- Popatrzę.

Kiedy Mo zabrała dzieciaka do łazienki, Bone wrócił na taras i wyciągnął się w słońcu, którego blask i ciepło w najmniejszym nawet stopniu nie tłumili budzącego się w nim optymizmu. Ledwie wczoraj stał jedną nogą nad przepaścią, a dziś znów był na twardym gruncie, zdrów na ciele i umyśle, choć może niezupełnie wypłacamy. A co do wszelkich niepokojów, jakie mogły się w nim rodzić z racji przybycia tutaj samotnie, Mo osobiście je rozwiązała, Mo z krwi i kości, wiecznie kaśliwa. Równie dobrze mógłby próbować nadużyć zaufania walca drogowego. Najprawdopodobniej, gdyby tylko spróbował, po prostu przetoczyłby się po nim. A jednak nawet taka perspektywa go nie przerażała. Napawał się świadomością, że może mu się dziś powiedzie, może dowie się czegoś, na dobre wybije ją sobie z głowy... albo pomoże Mo wbić pazury jeszcze głębiej. Tak czy inaczej, będzie to jakaś ulga, jeden powód do niepokojów mniej.

Kiedy tak leżał na tarasie, w salonie zadzwonił telefon, ba, rozbrzmiało siedem czy osiem dzwonek, nim Mo w końcu podniosła słuchawkę. I nawet wtedy nie mówiła za wiele, co jakiś czas rzucała tylko „Tak, słyszałam”, albo „Tak, wciąż słucham”. W końcu powiedziała: – Może sam mu to wyjaśnisz? Jest tutaj.

Słyszac to, Bone wstał i wrócił do domu, gdzie zastał Mo wyciągającą ku niemu słuchawkę, jakby to była cieknąca pielucha.

– Dzwoni sam mistrz szantażu – stwierdziła. – Istne cuda i dziwy ma do powiedzenia.

Bone przywitał się, a Cutter huknął basem ze słuchawki:

- Co, Rich, pilnujesz, żeby domowe ognisko nie wygasło, hę?
- Przynajmniej próbuję.
- Tak trzymać. Trzymać i nie puszczać, młody.
- No pewnie.

Teraz Cutter mówił z nawet większym animuszem, głosem niemal ociekającym wydzielinami jego *ego*. Czy Bone'a w ogóle interesował przebieg wydarzeń tego dnia? Oczywiście, że tak. Ha, Cutter niezmiernie się ucieszył na te słowa, bo strasznie dręczyłby się myślą, że jego stary kumpel mógłby być nań wkurwiony, i to właściwie bez powodu, no bo przecież ten durnowaty liścik, który Alex zostawił w pokoju hotelowym, był tylko na podpuchę, to przecież musiało być dla Richarda jasne. W każdym razie koło czasu się obróciło i Cutter też się nieco poobracał – owszem, stary głupi Cutter wszedł tam, gdzie Bone lękał się wkroczyć. Czy Rich dałby wiarę, że dokonało się? *Ze fait* już został *accompli*? Uwierzyłby, że stary dobry Alex skontaktował się z wyższymi szarżami, a teraz czekał na kontakt z ich strony?

– Młody gość, menedżer, nazwiskiem Pruitt – ciągnął Cutter. – I co ty na to? Nie Cośtamcośtam, tylko Pruitt... na moje oko znak postępu, może nie? I jak to ujął ów młody człowiek, skontaktuje się z nami już *dzisiaj*. Prześle nam wiadomość.

Nie wiedzieć czemu, Bone zdołał tylko powtórzyć to zdanie: – Prześle wam wiadomość?

– Zgadza się.

– Czyli wie, gdzie jesteście? Gdzie mieszkaacie?

– No, fakt, tu musiałem trochę improwizować. Skoro wyjechałeś, w planie trzeba było wprowadzić kilka drobnych zmian.

– A co, jeśli prześle wam wiadomość za pośrednictwem Departamentu Policji? Albo z armaty?

Cutter prychnął śmiechem.

– W życiu. Wierz mi, tak ich wystraszyłem, że się posrali ze strachu.

Bone z łatwością w to uwierzył.

– No, to gratulacje – powiedział. – I dużo szczęścia. Myślę, że się wam przyda.

– Nawzajem. Przekaż Mo, że powinna być dla ciebie bardzo miła, bo ostatnimi czasy twoje *ego* zostało niemiłosiernie sponiewierane. Powiedz jej, że pozwalam ci korzystać z packarda. Ba, możesz nawet siadać w moim fotelu.

– Jejku, dzięki.

– Drobiazg. No to narazicho.

Bone odwiesił słuchawkę. Mo stała w drzwiach na taras, patrzyła na morze.

– Mówił ci, co tam robili? – zapytał.

– Więcej, niż miałam ochotę usłyszeć. Ni czorta mnie to nie obchodzi. Niech go odstrzelą albo wsadzą, mam to gdzieś.

Przez dłuższy czas nie odezwali się ani słowem. Bone patrzył na nią, obramowaną słońcem w otworze drzwi tak, że jej twarz i włosy wyglądały niczym spowite miodowym płomieniem.

– Dopiero trzecia – rzekł w końcu. – Chciałabyś coś porobić?

Spojrzała na niego z namysłem, po czym przytaknęła, zdecydowanie.

– Owszem. Najpierw nakarmię małego. A potem wypiję galon niezgorszego chianti i przegryzę koszmarnie drogim serem romano, wszystko dzięki uprzejmości George'a. Do tego jeszcze ciasteczka i pół bochenka włoskiego chleba. Więc będziemy pić i jeść i jeszcze trochę wypijemy, może nawet puścimy jakąś muzykę i trochę potańczymy. Co ty na to? Wygląda ci to na plan dnia, z którym może się

uporać para pseudoludzi?

Bone nie był do końca pewien. – Możemy spróbować – oświadczył.

Więc spróbowali. Przez resztę popołudnia siedzieli sobie i sęczyli wino, słuchając płyt Carole King, Eltona Johna, duetu Seals and Crofts, jak też Barbary Streisand, Beatlesów, Sarah Vaughan i Stevie Wondera. Obserwowali malca, bawili się z nim, i tańczyli, a Bone co jakiś czas całował ją w czoło lub w policzek, skromnie – Mo zaś najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, może wręcz tego nie zauważała. Potem, przy „Golden Lady” Wondera, Bone wślizgnął prawą dłoń pod jej spodnie, na pośladki, a jednocześnie pocałował ją w usta. A skoro się nie opierała, wprowadził do gry także lewą rękę, sięgając pod bluzę Mo i lekko chwytając pierś. Wtedy jednak odsunęła się, aczkolwiek bardzo naturalnie, jak gdyby po prostu znużona tańcem. Siadając na sofie, poradziła mu, żeby nie zawracał tym sobie głowy.

– Tylko byś się rozczarował – wyjaśniła. – Nie zyskasz kochanki, a stracisz przyjaciółkę.

Bone odparł, że był przygotowany na takie ryzyko, Mo jednak pokręciła głową.

– Nie, Rich, obawiam się, że musiałbyś mi dać wielkie fory. Pamiętam tamtą noc, kiedy miałeś tu tę czarną dziewczynę, wtedy, gdy popełniono to morderstwo. Myślałam, że nigdy nie przestaniecie... matko, jak ja wam zazdrościłam! Nienawidziłam jej.

Bone usiłował nie okazywać zadowolenia zbyt ostentacyjnie.

– To była siłownia, Mo. Teraz myślałem o czymś zupełnie innym.

– Na przykład?

– Zobaczymy, to się przekonamy.

Zaśmiała się wtedy, smutno i czule, prawie jak gdyby był z niego drugi Alex Piąty – ten pierwszy właśnie siedział na podłodze i radośnie rwał na strzępy gazetę *Village Voice*.

– Ach, nieszczęsny frajerze – rzuciła. – To cię faktycznie zniewoliło, prawda?

– Nie chodzi mi o żadne to – odpowiedział.

– Więc o co?

– O ciebie. O *nas*.

– Miłość? – powiedziała to bez miazdzącej drwiny, coś niemal jak test słowa, próbę, jakiej poddawała także Bone'a.

– Czemu nie?

Znów się zaśmiała. – Powodów są tysiące.

Teraz Bone siadł obok niej, oparty wygodnie, niemal gotów, by dać sobie spokój, bo już dawno się nauczył, że namową rzadko udawało się skłonić kobietę do uległości. Trzeba było zagrać swoją kartę i albo odnosiło się natychmiastowy sukces, albo było po zawodach. Nagle jednak zdał sobie sprawę, że Mo usadowiła się inaczej – podciągnęła pod siebie nogę i obróciła się ku niemu, wpatrując się w jego oczy: przeciągłe, spokojne, nieprzeniknione spojrzenie, któremu sprostał tylko z pewnym wysiłkiem woli. Potem nagle pocałowała go, w usta, ledwie muskając wargi. Równocześnie jej dłoń opadła na krocze Bone'a, na wybrzuszenie erekcji.

– Chyba warto spróbować – powiedziała. – Co mamy do stracenia?

Bone spróbował ją osiąść od razu na tapczanie, ale zbyła go, mówiąc, że musi najpierw zająć się dzieckiem, a potem także sobą.

– Nie chciałbyś się chyba kochać z fleją, prawda? – zapytała.

Przewinęła małego, po czym oddała go w ręce Bone'a, a sama poszła się kąpać. I tak Richard znieacka znalazł się w łóżku, pozwalając, by maluch podskakiwał mu na brzuchu, unosząc go sobie nad głowę, potrząsając grzdylem i pocierając jego nos, aż bąbel bulgotał ze śmiechu. A to sprawiło, że wszystko zaczęło wyglądać nader rutynowo, porządnie, po domowemu. A i ona wróciła do sypialni w ten sam sposób, jak żona, bardzo trzeźwo, obojętnie opuszczając rolety, włączając samotną wąż lampkę na komódce, podnosząc malca i wkładając go w improwizowany kojec przy łóżku, utworzony z dwóch ścian, tyłu komody i samego łóżka, tak że mały mógłby stać i patrzeć, jak się kochają, gdyby zechciał. Alex Piąty był jednak znacznie bardziej zainteresowany starym dzbankiem na kawę i klokiem z literą, które zaniósł sobie na środek kojca, usiadł i zaczął tłuc jednym w drugi.

Właśnie w tym prostym, domowym otoczeniu Bone i Mo zeszli się w łóżku. Jednak od chwili, gdy ją dotknął, ujął ją za ramiona i łagodnie przyciągnął ją do siebie, ani jedna sekunda, którą spędzili razem, nie była dotknięta rutyną. Doświadczenie nauczyło Bone'a, że uprawianie miłości niemal zawsze sprowadzało się do wzajemnej masturbacji, w której partnerzy używali nawzajem swych ciał zamiast dłoni czy wszelakich przyrządów. I nie widział w tym niczego złego, ba, wierzył wręcz, że takie podejście wiodło do najlepszych, najpełniejszych doznań z seksu, jak z tą czarną dziewczyną w poprzednim tygodniu, wielogodzinnych maratonów, w których uczestnicy wręcz karmili się sobą nawzajem, starannie wyszukiwali

smakowite kąski doznań i spożywali je, krew, ścięgna i kości, rozdzieranie, miażdżenie i wysysanie... wielkie żarcie, długa, rozkoszna uczta dla ciała, może nawet coś na kształt obżarstwa, lecz wciąż głęboko satysfakcjonujące i nader ludzkie, i nikomu nie przynosiło krzywdy. Zarazem jednak nie docierało to do ducha Bone'a, nie wzruszało jego serca. Takie prawdziwe kochanie zdarzało mu się w życiu bardzo rzadko, najpierw, gdy miał osiemnaście lat, z żoną kierownika kolonii letnich, później przez pierwsze miesiące po ślubie z Ruth, a od tamtej pory tylko w dwóch romansach: tylko cztery razy w ciągu całego życia, kiedy kochał się z *człowiekiem*, z kimś, kto istniał w jego umyśle równie namacalnie, równie żywo jak sam Bone. O ironio, w tych przypadkach seks rzadko był wspaniały, niemal zawsze były jakieś komplikacje, ludzkie uczucia płynące między nim a kochaną osobą osłabiały cielesne doznania. A jednak nawet wtedy, podczas tych niedoskonałych demonstracji kunsztu, to, co czuł, biorąc w ramiona swoją kobietę i wchodząc w nią, było nie do porównania z tym drugim „kochaniem”, tym wzajemnym onanizmem. Wtedy bowiem doznawał swego rodzaju śmierci jaźni, całopalenia, jak gdyby przelotnie musnęła ten chłodny, spokojny płomień w sercu wszechrzeczy.

A teraz, kiedy kochał się z Mo, czuł coś podobnego – kiedy muskał wargami jej włosy, oczy, policzki, nim ich usta zwały się wreszcie w pocałunku, który trwał, aż Bone poczuł, że ona jest już na krawędzi, a wtedy ukrył twarz w jej szyi, pospiesznie goniąc za nią, miażdżąc jej ciało pod swoim, zabijając je, zabijając swoje własne. A ona natychmiast zaczęła łkać w jego ramionach, jej twarz jak cudowna słona liżawka dla jego ust. Wtedy właśnie usłyszał, że z jego ust płyną te ciężkie, zakazane słowa:

– Kocham cię, Mo. Kocham cię. Kocham cię.

W odpowiedzi objęła go mocno, opasując go węzłem nóg, i zaczęła odwzajemniać pocałunki, namiętnie – jej usta stały się nagle najśłodszym ze źródeł w pustyni jego życia. Więc najzupełniej normalne było to, że wkrótce znów zaczęli się kochać, teraz jednak wolniej, bardziej rozkosznie, jak para ciem baraszkujących przy samym płomieniu. Być może zanedbali się doń zbliżyli, bo gdy osiągnęli orgazm po raz drugi, było tak, jak gdyby zamiast rozkoszy skonsumowali coś na kształt śmierci. Nagle wszystko przepadło, zamordowane. Nawet w jej dotyku Bone czuł tę śmierć, czuł, że wszystko wysącza się z Mo równie definitywnie, jak krew odpływająca mu z penisa. Bez słowa zsunął się z niej i położył na wznak na poduszce obok, ale najwyraźniej nawet takie rozdzielanie nie wystarczyło, gdyż Mo nagle odtoczyła się od niego i sięgnęła po malca, wciąż siedzącego na podłodze i pochłoniętego zadaniem

wydostania klocka z dzbanka. Porzucił je jednak na rzecz palca matki, natychmiast ściśniętego i uniesionego do buzi.

I tak to zostało przez chwilę – Mo leżała na brzegu łóżka i ponuro bawiła się z dzieckiem, a Bone czekał na coś samotnie. W końcu odezwała się:

– A więc mnie kochasz, powiadasz?

Nie rwał się do odpowiedzi. – Jeśli nie ciebie, to nikogo, Mo.

– Więc może nikogo?

– Nie... ciebie, Mo.

– Jak bardzo?

Bone niemal fizycznie czuł, jak rozstępuje się pod nim ziemia, znów otwiera się otchłań.

– Kiepski jestem w rachunkach – wyznał.

– Kochasz mnie tak bardzo, by zostać ze mną? By pójść do jakiejś wszawej roboty i zarabiać na chleb, żebym mogła zająć się tym tutaj, nakarmić go i ubrać?

Teraz malec stał przy brzegu łóżka, bawiąc się włosami mamy. A ona odczekała parę chwil, po czym powiększyła przepaść:

– A w środku nocy, Rich, kiedy się obudzę, niemal słysząc, jak moje koszmary skrobią po ścianach... będziesz wtedy przy mnie? Będziesz przy mnie i obejmiesz mnie, Rich? Wtedy też będziesz mnie kochał?

Przez chwilę chciał zapytać, gdzie się podziała ta szturmowa sufrażystka, która nie oczekiwała od mężczyzn niczego, nie godziła się nawet na powierzenie im roli ojców, a co dopiero poddanie się ich finansowej dominacji. Najwyraźniej tamta Mo była tylko pozą, atrapą. Dał sobie jednak spokój. Milczenie było o wiele bezpieczniejsze, a do tego było znacznie lepszą odpowiedzią na jej wszystkie pytania, niż jakiegokolwiek słowa.

Mo usiadła i obdarzyła go przelotnym, enigmatycznym uśmiechem, spojrzeniem niosącym coś poza tradycyjnym ładunkiem ironii, coś nowego i czemuś tam obcego, jak gdyby jasną szarą zieleń jej oczu zastąpił nagle mętny brąz.

– Cóż, Rich, myślę, że możesz się już odprężyć. Ostatni opór został złamany. Fanklub Richarda Bone'a jest już kompletny.

Zaczęła wstawać z łóżka.

– Mo... – złapał ją za rękę, przytrzymując na chwilę.

Teraz uśmiechała się promiennie, fałszywie. – Tak? Jest jeszcze coś?

Odczekał chwilę, lecz jej uśmiech nie zmienił się. Puścił ją więc.

– No dobrze. Muszę się zająć synem.

Wtedy narzuciła na siebie kimono, podniosła małego i wyszła z nim do kuchni.

Bone wstał i ubrał się powoli, czując niemal mdłości rozczarowania tym, jak to wszystko się skończyło. Powtarzał jednak sobie, że to nie była jego wina. Podobnie też nie jej. Takie życie, po prostu, zawsze takie już jest życie, ludzie nie potrafią robić tego, co chcą, mieć tego, co chcą. Zawsze dochodziło coś innego, jakieś potrzeby, warunki czy zobowiązania, ten czy ów element komplikacji, który demokratycznie okradał i bogatych, i biednych, odbierał im możliwość spełnienia. Mo rozumiała jego położenie, bez dwóch zdań. Ba, ona i Cutter wbijali mu z tej racji szpile częściej niż ktokolwiek inny, pokpiwając sobie z niego, z jego stylu życia: stary Złoty Chłopiec, Księżę Bezrobotnych, Hrabia na Zasiłku. Więc kiedy parę minut temu Mo zadawała mu te pytania, stawiała go w tej pozycji, robiła to, świetnie wiedząc, jak on odpowie, jak musi odpowiedzieć. Na Boga, ten mistrz nad mistrze, który sam ledwie umiał się wykarmić i przyodziać, miał się nagle przeobrazić z powrotem w Stuprocentowego Amerykańskiego Człowieka Pracy? W życiu. I Mo o tym wiedziała, zawsze, od samego początku. Więc to nie jego wina i nie jego problem. Nie miał się czym przejmować. Nic jej nie będzie. Takie gadanie po picciu, i tyle. Po chianti i seksie. Na pewno już o wszystkim zapomniała. Więc on też powinien, prawda?

Przez następną godzinę Mo snuła się między kuchnią, sypialnią i łazienką, zajęta malcem, którego przewinęła, nakarmiła i przygotowała do spania. Od czasu do czasu pociągała łyk wina, z którego ubyła już ponad połowa. Raz Bone zauważył, że w łazience wytrząsnęła sobie na dłoń parę kapsułek i wrzuciła je do ust jak orzeszki. Próbował zejść jej z drogi. Siedział w salonie, kartkując sponiewierany „Village Voice”, pił wino i uporał się z resztą chleba i sera.

Kiedy już położyła małego spać, Bone zaproponował, żeby ubrali się nieco cieplej i wyszli na taras popatrzeć na Kalifornię w ujęciu modelowym – światła aut poruszających się wzdłuż wybrzeża. Mo wzruszyła ramionami i wzięła butlę z winem, ale odrzuciła koncepcję założenia płaszczka – jak stwierdziła, on był odpowiedzialny za to, żeby było jej ciepło. Więc kiedy usiadł na jedynym solidnym leżaku, ona usadowiła mu się wygodnie na kolanach, otulając się połą płaszczka – tak naprawdę należącego do Cuttera – i chowając głowę pod podbródkiem Bone'a. Noe była piękna, klarowna, spóźniony wiatr Santa Ana ciągnął z kanionów i spychał ciężkie powietrze typowe dla nocy w Santa Barbara aż nad wyspy, tak że Bone mógł

dojrzyć punkty wzdłuż wybrzeża aż na północ od Goleta, coś jakby miniaturową, elektryczną Drogę Mleczną, wzdłuż której nieustannie sunął ruch na trasie 101, jak rzeka meteorów. Mo nie zawracała sobie głowy widokami. Powietrze było chłodne, więc przywarła do Bone'a, drżąc, z zamkniętymi oczami. Pocałował ją kilka razy w czoło, we włosy, ale nie zareagowała, a kiedy próbował jej opowiedzieć o wydarzeniach zeszłej nocy, o wyprawie Cuttera na Sunset Strip, odparła, że jej to nie obchodzi. W rzeczy samej, wydawało się, że jedyną interesującą ją rzeczą była butla chianti, którą przyniosła tu ze sobą i z której co jakiś czas pociągała łyżeczek.

Po jakimś czasie Bone zaproponował, żeby wrócili do środka, a ona przystała na to równie obojętnie, jak pierwotnie na wyjście na taras. Wciąż jednak drżała, więc Bone przyniósł z sypialni koc i okrył ją, gdy położyła się na tapczanie. A potem położył się obok niej, za jej plecami, obejmując ją ramieniem, które opadło na jej piersi. W tej pozycji musiała się poczuć lepiej, bezpieczniej, bo nagle roześmiała się, niegłośno, kpiąco, w tłumiącą dźwięk tapicerkę starego tapczanu.

– Trochę cię wtedy podkręciłam, co? – mruknęła.

– Kiedy?

– W sypialni.

– Wciąż mnie kręcisz.

– Nie chodzi o seks, matole. To, co powiedziałam, rozumiesz? Ten kit o miłości i bezpieczeństwie, że potrzebuję rycerza i opoki.

– Wiedziałem, że nie mówisz serio – odparł Bone, zastanawiając się, czy odważyłby się to powiedzieć, patrząc jej w oczy. I dodał: – Za dobrze cię znam.

– Ależ oczywiście. A teraz w dodatku również w znaczeniu cielesnym, czyż to nie słodkie? Richard Bone poznał ją... normalnie słowa do piosenki – roześmiała się, po czym powtórzyła tę frazę, niemal ją zaśpiewała: – Richard Bone poznał ją.

Bone ścisnął jej piersi. – I bardzo było mi miło cię poznać.

– Na pewno mówisz to wszystkim dziewczynom.

Bone poradził jej, żeby się przymknęła i spróbowała zasnąć, i przez chwilę nie odzywała się, leżała tylko wtulona w jego ciało, oddychając płytko. Potem jednak, kiedy rytm jej oddechu zmienił się, uświadomił sobie, że szlochała.

– Lepiej już sobie idź, Rich – powiedziała w końcu.

– Za chwilę.

– Nie, już. Nie chcę zasnąć... w ten sposób. A potem obudzić się... sama.

- Zostanę.
- Nie zostaniesz. Gdy zasną, wstaniesz i wyjdiesz. Wymkniesz się z butami w dłoniach. Znam cię.
- Mówiłem ci, zaśnij – odpowiedział. – Więc spróbuj. Odpręż się. Choć na parę minut przestań walczyć, dobra?

I wreszcie zaczęła przydrzemować, pogrążając się we śnie jak znużony pływak przegrywający z morskimi falami. Potem jednak wynurzała się znowu i pracowicie brnęła dalej.

- Niczego od ciebie nie oczekiwałam, Rich – rzekła w końcu.
- Bo nie miałaś żadnych powodów.
- Oczywiście, że nie. Znaczący, nie byłeś przecież pierwszy w tej kolejce – teraz zaczęła już mamrotać niewyraźnie, tak cicho, że Bone ledwie ją słyszał. – Jasna sprawa, że kolejka zaczęła się już strasznie dawno temu... chyba aż od taty. Staruszek *numero uno*. A potem nauczycielka, pani ze szkoły, taka mądra i śliczna, moja idolka, moja tajemna miłość. Po niej cała orkiestra chłopaków, jeden po drugim, a każdy dokładnie taki sam, jak ci poprzedni. Po nich prochy i Jezusek. A teraz Alex... Alex i ty, i mały.

Bone zachrapał cicho, pozorując sen. Ale jej to nie przeszkadzało.

- Kiedy odejdziesz – ciągnęła – obudzę się sama. Pośrodku nocy obudzę się i pewnie pobiegnę tam, żeby sprawdzić, czy on wciąż jest w łóeczku. Popatrzę, jak sobie śpi, mój mały potwór, mój nadzorca więzienia. Popatrzę na niego i pomyślę sobie „O tak, teraz go kochasz, kiedy jesteś Najważniejsza na Calusieńkim Świecie, bo on potrzebuje ciebie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale co potem? Wtedy, gdy i on nie będzie już mnie potrzebował?” No bo tak naprawdę komu są potrzebne starsze panie, Rich, co? Na co komu one?

- Słusznie – podjął Bone. – On również cię odrzuci, jak wszyscy inni. Nikt cię nie lubi, Mo. Nikt nigdy ciebie nie lubił. Nigdy nikt cię nie polubi...

Jeśli go usłyszała, nie dała tego po sobie poznać.

- Och, przypuszczam, że mogłabym wrócić do domu. Siedzieć sobie nad basenem z mamusią i popijać margarity. Mogłabym pływać, znow się porządnie opalić i mogłybyśmy sobie gawędzić o liftingu twarzy, ciuchach i nowych restauracjach. Ale tego nie zrobię.

- Nie zrobisz tego.

Obróciła się pod jego ramieniem, nieświadomie napierając pośladkami na jego erekcję.

– Wiesz, jak zawsze widzę samą siebie? – zapytała. – Jakie zawsze mam o sobie wyobrażenie? I nie potrafię przestać. Poważnie, już próbowałam. Naprawdę. Ale tak mam nawet we śnie. To coś jakby jasnowidzenie. Mam, no, bo ja wiem, że czterdzieści albo pięćdziesiąt lat, jestem nawet chudsza niż teraz, blada jak trup, a twarz mam taką właściwie bez wyrazu, rozumiesz? Siedzę na ławce, sama, gdzieś w parku jakiegoś zakładu opieki czy szpitala, coś w ten deseń. I nigdy się nie uśmiecham. Nigdy nie płaczę. Po prostu siedzę sobie. I czekam.

Bone znów przykazał jej, żeby zasnęła, obiecał, że z nią zostanie.

Wtedy próbowała się roześmiać, przynajmniej wydała z siebie wzgardliwy dźwięk, prychnięcie. Skończyło się jednak tym, że znów zaczęła łkać, a przynajmniej jej ciało dygotało. Bone objął ją mocno i czekał, aż w końcu przestała dygotać, i wydawało się, że znów zanurkowała pod powierzchnię przytomności, lecz raptem parę sekund później ponownie się wynurzyła.

– Zostaniesz, Rich? – zapytała. – Będziesz tu, gdy się obudzę?

Przez jakiś czas milczał, z nadzieją, że jednak zaśnie. Mo jednak naciskała uparcie.

– Będziesz tutaj, Rich?

Uściskał ją, dodając otuchy.

– Jasne – mruknął. – Więc śpij wreszcie, Mo. Odpocznij.

I niemal czuł, jak osunęła się w sen na dobre, wypełniając płuca powietrzem, wyprężając ciało i rozluźniając się, nurkując prosto w bezruch.

Bone nie ruszył się z łóżka, póki nie miał pewności, że już głęboko spała. Potem jednak szybko zgarnął kluczyki do packarda z półki nad kominkiem, gdzie zawsze ciskał je Cutter, choć czasami zdarzało mu się spudłować i trafiał w palenisko, a parę razy, co gorsza, w płomień. Po cichu wyszedł frontowymi drzwiami, zamykając je na klucz. Wślizgnął się do kabrioletu, dał mu solidne ssanie i silnik zaskoczył przy pierwszej próbie. Dziesięć minut później Bone zaparkował o pół przecznicy od posiadłości Little'ów. Zdjął buty i na palcach przeszedł obok rozległego domu, zmierzając do swojego pokoju w nieustającej obawie, że pani Little jakimś cudem wyczuje jego przybycie i popędzi ku niemu, z włosami nakręconymi na wałki, powiekami podtrzymywanymi taśmą klejącą i twarzą obłożoną już na noc maseczką

i bandażami. Udało mu się jednak bezpiecznie osiągnąć cel, więc zamknął za sobą drzwi, pospiesznie rozebrał się i położył spać.

Ostateczny rozwój wydarzeń w sumie całkiem mu się podobał, choć uznanie tego faktu niemalże wywołało u Bone'a poczucie winy. Nie czuł się za bardzo dumny z tego, że musiał tak dać nogę od Mo, ale z drugiej strony nie zostawiła mu właściwie wyboru, cisnęła na niego jak jakaś biedna nastolatka z brzuchem, nic, tylko lzy, wymagania i litowanie się nad sobą. To po prostu nie była ta Mo, jaką znał, tylko jakaś uzurpatorka, parodia z kosmosu, którą naszła chęć na jednorazowy numer. Jutro Mo znów będzie sobą i wszystko zrozumie – tego był pewien. Na sto procent wiedziała, że na tym świecie każdy musi ratować sam siebie, bo jeśli nie, nikt tego za niego nie zrobi.

Jednak poza tym rozczarowaniem, jakie w nim wzbudziła, czuł także swego rodzaju ulgę, bo wreszcie przestał czuć się zagrożony z jej strony. Prawie jak gdyby spłacił wszelkie karciane długi. Znów był panem samego siebie, wszystkie emocje w całkiem niezłej formie, może nieco stwardniałe, przetrenowane, ale wytrzymałe, w sam raz na długie dystanse. Więc tak naprawdę nie bardzo miał o czym myśleć, nie miał po co bronić się przed snem.

I się nie bronił. Spał, póki nie obudziło go łomotanie o ścianie. Wstając, ujrzał George'a Swansona stojącego za drzwiami w łagodnym, różowawym świetle. George był ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy, a pod nim dżinsowe spodnie i chyba górę od pizamy, i choć raz Bone ujrzał go nieuczesanego i nieogolonego.

Otworzył drzwi.

– Wiesz, gdzie jest Alex? – zapytał Swanson.

– W LA, a bo co?

Oczy Swansona zaszklily się. – Mo i mały... pewnie nic nie słyszałeś.

– O czym miałbym słyszeć? – Bone poczuł się dziwnie głupio, kiedy zadał to pytanie, jak człowiek rażony piorunem, lecz wciąż czekający na dźwięk grzmotu, huk, który miał go powiadomić o zgonie. – O czym?

– Był pożar – odpowiedział Swanson. – Oboje nie żyją.

9.

Bone i Swanson, którzy już złożyli zeznania, czekali na schodach przed komendą policji, gdy w końcu wyłonił się stamtąd Cutter. Dochodziła dziesiąta rano. Bone poczęstował go papierosem, podał ogień i czekał. Swanson także nie odzywał się, widocznie również spodziewając się wybuchu. Jednak się nie doczekali.

- Krótko i węzłowato – stwierdził w końcu Cutter.
- Ano krótko – przytaknął Bone.
- Wczoraj była, dziś jej nie ma – Alex uśmiechnął się krzywo przez papierosowy dym.

Nagle w oczach Swansona wezbrały łzy. – Chodźmy już do mnie do domu, Alex. Zostaniesz u nas, dobra?

Cutter go zignorował. – Bilans musi wyjść na zero.

- Tak długo, jak długo będziesz chciał – nalegał Swanson.
- Bóg dał, Bóg wziął.

Bone sztachnął się papierosem, patrząc w dół, na schody. – Błogosławione niech będzie imię Pańskie.

Cutter ruszył chodnikiem, utykając. Bone i Swanson poszli za nim.

- Krótko i na temat – powiedział Alex. – Policjanci byli po prostu idealni. Prawie żadnych papierków. Proszę tylko tu podpisać. Bez łez, bez zawracania głowy.

- No cóż, Alex, nie było cię tutaj, kiedy to się stało – wyjaśnił Swanson. – A ponieważ nie pobraliście się z Mo, jako najbliższa rodzina wciąż występują jej rodzice. Więc to chyba oni muszą się wszystkim zająć, zidentyfikować zwłoki i w ogóle.

Cutter pokręcił głową. – Pan Harris Johnston z małżonką. Para moich najzgorzalszych fanów.

- Cóż, nie mogą mieć do ciebie pretensji – odparł Swanson. – Nawet nie było cię w mieście.

Bone oczekiwał, że Cutter zwróci się ku niemu i z tym samym krzywym uśmiechem rzuci „Nie, nie było *mnie* w mieście”. Lecz Alex milczał.

Doszli już do wozu Swansona, tego małego, dwumiejscowego jaguara – między innymi to dlatego Bone przyjechał na policję pickupem pani Little.

– Valerie wróci tu po ciebie? – zapytał więc.

Cutter pokręcił głową. – Śmiałem wątpić.

Po tym, jak wysadziła go pod komendą pół godziny wcześniej, ruszyła z miejsca jak panikujący kierowca wyścigowy, paląc gumę na policyjnym parkingu.

– No to możesz się zabrać ze mną – zaproponował Swanson. – Rich pojedzie w pickupie za nami. W domu mamy mnóstwo miejsca. I możesz u nas zostać tak długo, jak zechcesz.

Cutter stał nieruchomo. – Mój dobroczyńco.

– Przyda ci się nieco dobroczynności – napomknął Bone.

– Zakład braci Bowman – rzucił Cutter. – Podobno to tam są ciała.

Swanson przytaknęła.

– To zajedziemy tam po drodze. Chcę ich zobaczyć.

Swanson upewnił się, czy Cutter faktycznie był na to zdecydowany.

– To był straszny pożar – podkreślił. – Potworny.

Cutter jednak już zmierzał w stronę zaparkowanego kawałek dalej pickupa.

– Spotkamy się w zakładzie, George – powiedział.

Gdy już byli w pickupie, Bone'owi nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć, a Cutter najwyraźniej nie czuł potrzeby mówienia, bo siedział skulony w narożniku szoferki, mrużąc oczy przed dymem, którego kręta smużka unosiła się z dopalanego papierosa. Bone był pewien, że Alex usłyszał całą historię – nie było powodu, dla którego policja miałaby coś przed nim kryć – ale jeśli faktycznie wiedział o wszystkim, po prostu nie mieściło się w głowie, że mógłby teraz siedzieć obok Bone'a i nic nie mówić, o nic nie pytać.

Pożar, który zaczął się od wybuchu gazu, całkowicie strawił dom, pochłaniając wszystko z wyjątkiem rur, umywalek i paru większych urządzeń, w tym kuchenki – która, jak się okazało, miała odkręcony jeden palnik. Przy badaniu pogorzeliska natrafiono też na nadtopioną fiolkę na leki, leżącą obok ciała Mo i dziecka, które znaleziono razem w pozostałościach łóżka Mo. Tak więc dowody wskazywały, że prawdopodobnie doszło tu do morderstwa i samobójstwa, że Mo sama odkręciła gaz, zażyła sporą dawkę barbituranów, po czym położyła się do łóżka wraz z małym, by oczekiwać na bezbolesną śmierć wskutek zatrucia czadem. Podejrzewano,

że wybuch i pożar nastąpiły przypadkowo, że odurzona Mo po prostu przeoczyła tę możliwość. Niestety – przynajmniej z punktu widzenia policji – nie dało się tego udowodnić. Stopień zniszczenia ciał był zbyt wielki, by sekcja zwłok dała jakieś konkretne rezultaty. A zatem koroner prawdopodobnie będzie musiał stwierdzić, że do śmierci Mo i małego Alexa doszło wskutek przypadku.

Z punktu widzenia Bone'a wciąż jednak było wiele do powiedzenia, między nim a Cutterem pozostało wiele spraw, które należało wyciągnąć na światło dzienne.

- Byłem u niej wczoraj, Alex – spróbował zacząć. – Pamiętasz chyba.
- I co z tego?
- Tyle że pewnie chciałbyś wiedzieć, jak się czuła.
- No dobra. Jak się czuła?

Bone czuł, że zaraz zacznie się jąkać. – No, była zdołowana, fakt. Ale nie wydawało mi się, żeby jakoś nadzwyczajnie. No, nie...

- Nie do samobójstwa? – Cutter niemal prychnął, wypowiadając to słowo.
- Oczywiście, że nie. Nie wyszedłbym stamtąd, gdybym podejrzewał, że coś może się stać.

- Tego nie musisz mi mówić.
- Ale policjanci... musieli ci chyba powiedzieć o odkręconym gazie. I o fiolce po prochach.

- Aha. Sprzedali mi tę teorię.
- Nie wierzysz w to?

Cutter zaśmiał się cicho, wzgardliwie. – *Mo?* Mo miałyby zabić małego? *W życiu.*

A Bone poczuł nagły przyływ ulgi, wręcz wdzięczności.

- Tak właśnie myślałem – wypalił. – To był wypadek, Alex. Nie mogło być inaczej. Pewnie była zmulona prochami i odkręciła gaz, żeby podgrzać sobie kawę, albo coś. A mały zapłakał, poszła do niego i zupełnie zapomniała o kuchence. Widocznie palnik zgasł, a ona nie zauważyła. Poszła po prostu do małego i wzięła go ze sobą do łóżka. I...

Bone nie mógł już jednak mówić dalej. Dławił się, oczy zaszyły mu łzami. Obok Cutter powoli kiwał głową. Jednak sądząc po sardonicznej minie, nie zgadzał się ze słowami Richarda.

- No tak, tak *mogło* być – przyznał. – Teoria równie dobra, jak ta druga.

- A co innego mogło się stać?
- Może ktoś tak przekazał mi wiadomość...

Bone parkował właśnie pickupa na tyłach zakładu pogrzebowego, więc spojrzął na Cuttera dopiero po tym, jak już wyłączył silnik. A kiedy już to zrobił, nie wierzył własnym oczom. W wyrazie twarzy Alexa nie było nawet cienia ironii.

- Kto? – zapytał Bone, choć już znał odpowiedź.
- Powiedziałem ci przez telefon.

Bone spróbował się uśmiechnąć. – Nie mówisz serio.

- Poważnie?
- To by nie miało sensu, Alex.

Cutter wysiadł z auta. – Jeszcze zobaczymy – rzucił.

Gdy nadjechał Swanson, całą trójką przeszli przed budynek, na skróty, po przyszyżonym trawniku. Po wejściu do recepcji zastali tam niegdysiejszego dręczyciela Bone'a – niewyrośniętego porucznika Rossa, rozmawiającego półgłosem z posuniętym w latach, acz niezłe ubranym małżeństwem, oraz jeszcze jednego mężczyznę, którego szary, prążkowany garnitur i nienaganne, stonowane maniere sugerowały, iż był to właściciel zakładu. Jednakże to owi małżonkowie przykuli uwagę Bone'a, gdyż na widok Cuttera zareagowali tak, jak gdyby do pokoju wpełź nagle olbrzymi wąż.

– A on! – krzyknęła kobieta. – Czemu to nie on... to bydlę... tylko nasza córeczka, nasza Maureen?

Mąż ujął ją za ramię i odwrócił plecami do nich.

– Nie zaprzataj sobie głowy tym człowiekiem – powiedział. – On już nic nie znaczy. Teraz jest nikim.

Cutter stał i patrzył na nich. – Też was kocham – rzucił.

Porucznik Ross polecił mu, żeby stulił pysk i wynosił się stąd.

– Mam się *wynieść*? Co się porobiło? Znów mnie wzięli do marines?

Starsza pani zanosila się już łkaniem, a mąż robił, co mógł, żeby ją pocieszyć, tuląc ją do siebie jedną ręką – w drugiej trzymał chusteczkę, którą ocierał jej twarz.

– Zabiłeś moje dziecko! – wrzasnęła na Cuttera. – Zabiłeś ją! Ty parchu! Ty gnoju!

Ross poprosił ją, żeby się uspokoiła.

– On już wychodzi, pani Johnston. Już w tej chwili. – Obrócił się do Cuttera: – Prawda, koleś?

Cutter pokręcił głową. – Nie pędź, nim zobaczę zwłoki... koleś.

Porucznik wyszczerzył zęby. – Akurat.

Swanson ruszył w stronę drzwi, próbując pociągnąć Cuttera za sobą. – Chodź, Alex. Wyjdźmy, póki co. Może wrócimy później.

Cutter jednak wyrwał mu się z uchwytu. – Idę zobaczyć ciała.

Bone widział, że Ross już wyprztykał się z ograniczonych zasobów cierpliwości, więc szybko wkroczył do akcji, pytając właściciela zakładu, skąd mógłby zadzwonić.

– Chcę zawiadomić gazety i naszego prawnika – wyjaśnił. – Pan porucznik najwyraźniej zapomniał, że w dzisiejszych czasach konkubinat także ma swoje prawa. Z prawnego punktu widzenia absolutnie nie możecie zabronić panu Cutterowi ujrzeć zwłoki jego partnerki i syna. Mógłby was puścić z torbami... mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę?

Pan kierownik najwyraźniej był świadom powagi sytuacji, bo jego cera raptownie przybrała kolor częściej widziany u klientów zakładu. Błagalnie spojrzął na Rossa, który błyskawicznie przerzucił ciężar swej wrogości na Bone'a, tego niechętnego do współpracy, krótkowzrocznego bankruta Richarda Bone'a, przez którego znów musiał jeść przeciery dla niemowląt.

– Ruchliwy z siebie gość, co? – zagadnął.

Bone nie odpowiedział, więc Ross znów zwrócił się do Johnstonów.

– To jest Richard Bone – oznajmił. – On jako ostatni widział państwa córkę przy życiu.

Bone nie był pewien, skąd Ross mógł o tym wiedzieć – na komendzie jego zeżnanie przyjął niejaki sierżant Waldheim – a tak właściwie nie miał nawet pojęcia, co w ogóle robił Ross w towarzystwie Johnstonów. Dla byle ustalenia tożsamości chyba nie fatyguje się porucznika. Bone doszedł jednak do wniosku, że chwilowo było to niezbyt istotne, gdyż rodzice Mo wpatrywali się weń uporzycywie.

– Zgadza się – powiedział im. – Wpadłem tam wczoraj wieczorem. Mo ugościła mnie kolacją. Wydaje mi się, że powinni państwo wiedzieć, iż nie wyglądała mi na nieszczęśliwą czy przygnębioną. Kochała swojego synka. Przydarzył się straszny wypadek. Jestem pewien, że tak właśnie się stało.

Na te słowa pani Johnston znów zaczęła szlochać, ale jej mąż skinął Bone'owi głową ze zrozumieniem, może nawet z wdzięcznością, i Bone był zadowolony z

tego, co im powiedział. Żałował tylko, że sam nie potrafił w to uwierzyć bez cienia wątpliwości.

Tymczasem porucznik jednak się ugiął. Skinął głową kierownikowi zakładu, który poprosił wtedy Cuttera na zaplecze. Bone i Swanson ruszyli za nimi przez szerokie drzwi i dalej korytarzem do małego pomieszczenia. Tam znajdowały się dwa stoły na kółkach, nakryte białymi, łagodnie wybrzuszonymi pośrodku prześcieradłami. Obojętnie, bez cienia ceremonii, kierownik ściągnął materiał, odsłaniając dwa worki z przezroczystej folii, każdy zawierający coś, co wyglądało jak szerniała mumia, bezoka, bezwłosa, bez skóry, jedną niemal normalnych rozmiarów, a drugą malutką, jak laleczkę, zabawkę dla potworów.

Swanson odwrócił się, walcząc z nudnościami, zgięty w pół, jak gdyby ktoś kopnął go w brzuch. Bone wytrzymał ten widok o chwilę dłużej, niepewny, czy Cutter nie będzie potrzebował jego pomocy, ale zaraz również odwrócił się i w ślad za Swansonem wyszedł z pokoju, czując się tak, jakby ciało pękało mu od środka niczym jajo, z którego miał się wykluć jakiś koszmarny stwór. Za nimi kierownik zaczął kulturalnie zagadywać Cuttera:

- Jak jest tak źle, to nawet nie robią im sekcji, tylko przywożą prosto tutaj.

Alex powstrzymał się od komentarza. Kiedy kilka chwil później wyszedł stamtąd, wyglądał na spokojnego, niemal jak w transie.

- Chodźmy na drinka – powiedział.

Bar Pod Wawrzynem był niedaleko od zakładu pogrzebowego, ot, za rogiem, więc poszli tam pieszo. Szli w milczeniu i pogrążyli się w porannej ciszy knajpy niczym niedźwiedzie zapadające w zimowy sen. Byli jedynymi klientami, co tylko wzmogło ich milkliwość, sprawiło, że nawet względem siebie nawzajem czuli się obco. Przez jakiś czas Swanson próbował mówić o tej tragedii, wydostać z Bone'a coś na temat zeszłego popołudnia, dowiedzieć się, jak wtedy wyglądała Mo, co mówiła. Cutter jednak przerwał mu, twierdząc, że nie ma ochoty słuchać takich rzeczy, bo to już było nieważne, nie wносиło niczego do sprawy. Tu jednak urwał, nie zamierzał wyjaśniać, o jaką właściwie „sprawę” mu chodziło, nie napomknął nawet słowem o J.J. Wolfe'ie i „wiadomości”, jaką rzekomo miał od niego otrzymać. Zamiast tego po prostu siedział, pijąc szkocką i odpalając jednego papierosa od drugiego – ten nałóg był dla niego nowy, ewidentnie spadek po Mo.

A Bone czekał. Czując się jak tykająca bomba zegarowa, odchylił się na stołku i czekał, aż upływające jedna po drugiej minuty przyniosą mu w końcu wyzwolenie.

Nigdzie się nie spieszył. Próbował nie dać po sobie poznać, jak się czuł i co na niego czekało, więc po prostu spokojnie siedział i pił z Cutterem i Swansonem, może nieco szybciej niż zazwyczaj. Oni jednak niczego nie zauważyli. Swanson był zajęty pocieszaniem Alexa. Wiedział, jak ciężko będzie mu stać i patrzeć, jak rodzice Mo zajmują się wszystkim, zabierają zwłoki do Beverly Hills, gdzie zorganizują pogrzeb i w ogóle, może nawet zupełnie wykluczą jego udział w ceremonii. Swanson jednak radził, by Cutter nie walczył z nimi, żeby pogodził się z sytuacją.

A Alex pokiwał głową, jak gdyby słuchał dziecięcej paplaniny.

– Tym się nie przejmuj, George – powiedział. – Nie jestem mocny w pogrzebach. Gdyby to na mnie wypadła organizacja, pewnie nie dałbym rady załatwić nawet miejsc na cmentarzu.

Tak chamskie ujęcie sprawy najwyraźniej wytrąciło Swansona z równowagi. Pociągnął większy niż zwykle łyk ze szklanki, zakrztusił się i zaczął kaszleć, więc Cutter wyciągnął dłoń i poklepał go po plecach.

– Nie bój nic, kumplu – oznajmił. – Oni już nie żyją. Po nich. A, do diabła, to, co z nich zostało, to nawet nie ciała, tylko *szczątki*.

W jego głosie przy tym słowie zadźwięczała pogarda.

– Więc zostawmy je mamuśce i tatuśkowi. Niech sobie urządzają tyle ceremonii, ile tylko chcą. Mam inne sprawy na głowie.

Swanson nie dopytywał się już, co to były za sprawy. Stwierdził jednak, że jednego był pewien – Alex zamieszka u niego w domu. I nie żaden głupi pojedynczy nocleg, nic z tego, już Swansona w tym głowa. Nie, Alex będzie miał własny pokój, i pieniądze też, a przede wszystkim *czas*. Czas, żeby na nowo poukładać sobie wszystko w głowie. I dla Swansona nie miało znaczenia, ile to potrwa: miesiąc, rok, niechby i pięć lat... Alex wciąż będzie u nich mile widziany.

– Pamiętasz te wakacje, kiedy twoi starzy pozwolili mi jechać z wami do Sun Valley? – zapytał.

Cutter odpowiedział mu nieobecny, ponurym spojrzeniem.

– Jak przez mgłę – odparł.

– No cóż, to była najwspanialsza rzecz, jaka mi się przydarzyła w dzieciństwie. Pierwszy raz w życiu jeździłem na nartach. I po raz pierwszy tak naprawdę posmakowałem życia. Nie zapomniałem o tym... nawet jeśli ty już nie pamiętasz. Więc zostajesz u nas, Alex. Bez limitu.

Cutter spojrział na Bone'a i wyszczerzył zęby.

– No, to w końcu jestem ustawiony – uniósł szklanę. – Wypijmy za chałupę George'a. Za mój nowy dom. *Requiescat in pace.*

Było już prawie południe, gdy Bone rozstał się z nimi pod pretekstem, że musi odstawić pickupa z powrotem do pani Little. Zamiast tego w pobliskim monopolowym kupił połówkę szkockiej i pojechał do parku Franceschi w najwyższym punkcie Riwiery. Park nie był zbyt duży, wszystkiego parę akrów trawy obsadzonych dokoła eukaliptusami, do tego trzy czy cztery stoły dla piknikowiczów. I choć był stąd fenomenalny widok na wybrzeże, Bone nie dlatego wybrał właśnie to miejsce. W tej chwili istotniejsza była dla niego izolacja parku, to, że leżał z dala od popularnych turystycznych szlaków. Zakładał, że przy odrobinie szczęścia będzie tam mógł w spokoju chłać godzinami. A to właśnie zamierzał zrobić.

Z tego co widział, poza nim w parku była tylko parka zakochanych – siedzieli przy najdalszym ze stołów, ona między jego nogami, oparta o niego plecami, oboje zapatrzeni na morze, choć jego bezmiar zdawał się jakby kurczyć przez rozsiane w przesmyku platformy wiertnicze, niczym armia monstualnych krabów. Maskując flachę, Bone ruszył pomiędzy drzewa, aż wreszcie znalazł miejsce, które mu się spodobało – płaską, porośniętą trawą niszę wśród głazów, ocienioną przez niewielki nawis. Usiadł więc, otworzył butelkę i pociągnął duży łyk, tak wielki, że prawie się zakrztusił przy przełykaniu. I zaczął się zastanawiać, co właściwie robi, czemu musi się dziś urznąć. Nie wydawało mu się, żeby było tak z powodu poczucia winy i wyrzutów sumienia, którym nie mógłby podołać. Wiedział, że tak przecież powinien się czuć. Ale się nie czuł. Nie wierzył też, żeby powodem była rozpacz, świadomość, że Mo odeszła już na zawsze, że wraz z nią odszedł mały – ta straszliwa, ostateczna świadomość, że już nigdy jej nie ujrzy, nie porozmawia z nią, nie przytuli. Już nigdy. Ta świadomość, ta rozpacz były w nim, ale jak nieukojonny, dziwnie konkretny ból, jak gdyby pękła mu w piersi jakaś arteria i właśnie powoli wyciekało zeń życie. Jednak nawet to mógłby przetrwać, mógłby się z tym zmierzyć na trzeźwo. Nie potrzebował do tego gorzały, nie robił też z tego jakiegoś ceremoniału, prywatnej uroczystości żałobnej, jednoosobowej stypy. Nie, o ile sam to rozumiał, powodem tego, że znalazł się tu z butelką, była po prostu niechęć do spędzenia reszty tego dnia w swojej tradycyjnej roli, tego trzeźwego – nie chciał widzieć w lustrze Starego Dobrego Richa. Dziś musiał przestać patrzeć na życie, jakby to był mecz. Potrzebował niecelnej ręki i chwiejnego kroku. Musiał zrobić sobie urlop od tego lepkiego padlinożercy, jakim był Richard Kendall Bone.

Więc pił. Jak jakiś nędzny żulik bez dachu nad głową kulił się w swojej dziurze i rytmicznie pociągał z butelki, starannie budując mur zapomnienia. A ono nadciągało, powoli, lecz niepowstrzymanie niczym zmierzch – promiennosc wiosennego słońca przygasła, jak gdyby na niebie w biały dzień zastąpił je księżyc, wszystkie kolory zbladły, świat w stóp Bone'a postradał ostre kanty, a z czasem zaczął też słabnąć ból w piersiach, doszło do tego, że już przez całe minuty Richard nie słyszał jej głosu, pytań, czy wciąż będzie przy niej, kiedy ona się obudzi, a potem własnej odpowiedzi: Jasne. Śpij wreszcie, Mo. Odpocznij.

Opróżnił butelkę i wyszedł z parku, pijany, ale nie aż tak, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Mimo wszystko jednak nie wziął poprawki na swój stan i jechał po wariacku, lawirując pickupem przez popołudniowy ruch na ulicach jak ujarany nastolatek. I zamiast wybrać sobie bezpieczny bar, na przykład u Murdocka, zajechał do *barrio* i wszedł do latynoskiej knajpy, świetnie wiedząc, że Anglosasów tam nie proszą. Nie chciało mu się upierać, żeby podali mu szkocką, więc skończyło się na tym, że pił bourbona, stojąc przy barze w syfiastej budzie wielkości sklepiku, lejąc w siebie lufę za lufą, jakby próbował ugasić normalne pragnienie. Przez cały ten czas mętnie zdawał sobie sprawę, że barman i pozostali klienci patrzyli na niego, ba, co więcej, skupili na nim uwagę, jak gdyby obserwowali koguta w czasie walki. Później przypominał sobie, że usiadł przy stoliku, może nawet na chwilę się zdrzemnął. Mętnie pamiętał też jakąś awanturę w męskiej toalecie, popychanie, szarpaninę, wysoki, szczupły meksykański młodzienak wił się, jęcząc, pod pisuarem, była też krew, jego własna, cieknąca Bone'owi po podbródku i plamiąca mu koszulę. A potem, jakby zniemacka, znalazł się na zewnątrz, zaczął chodzić po ulicy w tę i z powrotem, szukając pickupa, aż w końcu go znalazł – wciąż z kluczykami w stacyjce, które to odkrycie z jakiegoś powodu strasznie go rozśmieszyło, tak że śmiał się w głos, kiedy odjeżdżał, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierza. Ruch w kierunku południowym był zdecydowanie lżejszy, więc tam właśnie pojechał, przecinając obwodnicę i trafiając w końcu na bulwar Cabrillo, którym dotarł aż za przystań dla jachtów, do parkingu przy plaży Leadbetter, gdzie zostawił wóz.

Gdy tylko dotknął stopami piasku, zrozumiał, że przybył na właściwe miejsce, że tu właśnie zdążył przez cały dzień, tylko z jakiegoś powodu wcześniej to przeoczył, zapomniał, że w ten dzień bardziej niż kiedykolwiek indziej powinien biec, gnać, pędzić jak ten nieszczęsny frajer – lekkoatleta z college'u, biec, jakby samo życie od tego zależało; o tak, gnać Richarda Bone'a przez ten piach, aż padnie, biec, aż nogi odmówią sił, płucom zabraknie tchu, aż pęknie, a serce będzie mu tłoczyć

tylko szczynty i żółć. Więc ruszył, prosto w faktycznie zapadający już zmrok, po ciemniejącej, spowitej mgłą plaży, usianej morskoczymem, zagubionymi psami, kochankami i dręczonymi samotnością staruszkami.

Bone mijał ich wszystkich, czasem skręcając w fale, wychodząc z wody na niepewnych nogach, by znów biec przed siebie. I miał wrażenie, że minęły ledwie minuty, gdy dotarł do końca plaży, w miejsce pod klifami, gdzie dzień w dzień odpływ dawał, a przyływ zabierał wąskie pasy kamienistego piachu, niechciane, chłostane wiatrem. Teraz przyszła pora na ich odebranie, woda wzbierała, przeobrażając szarą wstążkę plaży w serię przyładek, rozszczeplających nadchodzący z hukiem przybój. Więc co jakiś czas Bone biegł po kolana w wodzie, wyrывая się z niej na kolejny skrawek plaży, a potem znów między fale.

I nagle pomyślał sobie, że nigdy nie znajdzie lepszej chwili, żeby popływać, przekonać się, kiedy faktycznie zapuści się o sto jardów za daleko. Natychmiast zaczął zataczać się i podskakiwać po małej łasze, próbując ściągnąć z siebie nasiąkniętą wodą ubranie. A kiedy mu się wreszcie udało, przez parę chwil stał nago, oddychając głęboko, szykując się na pierwszy atak na grzywacze, bo wiedział, że ta część trasy będzie najcięższa, coś jak wspinanie się na górski szczyt pomimo lawiny.

A potem nagle był już w wodzie i płynął z całych sił, wynurzając się w dolinach między falami, by złapać oddech i znów zanurkować, gorączkowo pracując rękami i nogami, walcząc z przewalającymi się górą lodowatymi prądami, ciągnącymi go z powrotem do brzegu. Z każdą falą zdobywał jednak kilka stóp, a z czasem – choć nie miał pojęcia, jak długo to trwało – wydostał się poza przybój, tam, gdzie już powinno być łatwiej. Tymczasem jednak każdy ruch był jak próba wyciągnięcia z oceanu kłody drewna i upuszczenia jej, zmuszenia, by zanurzyła się w substancji o konsystencji świeżo wylanego betonu. Oddech wyrwał się z płuc, serce pędziło, bolało. Ale on wciąż parł dalej. Płynął, gdy słabło światło. Płynął w mroku. Płynął, aż wreszcie nie mógł już płynąć. A wtedy udzielił wszystkiemu, i tej idiotycznej wyprawie pływackiej, i całemu żenującemu życiu, swojego luzackiego błogosławieństwa:

Idź już spać. Odpocznij. Tak, wciąż tu będę.

I tak właśnie to zapamiętał, kiedy kłody spoczęły w wodzie, głowa opadła do tyłu tak, jak zapamiętał jej głowę, jego ciało wygięło się dokładnie tak samo, a potem zanurzył się, zapadł głęboko we własne wiekiuste morze.

Jednak jedynym, co napotkał, był piach, kolejny mały przyczółek plaży, gdzie paliło się ognisko z wyrzuconego przez fale drewna, a głosy sypały się nań jak bryzgi piany z fal, chłodne, kąśliwe słowa, śmiech nad tym, co tym razem przyniosło morze. Potem jednak jego drżące ramiona okryto kocami, do ust przyłożono butelkę – wino mdląco słodkie jak oranżada rozrabiana z proszku, a za nim suchy dym, z trawki, nie drewna, balsam dla sponiewieranych płuc. Wtedy też pod kocami znalazło się jeszcze jedno ciało, ciepłe, wilgotne kobiece ciało, i ta uśmiechnięta twarz o oczach jak z kamienia, która co i raz znikwała, pochyłona nad jego kroczem, jakby usiłowała tam rozniecić ogień, dmuchaniem podsycić płomyk. I najwyraźniej udało się jej, bo od tamtej chwili jedynym, co pamiętał z tej plaży, był seks z tą dziewczyną o kamiennym wzroku, a potem jeszcze jedną – na nim, pod nim, spleceni usta w krocze, czasem tylko z jedną, kiedy indziej z obiema, a jednak nigdy nie osiągał spełnienia, nic, tylko stały wzwód, płomień, który rozpałała w nim ta kamiennooka, a któremu alkohol nie pozwalał zgasnąć, więc później zaczęły się też oklaski, aplauz, to też pamiętał, głosy wzywające go, by ciągnął dalej, jak zwierzak w cyrku, jak jakiś odmieniec. Mówili na niego „Wielkosolny”.

Pamiętał podłogę nieoświetlonej furgonetki, kiedy dygotał zakutany w koce, a skulona obok kamiennooka zapierała się o ścianę, równoważąc kołysanie auta. A potem była już tylko cisza, niewiarygodnie długi tunel nicości, sen, który równie dobrze mógłby być śmiercią, tyle z niego pamiętał.

Obudził się w dzień, samotny w zagraconym pokoju, małej kawalerce oklejonej złączącymi plakatami buntu i kultu młodości: obowiązkowy Che, W. C. Fields*, do tego podróbka rozkładówki „Cosmopolitan” z nagim Henrym Kissingerem**, i inne, bez obrazków, artystowską czcionką głoszące tak głębokie myśli jak „Gówno” albo „Suka Suka Suka”. Rozliczne sznury na pranie, nie obciążone, krzyżowały się nad podłogą zaslaną spiworami, połamanymi krzesłami, porozrzucanymi książkami, zapisami nutowymi, puszkami i popielniczkami, wśród których wałał się także bęben z rozdartą membraną i pozbawiona strun gitara. W kuchennym aneksie, zawalonym stosami puszek po piwie i brudnych naczyń, był taki syf, że Bone niemal spodziewał się, że ujrzy Mo wyłaniającą się stamtąd, powłóczącą nogami. To akurat była rzecz, o której nie powinien był myśleć, bo nagle oprzytomniał, uświadomił sobie, kim jest i co się stało, a z tą świadomością odkrył także dręczącego kaca – żołądek jak wypełniony zimnymi mydlinami, w czoło wbity kołek. Powoli usiadł,

bez zdziwienia konstatując, że znów wylądował na tapczanie zamiast pełnowymiarowego łóżka. Pomieszczenie miało troje drzwi, jedno były uchylone i widać było za nimi garderobę, drugie zdecydowanie były drzwiami wejściowymi, więc Bone miał już ruszyć w stronę tych trzecich, szukając za nimi ulgi dla wysuszonego gardła i przepelnionego pęcherza. Kiedy jednak miał podjąć próbę wstania, te drzwi otworzyły się i ktoś się w nich pojawił, mała, śniada osóбка o chłopięcej fryzurze, sylwetce i stroju (sznurkowe sandały, levisy i skórzana kurtka, a pod nią koszulka z inicjałami UCSB – stanowego uniwersytetu Kalifornii w Santa Barbara), jednak spiczaste wyrzuszenia pod U i B sugerowały, iż ta postać była jednak płci żeńskiej.

* Amerykański komik wodewilowy i aktor, zmarł w 1946 r.

** Sekretarz stanu USA pod koniec prezydentury Nixona i w czasie kadencji Geralda Forda.

– Obudziłeś się – stwierdziła.
– Być może – przyznał.
– No to weź coś na siebie włoż, jak Boga kocham. Nie musisz tu siedzieć i się popisywać.

Bone okrył podbrzusze wystrzępionym kocem.

– Przepraszam – powiedział. – Myślałem, że jesteś chłopcem.
– Dzięki.
– Nie ma za co – wstał, okręcając się kocem. – Hm, a mógłbym tam teraz wejść? Mam pewien problem.
– Ano masz – zeszła mu z drogi.

Bone nie prosił o pełniejsze wyjaśnienie sytuacji. W tej chwili wystarczyły mu te problemy, o których już wiedział. Zamknął za sobą drzwi i postarał się im zaradzić. Najpierw chyba przez dwadzieścia minut oddawał moc, po czym wypił szklanek zimnej wody i z miejsca zwymiotował. Wtedy spróbował z ciepłą. Stał przez chwilę, wpatrując się w degenerata z lustra, usiłując podtrzymać go na duchu, by przynajmniej tę porcję wody zatrzymał w żołądku. Bez wielkiego zdziwienia spostrzegł, że ma podbite lewe oko i rozcięcie ciągnące się od linii włosów aż po ucho. Już zaschło, został śliczny strup.

Znów owijając się kocem, wrócił do pokoju. Dziewczyna stała przy frontowych oknach, wychodzących na prostą, brzydką ulicę, wzdłuż której stały kamienice modelu kalifornijskiego, cztero- czy ośmiomieszkaniowe budynki, pastelowe pudełka zaprojektowane tak, by utrzymały się w kupie przez jakieś dziesięć lat.

– Isla Vista? – zapytał.

Kiwnęła głową z kwaśną miną. – Mhm. Getto.

- Te dzieciaki z plaży... jak rozumiem, to oni mnie tu przywieźli.
- Aha, one, moje współlokatorki, Carla i Josie... tryprowe bliźniaczki.
- Mam nadzieję, że się mylisz.
- Więc jednak pamiętasz, co?
- Co takiego?
- Plażę. Kiedy wyłoniłeś się z fal „jak grecki bóg, kurwa jego mać”... jak to

zdaje się opisała Carla.

Bone pokręcił głową z zadziwieniem i zaraz tego pożałował.

- No pięknie – mruknął.
- Prawda? Tylko nie powiedziała, o którego boga jej chodziło.
- Bachusa.

Wyglądało na to, że nie była przekonana. – Ale to Afrodyta wyszła z morza.

- No dobra, może być i ona.
- Nie, Carla by na to nie poszła. Mówiła, że byłeś widowiskowy... nie mam pojęcia, o co jej chodziło.

- Nieważne.
- No, ale oczywiście mnie tam nie było.
- Czemu „oczywiście”?
- Bo jestem Dziewicą z Isla Vista... nie wiedziałeś?
- No, niestety nie. W każdym razie gratuluję.
- No, wszyscy tak na mnie mówią.

Bone zmilczał, bo znów wezbrały w nim mdłości. Bez gwałtownych ruchów usiadł na tapczanie.

- Albo jeszcze Mniszka – dodała.
- Super – wydusił. – Tak trzymać.
- Nie, żeby było trudno, słowo daję.
- Świetnie.
- Josie jest w pracy, a Carla ma zajęcia z plastyki. Kazała mi zaopiekować się tobą. Nie może się doczekać spotkania z tobą, kiedy będziesz trzeźwy.

- Mówisz jak automatyczna sekretarka.
- Bo tak by to wyglądało – przyznała.

Bone zapytał ją o godzinę.

- Minęła pierwsza.
- Mam tu jakieś ubrania? Może coś znaleźli...

Zaczęła kręcić głową. – Nic a nic. Przywieźli cię dokładnie tak, jak cię spotkali. W całej okazałości.

Nie powstrzymał się od jęknienia.

– No to pięknie. Po prostu pięknie, Chryste Panie.

Pamiętał, że po wczorajszych zakupach w monopolowym zostało mu siedemdziesiąt dolarów, z których pięć dych – dwie dwudziestki i dziesiątkę – zabunkrował w portfelu między prawem jazdy a wydaną trzy lata temu kartą kredytową American Express. Oczywiście, portfel zostawił w spodniach. A spodnie popłynęły do morza.

– Gdzie zostawiłeś ciuchy? – zapytała.

– Na plaży.

– Może wciąż tam są.

Bone pokręcił głową. – To było jeszcze przed końcem przyływu.

– Ale fajnie. Kiedy przytyływ znów je przyniesie, wszyscy pomyślą, że nie żyjesz. Będziesz wolnym człowiekiem. Możesz zacząć zupełnie nowe życie.

– Faktycznie, kurde, fajnie.

– Czyli co, niezupełnie?

– Za dobrze mi szło w tym dotychczasowym.

– Co, kiepsko się czujesz?

Nie silił się na odpowiedź.

– Ile żeś wypił? – cisnęła.

– Nie liczyłem.

– To widać.

Wyglądało na to, że nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko stać tak i wpatrywać się w niego, zupełnie jak samotna dziewczynka wychowywana na chłopaka, której starszy brat właśnie wrócił z wojny. Nawet przy tak parszywym samopoczuciu czuł się zażenowany uwagą, jaką mu poświęcała, i miał szczerą chęć kazać jej spadać. Zamiast tego zapytał, czy ma może kawę.

– Mhm, rozpuszczalną. Chcesz?

– Spróbowałbym.

Z aprobatą pokiwała głową. – Brawo. Zuch chłopak.

Kiedy krzątała się w zagraconej kuchni, Bone wstał i zaczął grzebać w równie zabałaganionej garderobie, aż znalazł coś, co mógł na siebie włożyć, biały frotowy szlafrok z wydrukowanym na plecach wielkim logo piwa Budweiser. Zakładając go, zaciągnął pasek nieco silniej, niż powinien, i znów musiał powstrzymać się od wymiotów. Nogi znieacka miał jak wyfiletowane, a na żołądku zacisnęła się olbrzymia łapa. Z łomotem w skroniach, chwiejnym krokiem wrócił na tapczan.

Dziewczyna zapytała go z kuchni, kim jest Mo.

- A co? – spytał. – O co ci chodzi?
- Mówiłeś to przez sen.
- To taki facet, znajomy.
- A ty go kochasz?
- Mhm. Do szaleństwa.

Przez jakiś czas stała tylko i wpatrywała się w czajnik na gazie. W końcu jednak oświadczyła: – Wiem trzy rzeczy: Mo jest kobietą, ma dziecko, a tobie jest przykro. Jest ci bardzo przykro.

Bone odwrócił od niej wzrok, przekonany, że nigdy w życiu nie czuł się tak paskudnie. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej i ciało, i duch aż tak się zespoliły, tak zgranym chórem oznajmiały ból i rozpad. Aż zaczął się zastanawiać, czemu w ogóle ludzie tak cenili życie. Sama możliwość nadejścia dni, kiedy człowiek czułby się tak podle, na swój sposób dewaluowała wszystkie inne, przynajmniej w jego pojęciu.

Bezmyślnie wyjrzał z okna na niezabudowaną parcelę po drugiej stronie ulicy, gdzie jacyś studenci, a może bezdomni, rozpalili ognisko – ognisko z obrazów. Najwyraźniej jakiś dwudziestoletni artysta dał sobie w końcu siana, uległ przed siłami ciemności. Płonęły portrety, lub może studia figuralne, w tym akt kobiety, której złocista skóra na chwilę zbrązowiała, by zaraz szernieć i wkrótce w ogóle zniknąć w żarłocznych płomieniach. A Bone nie mógł się oprzeć wspomnieniu poczerniałej mumii w worku z przezroczystej folii. Żołądek znów się skurczył, tłocząc w przelyk coś pełnego żółci, ale Bone zdołał powstrzymać się od wymiotów, choć cały drżał i nic nie widział przez łzy. Na chwilę opuścił głowę. Potem otarł oczy i spojrzął na dziewczynę.

- Wiesz co, daruję sobie tę kawę, dobra?
- Okej.
- Może jakiś klin – podsunął. – Masz tu coś?
- Piwo – odparła. – I starą butelkę brandy.
- Może być. Nawet i stara.

Weszła na krzesło i wyjęła flaszkę z szafki nad lodówką.

- Dać ci kieliszek? – zapytała.
- Nie. Wystarczy butelka.

Przyniosła ją więc i oddała Bone'owi, z oporami. Po pierwszym łyku zamknął oczy i czekał, pracując nad poskromieniem żołądka. Potem jednak to poczuł, ten specjalny dar winiaków, nagłą płamę ciepła rozlewającą się po brzuchu.

– Znów się schlejesz? – zapytała.

Pokręcił głową. – To na kaca, i tyle. Łyczek brandy i od razu będzie mi lepiej.

– A może coś na ząb?

– Później.

Spojrzała na niego żałośnie. – Nie przebywaj tu za długo, co?

Bone spróbował się uśmiechnąć. – Nie przypadłem ci zanadto do gustu, co?

– Raczej *one*. Tryprowe bliźniaczki. Z nimi na pewno ci się nie polepszy.

– W to wierzę – ponownie łyknął.

– Zresztą ja też wychodzę.

– Trudno mieć do ciebie pretensję. Straszny tu chlew.

– Wiem. Po prostu po jakimś czasie przestałam się starać.

– Ludzkie.

Patrzyła, jak pociągnął kolejny łyk.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Richard Bone.

– Panie Bone, strasznie szybko pan pije.

– I tak za wolno.

– A myślałam, że nie chcesz się schlać.

Teraz już czuł się znacznie lepiej, ciepło rozplynęło się po organizmie. – Bo nie chcę. Chodzi mi o coś innego.

– O co?

Przez parę chwil mierzył się z nią wzrokiem, patrzył w te oczy, obserwujące go bez zmrużenia znad zawziętych ust i podbródka chłopczycy.

– Zapomniałem – stwierdził.

Wtedy chyba doszła do wniosku, że nie ma sensu się nim przejmować. Obróciła się na pięcie i wróciła do kuchni.

– Masz kogoś, do kogo mogłabym zadzwonić? – zapytała. – Żeby przyjechał i cię zabrał?

Bone przemyślał to sobie.

– Aha – mruknął w końcu. – Nie znam numeru... George Swanson z Santa Barbara. I poprosz o Cuttera. Pana Alexandra Cuttera.

Wyciągnęła książkę telefoniczną i zaczęła ją kartkować w poszukiwaniu numeru.

– Nie chcesz, żebym zatelefonowała do Mo? – spytała jeszcze.

Bone nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej alkohol tak go sieknął. Ta butelka brandy była już w połowie pusta, kiedy się do niej dobrał, a teraz, choć wciąż jeszcze została przynajmniej jedna trzecia zawartości, był już skuty, totalnie i bez wysiłku. Przypuszczał, że stało się tak dlatego, iż już na starcie miał krew całkiem przyzwyczajoną do wzbogaconych promilami, więc dystans do pokonania okazał się o połowę krótszy. Nieważny powód, Bone nie miał zamiaru narzekać, bo kac zmył się razem z trzeźwością, a on sam wcale nie tęsknił ani za jednym, ani za drugim.

Popijał, siedząc na tapczanie i wyglądając przez okno na zredukowaną grupkę rozbrykanych młodziaków, którzy wciąż kręcili się przy ognisku, szturchając i rozgrzebując kopące popioły niczym poszukiwacze złomu na wysypisku śmieci. Popatrywał także na Dziewicę z Isla Vista, która robiła w kuchni raban: odkładała naczynia na miejsce, porządkowała to i owo, w końcu zabrała się za mycie garnków. Potem zaś rozciągnął się i zasnął, nie wiedział, na jak długo. Jednak nie było wątpliwości, co go w końcu obudziło – szturchnięcie laską w żebra. A potem głos Cuttera:

– Wstań, mój synu, albowiem zaprawdę powiadam ci, ojciec twój cię wzywa.

Bone pamiętał, że próbował opętać się przed tą laską, ale wciąż go dźgała w coraz to nowe miejsca. Przypominał też sobie, że w końcu wstał, chwiejąc się na nogach pośrodku pokoju jak niemowlę, gdy Alex i dziewczyna próbowali go ubrać. Kiedy naciągali na niego bokserki, o ile pamiętał, ostrzegł ich, by odwrócili wzrok, albowiem w rzeczywistości był Prawiczkiem z Równin Milwaukee i wedle krążących pogłosek śmiałek, który odważyłby się spojrzeć na jego części intymne, rażony ich czystością i doskonałością postradałby wzrok. Cutter podjął temat – stwierdził coś w ten deseń, że owszem, wspólnie ze swą towarzyszką miał świadomość wyjątkowego zaszczytu, jakim obdarzył ich los. Potem jednak zepsuł nastrój, napomykając dziewczynie, że zapewne jeszcze nigdy w historii ludzkości tak niewiele nie dało tak wielu tak niewiele, i Bone pamiętał, że wtedy ona zaczęła się śmiać, uśmiechnięta radośnie, a ten uśmiech był tak niespodziewanie piękny, że rozświetlił nie tylko jej ponurą twarzyczkę, lecz także – przynajmniej na parę chwil – wypalone alkoholem pustkowie jego ducha.

W końcu ubrany, ściskając w garści bezcenny lek na kaca, flaszkę brandy marki Christian Brothers, pozwolił, by Cutter wraz z dziewczyną poprowadzili go schodami na dół i dalej pod dom, do nowego forda kombi, którego Bone widywał na

podjeździe pod rezydencją Swansonów i w ich garażu, rodzinnego wozu na posyłki, który służył George'owi i jego żonie pomocą w sytuacjach ekstremalnych, na przykład wtedy, gdy musieli zabrać gdzieś jeszcze jedną osobę albo ze dwie siatki zakupów. Przy samochodzie Bone zauważył, że dziewczyna zabrała ze sobą bagaż, markowy sakwojazd, który upchnęła z tyłu forda, zaraz obok jego własnych tobołów, które ostatnio widział w służbówce pani Little. Zaczęło mu świtać, że to wszystko niespecjalnie miało sens: i to, że ona jechała z nimi, i to, że były tu jego manele, spakowane i załadowane do auta. Jakoś jednak nie potrafił się tym przejąć, nie w tym stanie, w którym się znalazł i dzięki któremu szybował teraz nad tym wszystkim niczym błogosławiona mewa. I nawet kiedy wsiadł na tylne siedzenie forda, robiąc sobie miejsce pośród wszelkiego złomu – sztucerów, strzelb, kamer i magnetofonów – wciąż nie miał ochoty o cokolwiek pytać.

Kiedy dotarli z powrotem do Santa Barbara, Cutter zajechał na parking pod agencją nieruchomości Swasona i wysiadł z wozu. Zapowiedział, że zaraz wróci, i dotrzymał słowa – po paru minutach wyszedł z budynku, szczerząc się radośnie i wachlując paskiem papieru, czekiem, który natychmiast wymienił na gotówkę w banku dla zmotoryzowanych niedaleko autostrady. Nie wiedzieć czemu, Bone zapamiętał, jak Alex instruował kasjerkę: – Dwudziestkami, moja miła pani. W sumie będzie ich *pięćdziesiąt*.

I Bone pomyślał sobie: stary dobry George, powierzył Cutterowi odpowiedzialność zainkasowania tysiąca dolarów.

Jednak zamiast wrócić pod dom George'a, czego spodziewał się Bone, Cutter wyjechał na drogę numer 101 w kierunku na południe, aż Rich z wrażenia uniósł głowę znad butelki – przynajmniej na tyle, by zapytać, dokąd się właściwie wybierają: do Hollywood? Tijuany? Chile? Wydawało mu się, że niegłupio byłoby wiedzieć chociaż tyle. Cutter powiedział mu jednak, żeby się nie martwił – po prostu wybrali się na przejażdżkę, mały wypad wzdłuż wybrzeża, żeby dać Bone'owi czas na przetrzeźwienie, bo, jak przecież dobrze wiedział, żona George'a nie przepadała za żułami i jednookimi kalekami, i o ile z tym drugim nic nie dało się zrobić, to pierwsze jednak nie było nieodwracalne. Poradził więc Bone'owi, by ten dopił, co mu jeszcze zostało, a kiedy już się wyśpi i dołączy do trzeźwej większości, będą sobie mogli wrócić do Santa Barbara i żyć tam długo i szczęśliwie. Rich odparł, że za to jest nawet gotów wypić, co też uczynił.

Nie ujechali jednak zbyt daleko, ledwie za Carpenteria, gdy Cutter oznajmił, że kona z głodu, i zjechał z autostrady. Parkując pod barem z fast foodem, dał

dziewczynie dwudziestkę i polecił, żeby obkupiła się w hamburgery, frytki, coca-colę i co tam jeszcze wpadnie jej w oko. Kiedy wysiadła z auta, sięgnął po brandy i sam gołnął parę łyków. A potem siedział tylko, patrzył na Bone'a i kręcił głową.

– Pomogło ci? – zapytał.

– Co takiego?

Machnął butelką. – To.

– Na co miało pomóc?

– Sam Richard Bone, tajemny odkupiciel ludzkości...

– Cały ja.

– Krwawy pot i łzy.

– Więc się wydało.

– Oj, nie bój nic, młody. Jeszcze się odkujemy. Jeszcze nam zapłacą.

Bone zabrał mu butelkę. – Tajest. Damy im popalić.

Cutter nie dał się nabrać.

– Komu? – zapytał.

Bone wyszczerzył zęby. – Od wskazywania palcem jesteś ty. Ja będę im dawał popalić.

– Więc nie wiesz, komu, tak?

– No, *im*.

A Cutter parsknął śmiechem. – No jasne, *im*. Bo i komu innemu?

Od tego momentu Cutter wpuścił dziewczynę za kierownicę. Bone zjadł trochę frytek i może pół hamburgera, pierwszy posiłek od niemal dwóch dni, ale przez większość czasu trzymał się brandy, więc nim dotarli do Los Angeles, butelka była już pusta, a on wyciągnął się na tylnym siedzeniu, opierając głowę na zrolowanej kurtce. Miał mętne wrażenie, że zatrzymali się raz w jakiejś zatłoczonej uliczce w centrum, gdzie Cutter zgarnął większość walającego się po podłodze barachla i na chwilę gdzieś zniknął, ale Bone ani nie wiedział, ani nie chciał wiedzieć, czemu tak się stało. Po raz kolejny sen wydawał się dużo ważniejszy.

Kiedy znów się obudził, czuł ból, pragnienie i ziąb, ten ostatni z rozkręconego na pełny regulator klimatyzatora wozu. Powoli usiadł i rozejrzył się dokoła. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko pofałdowane bezludzie Pustyni Mojave, szarej w zapadającym zmierzchu, istny księżycowy krajobraz przecięty podwójną szramą ciągnącej się przed nimi asfaltowej autostrady. Wciąż to dziewczyna prowadziła. Siedzący obok niej Cutter uniósł głowę, by spojrzeć na Bone'a.

- To żyje – oznajmił. – Zmartwychwstało.
- Bone nie był w nastroju do wygłupów. – Gdzie my, do diabła, jesteśmy?
- Kawalek za Barstow.
- Barstow!
- Zgadza się. Barstow.
- Czemu?
- Bo było po drodze.
- Po drodze dokąd?
- Tego to jeszcze nie wiemy.
- *Dokąd, Alex?*
- Mniszka i ja zaczęliśmy nad tym dumać jeszcze w Los Angeles. I pomyśleliśmy sobie: „A, do diabła, może po prostu ruszymy dalej przed siebie. Zobaczymy kawał Ameryki i w ogóle”.

Bone znów zapytał, dokąd się wybierali i co tu się w ogóle działo. Cutter westchnął i osunął się niżej w fotelu.

- Mówiłem ci, że nie załapie – zwrócił się do dziewczyny. – Facet jest odmiennie ukierunkowany.

Odwróciła wzrok od jezdni, spoglądając na Bone'a z niepokojem, niemal przerażeniem w oczach.

- Spałeś wtedy – powiedziała. – A kiedy Alex to zaproponował... no, wyglądało na super pomysł, nie? Po prostu jechać tak ot, przed siebie, tylko my troje.
- Jasne, super – mruknął Bone.
- Mamy kasę – zapewnił go Cutter. – No i, jak wspomniałem Mniszce parę mil temu, szkoła nie zając. Nic nam nie ucieknie.
- Kiedy już wrócimy do domu – uzupełniła.

Teraz Bone czuł się niedobrze, tak niedobrze, że rzygać mu się chciało, ale jakoś się powstrzymał. Zresztą gniew, jaki czuł, był silniejszy od nudności.

- Beze mnie, Alex – warknął. – W życiu, do jasnej cholery.
- Cóż, koleś, jak sobie chcesz. Oczywiście, wolelibyśmy, żebyś pojechał z nami. Skoro jednak chcesz wrócić... cóż, możemy cię wysadzić gdziekolwiek, w każdej chwili. Powiedz tylko kiedy.

Bone miał już zażądać, żeby z miejsca zjechali na pobocze, ale nie potrafił wykrztusić ani słowa. Wiedział, w jakim był stanie. Wiedział też, co potrafi pustynia. No, przynajmniej co nieco.

- Może być Needles – stwierdził. – Tam możecie mnie wysadzić.
- Na bank?
- Na bank.

Cutter wciąż siedział nisko zsunięty, patrząc na zapadającą nad pustynią noc.

- Będziemy za tobą tęsknić, Rich – mruknął. – Bez ciebie to nie będzie to samo.

10.

Kiedy już dojechali do Needles, Cutter obwieścił, iż zamierzają zatrzymać się tam z dziewczyną na noc, ale wyruszają w dalszą drogę z samego rana. Zaproponował, by Bone zrobił to samo, jako że wyglądał jak trup, a śmierdział nawet gorzej, więc szansę na podwiezienie z powrotem przez pustynię miałby tylko w wypadku napotkania motocyklisty z Aniołów Piekieł z ciężkim przypadkiem nieżyty nosa. Bone zresztą również nie planował natychmiastowego rozpoczęcia wyprawy z powrotem, samopoczucie mu na to nie pozwalało, wiedział jednak, że spędzenie tej nocy w motelu, ba, nawet zjedzenie czegokolwiek, będzie zależało od szczodrości Cuttera, a ta, jak się rychło przekonał, nie porażała ogromem. Poprosił bowiem Alexa o pożyczkę, czy raczej o rekompensatę.

– Stówę – zaproponował. – Na moje oko mniej więcej tyle jesteś mi winien. Coś jak opłata za porwanie. Koszt powrotu na stare śmieci.

A Cutter wzruszył ramionami, opornie wyrażając zgodę. – No jasne, synuś. Ale nie teraz. Nie dziś wieczorem. Wydałbyś to tylko na alkohole, nieszczęsny moczymordo. Dam ci pieniądze rano. Do tego czasu możesz zostać z nami.

Bone nie protestował. Wiedział, że gdyby naprawdę chciał od razu dostać pieniądze, mógłby nalegać, nawet fizycznie wydusić je z Cuttera. Doszedł jednak do wniosku, że odbiór jutro rano też jest w dechę. Odpadała na przykład konieczność płacenia dziś za żarcie i dach nad głową. Poza tym chciał się dowiedzieć, czy Cutter na serio zamierzał wypuścić się w tę podróż bez określonego celu, zwiedzając ojczysty kraj, czy też znów ich nabierał, stawiał zasłonę dymną zarówno przed Bone'em, jak i przed dziewczyną.

Wynajęli sobie dwuosobowy pokój w zdychającym motelu, którego reklama przy wjeździe zwięźle podsumowywała ostatnie dzieje gospodarki Stanów – pierwotne „6 dolców za noc” z pomocą koślawo domalowanej jedyńki przerobiono na szesnaście, ale cały napis przekreślał wielki, wściekły krzyż. Żadnej pewności, żadnych gwarancji. Dajemy nocleg na dziś, na jedną noc. Nikt niczego nie obiecywał na jutro.

Kiedy już weszli do pokoju, Bone poczekał, aż Cutter z dziewczyną skorzystają z łazienki, po czym zabarykadował się tam na niemal godzinę, z której większość spędził pod prysznicem – najpierw usiłował wygotować z siebie alkohol, potem zaś, przez ostatnie dziesięć czy piętnaście minut, spróbował terapii wstrząsowej,

mocnego, zimnego strumienia wody. Kiedy już się ubrał, nadal pracował nad regeneracją sił: namówił Cuttera, by na kolację poszli gdzieś, gdzie dają steki, a nie do budki z hamburgerami, co Alex zawsze robił w miejscach, które nie oferowały *haute cuisine* albo żądały zaporowych cen. W restauracji Bone spróbował uzupełnić poziom witamin, ładując w siebie niemal funtowy stek po nowojorsku, frytki i świeżą sałatkę z zieleniny, które popijał sokiem pomidorowym, mlekiem i kawą w takich ilościach, że kelnerka przypatrywała mu się z czujną wrogością, jakby podejrzewała, że ktoś tutaj robi ją w jajo. Była już po trzydziestce, miała twarde rysy i pryzmę włosów w kolorze szampana, które wciąż gładziła i muskała, jakby chciała się upewnić, że wciąż jeszcze są na miejscu i w pełnej krasie. Idealnie pasowała do tej knajpy o podłodze wyłożonej linoleum, meblach z giętych rurek i szafie grającej, z której leciało country na cały regulator. Bone jednak nie zwracał uwagi na kosztowne otoczenie, bo żarcie było świetne. Zauważył też, że Dziewica z Isla Vista przyglądała mu się z przyjemnością niemal równą tej, jaką on sam czerpał zjedzenia – zapewne dlatego, że do tego momentu uważała go za alkoholika-samobójcę. Uparła się nawet, żeby mu oddać część własnego steku, ukroiła spory kawał i przełożyła na talerz Bone'a niemal ceremonialnie, jak ofiarę, wręcz łapówkę na rzecz utrzymania go w trzeźwości. Potem usiadła wygodnie z założonymi rękami, a jej oczy promieniały. Zupełnie jak zuch z piątej klasy, który właśnie dokonał Dobrego Uczynku na ten dzień.

- Wiesz co, wciąż jeszcze nie mam pojęcia, jak masz na imię – zagadnął ją.
- Mniszka.
- To nie imię.
- Owszem, to obelga – roześmiała się. – Tryprowe bliźniaczki mi to przypięły.
- A do czorta z nimi – stwierdził. – Jak się naprawdę nazywasz?
- Może być Mniszka – uparła się. – Już się przyzwyczaiłam. Podoba mi się.

Cutter zapalił cygaro.

– Już to z nią przerabiałem, Rich – mruknął. – Do wyboru masz jeszcze Dorothy albo Dot.

Bone skapitulował. – Dobra, niech będzie Mniszka.

– Mniszka z San Jose – ciągnął Cutter. – Wedle nazwiska Emerson, lat dziewiętnaście, studentka filologii angielskiej, jedynaczka, rodzice rozwiedzeni. Ojciec dentysta, mama pracuje w opiece socjalnej, a sama Mniszka to miłośniczka czaruchów, komuchów i ateistyczna socjalistka, a do tego ma alergię. I paskudny problem z dziewictwem. Normalnie nie idzie się go pozbyć.

Spojrzała na Alexa żałośnie. – Musiałeś o tym wspomnieć? Żałuję, że ci powiedziałam.

– I słusznie – skarcił ją Cutter. – Wstydz się. Bo masz wszystkie zalety po swojej stronie. I w dzisiejszych czasach...

Bone próbował ją wybronić. – No no, Alex, dużo się dowiedziałeś. Nie lubisz, jak ci się nic nie nawinie, co?

– Nie wiem, czy pamiętasz, Rich, ale ty kawał czasu spędziłeś skuty do nieprzytomności...

Nie pozostało nic innego, jak tylko przyznać prawdę. – Owszem, o ile dobrze liczę, półtorej doby. A mogłoby się wydawać, że półtora miesiąca. Ostatnie chwile bez promili były w zakładzie pogrzebowym. A oto jestem tu, trzeźwy w Needles.

– Utknąłeś w Needles – poprawił go Alex.

Bone nie podjął tematu. Wzmianka o zakładzie pogrzebowym obudziła wszystkie wspomnienia. Nie mógł zrozumieć, czemu morze nie zechciało go przyjąć.

– A pogrzeb... jutro, prawda? – zapytał.

Cutter odwrócił wzrok i wzruszył ramionami, prawie jak gdyby Bone zapytał go, która godzina. A Richard nie miał pojęcia, co się stało. Czekał, wstrząśnięty. W końcu zwrócił się znów do dziewczyny.

– Zapomniałem ci podziękować za pomoc. To chyba nie twoja wina, że wyładowałem tu, na pustyni.

– Obawiam się, że to tyleż moja robota, co i jego – odparła. – Myślałam, że spodoba ci się takie coś. I wciąż uważam, że to super pomysł: taki wyjazd tylko we troje, właściwie donikąd.

– Jesteś pewna, że właśnie tam się wybieracie? – zapytał Bone.

– Lepiej daj już sobie spokój – poradził jej Cutter. – Facet tylko by nam psuł zabawę, wszędzie by szukał podtekstów i wielce znaczących spraw, jak Ameryka długa i szeroka. Już go widzę, jak studiuje menu w każdym barze szybkiej obsługi: „Co to właściwie znaczy, sadzone na miękko?” Na co nam taka atrakcja, Mniszka? Damy radę bez niego.

Bone spróbował wyjaśnić sytuację. – Nie podtekstów szukam, Alex. Potrzeba mi tylko paru odpowiedzi.

– Na przykład?

– Na przykład co ci się nie ułożyło u George'a? Czemu nagle dałeś dyla na pustynię?

Cutter strzepnął popiół z cygara. – Nic wielkiego. Po prostu żona George'a nie była zachwycona moimi toaletowymi manierami. Ma bzika na punkcie zamykania drzwi, osobistych ręczników, szczoteczek do zębów, papieru toaletowego... co tylko chcesz. Kobieta ma chyba doktorat z higieny intymnej.

Bone suszył zęby, ale bez wiary w słowa Alexa.

- A co z samochodem? – drążył.
- Znaczy jak?
- Co, George ci go dał, pożyczył, czy jak?
- *Tak jakby* pożyczył.
- Znaczy, nawet o tym nie wiedząc?
- Zostawiłem mu list.
- Troskliwy z ciebie gość.
- Dziękuję.
- A czek?
- Zwykła szczodrość, nic więcej. Powiedziałem mu, że to kwestia życia i śmierci, bo i jest... i że zwrócę mu te pieniądze, co jest niewykluczone.
- Szczodry George.
- Stać go na to.
- A te manele w samochodzie: broń, aparaty, co tam jeszcze... też jego?
- Było.

Bone uśmiechnął się teraz, autentycznie zadziwiony. – Chwila moment: spłodowałaś mu dom, załadowałaś fanty do jego auta, podjechałaś do biura, żeby naciągnąć faceta na tysiąc dolców „pożyczki”, po czym odjechałaś. Jego samochodem.

- No, *jednym* z jego samochodów. Po czym spuściłem zawłaszczone mienie u pasera. O tym zapomniałaś.
- Bo wtedy spałem.
- Owszem, to było w Los Angeles. Takiemu znajomemu, ma ksywkę Sztacheta. Rewelacyjny paser, ten Sztacheta.

Jeśli Cutter oczekiwał wybuchu śmiechu, to się zawiódł. Bone zerknął na dziewczynę – wpatrywała się w Alexa, jak gdyby wzrok był dla niej nowym, przerażającym doznaniem. Cutter również to zauważył, wyciągnął rękę, nakrywając jej dłoń, gładząc ją.

– Nie bój nic, dzieciaku – powiedział. – To detal. Dlatego właśnie nawet nie zwracałem sobie głowy tłumaczeniem ci tego wcześniej. Samochód jest pożyczony, jak przed chwilą powiedziałem. A reszta, ech, do diabła, facet pewnie już to sobie spisał na straty... jako dług u starego kumpla. Na ukojenie poczucia winy. Bo jest nadziany. Bo nie wzięli go do woja za stan zdrowia. Bo jest, jaki jest. Więc uwierz mi na słowo: nie ma się czym przejmować.

Spojrzała na Bone'a, a ten przytaknął.

– Alex ma pewnie rację. George jak nic oddałby mu obie nerki, gdyby go o to poprosić.

– Co zapewne zrobię – dodał Cutter.

Po tej rozmowie do końca posiłku już prawie się nie odzywali. Pod sam koniec Bone rzucił tylko, że nie bardzo radzi sobie z ustaleniem kolejności zdarzeń, jak to się właściwie działo. Pamiętał, że Mniszka zadzwoniła z Isla Vista i że ubierali go we dwójkę, ale nie mógł sobie poukładać, jak od jednego doszło do drugiego.

– No bo co się właściwie stało, kiedy przyjechał Alex? – zapytał. – Mówi: „Cześć, zabieram tego lumpa na wycieczkę, chcesz do nas dołączyć?” A ty na to: „Jasne, dajcie mi tylko moment, żeby się spakowała”? Tak to się działo?

Mniszka wbiła wzrok w talerz. – To nie było tak – mruknęła.

– Więc jak?

– Czy to ważne?

Bone uparł się, że owszem.

– To przez ciebie, palancie – wtrącił Cutter. – Przez ciebie, przez ten magiczny urok, który tak swobodnie roztaczasz.

– Zapytałam, czy mogę pojechać z wami – przyznała Mniszka, nie podnosząc wzroku. – Niewiele wiem o alkoholu i martwiłam się o ciebie, że tak to w siebie lałeś i że wciąż i wciąż powtarzałeś „Mo”, jakbyś chciał umrzeć...

Bone czuł na sobie wzrok Cuttera, ale nie spojrzał w jego kierunku.

Kiedy już wrócili do motelu, Bone poczekał, aż dziewczyna zaśnie, po czym siłą oderwał Cuttera od wiekowego czarno-białego telewizora na wyposażeniu pokoju. Na ekranie Johnny Carson odstawał swoje show, komentując na wesoło miniony dzień. Bone wcisnął Cutterowi kurtkę w dłoń i niemal wywlókł go z pokoju na zimną, pustynną noc.

– Co do czorta? – marudził Alex. – Co cię napadło, do diabła?

– Musimy pogadać.

- Czemu nie w pokoju? Mała śpi.

Bone pokręcił głową. – Tutaj. Chcę, żebyś był przytomny. Potrzebuję odpowiedzi na parę pytań.

- Jak my wszyscy.

Dziedziniec motelu był wyasfaltowany – właściwie parking, z małym pustym basenem pośrodku, betonową dziurą zabezpieczoną ogrodzeniem z siatki, na którym wisiał napis: ZAKAZ PŁYWANIA. Rozpinając spodnie, Cutter rzucił, że nigdzie nie widzi tabliczki ZAKAZ SZCZANIA, po czym zabrał się za podlewanie uschniętego badyla sterczącego ze stojącej zaraz za siatką donicy. Bone zapalił papierosa i czekał, aż Alex skończy.

Za autostradą i ciągnącymi się wzdłuż niej zabudowaniami – zajazdami, motelami, stacjami benzynowymi – tu i ówdzie mógł dostrzec czarny pod nocnymi światłami nurt rzeki Colorado, arterię życiodajnego płynu w olbrzymim trupie pustyni. Nie wiedzieć czemu doszedł do wniosku, że tam będzie się im lepiej rozmawiało, więc ruszył w tamtą stronę. Cutter pokuśtykał za nim, nagle przeobrażony w zadumanego Celta.

- Ano spójrzże, Richard, chłopcze mój drogi, czyż to nie zachwycający widok tam nad nami? Gwiazdy tak wielkie i jasne, że mógłby człek niemal sięgnąć do takiej i dotknąć, prawdaż, gdyby człek zechciał, ma się, prawda, rozumieć.

Bone nie odpowiedział. Gdy już doszli nad rzekę, Cutter znalazł sobie spory kamień pod drzewem i usiadł. Westchnął, oparł się wygodnie i zapalił papierosa.

- Dobra – rzucił Bone.
- Co „dobra”?
- Dobra, dawaj.
- Co mam dać?
- Mów prawdę, Alex. Pytam jeszcze raz: co tu jest grane?

Cutter roześmiał się, pokręcił głową. – Wiesz co, mam to dziwne uczucie: *déjà vu*, wiesz? Jak gdyby dokładnie ta sama sytuacja już mi się przydarzyła, tak, ja wiem, z pół godziny temu.

- Powiedz mi chociaż, dokąd się wybierasz. Przydałoby się.
- Już ci, facet, mówiliśmy. Donikąd. Jedziemy na wycieczkę, i tyle. Automobilowy wypad.
- Więc nie wybieracie się w żadne specjalne miejsce?
- Nie.
- A kierunek? Może przynajmniej w jakimś kierunku?

Cutter podniósł kamyczek, rzucił go, poczekał, aż chlupnie w wodę.

– No, jest taki koleś, co go znam z Wietnamu, ma ośrodek czasowy nad jeziorem koło Tulsa. Pomyślałem sobie, że może mniej więcej w tamtą stronę. Zobaczymy, jak się sprawy ułożą.

– A co potem?

– Spytaj się mnie, a ja ciebie.

Na moment Bone zbłądził spojrzeniem ku rzece, która niosła właśnie obok nich pusty, pozbawiony załogi ponton. I choć wiedział, że ów fenomen zasługiwał na uwagę, nawet na podjęcie działań, niczego nie zrobił. I bez tego miał dość problemów.

– A więc Tulsa. Całkiem niedaleko Missouri, nie?

– Ano, niedaleko.

– A w Missouri, na południu, niedaleko Arkansas, jest takie małe miasteczko Rockhill.

Cutter pociągnął ostatniego macha i upuścił papierosa na ziemię, wbił go stopą w piasek.

– Owszem, Rockhill – odezwał się w końcu. – Rodzinna miejscowość J.J. Wolfe'a, jeśli mnie pamięć nie myli.

– Nie myli.

– Więc nie myli, tak jest.

– Ale to nie tam się kierujesz?

– A czemuż niby miałbym chcieć się tam wybrać?

– Alex, to było raptem wczoraj rano... już zapomniałeś? Jak mi mówiłeś, że Wolfe „przesłał ci wiadomość”?

– A, tak powiedziałem?

– Tak właśnie. Co więcej, ty w to wierzysz. To jedyny wariant, który tłumaczy to wszystko.

– Co „wszystko”?

– Wyjazd z miasta. Zabranie samochodu George'a i kasy. Co więcej, także twoje nastawienie. Wczoraj rano byłeś w szoku, a teraz... cóż, jak gdyby nic się nie stało. Jesteś znów w dawnej pozie, nawet fryzura ta sama. A Mo i mały... jak gdyby nigdy nie istnieli.

– I to wszystko ma mieć jakiś związek z Wolfe'em?

– Owszem, w twoim umyśle ma.

– Wiesz, wyłóż mi to po ludzku. Wytłumacz.

– Znasz to stare powiedzenie o przekuwaniu mieczy na lemiesz? Więc wydaje mi się, że przekułeś własną żalobę w miecz.

Cutter udał, że stracił równowagę na kamieniu. Wyprostował się, szeroko uśmiechnięty.

- Ależ popis elokwencji, Rich. Normalnie nie byłem na to przygotowany.
- Pieprz się.
- Też bym chciał.

Przez chwilę obaj milczeli. Cutter wstał i podkuśtykał nieco bliżej do rzeki, pozornie bez celu, ale w ten sposób Bone przestał widzieć jego twarz. Stał tam przez kilka minut, wpatrując się w noc, w nurt rzeki, aż wreszcie obrócił się i ruszył z powrotem, i choć wciąż się uśmiechał, leciutko, krzywo, Bone tak naprawdę widział tylko jego oko i wzbierające w nim łzy, które w świetle gwiazd zdawały się jarzyć własnym ogniem.

– Zemsta? – powiedział Alex. – Myślisz, Rich, że o to właśnie mi chodzi, tylko z powodu tego, co się wydarzyło z Mo i małym? Szlag, przecież wiesz, jak ja ich traktowałem... jak człekokształtne śmieci, prawda?

Tylko dlatego, że nie była brzydka i miała ten przecheły na lojalność, i nie brało jej na hafty od blizn i kikutów... myślisz, że przez to nadstawiałbym łba? A może dlatego, że poszła na całość i dała mi Mistrza Brązowych Gaci, zupełnie takiego, jak ja sam, tylko całego w jednym kawałku, z czterema kończynami i dwójgim sprawnych oczu, tak bystrych, że człowiek aż się bał spojrzeć na tego małego gnoja z lęku, że jakaś, cholera, zabawka zrobi jebut, albo krzeselko do jedzenia się przewróci i przygniecie stópeczkę, albo, bo ja wiem, mleko w proszku okaże się zatrute... kto mógł wiedzieć? Na pewno nie jego stary. Nie, ten potrafił tylko dać nogę, gdzieś się schować, nie? Chlać za dużo i rzadko wracać do domu, żeby nie być na miejscu, kiedy już faktycznie coś się wydarzy.

Znów wrócił uśmiech, pełen żalu, skurczony, niczym blizna pod otwartą raną oka.

– No i *naprawdę* mnie nie było, zgadza się? – wykrztusił. – Więc czemu miałbym chcieć się mścić na Wolfe'ie, co? Co on mi takiego zrobił?

Wyzwolił mnie od niepokoju, zabił stare lęki i dygoty.

Wyciągnął rękę tak, że drżąca dłoń była tuż przed twarzą Bone'a.

– Widzisz, koleś? Więc komu tu potrzebna jest zemsta, hę? Kto by chciał się za coś odkuć?

Bone przez chwilę milczał – bał się, że głos odmówi mu posłuszeństwa. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Cutter płakał, nigdy wcześniej nie udało mu się przebić wzrokiem pancerza brutalnych słownych ataków i czarnego humoru. Przez głowę

przemknęła mu myśl, ulotna jak poczucie winy, że zapewne kochał tego typu, że jeśli czyjś ból miałby się automatycznie stać jego własnym, to właśnie Cuttera. Więc uderzył ze słabej strony.

– Ale *jedziesz* do Missouri.

– Pewnie tak.

– Żeby go zabić.

– Tego jeszcze nie wiem. Może wciąż tylko szantaż, nie wiem, póki tam nie dotrę. Póki nie spotkam się z nim twarzą w twarz.

– Czyli w to wierzysz – mruknął Bone. – Naprawdę wierzysz, że facet miał coś wspólnego z tym, co się przydarzyło Mo i małemu...

– Niemożliwe, co?

– Niemożliwe, Alex.

– Ależ możliwe – to było stwierdzenie, konstatacja faktu.

– Palma ci odbiła – poinformował go Bone.

– Bardzo być może. Ale ja tam byłem, facet. Wiem, co się stało. Wiem, jak oni zareagowali na to, co im zapodałem. I wiem, że wiedzieli, kim jestem, gdzie mieszkam. Nazwisko, hotel, numer telefonu... podałem im to wszystko, Rich, bo czułem totalny luz, totalną pewność siebie. Nie widziałem przeszkód, żeby im tego nie mówić – pokręcił głową. – No to już jestem mądrzejszy.

– Ale to nie ma sensu – sprzeciwił się Bone. – Zapomnijmy o tym, czy gość w ogóle by coś takiego *zrobił*, czy nie, wciąż jeszcze pozostaje nam kwestia: *jak*. Kwestia czasu. Nie widzę możliwości, żeby...

– Nie musisz.

– Ty, kurwa, nie musisz!

– Spójrz prawdzie w oczy, Rich. Jakie mamy inne wyjaśnienia? Samobójstwo albo wypadek, nie? A wiesz równie dobrze jak ja, że Mo uwielbiała tego malucha, troszczyła się o niego. No pewnie, brała prochy. No i może była też najgorszą gospodynią domową pod słońcem. Powiedz mi jednak, zdarzyło ci się kiedyś choć przez chwilę zauważyć, że nie była w stanie zająć się małym? Że zostawiła go bez opieki?

Bone wrócił myślami do tamtego popołudnia, kiedy znalazł malca samego w domu i zabrał go do parku pod Misją, a to z kolei przywiodło go do wspomnień głosu Mo: „Jakie to wzruszające. Jak bardzo, ach, bardzo słodkie” – i jej twarzy nad nim, kpiącego uśmiechu, tęsknoty za którym nigdy sobie nie wyobrażał, teraz jednak za nim zatęsknił. Mimo wszystko zmilczał. A Cutter parł dalej:

– Widziałeś go kiedyś, żeby nie był nakarmiony, umyty i ubrany? Ni diabła. A co do samobójstwa... no, sam przecież mówiłeś, że nie była przygnębiona. A ty widziałeś ją jako ostatni.

Bone miał wrażenie, że usłyszał wyrok z ust sędziego – wiedział, że kiedyś usłyszy te słowa i będzie musiał sobie z tym poradzić.

– To nie do końca prawda – powiedział.

– Znaczy, co?

– To, co wtedy mówiłem. *Była przygnębiona.*

Cutter znów usiadł na kamieniu. W jego oku nie było już łez.

– Jak bardzo? – zapytał.

– Nie wiem. Chyba bardzo. Płakała, kiedy tam byłem. Spała, kiedy wychodziłem. A obiecałem, że zostanę, że będę przy niej, kiedy się obudzi. Zmusiła mnie, żebym jej obiecał.

– Ale i tak dałeś nogę?

– Zgadza się. – Bone już nawet nie oddychał, stał tylko, czekał w napięciu. Nie zamierzał się ruszyć, nawet gdyby Cutter go uderzył, choćby i zaczął go okładać laską. A jednak, nie do wiary, Alex tylko leciutko się uśmiechnął.

– To by pasowało – rzucił. – Masz tak gargantuiczne ego, że naturalnie przyjąłeś założenie, iż dziewczyna rzuciła się odkręcać palniki, ledwie opuściła jej gościnne progi. Bądź co bądź, nie miała przecież innego wyboru, nie?

– Była *przygnębiona*, Alex.

Nie wiedzieć czemu wydawało mu się, że tym stwierdzeniem zamknie temat, podsumuje sprawę raz na zawsze.

Ale Cutter tylko prychnął. – A kto nie jest?

Bone wbił w niego wzrok. – Naprawdę lekko to przyjmujesz, co?

– Znaczy, właściwie co? Śmierć? Czy dymanie?

– Sam zdecyduj.

Cutter wzruszył ramionami, pochylił się po kolejny kamyk. – Próbuję, facet. Próbuję coś poczuć. Ale po prostu nie ma niczego, co dałoby się schwycić. Ich dwoje... bierze mnie to równie słabo, jakby to były dwa psy. Dokładnie tyle samo czuję.

– Nie wierzę.

– Też bym nie chciał.

Zaciśnięte pięści Bone'a dygotały u jego boków.

– Łziesz – warknął. – Udajesz. Pieprzony aktor.

– W ogóle niewiele czuję, żadnego poczucia straty, smutku, nic z tych normalnych, przyjemnych uczuć. Może po prostu zbyt wielu kumpli zbierałem z ziemi do worków na zwłoki, bo ja wiem. Może po prostu zbyt wielu było w strzępach.

– A to wszystko, co mówiłeś minutę temu? – zapytał. – O Mo i małym, o tym, że bałeś się nawet na niego spojrzeć, żeby czasem...

Cutter uciszył go, unosząc dłoń. – Sam powiedziałaś, to udawanie. Pomyślałem sobie, że warto spróbować. Szlachetny, choć nieprawdziwy powód, by pojechać do Missouri.

– Więc jaki jest ten prawdziwy powód?

– No chyba tylko chciwość, nie? Nasz mały szantażyk? Tym bardziej teraz, skoro i ty, i Valerie wycofaliście się z imprezy, więc z nikim nie muszę się dzielić. No kurna, normalnie chyba będzie mnie stać, by spędzić resztę życia na Ibizie.

– A zemsta... „odkucie się”... w ogóle nie wchodzi już w rachubę?

Cutter spróbował się uśmiechnąć, spojrzeć Bone'owi w oczy, ale nic z tego nie wyszło. W końcu po prostu spuścił wzrok, niepewnie pokręcił głową.

– Nie wiem – mruknął. – Ale jadę. Nie wiem czemu, po prostu muszę. Nie mam wyboru.

Bone powoli skinął głową. Niczego nie pojmował, ale wiedział, że pojedzie z nimi, że przynajmniej tym razem nie porzuci kogoś, kto potrzebuje jego pomocy, nawet jeśli ten ktoś zaczął nagle wzbudzać w nim dreszcz odrazy.

Kiedy wrócili do motelu, Bone powiedział Cutterowi, że jeszcze nie był gotów na sen, że najpierw chciał się jeszcze samotnie przejść, rozważyć parę spraw. Alex odparł, że uważał to za genialny pomysł – osobiście często zalecał myślenie osobom znużonym obfitością rozrywek, a żadnym nowych doznań, radził jednak, by Rich z tym nie przesadzał, no i oczywiście by nie przyjmował cukierków od nieznajomych.

Bone musiał się tłuc niemal na drugi koniec tej miejsciny, nim znalazł budkę telefoniczną ze sprawnym aparatem. Tam przede wszystkim zamówił połączenie na koszt odbiorcy z panią Little, która, co zrozumiałe, z początku potraktowała go dość ostro. Zupełnie nie podobał się jej sposób, w jaki jego kulawy koleś wpakował się do służbówki i zabrał stamtąd wszystkie rzeczy Bone'a. Jej akurat wtedy nie było na miejscu, ale ten typiek zastał Teresę i kiedy ta nieszczęsna niewiasta próbowała się dowiedzieć, co się właściwie dzieje, „ten twój kolega powiedział jej, że jest z FBI, a ciebie aresztowano za podszywanie się pod policjanta, obnażanie się i Bóg jeden wie, co jeszcze, i że jeśli Teresa nie zabierze się w pizdu, to on deportuje ją do Meksyku... Tak właśnie jej powiedział. Biedaczka omal nie umarła ze strachu”.

Bone, składając wyrazy współczucia, dodał, że niestety znał tego obmierzłego typa aż za dobrze i absolutnie nie zamierzał mieć już z nim nic wspólnego. Teraz troszczył się o innego przyjaciela, naprawdę miłego faceta, który właśnie wykopał z domu nastoletniego syna za zabawy z prochami, po czym, bojąc się o niego, szukał chłopaka po całej okolicy, a Bone mu w tym pomagał. Rzecz była zbyt zawikłana, by objaśniać ją przez telefon, ale wśród związanych z nią okoliczności był także fakt, że Bone musiał zostawić wóz pani Little, zaparkował go przy plaży Leadbetter. Pani Little stwierdziła, że bardzo miło jej to słyszeć, bo zamierzała następnego dnia zgłosić kradzież tego samochodu i, choć z żalem, narobić mu kłopotów z policją. Bone podziękował jej za to i za wszystkie inne rzeczy, jakie dla niego zrobiła, dodał też, że ma ją za rewelacyjną kobietę. Odwzajemniła się, mówiąc, że posada i mieszkanie u niej są dla niego zawsze otwarte. „Coś tam jeszcze mamy do dokończenia”, dodała. Bone pospiesznie ominął ten temat, znów jej podziękował i pożegnał się.

Następnie zadzwonił do George'a Swansona i ponownie odkrył w tym człowieku więcej niż cień świętości. Owszem, George przeczytał list, który zostawił mu Alex, więc wiedział o zabranii samochodu i innych „obiektów”. Uspokoił jednak Bone'a, że nie zamierzał zawiadomiać policji o kradzieży czegokolwiek. Richard podziękował mu, opowiedział o tym, jak poszedł w tango i nie miał pojęcia, co się działo, ba, wciąż jeszcze nie był do końca pewien, dokąd właściwie zmierzali. Jeżeli jednak zdoła dotrzymać Cutterowi towarzystwa – powiedział – sądzi, że zdoła pomóc mu uporać się z „tym jego problemem, tą obsesją”, a przy odrobinie szczęścia może nawet uda mu się dostarczyć samochód i pozostałe przedmioty z powrotem do George'a, nim upłynie tydzień, może nieco później. Pozostawało mieć nadzieję, że Cutter wciąż jeszcze będzie wtedy zdrow i cały, i bez aresztanckich fotek. George zapytał, czy Bone mógłby podać mu coś więcej o tym „problemie” Cuttera, więc Richard powiedział mu, że miało to związek ze śmiercią Mo i malca, może Cutter uważał, że ktoś ponosił za to osobistą odpowiedzialność, i chciał się na tym kimś zemścić, może jednak po prostu uciekał przed tą tragedią... Bone nie był do końca pewien, wciąż bardzo niewiele wiedział o całej tej sprawie, poza tym, że Alex był niemal na krawędzi, że facet musiał mieć trochę czasu dla siebie. Więc oczywiście George zaoferował i czas, i wszystko inne. Powiedział Bone'owi, że gdyby potrzebowali jeszcze czegokolwiek, pomocy czy pieniędzy, niech tylko dadzą znać, a on im to podeśle. W obliczu tej niewymuszonej szczodrości i lojalności Richard przez parę chwil nie był w stanie wykrztusić choćby słowa. W końcu zdołał zrewanżować się krótkim podziękowaniem. Dodał, że wszystko na pewno dobrze się

skończy, że raz-dwa wrócą na słoneczne brzegi i będą znów razem. A George odparł, że również miał taką nadzieję.

– Dbaj o tego chłopaka – powiedział na koniec. – Nie chciałbym stracić także i jego.

I dopiero wtedy Bone uświadomił sobie, że Swanson łkał.

Mimo deklaracji Cuttera o wyruszeniu w dalszą drogę „z samego rana”, wyjechali z Needles dopiero o jedenastej. Bone ucieszył się z tego poślizgu – długi, porządny sen i leniwe śniadanie (naleśniki i jajecznica na boczku) sprawiły, że już prawie czuł się jak człowiek. Jednak o ile wyruszyli bez pośpiechu, sama jazda wyglądała zupełnie inaczej, bo pod ciężką protezą Alexa samochód trzymał się solidnych osiemdziesięciu mil na godzinę. I choć Cutter musiał używać do prowadzenia swojej jedynej ręki, nie przeszkadzało mu to wcale w paleniu papierosów, bębnieniu po kierownicy i manipulowaniu przy radiu, a wszystkiemu temu towarzyszył niemal nieustający komentarz na szeroki wachlarz tematów. Bone nie miałby nic przeciwko temu, gdyby nie fakt, że Alex uznał za niezbędne regularne odwracanie się od drogi, by badać reakcje słuchaczki. Mniszka, rześka kruszyna, siedziała obok niego na przednim siedzeniu i chciwie chłonęła każde słowo.

Sam Bone zadowalał się podziwianiem krajobrazu, obezwładniającego majestatu i różnorodności południowo-zachodnich równin. Autostrada opuściła zieloną żyłkę doliny Colorado i pięła się stopniowo w górę, ku Arizonie, od krzewów i pustyni po wyżyny niedaleko Flagstaff, gdzie był tylko śnieg, skały i karłowate sosenki, zimna, przezroczysta Walhalla, która jednak nagle urwała się jakieś dziesięć czy dwadzieścia mil dalej, przeobrażając się znowu w krainę krzaków *mesquite*, bezwodne, pagórkowate pustkowie usiane niedużymi formacjami górskimi, których ciemnoczerwony odcień tłumaczył barwę nawierzchni drogi w tej okolicy, a potem wyjechali na równiny wschodniej Arizony i dalej, w pustynie Nowego Meksyku, krainę prosto z westernów, olbrzymie pustkowie barwy khaki usiane ostańcami i płaskowyżami o niewiarygodnych kształtach. Gdyby nie Bone, cała ta sceneria by się zmarnowała, jej splendor poszedłby na nic, bo dla tej dwójki z przodu nie istniało nic poza ewidentnie znacznie bardziej fascynującym krajobrazem umysłu Cuttera.

Jak zwykle Alex zwiedzał swe pola śmierci i krwawej zawieruchy, i choć Bone miał chęć po prostu uznać to za szum w tle, skupić się na geologicznych fenomenach za szybą samochodu, przekonał się, że nie był do tego zdolny, że niektóre z opowieści Cuttera pochłaniały go niemal równie całkowicie jak Mniszkę – na przykład ta o białasie z jego plutonu.

– Taki wredny, mały, ostrzyżony na zero buc z Oklahomy, nazwiskiem Oral Roberts Russell – opisał go Alex. – Jeden z tych, którym Bóg dał prawdziwy talent do nienawidzenia innych, naprawdę wiele wyssał z mlekiem matki. Czarnuchy, meksy, papiści, moški, komuchy... dobrze wiedział, kim naprawdę byliśmy: *wrogami*, i to takimi wrogami, że żółtki czyhające po krzakach nawet do kolan nam nie sięgały. Więc Oral był czujny, facet był zwarty i gotowy bite dwadzieścia dziewięć godzin na dobę, te jego blisko osadzone bladoszare ślepka jeździły w tę i z powrotem jak sprzężone lufy działek dwadzieścia milimetrów, niczego nie przeoczył, rozumiecie, rejestrował wszystko na późniejsze czasy, na wielkie rozliczenie, kiedy już stanie twarzą w twarz z tym swoim zazdrosnym Bogiem. Dzielny Oral posunął się nawet do tego, że nazywał mnie diabłem... poważnie, dla niego byłem porucznik Szatan, choć młody widział, że się objąłem, wiedział, że przez większość czasu staram się wypoczywać. W każdym razie czuwał. I nienawidził. Aż w końcu stało się... przyszedł na niego kres... przysłali nam z uzupełnienia chłopaka, nazywał się Dewey White. Problem w tym, że White był biały tylko z nazwiska, koleś miał skórę czarną jak smoła, a śliczny był jak skurwysyn, chłopak na poziomie, bystry, a w dodatku był aż nadto, cholera, obdarzony tą jedną rzeczą, której nie możemy czarnym wybaczyć, za którą tak naprawdę najbardziej ich nienawidzimy: radością, „duszą”...

Tu Cutter zjechał w dygresję, prezentując Mniszce swoją teorię na temat duszy: że przedstawiciele ras białej i żółtej również kiedyś ją posiadali, dawno temu, ale ów „stary czort”, dobór naturalny, również i tutaj przemełł wszystko w swych niepowstrzymanych trybach, bo przetrwanie najlepiej przystosowanych sprawdzało się w cywilizacji równie dobrze, jak i na łonie natury. Tyle że w cywilizacji „najlepiej przystosowani” byli ci chytry, wyrachowani, wyprani z emocji. W zaawansowanych społeczeństwach to właśnie im było dane przetrwać i rozwinąć skrzydła. Więc naturalną koleją rzeczy w ciągu tysiącleci obdarzone „duszą” odłamy tej rasy po prostu wymarły. Jak twierdził Alex, jeśli ktoś chciał dowodów na istnienie takiego procesu, wystarczyło spojrzeć na kształtującą się obecnie wśród czarnych klasę średnią, która już teraz była równie skrzepowana i bezduszna, co ich białe odpowiedniki od niepamiętnych czasów. Na tym etapie Mniszka miała już minę gorliwej uczennicy i łapczywie połknęła także ten koncept – oczywiście, że tak właśnie było, każdy mógłby to zauważyć, ale bynajmniej nie każdy to widział. Nie, do tego trzeba było kogoś obdarzonego szczególnie przenikliwym spojrzeniem.

– Trzeba było *ciebie*, Alex – zakończyła.

Cutter jednak był już z powrotem w Wietnamie, wrócił do tego białasa.

– No, w każdym razie ten kurdupel Oral nie mógł sobie poradzić z Deweyem, taki fenomen po prostu w głowie mu się nie mieścił. Bo młody był nie tylko na poziomie i przystojniacha, ale i jeszcze *przyjazny*. On najwyraźniej naprawdę lubił nas, białych. Zresztą tak samo, jak skośnych, psy, dziennikarzy, no, każdego, normalnie każdego. Myślę sobie, że ten nasz Dewey to był po prostu, kurwa, żywy święty.

Tu Cutter przerwał, żeby zapalić papierosa jedyną ręką, a niekierowane kombi z rykiem mknęło autostradą. Gdy podjął opowieść, mówił bezbarwnym, rzeczowym tonem.

– No i wziął i dupnął ten nasz Dewey. Wdepnął na minę, a spadł już w kawałkach. Co nie było jakimś nadzwyczajnym wydarzeniem, prawdę mówiąc zdarzało się co i rusz. Jednak Oral Roberts Russell po prostu nie mógł się z tym pogodzić, nie odpuścił. Przez kilka dni gadał w kółko jedno i to samo: „Ten dumny czarnuch, ten dumny czarny kutafon”. I tak bez końca, raz za razem, a przez cały czas płakał i nawet o tym nie wiedział.

A potem, równie nagle, przestał. I od tamtej pory specjalizował się w milczeniu. I w zabijaniu. Z dnia na dzień zrobił się z niego najlepszy wojak w plutonie, prawdziwy killer, no, robot. Dziewczyny na rowerach, małe dzieci, dziadkowie i babcie, raz nawet tygrys, zajebicie wielki i śliczny tygrys bengalski... cokolwiek się ruszało i nie było z naszych, dostawało w czapę. I zawsze chciał iść na szpicy, upierał się przy tym. Ale i tak nic mu to nie dało. Nigdy go nawet nie drasnęło. Po prostu żył i zabijał, nietknięty, jak gdyby chroniło go jakieś zaklęcie.

Kiedy skończył, Mniszka wpatrywała się weń lśniącymi oczami.

– Ten Dewey nie był jedynym pięknym człowiekiem w waszym plutonie – stwierdziła.

Cutter udał, że nie rozumiał aluzji. Zajął się zapalaniem kolejnego papierosa.

Tego wieczora Alex oświadczył, że nie zamierza spędzić reszty życia w „najgorszych motelach Zachodu” – „jeszcze zniosę plastikowe meble, ale plastikowe żarcie?” – i zaproponował, żeby całą trójką zmieniali się za kółkiem, jeden prowadzi, reszta odpoczywa lub śpi. Mniszka oczywiście pałała chęcią spełniania wszelkich jego poleceń, więc Bone doszedł do wniosku, że też może się zgodzić. I tak przejechali całą noc i następny dzień, zatrzymując się tylko po paliwo i coś do jedzenia. A Bone stopniowo zaczął tracić to poczucie normalności, dobrego samopoczucia we własnym ciele, które zdawał się odzyskiwać w Needles. Najwyraźniej siedzenia

w tym samochodzie zaprojektowano dla osób średnio wysokich, a nie takich jak on dryblasów, bo nie potrafił znaleźć sobie wygodnej pozycji, odpocząć przez chwilę. Kiepsko mu się spało – zamartwiał się o to, co ich czekało na końcu trasy, zastanawiał się, jaki może mieć wpływ na rozwój wydarzeń. A czasami po prostu leżał sobie i przysłuchiwał się rozmowom Cuttera z dziewczyną, która od czasu do czasu, nader niechętnie opowiadała o sobie jedną czy dwie rzeczy, jak gdyby przyznawała się do pomniejszych wykroczeń. Jak mówiła, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek zdarzyło się jej naprawdę porozmawiać z ojcem, zawsze tylko parę grzecznych słów, próba odnalezienia bliskości, a potem porażka, zażenowanie, milczenie. Nie pocałował jej od podstawówki, nie pamiętała też, by widziała go całującego się z matką, nie licząc bezosobowych cmoknięć na dzień dobry i do widzenia. Twierdziła, że większość czasu wolnego od wiercenia w cudzych zębach spędzał w spowitych mrokiem salach kin porno, gdzie jedną ręką pasł się na prażonej kukurydzy, a drugą przynosił sobie ulgę – Bone z konieczności przyjął, że ten detal Mniszka sobie zmyśliła, bo nie potrafił sobie wyobrazić, by aż do tego stopnia śledziła poczynania ojca.

Dziewczyna wcale nie cieplej wyrażała się o matce, krótkowłosej, bosonogiej przedstawicielce liberalnego skrzydła Demokratów, która wiecznie maszerowała po drogach Doliny Salinas z Cesarem Chavezem* i jego zbieraczami winogron. Wśród jej podopiecznych z opieki społecznej wszyscy Meksykanie i czarni, ofiary „tego cholernego systemu”, byli wymieniani po imieniu, a biali, co do jednego darmozjady, obiboki i palanty, tylko po nazwisku.

* Chavez był aktywistą, walczącym o poprawę losu najemnych robotników rolnych i przeciwko zastępowaniu ich pracującymi na czarno nielegalnymi imigrantami.

Nawet zanim jeszcze rodzice się rozwiedli, rodzina Mniszki wyglądała raczej jak przygodna trójka obcych sobie ludzi. Słowa odmierzano, jakby były płatne, a Mniszka podejrzewała, że to z jej powodu, że gdyby była ładniejsza i mądrzejsza, wszystko ułożyłoby się inaczej. Więc znalazła sobie inne życie – w telewizorze. Przez całe lata najbardziej rzeczywistymi postaciami, jakie знаła, byli bohaterowie serialowych komedii i oper mydlanych. Próbowała inaczej – przez katolicyzm, skauting, YWCA*, czasami nawet z prawdziwymi koleżankami, ale nic z tego nie wyszło, nigdy nie było równie dobrze, jak w telewizji. W podsumowaniu stwierdziła, że jest frajerką, outsiderką, ćwokiem i koniec końców sławetną Dziewicą z Isla Vista. Więc te ostatnie dwa dni były najfajniejszym wydarzeniem w jej życiu. Po raz pierwszy czuła się swobodna, szczęśliwa.

* Odpowiednik YMCA, tylko dla dziewcząt.

Jak można się było spodziewać, wszystko to Cutter potraktował intelektualnym bekhendem, twierdząc, że wina leżała całkowicie po jej stronie, bo przecież tyle jest wokół narkotyków, tylko brać, a do tego nieprzebrane mrowie napaleńców i nawiedzonych pojebów, więc gdyby tylko się nieco przyłożyła, mogłaby być wesołym człowiekiem sukcesu, jak każdy. Parsknęła wtedy śmiechem i już ciszej opowiedziała mu o tamtej nocy, kiedy współlokatorki przywiozły ze sobą Bone'a, a ona niemal oszalała na myśl, że ten facet się z nimi kochał, tak ich za to nienawidziła.

– On jest... no, wiesz.
– Nie, nie wiem – odparł Cutter.
– No, *atrakcyjny*, to chyba dobre słowo. Nawet tak urzęnięty, jak wtedy. A jednak, im dłużej byłam z nim sam na sam, tym bardziej rozumiałam, że nie jest taki, na jakiego wygląda... znaczy, opanowany, poukładany typ, rozumiesz? Mogę ci o czymś opowiedzieć?

– O czym tylko chcesz.
– Był zakochany w Mo. *Twojej* Mo.
– Może i tak, na swój sposób. Ale Mo nie była *moja*.
– Ale przecież ją kochałeś, nie?
– Nie.
– Ale mówiłeś, że miałeś z nią dziecko.
– I co z tego?
– No to po co właściwie wyjechaliśmy w tę podróż? No bo przedtem mówiłeś, że nie możesz już zostać na wybrzeżu, skoro ona spoczywa tam na cmentarzu.
– Ja ją *lubilem* – odparł.

Nagle w głosie Mniszki zabrzmiał lęk, niemal groza: – Nie umiem ciebie zrozumieć.

– To już jakiś początek – odrzekł Cutter.

Gdy znów minęło południe, Bone zaczął podejrzewać, że obecna gadatliwość Cuttera rodziła się z jakiegoś psychicznego przymusu. Przede wszystkim Alex mówił szybciej, dobitniej niż kiedykolwiek wcześniej. Nawet dziwniejszy był *temat*, jaki sobie wybrał. Jedynym, o czym wcześniej starał się nie mówić, było dzieciństwo spędzone w Santa Barbara, ale teraz, niemal tak długo, jak długo zajęło im przejechanie przez Oklahomę, o tym właśnie opowiadał Mniszce.

– Babie lato naszej małej plutokracji – tak nazwał tamte czasy. – Ostatnie dni bogactwa bez winy, kiedy zagłada już wisiała w powietrzu, bo nadchodziły czasy pokolenia, któremu studia opłaciło wojsko...

I opisywał dalej, jak ci nowi nadciągali fala za falą, maniacy posiadania, nuworysze i rynkowi piraci, wszyscy równo pozapinani, w szarych garniturach, zorientowani na jakieś zupełnie dziwne rzeczy, ale tak naprawdę wcale nie tacy źli, szczególnie w porównaniu ze swoim potomstwem, tą żalostną bandą, która teraz wszędzie się rozpanoszyła, uświadomionymi menedżerami i postaciami mediów z fryzurami pod linijkę, wąsikami na matadora, ciuchami z ostatniego zumała, liberalnymi poglądami politycznymi, a nade wszystko, ciągnął Cutter, tymi ich *oczami*, przerażonymi ślepkami, niczym oczy roślinożernego zwierzęcia u wodopaju.

– Patrzą i czekają. I zastanawiają się: Kiedy to się wreszcie stanie? Kiedy nasi biedni, uciemienieni czarni i brązowi bracia w końcu ruszą przeciwko nam?

Głównie jednak opowiadał Mniszce o przeszłości, próbował tę nostalgię minimalizować, wykpiwać, ale ciepłe, sepiowe tony i tak zdołały prześlizgnąć się bez uszczerbku: długie dni w niezatłoczoną jeszcze, pięknym nadmorskim miasteczku, piękny stary dom ocieniany przez chilijskie palmy i sykomory, ogrodnicy, służba, stajnie, basen, kort tenisowy, ogrodowe meble z bielonej wikliny, goście ubrani w organdyne czy garnitury z Palm Beach, a niektórzy nawet jeszcze wtedy przybywali konno. Dalej mecze polo oglądane z dachów masywnych packardów i cadillaców o biało-czarnych oponach, których woskowane blachy lśniły w nadmorskim słońcu. Wieczne żeglowanie na kolejnych jachtach, które ojciec ciągle kupował i sprzedawał, jak gdyby poszukiwał platońskiej *idei* łodzi, ale na wszystkich z nich Alex doznawał tych samych, cudownych uczuć: aromatu drewna, płótna i morskiej bryzy, słonych bryzgów nieskażonych jeszcze ropą.

Były niedzielne obiady w klubie towarzyskim i równie regularne kolacje w hotelu Buonore, tym wciąż jeszcze soczyście pięknym pałacu w stylu saraceńskim, rozciągniętym nad brzegiem Pacyfiku, gdzie Bone spędził kiedyś w bungalowu trzy dni z rozwódką z Seattle, której imienia nie potrafił sobie już teraz przypomnieć. Cutter jednak bez najmniejszych problemów wracał wspomnieniami do tych niedzielnych kolacji, bo w sferach, do których należeli jego rodzice, było to jak suma w kościele: wielka jadalnia z masywnymi drewnianymi belkami pod sufitem, kelnerzy, którzy byli niemal jak starzy przyjaciele, tylko jeszcze w dodatku *usłużni*, a do tego i muzyka, szeroko otwarte drzwi na dziedziniec, gdzie pary wirowały statecznie do utworów granych przez ośmioosobowy zespół, głównie Meksykanów, a wszyscy byli tacy szczęśliwi – Cutter twierdził, że wszyscy uśmiechali się równie radośnie, co kelnerzy, młodszy pomocnicy i kierownik sali.

– To były cudowne dni – ciągnął. – Piękne czasy. Przynajmniej piękne dla nas. Wtedy świat był naszym placem zabaw, a ten cudowny kawał wybrzeża mieliśmy tylko dla siebie. I nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Pewnie wydawało mi się, że tak już zawsze będzie, że to życie nigdy się nie skończy. Otóż skończyło się. Zupełnie tak samo, jak dla Canalinos, tego szczepu Indian, który zamieszkiwał te ziemie, kiedy jeszcze Hiszpanie siedzieli u siebie w Kastylii i palili się nawzajem na stosach. Wszystko się zmienia.

- Parmenides, tak? – podsunęła Mniszka.
- Tobie też by się przydało – odparł.

Bone prowadził forda przez resztę popołudnia i cały wieczór, i choć czasami przysłuchiwał się rozmowom Cuttera z dziewczyną, najczęściej jednak pogrążony był we własnych rozmyślaniach, a te ściekały w najgłębsze zakamarki jego umysłu, niczym stęchła woda. Wciąż miał poczucie straty i winy, dręczyła go też obawa przed tym, co ich czekało i co on sam miał począć.

Wkrótce mieli już wjechać do Missouri, a to oznaczało, że najprawdopodobniej przed północą dotrą do rodzinnego miasteczka Wolfe'a. I ta perspektywa przerażała Bone'a. Czuł, że gdyby tylko mógł jaśniej odczytać intencje Cuttera, potrafiłby wymyślić jakiś sposób wyjścia z tej sytuacji. Jak zwykle jednak, wszystkim, co otrzymał, były rojenia i zamęt. Podejrzewał nawet, że sam Alex nie wiedział już, która wersja była prawdziwa: Cutter mściciel, udręczony śmiercią żony i syna, którego kochał niemal nie do wytrzymania, czy też weteran wojny, wyprany z uczuć do tego stopnia, że równie dobrze mógłby utracić parę psów, a może jednak spokojny, uparty szantażysta, który po prostu chciał spędzić stare lata na Ibizie.

Bone przypuszczał, że ten ostatni wariant mógł skreślić. Co do pozostałych dwóch, instynkt podpowiadał, że oba wchodziły w rachubę, a faktyczny stan umysłu Cuttera plasował się zapewne gdzieś pomiędzy. W ciągu tych trzydziestu paru godzin od wyjazdu z Needles Bone skorzystał z każdej nadarzającej się okazji – a nie było ich wiele, kiedy Mniszce udało się zasnąć albo wysiadła na parę minut, by rozprostować nogi czy odwiedzić toaletę – żeby wyciągnąć z Cuttera coś więcej o tym, co się wydarzyło w Los Angeles i później. I choć wypełnił w ten sposób dobrych kilka luk, nic, co usłyszał, nie zmieniało całości sprawy. Jak się okazało, kiedy w Needles Cutter mówił „oni”, chodziło tylko o jednego faceta, typa nazwiskiem Pruitt, specjalnego asystenta Wolfe'a, czy coś w tym stylu. Temu właśnie człowiekowi Alex przedstawił się jako naoczny świadek zbrodni – „*nad wyraz poważnej*

zbrodni” – popełnionej w Santa Barbara tej nocy, kiedy doszło do podpalenia samochodu milionera. Cutter oświadczył Pruittowi, że dysponował informacjami „dotyczącymi pana Wolfe'a, które będą dlań nader cenne” – lecz Wolfe będzie musiał wysłuchać ich bezpośrednio od Cuttera. Pruitt był bardzo milkliwy, pod wrażeniem tego, co usłyszał, a kiedy Cutter podał mu numer telefonu i nazwę hotelu, w którym przebywał, a w końcu, beztrudno, także i nazwisko, bardzo starannie sobie te wszystkie dane zanotował. A potem powiedział te kluczowe słowa: skontaktują się z Cutterem, *prześlę mu wiadomość*. Była mniej więcej jedenasta rano – akurat o tej porze Bone łapał stopa do Santa Barbara. Zatem teoretycznie było dosyć czasu, by Wolfe i jego sługusi poznali domowy adres Cuttera i tam zadali cios, w rodzinę, a nie bezpośrednio w niego, unikając w ten sposób ryzyka, że świadek zostawił po sobie list zaadresowany do adwokata czy prokuratora. Cała historia miała więc znamiona prawdopodobieństwa. Jeśli się tylko chciało, można było ulepić scenariusz obejmujący podpalenie, podwójne morderstwo i zastraszanie świadka. A dla Cuttera kolejnym dowodem na prawdziwość takiego scenariusza była reakcja Valerie na wieść o pożarze i śmierci Mo oraz malca. Po tym, jak Bone zadzwonił z Santa Barbara, Valerie praktycznie się rozsypała. Cutter musiał spakować ich oboje, wymeldować się w recepcji, i to on prowadził forda pinto w drodze powrotnej do Santa Barbara. A ona niemal przez całą drogę ryczała na siedzeniu obok, dygocząc i powtarzając w kółko, że Cutter nie powinien był podawać im swojego nazwiska i że ona już się z tego wycofuje, nie ma zamiaru więcej zadzierać z J. J. Wolfe'em.

Bone zdziwił się, słysząc, że Valerie najwidoczniej także dostrzegła związek między śmiercią Mo i dziecka a próbą zaszantażowania Wolfe'a. Równie wielkim zaskoczeniem był dlań jednak ton, w jakim Cutter mu to relacjonował – podobnie, jak i całą resztę: z pewną dozą ironii, paraboli, jak gdyby stawiał Bone'owi wyzwanie, by nie uwierzył w tę historię. I Bone to wyzwanie podjął. Nadal uważał, że ten scenariusz był w najlepszym wypadku teoretycznie prawdopodobny. Cóż, Richard oczywiście miał tę przewagę, że spędził z Mo ostatnie popołudnie i wieczór. Tylko on wiedział dokładnie, jak bardzo zdołowana wtedy była i jak głęboko sam jeszcze ją dodatkowo wkopał. Nie potrzebował zatem żadnych historii z księżyca. Wystarczała mu prozaiczna rzeczywistość, i to z nadstatkiem. Mimo wszystko jednak nie potrafił opanować dreszczu zgrozy, kiedy tak jechali przez noc, a droga zaczęła się wić pomiędzy wzniesieniami gór Ozark. To, czego bał się najbardziej, tkwiło w nim samym, w jego umyśle: przeświadczenie, że J.J. Wolfe faktycznie

mógł być tym mężczyzną, którego owej nocy spostrzegł na podjeździe. A tymczasem właśnie jechał w jego rodzinne strony, zmierzał ku konfrontacji, która mogłaby go w tym przeświadczeniu utwierdzić, uczynić zeń niezaprzeczalny fakt. Zastanawiał się, co by zrobił w takiej sytuacji.

11.

Motel Longview, co oznaczało daleki widok, z restauracją i barem znajdował się faktycznie na szczycie wysokiego wzgórza. Nie licząc biegnącej obok dwupasmówki i rozsianych po okolicznych wzniesieniach i dolinach światełek paru ferm, była to jedyna oznaka cywilizacji wśród chłostanych nocnym deszczem gór Ozark, a i to słabo widoczna. W neonowym znaku świeciło się tylko słowo MOTEL, zarząd lokalu oszczędzał też na prądzie, wyłączając oświetlenie parkingu, ba, nawet napis reklamujący wolne miejsca był wygaszony. Mimo to jednak Bone, Cutter i Mniszka zdołali wynająć dwa sąsiednie pokoje i o wpół do dwunastej dziewczyna już słodko spała w swoim łóżku, gdy tymczasem mężczyźni opuścili „numer” i poszli do baru na krótki wypad, parę drinków na dobranoc.

Bone nie był zachwycony tym pomysłem. Ten motel i bar, nie wiedzieć czemu, tylko potęgowały dręczący go niepokój. Choć sam budynek nie był nowy – murarka z pustaków i wnętrza wykończone udającym drewno plastykiem wyraźnie miały już swoje lata – motel wydawał się dziwnie nieużywany, jak gdyby ludzie, którzy nim kierowali, pracowali tu czy też przez wszystkie te lata zawitali tu jako goście, nie pozostawili żadnego śladu, żadnych namacalnych oznak swej bytności. Na przykład, cały kompleks był niemal zupełnie pozbawiony dekoracji. Na jego nieskałanych ścianach nie było ani jednego zdjęcia, obrazka czy innej dupereli, żadnych rybackich sieci, łosiowych łbów, dyplomów sportowych czy choćby starych kalendarzy – nic, poza elementami samej konstrukcji: pustaki, sklejka, plastik i aluminium. Nawet personel tylko pogłębiał ten sterylny nastrój. W jadalni za organami marki Wurlitzer siedział gość, który wyglądał kropka w kropkę jak telewizyjny kaznodzieja Billy Graham za młodu, i w iście pogrzebowym tempie plumkał „Herbatkę dla dwojga” dla trzech stolików zapóźnionych konsumentów, którzy patrzyli nań jak jeden mąż z wolimi ze szczęścia ślepiami, najwyraźniej zadowoleni, że ociężałe dłonie organisty wybawiły ich od konieczności rozmawiania ze sobą. Kobiety były przygrube i starały się zadawać szyku aż do przesady – ich wykwintne koafiry w stylu Króla Słońce strasznie mocno kontrastowały z krótko przystrzyżonymi czuprynami mężczyzn, szczuplejszych, ogorzałych i jarzeniowych dzięki

nabytym w dyskoncie zestawom sportowych kurtek i workowatych spodni. Kellnerka, jak się okazało, roznosiła również drinki, a jako barman dublował facet, który pół godziny wcześniej w recepcji wpisał Bone'a i Cuttera do rejestru gości motelu.

Widząc ich razem, Alex rzucił do Bone'a: – Jak z tego obrazu „Amerykański Gotyk”*, tylko widel im brakuje do kompletu.

* Pędzla Granta Wooda, namalowany w 1930.

A Bone mógł tylko przytaknąć. Znudzona para w średnim wieku, emanująca dokładnie taką samą aurą ponurej, urażonej władzy. Bone przypuszczał, że to właściciele tego przybytku, mąż i żona, martwe dusze odpowiedzialne za bezduszny charakter lokalu.

Przy barze poszedł w ślady Cuttera i zamówił sobie szkocką, podwójną, bo nie zamierzał zbyt długo tu siedzieć. Choć była sobotnia noc, bar niemalże świecił pustkami – tylko dwóch starszych facetów przy kontuarze i trzech młodych kowbojów, którzy zajęli sobie stolik i pili piwo prosto z butelek. Dwaj mogliby statystować w filmach, wodewilowe oprychy, wywalili buty na krzesła, a głowy odchyliły do tyłu, by móc obserwować świat spod opuszczonych rond kowbojskich kapeluszy, przepisowo mrużąc oczy w dymie szpanersko przyklepionych do warg papierosów bez filtra. Jednak to ten trzeci sprawił, że Bone zrezygnował z zajęcia miejsca między Cutterem a jednym ze staruszków i usadowił się przy narożniku kontuaru, naprzeciwko Alexa. Dzięki temu nie musiał siedzieć plecami do tych trzech i głowić się, jak zareagują, kiedy Cutter zacznie swoje tradycyjne barowe szopki – a szczególnie nie chciał odgadywać zamiarów tego trzeciego typu, bo nie wiedzieć czemu miał odczucie, iż nie zawadzi mieć na niego oko. Może dlatego, że facet nie pajacował, jak tamci dwaj, ale po prostu siedział sobie z gołą głową, zrelaksowany, niemal uprzejmy – gdyby nie jego wzrok, spojrzenie jeźdźca z rodeo taksującego kolejnego rogatego wierzchowca.

Kiedy barman zaserwował im drinki, Cutter wyszczerzył się doń jak ostatni wsiok.

– Sobotnia noc na peryferiach, co? – zagadnął.

Tamten sztywno skinął głową. – Ano, faktycznie dziś sobota.

– Ano jest – Cutter obrócił się do Bone'a: – Słyszałeś? Miałem rację, tutaj sobota przypada właśnie dziś.

Barman zbystrzał, zaczął strzelać ślepiami od opaski na oczodole Cuttera do supła zawiązanego na pustym rękawie.

– Jak się nazywasz, koleś? – zapytał go Alex.

– Pan Morgan.

Cutter uśmiechnął się, jak gdyby właśnie usłyszał doskonale wieści.

– A niech mnie diabli... *Pan Morgan*, he? Pewnie pamięta nas pan z recepcji. Jestem *pan Cutter*, a tam dalej siedzi *pan Bone*. Przyjechalim tu w interesach.

Tytułem odpowiedzi Morgan odwrócił się i zaczął ostentacyjnie myć szklanki do piwa. Cutter jednak parł dalej, niezrażony.

– Co to za hrabstwo, panie Morgan?

– Rock.

– Więc główne miasto to Rockhill?

– Aha. Milę stąd, pół mili od drogi głównej.

– Ach, więc to dlatego je minęliśmy.

W rzeczywistości przejechali przez to miasto wśród potoków deszczu, okrążyli główny plac z ciągnącymi się wokół starymi, murowanymi sklepami i zadaszonymi chodnikami, wychodzącymi na nieduży, zapuszczony budynek sądu. Wszędzie wisiały kokardy i tablice witające przybyłych na festyn z okazji czegoś zwanego Dniem Banku. Przy wychodzącej z placu ulicy rozłożyło się wędrowne wesołe miasteczko, szczelnie zamknięte przed deszczem.

– Po drodze nie zauważyliśmy żadnego innego baru – rzucił Cutter w stronę Morgana. – Ma pan w hrabstwie monopol?

– Skąd. Przed granicą stanu są dwie knajpy z piwem i jeszcze jeden motel. Tam też mają bar.

– Więc w tym hrabstwie nie za wiele się pije.

– Ale nie mało.

– Co, ludzie przeważnie lutują po domach?

Morgan mruknął, że nie rozumie tego słowa, więc Cutter mu zademonstrował, podnosząc dłoń, jak gdyby opróżniał kieliszek. Barman miał już jednak dosyć. Znów się odwrócił, wciąż ściskając ścierkę, i zaczął pucować kasę. Tymczasem starszyszek siedzący bliżej Cuttera pochylił się ku niemu.

– Tutejsze ludzie głównie chodzą do kościoła – powiedział. – Mówimy na nich „środowi”.

– Jak rozumiem, pan nie z takich – odrzekł Cutter.

– *Ja?* A skąd, do czorta. Zresztą nasz stary Charlie też nie – dziadek wskazał Morgana za kontuarem. – Już nie. Skończyło się, kiedy tu sobie dobudował ten wodopój.

– Znaczy się, wykopali go z hukiem, tak?

– Ano, powiedzieli temu Szatanowi, żeby w cholerę precz od nich odszedł! – staruszek zarzął donośnie, a Morgan sztywno wyszedł z baru, prawdopodobnie do recepcji, szukać tam utraconej godności.

Kiedy już go nie było, Bone powiedział Cutterowi, że nie byłoby głupio przytknąć się już i dopić swoje. Alex jednak poklepał go po dłoni.

– Nie bój nic, mamuśka – odparł. – Jeszcze po lufie i dobranoc. Rzucimy monetą, kto będzie miał dziś w nocy okazję zgwałcić naszą Mniszkę.

Bone zauważył, że siedzący za Cutterem trzej kowboje wciąż się im przyglądali, lecz teraz inaczej. Statyści pracowicie szturchali się nawzajem i popatrywali po sobie w komicznym zadziwieniu, ten trzeci siedział jednak dokładnie tak jak przedtem, z tym samym wyrazem twarzy. Więc Bone zamówił kolejnego drinka, zapalił papierosa i żałował, że nie wierzy w potęgę modlitwy.

Po paru minutach Morgan z godnością powrócił do baru, zajmując stanowisko za kontuarem. Cutter natychmiast pchnął w jego stronę pustą szklaneczkę.

– Jeszcze jedną, mój dobry człowieku – zażądał.

Gdy Morgan podniósł szklanę, Alex zapytał go, czy nie zna czasem niejakiego J.J. Wolfe'a. Barman niechętnie przytaknął.

– Gruba ryba, co? – naciskał Cutter.

– Można by tak rzec.

– Dużo spędza tu czasu? Czy tylko tak, przyleci i wyleci?

– Bo ja wiem.

– A ja wiem – wtrącił staruszek. – A na co ci się z nim spotkać, młody?

– A, tak tylko, chcieliśmy do niego zajrzeć i kupić trochę krów – rzucił Cutter.

– Tak sobie myślałem, że wpadlibyśmy jutro na jego ranczo i rzucilibyśmy okiem na jakieś lepsze okazy.

Staruszek prychnął śmiechem. – Jutro niedziela, młody! A do tego Dzień Banku.

– Co, jakaś większa impreza?

– Nasz coroczny jubel. Będzie parada, pikniki, a przez dwie noce także i wesołe miasteczko. Powinno być wczoraj i dziś, ale przez te ulewy przesunęli.

Ponoć w kościołach nie byli zachwyceni... że w dzień święty będą szopki... ale coś mi się widzi, że nie będą głośno pyskować. Bogiem a prawdą, pewnie dostają od tego swoją dolę.

Cutter zapytał go, co to takiego ten cały dzień banku, i dziadek znów się roześmiał. Bez dwóch zdań był w świetnym humorze.

– No, ten tutejszy zaczął się od napadu – odparł. – Hen, w dziewięćdziesiątym siódmym, nawet mnie jeszcze na świecie nie było. Przyłapali w banku trzech rewolwerowców, miastowi okrążyli ich ze wszystkich stron, każdy jeden uzbrojony i zawzięty. No, panie, jak się skończyło, było pięć trupów: ci trzej i dwaj nasi. Prawie taka masakra, jak z bandą Daltonów w Coffeyville. Ano, panie, największe wydarzenie w dziejach Rockhill.

– A, cholera, a mnie się wydawało, że to by były urodziny J. J. Wolfe'a – zdziwił się Cutter.

– E, nie, on jest drugi. Na jego cześć nie robią parad, o ile wiem. Choć fakt faktem, zawsze prowadzi tę na Dzień Banku.

Cutter zapytał, czy i tę jutrzejszą będzie prowadził.

– No, jak nic, jeśli tylko jest w domu.

– No to najlepiej będzie, jeśli spotkamy się z nim z samego rana, jeszcze przed paradą.

Bone zauważył już, że za każdym razem, kiedy Cutter wzmiankował o Wolfe'ie, Morgan zerkał niespokojnie na kowbojów przy stoliku, a raczej na tego ujeżdzacza byków.

– No kurde, przecież nie musita rozmawiać z samym Wolfe'em, żeby kupić od niego krowy – stwierdził stary. – Na tym jego ranczo pracuje tyłu chłopów, że prawie się o siebie potykają. Ba, przecież teraz są tu trzej z nich, w tym szef zmiany. Weźcie i jego zapytajcie.

Cutter jednak najwidoczniej nie zważał na słowa staruszka, zapytał go bowiem, jak z motelu dojechać na ranczo. W tym momencie ujeżdzacze w końcu ruszyli się z miejsca – rozprostowali nogi, wsunął w usta papierosa.

– A kto sie tam pyta? – zaciągnął, zapalając papierosa.

Cutter wbił wzrok w sufit, jak gdyby właśnie dobiegł go głos z niebios.

– A niech mnie! – rzucił do Bone'a. – Słyszałeś coś?

Kowboj cierpliwie powtórzył pytanie. – Kto tam się pyta o drogę?

A Cutter uśmiechnął się szeroko, namierzywszy w końcu źródło dźwięku.

– A któż to *sie* pyta, kto sie tam pyta o drogę? – odparł.

Jeden z pozostałej dwójki zerwał się na nogi, odpychając krzesło, szykując się do bitki. Ujeżdżacz powstrzymał go jednak, samym spojrzeniem.

– Spokojnie, Sam – rzucił. – Facet stara się udawać śmiesznego, i tyle. Pewnie taki ma sposób, żeby znajdować przyjaciół. Więc chyba też potraktujemy go przyjaźnie.

Uśmiechnął się do Cuttera i Bone'a. – Ja jestem Billy. A wy?

– Humperdinck – powiedział mu Cutter. – Engelbert Humperdinck*.

* Piosenkarz ery disco.

Ten, na którego wołali Sam, udał, że się śmieje. – Ależ z niego zgrywus, Billy.

– Ano straszny – przytaknął ujeżdżacz. – Zgrywus, co chce kupować bydło, ot co. Więc powie mi pan może, panie Humperdinck... które z importów pana Wolfe'a pana interesują?

– Jakich znowu importów? – zdziwił się Cutter.

– Jakich importów! – Billy, szczerząc zęby, obrócił się do swoich towarzyszy.

– Jak boga noga, chłopaki, coś mi się widzi, że nasz pan Humperdinck zna się na bydłe jak świnię na gwiazdach.

Cutter spojrzał na Bone'a i wzruszył ramionami. – Cóż, chyba zgrzeszyłem niewiedzą.

– Też mi niespodzianka – mruknął Bone.

Billy zabrał się za tłumaczenie: – Rozchodzi się mnie o to, czy chce pan kupić bydło rasy Limousin, Simentaler bądź Charolais, czy tylko jedną z tradycyjnych angielskich ras mięsnych?

Żeby zniwelować efekt fachowego słownictwa, Billy zaciągał jak komediowy kowboj, zgrywając wsioka. Bone jednak nie dał się nabrać, w inteligentnych, bystrych oczach tamtego widział, że to żaden kołek, że Cutter nie zbił go z tropu ani nie wyprowadził z równowagi.

– Myślałem bardziej o czymś w typie pekińczykowatych – odparł Cutter. – Są takie u Wolfe'a?

– Nie. Za mała rasa. No i bardzo mało dają mleka, naprawdę malutko.

– A może autodafé? – indagował dalej. – Szefer w ogóle próbował z takimi?

– Nie. Chociaż bywa, że robimy je na barbecue... Obawiam się, przyjacielu, że trafiłeś pod zły adres.

Cutter znów zwrócił się do Bone'a: – Strasznie przyjazne tu ludziska, nie?

Bone poradził mu, żeby się zamknął, na co Cutter, udając obrażonego, odął wargi.

– Nigdy nie wierz koledze – stwierdził.

Billy wstał, podszedł do wieszaka przy drzwiach i wziął swój kapelusz. Morgan zapytał go, czy nie ma ochoty na jeszcze jedno piwo, ale pokręcił głową.

– Nie, Charley, widzi mi się, że już nam wystarczy – powiedział.

Cutter nie mógł przepuścić takiej okazji. – Widzi mi się, że już pora kopnąć się nazad na ranco, co, mały Billy?

Ten, na którego wołali Sam, poradził Cutterowi, by nie podskakiwał. Billy, który przy kontuarze regulował rachunek, gestem dał mu jednak do zrozumienia, że awantura nie ma sensu.

Cutter nie zamierzał jednak odpuścić. – Ano ano, pora wrócić, panie, do corralu, na nockę w barłogu ze starą Mućką. Znajdzie się otwór dla każdego kowboja, a dla Billy'ego największy...

Billy smętnie pokręcił głową. Zebrał z baru resztę i podszedł do Cuttera. Zatrzymał się przy wolnym stolku obok i stał tam przez kilka chwil, kręcąc siedziakiem.

– Humperdinck – odezwał się w końcu – mógłbym panu udzielić pewnej drobnej rady?

– Wał śmiało, młody Billy.

I ten ciągnął dalej, bez emocji: – Więc przede wszystkim wygląda na to, że życie już dosyć na pana nasrało... więc na pana miejscu dałbym sobie spokój z pakowaniem się w gówno. A już szczególnie nie chciałoby mi się chodzić po barach w tej okolicy i robić sobie zbytki z miejscowych.

– Gdzieżbym śmiał.

– To dobrze. Bo widzisz pan, większość miejscowych to swojskie chłopaki, znaczy się trochę im głupio wyjść z domu bez załadowanego stelażu na broń w pickapie. A przeważnie głowę mają nawet słabszą niż pan. Więc mógłbyś się pan wpakować w nieliczne tarapaty, Humperdinck. Jak malowanie.

Bone czuł więcej niż ulgę – doznawał wręcz przyjemności. Widział, że Cuttera gryzie frustracja. Alex nie przyszedł tu po szczerze, przyjacielskie rady, i nie potrafił sobie z nimi poradzić.

A jednak spróbował, obracając się ku Bone'owi i gruchając: – Jejku, czyż ten pan nie jest strasznie milusi?

Billy'ego jednak nie dało się zbić z pantafyku. – Skoro już przy tym jesteśmy, Humperdinck, może tak zapytaj pan samego siebie, po co właściwie stroisz te żarty?

Jaki to ma sens? No bo przecież to i tak niczego nie zmieni, nie zrośnie się pan z powrotem do kupy. Nic na to nie pomoże, w życiu.

I w końcu Cutterowi zabrakło ripost. Po prostu siedział tak, patrząc tępo przed siebie, nie pijąc, gdy Billy machnął na pożegnanie najpierw jemu, potem Morganowi i dwóm starszkom. W końcu wyszedł, a dwaj pozostali kowboje ruszyli za nim, zachowując odstęp dowodzący respektu.

Przez jakiś czas w barze panowała iście muzealna atmosfera. Starsi panowie dwaj gapili się w swoje drinki, a Morgan z dumą podziwiał rząd świeżo umytych i wytartych szklanek do piwa. Cutter również milczał. A Bone'owi nie przychodziło do głowy nic, co mógłby powiedzieć, żadne zgrabne kłamstwo, które skontrowałoby brutalną prawdę obwieszoną przez kowboja. W końcu Cutter dopił drinka. Rzucił na bar banknot dwudziestodolarowy i powiedział Morganowi, że chce butelkę Johnny'ego Walkera, Red Label. Na wynos.

– Jakoś trzeba przetrwać szabas – wymamrotał.

Morgan dał mu butelkę, zabrał banknot i przyniósł resztę, ani przez chwilę nie patrząc na Alexa. A ten wyszedł, nie czekając na Bone'a.

Nim Richard wrócił do pokoju, niepokoje i obawy, które go dręczyły, uschły już i przeobraziły się w rezygnację. Cutter po prostu nie umiał opanować własnej brawury. Przez niego obaj skończą martwi, okaleczeni albo przynajmniej w pierdłu, i Bone nie mógł nic na to poradzić, co najwyżej mógłby od niego uciec, ale wiedział, że tego nie zrobi. Tkwił w pułapce. Jak w sidłach. Podejrzewał, że czuł się podobnie jak żołnierz w noc przed szturmem na jakąś parszywą plażę, niemal równie bezsilny i wkurzony na cały świat.

Więc kiedy szykował się do łóżka, nie był specjalnie towarzyski ani gadatliwy. Cutter wciąż proponował mu łyka z kupionej butelki szkockiej, a on ciągle odmawiał. Powiedział, że pragnie tylko snu, no i może odrobiny ciszy, jeśli Cutter podola tak wielkiemu żądaniu. Alex zmarszczył brwi, odparł, że się postara, bo zawsze chętnie podejmuje wyzwania.

Kiepsko mu jednak wyszło z tym staraniem. Gdy Bone zgasił światło i położył się do łóżka, Cutter z miejsca rozsunął zasłony na przeszklonej ścianie frontowej pokoju. Następnie klapnął na stojące tam plastikowe krzesło i zaczął wykonywać kotyśankę Brahmsa w wersji murmurando. A Bone, choć bardzo chciał mieć w sobie choć jeszcze krztę figlarności, by docenić komiczny absurd sytuacji, znalazł tylko znużenie, które wkrótce nagrodziło go snem.

Nie miał pojęcia, jak długo trwał ów pierwszy sen – zapewne nie więcej niż godzinę, miał bowiem wrażenie, że niemal natychmiast zaczął słyszeć ów dziwny dźwięk, niemal nieludzkie zawodzenie, jak skowyt uwięzionego gdzieś zwierzęcia, rannego, może konającego. Otepiały, przez dłuższą chwilę szukał źródła tych odgłosów, nim zdołał je zlokalizować: to Cutter, wciąż ubrany, stał w oknie, przyciskając twarz do szyby, a na zewnątrz wciąż lał deszcz, bębniąc o zaparkowane za chodnikiem auta. Dopiero gdy Bone zdołał usiąść na łóżku, zauważył rysunek na szkle, zmatowiałym od pary oddechu Alexa: planszę do gry w kółko i krzyżyk, wypełnioną samymi zerami.

Bone opuścił nogi na podłogę i po omacku zaczął szukać papierosów.

– Co jest, staruszkę? – zagadnął. – Brzuszek boli?

Cutter chwiejnie odszedł od okna, znów opadł na to plastikowe krzesło. – Chyba jestem pijany – przyznał.

– Pewnie tak.

– Ale masz rację, Rich... boli mnie. Poważnie, boli.

– Więc może położysz się spać?

– Gdyby to mi pomagało, już bym leżał.

– Nie pomaga, co?

Cutter pokręcił głową i spojrzał na butelkę, stojącą na stole obok. Zniknęła z niej już trzecia część zawartości. Zaczął po nią sięgać, ale rozmyślił się, pozwolił ręce opaść. Znów zaczął kręcić głową, raz w jedną, raz w drugą stronę, jak zwierzę oceniające kraty klatki, w której tkwi.

– Czułeś się kiedykolwiek podzielony? – zapytał w końcu. – Znaczy, jak gdybyś był rozszczepiony, jak jakaś cholerna dżdżownica przecięta na pół, i te dwie części wiły się po omacku, szukając siebie nawzajem, żeby znów stworzyć całość?

Bone milczał. Chciał jakoś odpowiedzieć, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów, a bał się posłużyć tymi niewłaściwymi.

– Jestem przerażony, Rich – ciągnął Cutter. – Trafiłem Bóg wie gdzie i nie wydaje mi się, że bym tym razem zdołał wrócić.

– A skąd chcesz wracać?

– Nie wiem. Chyba w tym właśnie problem. Jestem Bóg wie gdzie, i to sam. I nie wydaje mi się, że bym zdołał wrócić.

Bone postanowił skorzystać z okazji. – Możemy wyjechać już tej nocy, Alex. Choćby teraz. Spróbujemy w jakimś większym mieście, gdzie mają dobrych lekarzy. Porządny szpital.

- A może po prostu aspirynka? Albo plasterek?
- No dobra, żadnych lekarzy, żadnych szpitali. Więc co? Co jeszcze zostaje? Cutter spróbował się uśmiechnąć. – Może jeszcze Bóg.
- Może i tak.
- Ale z drugiej strony, może i nie.

Bone zaciągnął się papierosem, wydmuchnął dym. Próbował nie spoglądać na Cuttera, nie gapić się na niego, bo miał wrażenie, że Alex uległ pewnej nieznaczej, ale nieodwracalnej przemianie w ciągu tej minionej długiej, nieznannej godziny, gdy Bone spał, że przekroczył jakąś ostateczną granicę i znalazł się na specyficznym, zupełnie *odmiennym* terytorium, którego Bone nie znał ani nie potrafił tam dotrzeć, i obaj dobrze o tym wiedzieli.

- Powiedz, co mam zrobić – odezwał się Bone. – Cokolwiek. Zrobię to.

Cutter sięgnął w końcu po butelkę i pociągnął łyk. Kiedy skończył, ustawił flaszkę między udami.

- Już nic – stwierdził. – Nic nie możesz zrobić, przyjacielu.
- Mógłbym ci zabrać butelkę.

Alex pokręcił głową. – Nic a nic nie pomoże. Wciąż będę tutaj. A ty wciąż byłbyś tam.

- Moglibyśmy sobie pospać.

Cutter znów spróbował się uśmiechnąć. – Ba, nieszczęsny frajerze, masz problemy, a nawet o nich nie wiesz.

- Jakie na przykład?
- Takie, że mi zaufałeś. Uwierzyłeś mi.
- W co uwierzyłem?
- No, nie wiem, może lepiej, żebyś nie wiedział.
- O czym?

- Nawet nie chcesz wiedzieć, Rich. Uwierz mi na słowo.

- Może ja to osądzę?

- Lepiej nie.

- Twoja sprawa.

– No, ale z drugiej strony sędzę, że powinienem ci powiedzieć. No, bo tak jest słusznie, to moralnie prawidłowe. A jeśli nie zrobię tego teraz, kiedy jestem skutyy... to zapewne nigdy już tego nie zrobię.

- Cierpliwość Bone'a była już na wyczerpaniu. – Więc mów.

– Dobra. Więc tak naprawdę chodzi o to, że nie jestem do końca pewien, co my właściwie tutaj robimy.

- Mógłbyś mi to wyjaśnić?
- Słyszałeś te gadki o facetach, którzy kłamali tak długo, że w końcu uwierzyli we własne łgarstwa?
- Owszem.
- No to ja chyba jestem jednym z nich.
- O czym kłamałeś?
- O Wolfe'ie.

Przez parę chwil Bone po prostu milczał. Już słysząc tę brutalnie krótką odpowiedź, miał wrażenie, że wie, do czego zmierza Cutter. Teraz jednak nagle go to przerosło, sprawa stała się nadto wstrząsająca, by wysłuchać całej opowieści tu i teraz, kawa na ławę, koniec i kropka. A jednak nie miał wyboru.

– Znaczy co, rozmyśliłeś się? – zapytał. – Już nie wierzysz, że Wolfe kazał zabić Mo i małego?

Cutter pokręcił głową.

– Nie, chodzi mi o całokształt. Znaczy, już chyba nie wiem, co się tak naprawdę stało. No, wydaje mi się, że pamiętam, co się wydarzyło w Los Angeles po twoim wyjeździe. I wiem, co potem opowiedziałem Valerie i tobie... dwie różne rzeczy. Wydaje mi się jednak, że od tamtej pory wszystko to mi się pomieszało, tak że już nie potrafię dostrzec różnicy. No bo w przeciwnym razie czemu mielibyśmy tu przyjeżdżać? Czy miałyby to jakikolwiek sens?

Bone zgasił papierosa, zapalił następnego. Ze wszystkich sił starał się zachować spokój, utrzymać nerwy na wodzy, póki nie usłyszy prawdy. Napięty mięsień żuchwy zaczął wibrować, ale uspokoił go dotknięciem dłoni, bez emocji, jakby masował twarz.

– Los Angeles... – podjął. – Co się tam faktycznie stało, Alex?

Cutter znów się uśmiechnął. – W tym właśnie problem... Już nie jestem pewien.

- Ależ oczywiście, że jesteś.
- Poważnie?
- Przecież tam byłeś, facet. Po prostu opowiedz wszystko. Dokładnie tak, jak się działo.

– W czasie i przestrzeni, he?

– Właśnie tak. W nudnym układzie współrzędnych.

Cutter wzruszył ramionami z lekką rezygnacją.

– No, może faktycznie uda mi się jakoś to porozdzielać, podejść do sprawy jak w starych szkolnych czasach. Niech pomyślę... wersja pierwsza. Po staremu, tylko czas i przestrzeń. Więc zobaczymy... no, był ten koleś nazwiskiem Pruitt, tego nie

zełgałem. A przynajmniej tak pamiętam. Tyle że Pruitt nie był żadnym tam asystentem prezesa, nie... zwykły dzieciak z biura, i tyle. Szczaw. Zero. Próbowałem mu wyjaśnić, po co przyszedłem, o co nam chodzi, ale równie dobrze mógłbym gadać do dystrybutora z wodą. On tylko kiwał tym swoim durnym łbem i patrzył na mnie, jak gdybym urwał się z kosmosu, albo z noclegowni dla włóczęgów. A kiedy już skończyłem, typ dał mi zatemperowany ołówek i formularz wniosku o przyjęcie do pracy, i powiedział, żebym wypełnił druczek i oddał go dziewczynie z recepcji...

Cutter musiał tu przerwać, bo tak go to rozśmieszyło, że zgiął się wpół nad trzymaną między udami butelką szkockiej. Bone siedział na łóżku, palił i czekał.

– Więc skłamałeś – powiedział w końcu. – Jak ja.

Cutter wzruszył ramionami.

– Może i tak. Nie jestem pewien. Wtedy nie wydawało mi się to istotne. Za to Val miała z tego niezłego kopa. A potem, gdy następnego ranka zadzwoniłeś z wiadomością o Mo i małym, Val chyba od razu połączyła jedno z drugim. To Wolfe, powiedziała. To on kazał to zrobić... bo byłem beztroskim idiotą, mówiła, skoro podałem im własne nazwisko, numer telefonu i tak dalej. A ja nie wiedzieć czemu uczepliłem się tej koncepcji. Myślę, że tak właśnie się stało. Ale teraz już naprawdę nie jestem pewien, Rich, jak Boga kocham. Może po prostu pamiętam to właśnie tak, bo muszę. Bo prawda mnie przeraża. Tak jak ten kowboj dziś wieczorem... Bo wiem, że tych ludzi nie uda mi się złamać... to oni złamią mnie.

– Sranie w banię.

– Co takiego?

– To, że nie pamiętasz. Powiedz mi jedno: czy w ogóle masz jakiegokolwiek wspomnienia ze spotkania z Pruittem, tym, jak go określałeś, asystentem Wolfe'a? Tym, który powiedział, że „prześle ci wiadomość”? Pamiętasz, żeby do tego w ogóle doszło? W czasie i przestrzeni?

Cutter zastanawiał się nad tym przez chwilę, marszcząc brwi, szczerząc zęby. W końcu pokręcił głową.

– Chyba nie – przyznał. – Chyba to sobie zmyśliłem.

– No, tak by *to* wyglądało.

Bone wstał i odebrał mu butelkę. Pociągnął solidny łyk i odstawił ją na stół. Podszedł do okna i stanął, patrząc przez wypełniony zerami diagram na zalewane nocnym deszczem góry Ozark. I przemknęło mu przez myśl, że znalazł się tutaj, niemal dwa tysiące mil od wybrzeża, bo figlarna psyche Cuttera tak sobie

zażyczyła, bo taki miał *kaprys*. To był chyba dostateczny powód, żeby się wściec. Z drugiej strony jednak nie musiał się już przejmować porannym szturmem na jakąś parszywą, przesiąkniętą krwią plażę. Wolfe i jemu podobni, i ich skaliste wzgórze, to wszystko nie było już problemem, i to powinno dać powód do radości, a przynajmniej nieść ulgę. Tymczasem Bone nie czuł ani wściekłości, ani ulgi. Zamiast tego odczuwał odrętwienie, otepienie pokrewne śmierci. Nie obchodziło go już to wszystko. Czy Cutterowi ostatecznie, nieodwołalnie odbiło? Bardzo być może. I co z tego? Co to zmieniało? Czy cokolwiek było tak istotne, jak sen, którego właśnie w tej chwili odmówiono Bone'owi, albo porządne śniadanie o poranku, czy perspektywa powrotu do słońca i plaży za parę dni, i może okazjonalne bara-bara co któryś dzień, żeby instalacja nie zardzewiała, żeby nic nie drażniło otulonych tłuszczukiem nerwów? A skąd. Bo cokolwiek Bone mógłby zrobić tu i teraz, było całkowicie pozbawione znaczenia. Nigdy go zresztą nie miało i nigdy mieć nie będzie. Można spędzić całe życie, dając się przybijać do krzyży, żeby ratować ludzi przed nimi samymi, a to i tak niczego nie zmieni. Bo w ostatecznym rozrachunku każda istota ludzka była samotna jak martwa gwiazda, i żadne trudy, miłość czy litanie nawet na centymetr nie zmieniają koszarnej precyzji naszych trajektorii.

Nie mógł zatem niczego zrobić. Pozostało kilka pytań do zadania, i tyle, nieco zdumienia i oburzenia, któremu należało dać upust. Więc Bone odstawił ten teatrzyk.

– Czemu tak daleko, Alex?

Cutter nie odpowiedział.

– Czemu nie w Needles? – ciągnął Bone. – Czemu wtedy nie mogłeś się przyznać? Było jeszcze za blisko do domu? Nie wyrządziłbyś odpowiednio wielkich zniszczeń? I po cholerę narobiłeś jeszcze gnoju w barze dziś wieczorem? Po co robić tyle rzeczy, skoro nic z nich nie wynika?

Zupełnie bez powodu?

A Cutter wciąż milczał.

– Nie masz odpowiedzi, he?

Alex pokręcił głową. – Nie. Bo sam nie wiem, Rich. Już nie mam pojęcia... czemu robię... to, co robię.

Bone spojrział na niego. Drugi raz od czasu, kiedy go poznał, zobaczył, że Cutter płacze. Jego oko lśniło w nocnych światłach, zaszklone opuszczeniem.

– Jak już wcześniej mówiłem... – ciągnął. – Jestem Bóg wie gdzie, i nie mogę wrócić.

Bone spróbował tonu pocieszenia. – Oczywiście, że możesz, Alex. To kwestia czasu.

Cutter osunął się w krzesło, głowa opadła mu naprzód, jak gdyby zasypiał. Wciąż jednak nie zamknął oka, które wpatrywało się może nie tyle w podłogę, co w zajmowaną przez nią przestrzeń. Bone siedział i patrzył na niego, milcząc, ale w końcu spróbował jeszcze raz.

– Jeśli chciałbyś, facet, żebyśmy cokolwiek dla ciebie zrobił... co tylko zechcesz... po prostu powiedz. Zrobię, co w mojej mocy.

Cutter jednak nie odpowiedział, nie uniósł nawet głowy. A po jakimś czasie Bone położył się z powrotem, leżał, palił i patrzył w sufit, bezsilny i milczący. Aż w końcu znów zasnął.

Nie był pewien, co obudziło go następnym razem – pierwsze światło dnia, nasilające się za szklaną ścianą pokoju niczym nadciągający front burzowy, czy odgłosy dobiegające z pokoju Mniszki, klekotanie łóżka i desperackie dyszenie, ciche jęki małej dziewczynki rozbrzmiewające raz za razem. Jedno spojrzenie na puste łóżko Cuttera i opuszczone krzesło, i Bone nie musiał już zgadywać przyczyn hałasu. Nie wiedział tylko, czy do tego aktu doszło za zgodą obu stron, czy też nie, w którym to przypadku czułby się w obowiązku interweniować, nawet jeśli ryzykowałby w ten sposób, że Cutter oddali się od niego jeszcze bardziej. Wstał więc po cichu i podszedł do drzwi łączących oba pokoje, a obecnie lekko uchylonych. Zasłony u Mniszki wciąż były zaciągnięte, więc minęło parę chwil, nim upewnił się, że dziewczyna, jakkolwiek pojękiwała, nie była obiektem gwałtu. Jej nogi i ręce były we właściwych miejscach, przygarniając ciało Cuttera do jej ciała.

Bone po cichu zamknął drzwi. Zaciągnął zasłony w swoim pokoju i wrócił do łóżka, z nadzieją, że zdoła przespać resztę poranka. I z zaskoczeniem odkrył, że nagle miał świetne samopoczucie, zdziwiony, bo normalnie nie czuł większej przyjemności z oglądania seksu, w odróżnieniu od tego, w którym osobiście partycypował. Ta chwila oglądactwa była jednak czymś zupełnie innym, jakby zobaczył śmiertelnie chorego przyjaciela znów na nogach, wśród żywych. Bone'owi ledwie mieściło się w głowie, jakim cudem ten Cutter, z którym rozmawiał raptem kilka godzin temu, teraz mógłby uprawiać seks. A jedynym wyjaśnieniem mogło być to, że gdy Bone spał, Alex znów zdołał pokonać swoją ostateczną granicę, wrócił zza niej, by dołączyć do innych ludzi.

Bone'owi spodobała się ta myśl, pieściła umysł niczym alkohol. Przeciągnął się, ziewnął i poczuł, że znów zaczyna się słodka zjazd w sen, trzeci raz od chwili, gdy

położył się spać. Tym razem jednak niczego ze sobą nie włożył, żadnego bagażu bezużytecznych zmartwień i lęków. Wolfe'a można już było skreślić, Cutter najwyraźniej był znów sobą, przynajmniej na tyle, by mogli całą trójką zabrać się z tego malowniczego zaścianka i wrócić na wybrzeże, czekać na wielkie kalifornijskie trzęsienie ziemi. I znów zasnął.

12.

Późnym rankiem Bone wyszedł z pokoju i udał się do motelowej restauracji, by przy kawie i gazecie poczekać, aż Cutter z dziewczyną przyjdą na śniadanie. Za dnia sala była przyjemnym zaskoczeniem. Po pierwsze, Billy Kaznodzieja zszedł ze służby za organami, a po drugie, okazało się, że z panoramicznych okien na tyłach sali jest fenomenalny widok na przepaść i strome, piaskowcowe urwisko po drugiej stronie, zwieńczone pasem cedrów i opadające o dobre dwieście stóp ku wąskiej smużce wzburzonej wody, która kawałek dalej rozszerzała koryto i płynęła już spokojnie, leniwie, wijąc się między pomniejszych wzgórzami obrośniętymi dziką różą i dereniem. No i przestało padać. Wyszło słońce.

Bone czuł więc niemal zadowolenie z życia, kiedy tak siedział przy stoliku pod oknem, sączył czarną kawę i nadrabiał zaległości w kwestii nieszczęść, jakie doświadczały świat – bez zaskoczenia stwierdził, że ich tempo dorównywało częstotliwości klęsk, jakich sam doznał. Pomyślał jednak, że słońce i pejzaż za oknem mogą być zwiastunem zmiany, że może wreszcie Alex otrząśnie się, wyzwoli zarówno z rojeń o Wolfe'ie, jak i otchłannej depresji z zeszłej nocy, i nim nadejdzie wieczór, całą trójką spakują się i ruszą w drogę powrotną na wybrzeże przed wieczorem – ale po paradzie. Bone pogodził się bowiem z tym, że przynajmniej tyle musi się stać. Musi ujrzeć J.J. Wolfe'a we własnej osobie, by raz na zawsze rozstrzygnąć na własny użytek kwestię, czy faktycznie to Wolfe był tamtym mężczyzną na podjeździe, tym rzeczywistym Księciem Ciemności, o którym wspomniał kapitan policji z Santa Barbara. Bone podejrzewał, że tak jednak nie było, szczególnie po wyznaniach Cuttera z zeszłej nocy. Tak się jakoś porobiło, że wszystkie te łgarstwa o Wolfe'ie i Los Angeles sprawiły tylko, że Bone miał coraz mniejszą pewność, kogo i co właściwie widział tamtej nocy pod blokami.

Siedział tak sobie ze dwadzieścia minut, gdy pojawiła się Mniszka, sama, w tych swoich starych džinsach i bluzie adidasa wypisz, wymaluj klasyczna kalifornijska uciekinierka z domu. Oczy miała zaczerwienione, od płaczu albo z niewyspania, a kiedy Bone powiedział jej „Dzień dobry”, zapytała, co w nim było takiego dobrego.

Wskazał ręką okno. – Cóż, wygląda na to, że Bóg zabrał się do roboty.

- A, wierzysz w Boga, co?
- Czasami.

Ukryła twarz w dłoniach i ponuro pokręciła głową. – Pewnie już wiesz, co się stało.

- Pewnie tak.
- On wyszedł sobie na spacer. Minęła już ponad godzina.

Bone milczał. Myśl o tym, że Cutter w obecnym stanie miałby wędrować po urwisku za motelem, wystraszyła go jednak bardziej, niż dawał po sobie poznać.

- To było takie straszne... – zaczęła, a łzy już zbierały się w jej oczach.
- Przykro mi. Chyba powinienem był...
- Nie, nie o to mi chodzi. Nie przez seks – wyjaśniła. – Z tego to się cieszę.

Jakbym się pozbyła trądziku, albo co.

Bone uśmiechnął się szeroko, i Mniszka też na chwilę się rozpogodziła. Potem jednak wróciła do wspomnień: – Nie, Rich, chodzi o całą resztę. O to, co mówił. Wciąż nazywał mnie Mo. Były też inne dziwne sprawy, na przykład ich prywatne zarciki, a jeśli nie łąpałam, o co mu chodziło, strasznie się denerwował.

- Dużo wczoraj wypił – stwierdził Bone.

Pokręciła głową przecząco. – Nie, to nie było to, nie dlatego, rozumiesz, że się skuł. Był zamotany. Chociaż nie, to było raczej jakby... chorował. Jakby nie mógł sobie poukładać w głowie, kim właściwie jestem i gdzie jesteśmy.

Bone bez pośpiechu wyjął papierosy, poczęstował ją i wziął jednego dla siebie, podał ogień i zapalił. Chciał ją uspokoić. Siebie również.

- Wódka robi z ludźmi różne rzeczy – powiedział w końcu.

Ona jednak nie ustępowała. – To nie przez wódkę.

- Może i nie.
- Żadne tam „może”.

Bone nie zamierzał skapitulować. – Skąd możesz to wiedzieć, Mniszka? Może tak, może nie, koniec. *Może*. To, że odsiedział swoje u psychiatrów w szpitalach dla weteranów, jeszcze nic nie znaczy... każdy, kto odniósłby takie rany, musiałby tam wylądować.

- Wiem przecież.
- No i dobrze. Po prostu poczekajmy, zobaczymy, co się stanie, dobra?

Teraz Mniszka miała smutną twarzyczkę zagubionego dziecka.

– Z początku byłam taka szczęśliwa. Zaskoczona, ale jednak szczęśliwa, kiedy wszedł do pokoju. Uciszył mnie. A potem odciągnął kołdrę i...

Bone nakrył jej dłoń własną. – Spokojnie, nie stresuj się. Najlepiej póki co zapomnij o wszystkim. Daj sobie spokój.

Było tak późno, że jeszcze tylko przy dwóch innych stolikach siedzieli ludzie, ale wszyscy oni zapadli w milczenie i obserwowali Bone'a i Mniszkę z rosnącym zainteresowaniem. Ona jednak zupełnie nie zwracała na nich uwagi.

– A teraz jeszcze to! – jęknęła. – Jak myślisz, co to może być? Czy tak mu już zostanie na stałe? Myślisz, że on...

– Ależ skąd, cholera – przerwał jej Bone. – O czym ty w ogóle mówisz? Po prostu facet jest zarźnięty, i tyle. Przeciążony. Będzie dobrze.

– Tak myślisz?

– Pewnie. Zmiatamy stąd dziś po południu. I nie będziemy się spieszyć do domu. Będziemy jeść w restauracjach, spać w motelach. Popływamy sobie, odpoczniemy. Z Alexem wszystko będzie dobrze. Słowo.

Mniszka, która patrzyła ponad ramieniem Bone'a na wejście na salę, nagle zaczęła ocierać oczy serwetką.

– Och nie, właśnie wchodzi – mruknęła.

Bone nie rozumiał, czemu „och nie”, póki Cutter nie wszedł w pole jego widzenia, siadając za stołem. Nie ogolił się ani nie uczesał, a zamiast tradycyjnego czarnego golfu miał na sobie wyświnioną koszulkę, z której kikot lewej ręki sterczał jak wielki korzeń pietruszki.

– Fajna okolica – oznajmił. – Fajny poranek.

– Alexander Cutter Czwartym był na porannym spacerze dla zdrowia – mruknął Bone. – Świat się zdumiewa.

– Gównem tam dla zdrowia. Po prostu stałem sobie na głazie.

– Na głazie?

Cutter machnął ręką w stronę okna. – No, tam taki jest. Wielki płaski kamlot, wystaje za krawędź urwiska, a do parteru będzie pionowo tak z pięć mil. Więc sobie tam stajesz. Zamykasz oczy, stajesz tak, żeby palce stóp były już w powietrzu, i sprawdzasz, kiedy pęknie.

– No, wygląda mi to na świetną zabawę – mruknął Bone.

– Bo jest. Daje kopa, że głowa mała. Lepsze niż hasz.

Bone oświadczył, że spróbuje to sobie zapamiętać, ale póki co bardziej jednak interesowało go jedzenie.

– Chce się wam jeść, ludzie? – zapytał.

Cutter lubieżnie mrugnął do Mniszki.

– Bo ja wiem – sapnął. – Dziś rano miałem co polizać...

Mniszka spłoszyła i zamknęła oczy.

Cutter jednak świetnie się bawił. – Młoda musi być w części Chinką, strasznie lekkostrawna, bo znów czuję, że mnie ssie – dodał.

– Jak miło, że do nas wróciłeś – rzucił Bone.

– Żebyś wiedział, że miło. Świetnie tu jest.

– Lepiej jednak pamiętaj o manierach – dodał Bone. – Coś mi się widzi, że nadchodzi twoja znajoma z tego ponurego obrazka.

Kelnerka wyszła właśnie z kuchni i wyglądało na to, że poranek nie rozchmurzył jej ducha. Bez uśmiechu podeszła do ich stolika, wyciągnęła bloczek zamówień, oblizała koniuszek ołówka i uniosła go w górę, jakby miała zamiar kogoś dźgnąć.

– Co ma być? – zapytała ostro.

– Kawa – odparł Cutter. – Dla mnie tylko dzbanek kawy.

Kobieta spojrzała na niego i z wystudiowaną odrazą odwróciła wzrok. Niemal prychnęła.

– Nie podajemy kawy w dzbankach – powiedziała. – Na filiżanki albo wcale.

Cutter uśmiechnął się szeroko. – Żartuje sobie pani.

– Nie. Przykro mi, ale taką mamy zasadę.

Alex spojrzał na Bone'a z nadzieją. – Powiedz jej, że żarty sobie stroi.

Bone'a zaczął drażnić niepokój. Znał ten błysk w oku Cuttera, zbyt wiele razy widział go w przeszłości tuż przed tym, jak zaczynała się totalna rozpierducha. Spróbował więc wyprzedzić rozwój wydarzeń i pospiesznie zamówił sobie śniadanie.

– No, niech spojrzę, dla mnie naleśniki, jajecznicza z dwóch jajek na boczku... i filiżankę kawy.

Cutter jednak nie dał się zbyć: – Moja pani, przecież ma pani chyba w kuchni dzbanek z kawą?

Kobieta zignorowała go. – A co dla pani? – zwróciła się do Mniszki.

Na to Alex wyciągnął rękę przez stół, złapał szklany dozownik do cukru i uniosł go nad podłogę, po czym upuścił. Naczynie z hukiem roztrzaskało się na terakocie, a białe kryształki rozsypały się szeroko w niemal geometryczny wzór.

– Jeszcze cukier by się nam przydał – oświadczył.

Jednak kelnerka już odeszła, szybkim krokiem zmierzając ku drzwiom.

Bone jęknął cicho. – No, faktycznie świetnie, że znów jesteś z nami.

– Dzbanek kawy – mruknął Cutter. – To taka wielka rzecz?

- Widocznie tak.

Na drugim końcu sali Kelnerka z Obrazka wykonywała już triumfalne wejście, wiodąc za sobą pana Morgana z recepcji. Gdy ten podszedł do ich stolika, Cutter klepnął się w udo, wesoło szczerząc zęby.

- Chryste Jezu, przecież to sam pan Morgan we własnej osobie! Zapewne pamięta nas pan z zeszłego wieczoru, z baru...

Morgan, wyprostowany, odchrząknął głośno.

- Na czym polega problem?
- Kawa i cukier – stwierdził Cutter. – Bo nie mam, a bym chciał.
- Będę musiał poprosić pana o opuszczenie lokalu – oświadczył Morgan.
- A ja będę musiał poprosić, żeby skoczył mi pan na pukiel, złociutki. I skoro już o tym mowa, Panna Muchy w Nosie też może mi skoczyć. Może wytrząśnie sobie nieco kurzu z krocza.

Morgan i kelnerka uciekli, jak potraktowani miotaczem ognia. Cutter usiłował przywołać ich z powrotem, twierdząc, że nie muszą się przebierać do skoków, *najpierw* mogą mu podać kawę i cukier, cholera. Tymczasem Mniszka jednocześnie śmiała się i płakała, a Bone miał ochotę się do niej przyłączyć, bo wiedział, że Morgan i kelnerka pobiegli nie po sportowe buty, lecz do telefonu, by wezwać policję. Wstał więc i poszedł za nimi, docierając do recepcji w samą porę, by nakłonić Morgana do odłożenia słuchawki i wyjaśnić mu przyczyny zachowania Cuttera. Co uczynił, serwując mu niemal tę samą bajkę, co tamtym kopniętym motocyklistom w knajpie Cold Springs w Santa Barbara. Powiedział, że Cutter to jego kuzyn, obłąkany kaleka na tygodniowej przepustce ze stanowego szpitala dla weteranów w Kolorado, podczas której Bone miał się nim opiekować. Oczywiście było mu niezmiernie przykro z powodu niesłychanego zachowania krewniaka. Przeprósł więc w jego imieniu, obiecał pokryć wszystkie szkody i zabrać nieszczęśnika z motelu przed końcem doby hotelowej. Morgan jednak nie dał się tak łatwo nabrać. Oświadczył, że jest oburzony. Naprawdę nie uważał, by wojenne obrażenia usprawiedliwiały odzywanie się do kobiet w ten sposób, jak to uczynił Cutter, a już na pewno nie do tak bogobojnej niewiasty, jaką była żona Morgana. Bone oczywiście przytaknął. Zaoferował też, że zapłaci dziesięć dolarów za rozbity dozownik, i najwyraźniej to wreszcie zdołało obudzić w kierowniku chrześcijańskie miłosierdzie.

- No, niech będzie... ostatnia szansa. Ale na tym koniec. I zabierz go pan stąd przed trzecią, rozumiano?

Owszem, Bone zrozumiał. Podziękował Morganowi i wrócił do stolika.

Tam z ponurym uśmiechem powiedział Cutterowi i dziewczynie, że póki co udało się uspokoić sytuację, ale jeśli ktokolwiek zrobi coś, by ten spokój zakłócić, on, Bone, osobiście urwie temu komuś jego plastikową girę i zatłucze go tym przyrządem na śmierć.

– No, w końcu od czegoś ma się przyjaciół, nie? – rzucił Cutter.

Do ich stolika podeszła inna kelnerka, przyjęła zamówienia na śniadanie i nałala każdemu po filiżance kawy. Po jej odejściu ani Bone, ani Cutter nie odzywali się przez jakiś czas, i to milczenie widocznie nie przypadło Mniszce do gustu, bo zaczęła trajkotać w tempie płynącego w dolinie potoku: Boże, jak tu ślicznie! I kto by pomyślał, że to możliwe w górach Ozark? Przecież zawsze się jej wydawało, że Missouri to stan płaski i porośnięty kukurydzą od końca do końca, normalnie w głowie się nie mieści! Popatrzcie sami, jak wyglądał naprawdę – po prostu prześliczny. Przecież nawet w Santa Barbara nie było tak pięknie... no, może gdyby mieszkało tam mniej ludzi, gdyby okolica wyglądała tak, jak pierwotnie, może byłoby tak, jak tutaj, tak czysto, świeżo, mnóstwo zieleni, tyle tych skał i drzew iglastych... co to właściwie, jodły? Cedry, odparł jej Bone. Wydawało się jednak, że go nie usłyszała, bo już nawijała o powietrzu, takim czystym i rześkim. Czy nie spało mu się tu wręcz cudownie? Czy nie była to naprawdę najlepsza noc, jaką przespał w życiu?

– Nie powiedziałbym – pokręcił głową. – Nie, zdarzało mi się lepiej sypiać.

– Cóż, znów popijałeś. To może dlatego.

– Możliwe.

– W każdym razie moim zdaniem tu jest po prostu super. Cieszę się, że tu przyjechaliśmy.

Tu obrzuciła Cuttera nowym, odmiennym spojrzeniem, niemal wzrokiem zakochanej. Tyle że było w tym także coś innego, coś jak zgroza. I ten widok sprawił, że Bone miał ochotę wyciągnąć ręce i przytulić to dziewczę – posadzić ją sobie na kolanach i spróbować pocieszyć, jakoś pomóc, tak jak ona pomogła jemu. Wiedział jednak, że tak naprawdę niczego nie mógł powiedzieć, nic nie mógł zrobić. W końcu przytrafiło się jej coś, stało się naprawdę i ostatecznie. Dziewica z Isla Vista już nie żyła, można by ją było zakopać, a Mniszka cieszyła się z utraty tego statusu, radowała się, prawdopodobnie była nawet zakochana. Gdy tymczasem jej kochanek i wyzwoliciel siedział ponury jak kat.

Bone zapalił papierosa i zapytał ich, co chcieli robić tego dnia. – Wracamy na wybrzeże czy najpierw obejrzymy sobie tę miejscową paradę?

Mniszka zrobiła zdziwioną minę. – Znaczy co, to będzie wszystko? Tylko po to tu przyjechaliśmy?

Bone wzruszył ramionami. – To może być rewelacyjna parada. Któż to wie?

– Ale co z tym całym Wolfe'em, czy jak mu tam? Myślałam, że jesteśmy tu po to, żeby się z nim zobaczyć.

– Będzie na paradzie.

– Nie chodziło mi o to, żeby tylko na niego *popatrzeć*. Myślałam, że macie do niego jakąś poważniejszą sprawę. Coś w związku z Mo i dzieckiem.

– Już nie – odezwał się Cutter.

– Czemu nie?

Gdy Alex nie odpowiedział, zastąpił go Bone. – Zmiana planów. Zdecydowaliśmy nie wtykać kija w mrowisko.

Dziewczyna stwierdziła, że wciąż niczego nie rozumie.

– Nieważne. Daj sobie spokój – powiedział jej Cutter.

Bone zdziwił się, że Mniszka wiedziała choćby tyle, że Alex w ogóle wspomniał jej o Wolfe'ie.

– A, niech będzie, co tam – mruknęła. – I tak warto było się przejechać.

Zaraz jednak ugryzła się w język i jedną dłonią zakryła usta, a drugą na oślep położyła na ramieniu Cuttera. Ten przez parę chwil nie reagował, spojrzał tylko na tę dłoń, jakby to były ekskrementy. Potem z tym samym wyrazem twarzy uniósł wzrok na dziewczynę.

– Może zabierzesz ze mnie łapę, do cholery – powiedział.

Mniszka cofnęła dłoń.

– Tak lepiej – poinformował ją. – Chryste, Mo, kopulacja to jeszcze nie powód do spoufalania się, wiesz?

Teraz dziewczyna wyglądała na autentycznie przerażoną, o włos od łez.

– Ten twój nowy chłopak to istny komik – powiedział jej Bone.

Cutter prychnął. – Dupa tam, nie chłopak. Mam już potąd jej i tego cholernego bachora.

Bone siedział i obserwował go, czekając na znak: załazek uśmiechu, leciutki błysk w oku. Ale niczego nie zobaczył.

Nim wrócili do pokojów, Bone był już przeświadczony, że stan Cuttera i natychmiastowy wyjazd z nim w rodzinne strony były dużo ważniejsze, niż pusta ciekawość ujrzania J.J. Wolfe'a we własnej osobie. Próbował też wytłumaczyć to Alexowi: – Do diabła z Wolfe'em i tą paradą. Na co to komu? Ruszajmy już do Santa Barbara.

- Nie, musisz go sobie obejrzyć – uparł się Cutter. – Po to właśnie tu jesteśmy.
- Ale ja mam to w dupie, Alex. Nie obchodzi mnie, jak jest, nic a nic.

Cutter wzruszył ramionami. – A mnie tak. A poza tym mam chęć popatrzeć sobie na paradę...

Gdy wyszli z motelu, Cutter bez słowa wręczył Bone'owi kluczyki do wozu i wślizgnął się na tylne siedzenie, jak gdyby wiedziony wieloletnim nawykiem. Usadowił się tam bokiem, więc Mniszka nie miała innego wyjścia, jak tylko usiąść z przodu, obok Bone'a. Ona również zrobiła się teraz bardzo milkliwa, niemal się nie odzywała od tego incydentu z dłonią w restauracji. Nie byli zatem zbyt radosnym towarzystwem, gdy ruszyli na obchody Dnia Banku.

Na stacji benzynowej przy autostradzie Bone zapytał o rozpoczęcie parady i dowiedział się, że mają jeszcze godzinę. Wtedy przemknęło mu przez głowę, że może wciąż jeszcze zdążyłby zobaczyć Wolfe'a w domu, na ranczo, unikając w ten sposób ryzyka oglądania parady wraz z Cutterem w jego obecnym stanie. Zapytał o drogę do rancza milionera, na co pracownik stacji, z upchniętym w policzku olbrzymim kawałem tytoniu do żucia, stwierdził, że trudniej było to gospodarstwo przeoczyć, niż na nie natrafić.

- Kiedy ostatnio chciało się ludziom liczyć, było tego całe sześć pól. A budynki takie, panie, że głowa mała. Te jego krowy, panie, to sobie żyją, cholera, dużo lepiej niż cała masa ludzi w tych okolicach, w tym i ja.

Bone próbował udawać odpowiednio zadziwionego, kiedy ponowił pytanie o drogę do posiadłości.

- Jeszcze trzy mile i skręcisz pan w prawo w Drogę K. Mila dalej i będziesz pan na miejscu. Mają tam bramę, co kosztowała więcej niż ta przyczepa, w której mieszkam... taka prawda, panie.

Bone podziękował mu i ruszył we wskazanym kierunku, spodziewając się po Cutterze jakiejś reakcji. Ten jednak nie odezwał się ani słowem, siedział tylko z tyłu i gapił się w okno. Sądząc po widoku we wstecznym lusterku, oko Alexa nie rejestrowało też żadnych obrazów, kiedy samochód mknął poprzez lasy, kamieniste

górskie hale, pomiędzy stromymi, zielonymi wzgórzami usianymi pasącym się bydłem.

Po paru minutach dojechali pod rancho, które wyglądało jak nieduże miasteczko rozciągnięte u podnóża wzniesienia leżącego może ćwierć mili od drogi. Budynek, płoty, zagrody dla bydła, wszystko było tak białe, że aż oślepiało w blasku słońca. Dokładnie tak, jak powiedział facet ze stacji, brama wjazdowa była imponującym obiektem architektonicznym: wielkie kolumny z miejscowego kamienia, a podjazd za nimi ogrodzony solidnymi płotami z białych desek, ciągnącymi się aż do samego rancha. W obu kolumnach osadzono marmurowe kwadraty z wrytym napisem „Farmy Wolfe'a”, jak gdyby była to jakaś uświęcona tradycją instytucja. Koniarze z Santa Barbara uznaliby to za prześmieszny przejaw złego smaku, Bone podejrzewał jednak, że w tych okolicach efekt był jak najbardziej zadowalający. J. J. Wolfe popisywał się marmurem.

Przez moment po wjechaniu na podjazd Bone zastanawiał się, czy faktycznie nie mógłby podjechać pod dom milionera, z nadzieją, że zobaczy go już teraz i będzie mógł uznać sprawę za zamkniętą. Jednak ta chwila minęła, Richard zahamował, na wstecznym wyjechał z powrotem na Drogę K i ruszył z powrotem w stronę Rockhill. Powiedział sobie, że i tak będzie miał okazję zobaczyć Wolfe'a na parady. To wystarczy, jeden rzut oka i będzie jasne, czy to jego wtedy widział, czy nie. I cokolwiek się okaże, to i tak nie robi żadnej różnicy. Tak czy inaczej całą trójką zabiorą się stąd, wrócą na wybrzeże.

Zawracając, spodziewał się, że Cutter skomentuje jakoś te manewry, nagły brak woli realizacji planu, lecz Alex nadal milczał. A Mniszkę wyraźnie bardziej interesowało samo rancho. Czy nie byłoby pięknie mieć takie miejsce? – pytała. Czy Bone mógłby sobie wyobrazić, że jest właścicielem czegoś takiego?

- Zależy – odparł.
- Od czego?
- Czy musiałbym tu mieszkać.
- A nie chciałbyś?
- Nie.
- Czemu nie?

Spróbował wymyślić jakiś powód.

– Brak ludzi – stwierdził. – Mógłbym tu przesiedzieć całe życie i nie natknąć się na takie tryprowe bliźniaczki.

– Wielka mi strata! – prychnęła.

Bone roześmiał się i zerknął w lusterko z nadzieją, że zobaczy, iż Cutter przynajmniej się uśmiechnął. Nic z tego. W ogóle ich nie słyszał.

Bone minął motel i skręcił w zjazd na Rockhill. Od zeszłej nocy miasteczko uległo radykalnej przemianie. Wszędzie stały zaparkowane samochody: na ulicach, trawnikach, chodnikach. Kiedy już udało mu się postawić gdzieś fordą, całą trójką dołączyli do tłumów zmierzających na główny plac, który okazał się zapchany ludźmi – sądząc po tym, ilu ich było, w większości przyjezdnych. Bone'a zaskoczył ich jednorodny wygląd, zupełnie niepodobny do wielorasowego tygla Kalifornii i miast północnych Stanów. W olbrzymiej większości tutejsi wyglądali na Anglosasów i Celtów, niemalże jak jedna, olbrzymia, rozgałęziona rodzina – acz nie bez podziału. Różnice między płciami były bowiem tak wielkie, jak gdyby kobiety i mężczyźni należeli do odrębnych ras: mężczyźni szczupli i opaleni, niewiarygodnie wręcz zadowoleni z siebie, roześmiani, popluwali, dowcipkowali między sobą, paradując w obcisłych lewisach, spiczastych kowbojkach i szerokoskrzydłych kapeluszach – tymczasem kobiety nie wiedzieć czemu przypominały przyzwoitki, stare, grube i obrażone na świat cały, heroicznie wbite w gorsety pod falbaniastymi niedzielnymi sukienkami i wiecznie poprawiające wczoraj robione ondulacje, niekończące się morza drobnych falek włosów po niebieskiej płukance, farbowanych na czarno albo tlenionych. Historię ich życia dało się właściwie wyczytać z wyrazu twarzy: mężczyźni mieli krowy, bimber z kukurydzy i własne towarzystwo, więc im został tylko Jezus i Biblia. I nie były z tego powodu szczęśliwe. Uważały się za oszukane. Przeciskając się między nimi, Bone był przekonany, że w dziewięćdziesięciu procentach zbyłyby kobieciej orgazm jako plotkę rozpuszczaną przez wrogie języki. Jednakże największą niechęcią napawała go ich reakcja na Cuttera: obracały się w jego stronę, gapiły nań z tą samą kwaśną reprimendą, co kobieta w motelu.

Jednak Cutter, kuśtykając przed siebie obok Bone'a i Mniszki, najwyraźniej nie zauważał owej dezaprobaty, zachowując zupełne milczenie podobnie jak w samochodzie. Teraz jednak Bone czuł nawet z tego powodu ulgę, wątpił bowiem, żeby miejscowi zrozumieli czy przystali na Cuttera szybującego na normalnym dla siebie pułapie. Jak zeszłej nocy uprzedził ich kowboj Billy, za tylną szybą niemal każdego pickupa był stelaż ze sztucerkami i śrutówkami, i Bone bez wahania wierzył, że

większość tej broni była załadowana, sądząc po emanującej od mężczyzn aurze *machismo*, tym wyglądzie i spojrzeniu, które obwieszczały, że byli, cholera, gotowi na każdą rewoltę komuchów, jaką mógł rychtować ten lewacki rząd pełen miłośników czarnuchów. A ponieważ w tej okolicy pickupy stanowiły chyba ulubiony środek transportu – w ten oto sposób miejscowe chłopcy dawały odpór obligatoryjnym w Santa Barbara mercedesom i porsche – zgromadzony tłum mógłby się przeobrazić w całkiem niezłe uzbrojoną armię.

Dziś jednak przynajmniej mężczyźni i dzieci nie przejmowali się chyba niczym z wyjątkiem rozrywki. W gardła lały się potoki piwa, tu i ówdzie skrycie mignęła połówka czy ćwiartka whiskey, oczywiście przemyconej, bo w ten piękny szabas na modę baptystów z Południa na pewno nie dało się tu w Rockhill kupić mocniejszych trunków. A jednak mimo owej purytańskiej nutki ogólnie panował zaiste radosny nastrój, co z punktu widzenia Bone'a było raczej dolegliwe niż przyjemne, oznaczało bowiem hałas, smród potu i niepożądany kontakt fizyczny. Nie zdzierżyłby tego nawet przez chwilę, gdyby nie perspektywa parady i szansa na ujrzanie J.J. Wolfe'a – być może drugi raz w życiu.

Wydawało się jednak, iż ta możliwość zupełnie nie interesuje Cuttera, zupełnie tak samo, jak ludzie świętujący Dzień Banku: gromadki przeżuających tytoń facetów, ich małżonki już poroziadane w składanych fotelikach z aluminium, cierpliwie wachlujące się i plotkujące w oczekiwaniu na wielkie wydarzenie, gdy tymczasem hordy nabuzowanych dzieciaków przewalały się po ulicach i chodnikach – młodzi byli równie długowłosi i energiczni, co ich rówieśnicy z wybrzeża, ale jacyś dziksi, i to znacznie, może dlatego, że naturalny, niemal zwierzęcy wigor nie został w nich stłamszony przez zioło, dostatek i usypiające promienie kalifornijskiego słońca. Co parę kroków przynajmniej jeden z nich wpadał z impetem na Bone'a, trudno orzec, czy w ramach zabawy w berka, czy wojny między pokoleniami, a on spychał ich sobie z drogi. Nawet Mniszka zaczęła na nich wrzeszczeć w próbie osłony Cuttera, który po prostu kuśtykał przed siebie, spokojny, wręcz apatyczny, ze wzrokiem wbitym w coś przed nim, co poruszało się w tym samym kierunku, co on sam. Nie interesował go również sam plac i otaczające go malownicze, stare budynki, niektóre z żeliwnymi elementami fasady i zadaszonymi chodniczkami wiodącymi do drzwi, inne z ciętego kamienia i starodawnej dykty, ale wszystkie równie obficie przyozdobione naklejkami wyznającymi miłość Bogu i Ojczyźnie: „Ameryka – kochaj ją albo spadaj”. „Mój Bóg żyje, wyrazy współczucia z powodu śmierci waszego”. „Jak wielkim przyjacielem jest dla nas Jezus”.

Zarazem jednak Bone jeszcze nigdy nie widział tylu posiekanych kulami znaków drogowych, nawet w murzyńskich dzielnicach. Potem jednak uświadomił sobie, że nie było w tym niczego nadzwyczajnego: jeśli pobożność i patriotyzm występowały już razem, to zawsze w towarzystwie przemocy.

Wbrew temu, co powiedział staruszek z baru, J.J. Wolfe nie prowadził parady. Ten zaszczyt przypadł Miss Dnia Banku, która jechała z dworkami w cadillacu-kabrioletcie: pięć wypucowanych, lśniących nastolatek, których uroda przypomniała Bone'owi, że ostatnio popadł był w nietypowy dla siebie celibat, i że powinien zadbać o to, by ta sytuacja nie nabrała cech ekstremalnych. Po dziewczętach nadeszły jak zwykle orkiestry z liceów i cheerleaderki, potem drużyny skautów, strażacy i oczywiście weterani z Legionu Amerykańskiego, trzech szacownych staruszków, którzy powłócząc nogami, z kruchą godnością przemaszerowali ulicą.

W porównaniu ze sławetną coroczną paradą Fiesta w Santa Barbara, ta tutaj była malutka i pozbawiona wyobraźni, ale dla wychowanego na północy Bone'a wydawała się jednak znacznie bardziej „amerykańska”. Mieszkańcy Santa Barbara wydawali fortuny, by przebierać się za hiszpańskich grandów i powabne seniority, odpicowani jak choinki, często wożeni w karocach zaprzężonych w czwórkę koni, tutaj jednak kostiumy i pretensjonalność odrzucano niemal religijnie. Znaczną większość parady stanowili po prostu właściciele koni na swoich wierzchowcach, kilku w pełnym stroju kowbojskim ze wszystkimi szykanami, ale większość poprzestawała na dzinsach i kapeluszach zupełnie takich samych, jak te noszone przez połowę widzów.

Nim parada ruszyła, Bone, Cutter i Mniszka precyzyjnie się aż do krawężnika przed zlikwidowanym sklepem „od wszystkiego”. Obok nich na tym skrawku chodnika była między innymi także nieduża rodzina, zupełnie jakby wycięta z ryciny z 1890 roku: dwie ponure i nieładne starsze panie w długich, szarych sukniach i czepcach, siedzące na składanych drewnianych krzesłach przed dwoma mężczyznami, z których jeden chyba miał już ponad sześćdziesiąt lat, a drugi wyglądał na takiego po czterdziestce, choć na oko niemal wcale się od siebie nie różnili: obaj byli niscy, żyłaści i ubrani w drelichowe kombinezony, niebieskie koszule robocze zapięte aż pod szyję oraz staroświeckie słomiane kapelusze, odslaniające tylko brzeżki króciutko przystrzyżonych włosów. Podobnie jak u ich kobiet, ponury wygląd był podbarwiony lękiem, niezmierną czujnością, jak gdyby znajdowali się pośrodku obozu wroga. Bone przypuszczał zresztą, że w ich umysłach tak właśnie to

wyglądało: to byli pewnie prawdziwi tutejsi górale, członkowie jakiejś małej sekty fanatyków, dla których nawet ortodoksyjni baptyści odłamu południowego byli czynnymi sługusami Szatana.

O dziwo, Cutter najwyraźniej nie zauważał jednak takich różnic, i kiedy w końcu przełamał milczenie, zaczął zagadywać tamtych czworo niemal tak samo, jak gdyby byli krajanami z Kalifornii imprezującymi na Sunset Strip. Też mi, cholera, parada, nie? – zaczął. Kurna, człowiek nie daje rady odróżnić, gdzie koń, a gdzie cheerleaderka, chyba że po tym, że konie srają co kilka kroków. Oj, a może to jednak cheerleaderki? Trudno orzec, ale nawozu tu tyle, że na ulicach tego jebanego miasta wyrośnie latem bujna trawa. A skoro już o trawie mowa, nie mieliby czasem przy sobie blanta?

Na tym etapie Bone już dość desperacko próbował go uciszyć, bo górale wyglądali na ciężko zszokowanych, wręcz zahipnotyzowanych przez tę manifestację Szatana, która zmaterializowała się na ich oczach. A Cutter przez parę chwil pozorował współpracę, potakując Bone'owi: tak, jasne, rozumie, da sobie spokój. Jednak zamiast tego odetchnął tylko głęboko i znów zaczął swoje.

– Jeszcze tylko jedna sprawa – zwrócił się do tamtej rodzinki. – Kojarzycie, ludzie, J.J. Wolfe'a? No jasne, cholera! Wszystkie boże dzieci wiedzą, kto to Pan Kurczak, no nie? Więc pokażcie go nam, kiedy będzie przejeżdżał, dacie radę, co? Bo nie chcielibyśmy sukinsyna przegapić.

Bone próbował go odciągnąć, ale Cutter wyrwał mu się.

– Ten mój kolega tutaj na własne oczy widział, jak Wolfe zabił dziewczynę – ciągnął. – Najpierw zmusił łaskę, żeby mu obciągnęła, potem zmiażdżył jej czaszkę i wepchnął trupa do kubła na śmieci.

Teraz już wszyscy dokoła gapili się na Cuttera w zbaraniałym niedowierzaniu. A on dalej nadawał swoje:

– A potem skurwysyn spalił moją starą i naszego dzieciaka, na węgiel, i spróbował upozorować dzieciobójstwo i samobójstwo, uwierzycie? No, i jeszcze był Wietnam, o tym też nie możemy zapominać, prawda? Wielki jastrząb z naszego Wolfe'a... jeszcze parę urwanych rąk czy nóg? A pewnie, cholera, stać go na takie koszty. Zapas w kraju spory. Więc pokażcie go nam, co? Tylko pokażcie tego cwela, my zajmiemy się resztą.

Nie było już jednak potrzeby, by ktokolwiek ruszył choćby palcem, gdyż Bone zauważył właśnie, jak Wolfe wyjechał zza najbliższego narożnika placu. Wiedział, że to Wolfe, już od pierwszego spojrzenia, bo tę samą masywną, dobrodusznie uśmiechniętą twarz widział na zdjęciach w gazecie z Santa Barbara i w biurze w

Hollywood. Bone w tym momencie czuł się jak złapany pośrodku ruchliwej drogi, między pędzącymi z przeciwnych kierunków sznurami aut: musiał się przyjrzeć Wolfe'owi z bliska, lecz jednocześnie wiedział, że jeśli zaraz nie zabierze stąd Cuttera, tłum otrząśnie się z szoku i zacznie przerabiać faceta na klej.

Wolfe jechał na czele komórki rodzinnej: poza nim była jeszcze kobieta w średnim wieku i dwie dziewczyny, wszyscy ubrani jak aktor z niezliczonych westernów Roy Rogers i dosiadający dobranych srokoszy. Kiedy czwórka koni mijala ich, stukocząc kopytami, Cutter przysunął się do Bone'a.

– No, kawa na ławę – powiedział. – To on? To jego wtedy widziałeś?

Bone przez parę chwil nie odpowiadał, głównie z obawy, że jeśli otworzy usta, to zacznie rzeć, objawi calutkiemu światu, jak beznadziejny z niego facet, jaki totalny, nieodwracalny frajer.

Bo *wciąż* nie wiedział, czy to Wolfe był tamtym mężczyzną. Nawet patrząc prosto na niego, nie potrafił stwierdzić, czy to tego człowieka widział owej nocy na podjeździe pod blokami. Wolfe miał wielką głowę i masywne ciało, podobnie jak morderca. Ale tego potwornego, nabrzmiałego wigoru, jakim emanowała nawet niewyraźna sylwetka tamtego, tutaj nie dało się uświadczyc. Zamiast niego był gruby przebieraniec na koniu, szczerzący zęby i machający do gapiów, milioner w roli klauna. A komizm tej chwili był nie wiedzieć czemu tylko dodatkowo spotęgowany przez rozczarowanie, zawód, jakiego doświadczał Bone. Oczywiście, że tak musiało się stać. Jakże mogło być inaczej? Czemu w życiu Bone'a miałyby się zmienacka pojawić symetria, jakiś cel? Czy mógłby przemierzyć pół kontynentu inaczej, niż dla *bezowocnej* sprawy?

Kiedy w końcu chciał już odpowiedzieć Cutterowi, zorientował się, że patrzy prosto w oczy kowboja spotkanego wczorajszej nocy w motelowym barze, Bily'ego, szefa zmiany u Wolfe'a, który stał samotnie po drugiej stronie ulicy, nie bacząc na sunącą pomiędzy nimi paradę. Bone skinął mu głową w czymś na kształt powitania, lecz kowboj nie odpowiedział. Tymczasem Cutter wciąż wpatrywał się w Wolfe'a.

– No już, gadaj! – ponaglił Bone'a. – To on? Czy to był Wolfe?

Bone pokręcił głową. – Nie, to nie ten człowiek – stwierdził.

A Alex parsknął śmiechem. – Oczywiście, że nie. Chodźmy więc stąd, bucu. Zjedźmy coś.

*

Po paru minutach Bone zorientował się, że podążając za Cutterem i Mniszką, trafił na uliczkę, przy której rozłożyło się wesołe miasteczko – z bliska wyglądało na najbardziej denną ekipę na świecie, jedną z tych trup, które jeżdżą od miasta do miasta na trzech czy czterech poobijanych ciężarówkach, których kierowcami są karły, kobiety z brodą i inne barwne „atrakcje” takich miejsc. Z maszyn mieli tylko dwie: diabelski młyn i „Kręciołę”, olbrzymią, wirującą mechaniczną ośmiornicę z niezależnie obracanymi gondolami na końcu każdej macki, wszystkimi pełnymi rozwrzeszczanej z przerażenia dzieciarni. Mieli też gabinet krzywych luster i trzy czy cztery budki z grami zręcznościowymi, gdzie do wygrania były takie rzeczy, jak plastikowe pieski w jarzeniowych kolorach czy poduszki o satynowych powłóczkach z wyszytymi złotogłowiem napisami w stylu: „Seks – spróbujcie, spodoba się wam...”, „Nie mów chłop, póki nie przelecisz”, czy odwiecznie popularne „Komu rano staje, temu Pan Bóg daje”. Kiedy całą trójką przeciskali się obok jaskrawo udekorowanych bud, Bone zapytał Cuttera, czy nie chciałby czasem zrobić w rył zwrot i chodu, póki jeszcze żyją, na co Alex odparł, że nie, że wszystko było pod kontrolą. Nie patrzył jednak na Bone'a, kiedy to mówił. Więc ten naciskał dalej.

- Jesteś pewien, że wszystko z tobą w porządku?
- A jak to jest „w porządku”?
- Normalnie.
- U mnie wszystko gra.
- Mogli nas tam przez ciebie powiesić.
- Naturalnie. Tutaj właśnie tak. Nie mów, że nie zauważyłeś?
- Czego?

Cutter spojrzął na niego przenikliwie, ironicznie, z niedowierzaniem.

- Nie rób sobie jaj – zażądał.
- Znaczy?
- To tu. Jesteśmy na miejscu, i dobrze o tym wiesz.
- Gdzie?
- Tu, gdzie są i oni. Nie widziałeś go tam, na placu? Starego dobrego Bily'ego? Przyszli po mnie. W końcu po mnie przyszli.

Bone milczał, bo nie wiedział, co mógłby powiedzieć. A Cutter uśmiechnął się, a jego usta znów były jak szrama. – Mówiłem, że zgłodniałem.

- Ano, mówiłeś. – Bone zwrócił się do Mniszki: – A ty?
- Pewnie. Hot doga i coca-colę. A do hot doga wszystkie dodatki.
- Zuch dziewczyna. Alex, a ty jak? To samo?

Cutter przysłonił sobie oko przed blaskiem słońca i zadarł głowę, patrząc na diabelski młyn. Bone był pewien, że przy okazji skinął w jego stronę, więc wcisnął się w tłumek przed stoiskiem z przekąskami. Tłoczyły się tam głównie dzieci i nastolatki, niejeden przeżuwający prymkę tytoniu wędrującą pod dolną wargą. Co jakiś czas wezbrana ślina ciekła im z kącików ust niczym brązowa krew – wtedy taki dzieciak obracał się i pluł, jak stary. Bone zachował czujność i uniknął zbryzganias, aż w końcu udało mu się wyrwać stamtąd z hot dogami i coca-colą dla każdego.

Mniszka stała samotnie.

– Gdzie Alex?

Skinęła głową w stronę diabelskiego młyna.

– Wsiadł na *to*?

Znów kiwnęła głową. – Zapytałam, czy chce, żebyśmy przejechała się z nim, ale nie odpowiedział. Po prostu sobie poszedł.

Bone przymrużył oczy przed oślepiającym, popołudniowym słońcem, przyglądając się powolnemu obrotowi koła. Próbował dostrzec Cuttera na którymś ze wznoszących się siedzeń, aż w końcu udało mu się – zauważył samotną, wygodnie opartą postać, wpatrzoną jedynym okiem w przestrzeń przed sobą, w nicłość.

– Co z nim jest? – zapytała Mniszka. – To przez ostatnią noc? Przeze mnie? Może nie powinnam mu wtedy pozwolić?

– Nie, to nie przez ciebie – odparł Bone. – Już wcześniej tej nocy taki był. Znaczący, wytrącony z równowagi. Nieswój.

– Ale taki straszny, jak teraz? Znaczący, w jednej chwili dziki, a zaraz potem taki cichy?

– Nie. Tego jeszcze nie było.

– Więc co to takiego?

– Pewnie depresja. Żalność, smutek... co tylko chcesz.

A Mniszka zniemacka zalała się łzami.

– Boże, jak ja się boję – jęknęła. – Tak się boję.

Tymczasem zatrzymało się przy nich pięciu czy sześciu chłopców, gapiąc się na Bone'a i Mniszkę, jak gdyby byli częścią wesołego miasteczka, kolejną atrakcją. W końcu jeden z nich zmarszczył brwi i sam zaniósł się łkaniem.

– Mamo, zgubiłem moją śliczną ciałeczkę! Nie ma, nie ma, nie ma! – wrzeszczał. A jego kumple zaczęli rechotać i gwizdać, aż w końcu Bone ich pogonił.

Potem ujął Mniszkę pod ramię i poprowadził ją pod zlikwidowany sklep z towarami żelaznymi. Tu znaleźli kawałek cienia, dzięki czemu łatwiej było

obserwować diabelski młyn, metalowy krąg obracający się na tle nieba z ospałym wdziękiem, który kontrastował z diabło szybką muzyką katarynki rozbrzmiewającą na całej ulicy. Mniszka otarła oczy i wysiąkała nos, po czym zabrała się do jedzenia hot doga, gdy tymczasem Bone przyglądał się młynowi. Urządzenie zatrzymało się już dwa razy i doświadczeni użytkownicy zeszli, wpuszczając nowych... ale nie Cutter. On wciąż siedział na miejscu, Bone już któryś raz z rzędu widział, jak jego ławeczka unosiła się w górę, a na niej wciąż ta sama szczupła sylwetka cofnięta do samego oparcia, sztywno wyprężona, nieruchoma, z samotnym okiem bez przerwy wpatrzonym w ten sam punkt.

Kiedy karuzela zatrzymała się kolejny raz i przyszła kolej, by Cutter wysiadł, facet z obsługi zaczął na niego krzyczeć, nawet spróbował go ściągnąć. Alex jednak nawet nie drgnął. Bone natychmiast zaczął przeciskać się przez tłum w tamtym kierunku, lecz nim dotarł pod młyn, koło znów ruszyło z miejsca, choć Cutter wciąż zajmował jedną ławeczkę. Ten gość obsługujący urządzenie, młody, długowłosy hipis, krzyknął jednak do innego pracownika miasteczka, by zadzwonił na policję.

– Powiedz im, żeby ruszyli dupy! – dodał. – Skurwysyn nie chce zejść!

Bone przesadził płotek i podszedł do operatora młyna, przedstawiając mu się jako przyjaciel tego faceta, który nie chciał zejść z ławeczki. Obiecał, że zapłaci za wszystkie zaległe przejazdy, a przy następnym postoju osobiście ściągnie kumpla z młyna, jeśli zajdzie taka konieczność.

– Proszę tylko odwołać policję – nalegał. – Bardzo proszę. Ten facet jest chory.

Hipis nie odpowiedział, pochłonięty obsługą młyna, sprowadzaniem jednych klientów i wpuszczaniem drugich. Bone spróbował jeszcze raz.

– Proszę, tak między nami. Dam panu dychę. Tylko odwołaj pan policję. Zajmę się tym.

Hipis w końcu spojrział na niego i na wyciągnięty banknot.

– W życiu, facet – oświadczył. – Oszczędź sobie. Temu bucowi odpierdoliło, dlatego musimy go stamtąd ściągnąć. Koniec i kropka. Więc daj sobie siana, gościu, co? Wyluzuj.

Bone stał tam i usiłował wymyślić, co jeszcze mógłby powiedzieć, może zrobić. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Nad tym nie mógł już zapanować, i dobrze o tym wiedział. Cofnął się więc do płotka, gdzie stała teraz również Mniszka, kurczowo uczepiona metalowych prętów. Z jej oczu płynęły strumienie łez, wciąż też powtarzała jakieś słowa, ale Bone niedokładnie je słyszał. Nie potrafił przestać myśleć o Cutterze ani na niego patrzeć, kiedy koło znów ruszyło z miejsca, tym

razem na pełnych obrotach. Jedni z siedzących na nim ludzi wrzeszczeli, inni się śmiali, nieliczni traktowali całą sprawę ze spokojem, siedząc wygodnie i obserwując świat u swoich stóp. Nikt jednak nie był aż tak spokojny jak Cutter.

Teraz wokół diabelskiego młyna zaczęło się pomału robić zbiegowisko, bo rozeszła się już pogłoska, że ktoś tu rozrabiał. Przeważnie ściągnęły tu dzieciaki. Na obrzeżach tłumu Bone zauważył też ze zdziwieniem kowboja Billy'ego, stojącego samotnie, jak przedtem, i cierpliwie wpatrującego się w Cuttera.

Bone nie miał jednak czasu zastanawiać się nad jego obecnością, bowiem pojawił się właśnie ten drugi pracownik miasteczka, a za nim policjant, zastępca szeryfa w średnim wieku, krzepki gość, którego beżowy mundur był przesiąknięty potem. Hipis powiedział mu parę słów, gliniarz pokiwał głową. Potem cofnął się o krok i zadarł głowę, gdy koło zrobiło kolejny obrót i zatrzymało się – tak, że siedzenie Cuttera było na samym dole. Bone poczuł, że dłonie zaczęły mu drżeć, kiedy hipis odblokował poprzeczkę przed siedzeniem i obrócił ją na bok. Policjant podszedł bliżej i powiedział coś do Cuttera, lecz Alex najwyraźniej wcale go nie usłyszał, siedział bowiem bez ruchu, nie zmienił nawet wyrazu twarzy, po prostu wciąż patrzył przed siebie, zaciskając dłoń na bocznej poręczy siedzenia. Wtedy obaj mężczyźni zaczęli go ciągnąć, z początku niezbyt mocno, ewidentnie nie spodziewając się poważniejszego oporu. Kiedy jednak nie zdołali go ruszyć, nawet we dwóch nie potrafili zmusić go do puszczenia poręczy, hipis z wściekłością podszedł do boku ławeczki i zaczął kopać dłoń Cuttera, jakby próbował zdeptać węża.

Potem Bone już niewiele pamiętał. Krzyk Mniszki, potem sam rzucił się naprzód i wbił pięść w twarz hipisa, który padł na wznak, sikając krwią z nosa i ust. Pamiętał też, że za plecami usłyszał coś jakby stęknienie, a potem eksplodowała mu potylicza. I bardzo szybko nie było już niczego.

13.

Pobyt Bone'a w areszcie stanowym trwał raptem cztery godziny, z tego większość na wytrzeźwiałce, gdzie Richard krył uszy i resztę głowy przed wokalnym szturmem, jaki przypuszczał zatankowany piwem nastolatek, raz za razem wydzierający się wniebogłosy refrenem piosenki Janis Joplin:

Drogi Boże, proszę, weź mie mercedesa kuuuuuup,

Wszyscy kumple mają porsche, bez merola jestem truuuuuup.

W związku z tym Bone odczuł wyraźną ulgę, kiedy w końcu przyszedł po niego szeryf. Ten wielki, swobodny facet po pięćdziesiątce powiedział Bone'owi, że już ponad trzydzieści lat nosił w prawej nodze sześć kawałków dobrej szwabskiej stali od Kruppa, więc świetnie rozumiał nastawienie faceta idącego na pomoc koledze, który w służbie ojczyzny stracił rękę, nogę i oko. Szeryf przeprosił nawet Bone'a za to, że wciąż bolała go głowa, powiedział jednak, że na to nic się nie dało poradzić: „Junior” po prostu nie zdawał sobie sprawy z własnej siły i wiecznie zwoził do aresztu półżywych ludzi, którzy „mogli się, kurna, zastanowić, zanim zadarli z gliniarzem o łapach jak bochny”.

Bone przyznał mu rację. Podziękował za rychłe zwolnienie z aresztu i zapytał o drogę do szpitala dla weteranów w Fayetteville, gdzie zabrano Cuttera, a wraz z nim Mniszkę, która ponoć podała się policjantom za jego żonę. Szeryf nadmienił, że nie zazdrościł nikomu, kto musiał się tam wybrać, jak zresztą nikomu, kto w ogóle zamierzał opuścić hrabstwo Rock, ale tak czy inaczej objaśnił Bone'owi, jak dojechać do szpitala. Zwrócił mu także kluczyki do auta i portfel. Nawet uściśnął mu dłoń na pożegnanie.

Odwożąc Bone'a radiowozem do miejsca, gdzie został ford, Junior wdał się w mały wykład. Zaczął od tego, że „ludzie nie powinni wierzyć we wszystkie te patriotyczne pierdoły, które serwuje szeryf”. Zdaniem zastępcy, jedynym metalem w nodze jego przełożonego był śrut z wypadku na polowaniu. A powodem, dla którego Bone tak łatwo wykaraskał się z opresji, był fakt, że według szeryfa przyłożenie hipisowi nie stanowiło przestępstwa – ba, sam lubił któregoś szturchnąć, kiedy tylko miał okazję. Naturalnie wyperswadował więc szczawikowi z wesołego miasteczka złożenie skargi przeciwko Bone'owi. Co oznaczało, że z Bone'a był

fartowny kutafon, i Junior miał nadzieję, iż ta świadomość Richarda nie opuszczała, bo gdyby to do zastępcy należała decyzja, wciąż jeszcze siedziałby w pierdlu. Napaść to napaść, jak Bóg świadkiem, tu nie było o czym dyskutować.

Bone naturalnie powstrzymał się od wszelkich komentarzy. Kiedy dotarli do forda, podziękował Juniorowi za podwiezienie i powiedział, żeby się nie przejmował tym, że tak mocno przyłożył mu w głowę, że przy odrobinie szczęścia do wesela się zagoi. Junior jednak wcale go nie słuchał.

– Pojadę za tobą do motelu – oświadczył. – Właściciel chce mieć pewność, że się zaraz wyprowadzisz, bez robienia kolejnych awantur.

Bone pomyślał o tamtej parce, Amerykańskim Gotyku, jak chciał Cutter. Czemu tu się dziwić?

– Jak sobie chcesz, facet – rzucił.

Junior jednak miał jeszcze coś do dodania. – A kiedy już się wymeldujesz, pojedziesz za mną w jedno miejsce. Ktoś chce z tobą pogadać.

– Kto?

– Nieważne, kto.

– A gdybym tak nie pojechał? Gdybym po prostu dał w rurę?

Junior niespecjalnie przejął się tą koncepcją.

– Ten wózek nie ma pod maską żadnego ekologicznego gówna – poklepał kierownicę radiowozu. – Zaraz bym cię złapał i zapudłował za stawianie oporu funkcjonariuszowi przy aresztowaniu.

– Aresztowaniu? Za co?

– Jazdę z nadmierną prędkością.

Pół godziny później Bone zorientował się, że jedzie w ślad za Juniorem znaną już sobie trasą: trzy mile autostradą na południe, potem na zachód w Drogę K. Tego dnia jednak nie zatrzymał się przed kamiennym portalem do Ferm Wolfe'a, nie wycofał wozu. Jechał dalej tłuczniowym podjazdem, aż na szczyt wzgórza, za przykładem policjanta mijając drózkę wiodącą pod samą rezydencję – modernistyczny, wielki budynek z drewna, szkła i miejscowego kamienia, przed którym ział pustką osuszony basen.

Kiedy dotarli do budynków gospodarczych, Junior zaparkował radiowóz i wysiadł. Bone zatrzymał się obok, lecz pozostał w aucie. W najbliższej zagrodzie dwaj kowboje pracowali przy grupie małych, czarnych jałówek, pędząc je przez wąskie

przejście ku bramce, gdzie trzeci szczepił zwierzęta z pomocą strzykawki wyglądającej jak srebrzysty pistolet. Bone kobjarzył jednego z nich z motelowego baru, tego, na którego „mały Billy” mówił Sam. A Sam zauważył obecność Juniora. Na pożegnanie przyłożył więc jednej z jałówek kosturem i wyszedł przez bramę zagrody. Junior odezwał się do niego, a kowboj spojrział na Bone'a i uśmiechnął się szeroko, wciąż klepiąc kosturem w dłoń. Dług był długi i niemalowany, a gruby jak drzewce siekiery. Sam skinął głową policjantowi, niespiesznie podszedł do najbliższego budynku i zniknął w drzwiach.

Bone trzymał już dłoń na kluczyku w stacyjce, ścisnął go kurczowo. Plecy ociekały mu potem, kiedy usiłował podjąć decyzję: czekać tutaj czy spróbować ucieczki? Zaszło mu w gardle. Przez głowę przelatywały obrazy z kina i telewizji: koparki władz federalnych ryjące w rdzawej, gliniastej glebie, gdy policjanci dokładnie w typie Juniora stali dokoła i przyglądali się poszukiwaniom, dowcipkując, szturchając się łokciami, zabawa na sto dwa... Kiedy Bone był zaprzątnięty tymi myślami, Junior podszedł bliżej, odcinając mu odwrót: siadł sobie przy błotniku forda i jedną ręką zaczął dłubać w zębach, drugą gładząc rękojeść tkwiącej w karburze trzydziestki ósemki.

Po paru chwilach Sam wyszedł z budynku, a za nim jego szef – Bone widział go dziś już po raz trzeci. Tym razem jednak widok ten przyniósł mu ulgę, gdyż Bone nie potrafił jakoś wyobrazić sobie „małego Billy'ego”, pokojowo nastawionego rozjemcy z poprzedniego wieczora, jako członka morderczego spisku wsioków.

– Dobra, ty tam! Wysiadaj z wozu! – wrzasnął Junior.

Bone posłusznie wykonał polecenie, choć czuł się tak, jak gdyby miał szczudła zamiast nóg.

Billy uśmiechał się swobodnie, bez stresu. – Proszę, proszę, kumpel staruszka Humperdincka.

– Niespodzianka, co?

– W pewnym sensie owszem. Nie byliśmy pewni, czy uda się nam złapać pana przed wyjazdem.

– Ale mnie złapaliście.

– „Złapać”, znaczy skontaktować się z panem – wyjaśnił Billy.

– Jasne.

Junior stał obok Billy'ego z triumfalną miną myśliwego, który wyczerpał limit odstrzału. Billy miał jednak dla niego złe wieści.

– Teraz już sobie poradzimy, brachu – klepnął policjanta w plecy. – Lepiej wracaj już do walki z przestępczością.

Usta Juniora wygięły się w podkówkę, ale mimo wszystko zdołał się zaśmiać. – Żebyś wiedział, Billy! Żebyś, cholera, wiedział!

Kiedy policjant odjeżdżał z rancza, Billy próbował objaśnić Bone'owi sytuację:

– Pewnie się panu wydaje, że to trochę za bardzo przypomina teatrzyk. I przykro nam z tego powodu. Chcieliśmy jednak omówić z panem parę spraw, nim się pan stąd ulotni.

– *My*, czyli kto?

– Głównie pan Wolfe.

– Nie znam człowieka. Nie mam o czym z nim rozmawiać.

– Cóż, on chyba sądzi inaczej. Czemu nie poświęcić mu paru chwil? Przecież od tego się nie umiera – Billy ruszył w kierunku budynków. – Jest w oborze dla buhajów, bawi się z tym nowym angusem, którego żeśmy kupili.

Bone jednak nie poszedł za nim. Nie podobał mu się pomysł zejścia z otwartej przestrzeni podwórza – zanurzenia w mrokach jakiejś odległej stodoły.

– Czemu nie tutaj? – zapytał. – Czemu nie możemy porozmawiać tutaj?

Billy wzruszył ramionami. – Bo ja wiem? Pewnie nie ma przeszkód. Ale co za różnica? Przecież facet chce tylko zadać panu kilka pytań, nic więcej. Za pięć minut może pan ruszać w drogę...

Rozbawienie maskujące się na twarzy Billy'ego dało Bone'owi do zrozumienia, że nie miał wyjścia.

– Dobra – skapitulował.

Poszli więc drogą między budynkami gospodarczymi, szeroką jak główna ulica w małym miasteczku. Jedne stodoły były pełne belowanego siana, w innych jednak poza paroma traktorami i innymi urządzeniami nie było niczego.

– Szkoda, że z pańskim przyjacielem tak się skończyło – Billy nie zwolnił kroku. – Byłem przy tym, wie pan. Widziałem, jak temu biedakowi odbiło. Ciekawe, co mu się stało... lęk wysokości? Nie wie pan czasem?

– Możliwe – odparł Bone.

Przy końcu drogi wszedł za Billym do obory z rzędami kopców po obu stronach środkowego przejścia, zawałonego belami siana. W budynku było dość ciemno, w rzeczy samej większość światła wpadała do środka przez wrota za plecami Bone'a – wrota, które zaraz się zamknęły. Bone odwrócił się i zobaczył przyczynę tego

zdarzenia: za nimi wszedł tu kowboj Sam. Bone nie zauważył przedtem, że Sam podążał za nimi.

- Wygląda na to, że staruszka J.J.-'a tu nie ma – stwierdził Billy.
- Chodźmy więc tam, gdzie jest.

Billy wzruszył ramionami. – E, wydaje mi się, że sam sobie poradzę.

Bone zorientował się już, że wszedł prosto w pułapkę, że był w potrzasku. Spróbował jednak zgrywać twardziela, zachowywać się tak, jak gdyby właściwie nic ważnego nie zaszło.

- Mówiłeś, że Wolfe tu będzie – rzucił.
- Bo i jest. Jestem z Wolfe'ów, tak samo jak J.J. Prawdę mówiąc, to mój stryjek.

Bone zaczął obracać się w stronę wyjścia, ale Billy wyciągnął rękę i przytrzymał go, nie za mocno.

- Dobra, czas na prawdę – oznajmił. – To ja chcę cię popytać, nie J.J.

Przez parę chwil Bone stał w milczeniu, patrząc tylko na dłoń Billy'ego na swoim ramieniu, aż ten w końcu go wypuścił. Billy oparł się wtedy o drzwiczki do boksu i wyjął papierosa z kieszeni kurtki – najwyraźniej był to umówiony sygnał dla Sama, gdyż w tej samej chwili kowboj zdzielił Bone'a w plecy kosturem i Richard zwałił się na kolana w słomę, milcząc, w ciszy wrzeszcząc na siebie samego, żeby powstrzymać się od krzyku w głos, żeby nie zemdleć. A wtedy kostur uderzył jeszcze raz, w to samo miejsce, i twarz Bone'a walnęła w pokryty słomą beton podłogi.

Mimo wszystko nie stracił przytomności. Był świadom, kiedy wrota za jego plecami otworzyły się i znów zamknęły, kiedy płynął czas, wiele sekund ciszy przerywanej tylko odgłosami wydawanymi przez buhaje w kojcach. Wciąż myślał, wciąż rozpaczliwie usiłował znaleźć jakiś sens w tym koszmarze, jakiś sposób, by się zeń wydostać. Parę refleksji wypłynęło na wierzch: Wolfe i Billy prawdopodobnie niczego o nim nie wiedzieli, znalazł się tutaj z powodu furiackiego monologu Cuttera na paradzie, więc jego jedyną szansą było maksymalne zdystansowanie się od Alexa.

Powoli odepchnął się od ziemi, zdając sobie sprawę, że stał nad nim Billy, wciąż oparty o kojec, teraz leniwie zapalający papierosa długą, kuchenną zapałką, którą starannie zdmuchnął i schował do kieszonki znoszonej, dżinsowej kurtki. Bone powoli przesunął się na drugą stronę przejścia, wsparł się plecami o boks, by chronić nerki i kręgosłup, które zwały się w jeden węzeł cierpienia.

– Szkoda, że tak się stało – stwierdził w końcu Billy. – Szkoda, że musieliśmy to zrobić.

– Dlaczego ja? – wydusił Bone.

Billy zignorował pytanie. – Pan Wolfe nie wie, że tu jesteś – oświadczył w końcu. – Bogiem a prawdą, w ogóle nie wie, że istniejesz. I chcę, żeby tak już zostało.

Bone, próbując opanować głos, by nie przebił przezeń ból i lęk, znów spytał, co tu się działo, czemu go zaatakowali.

– Podziękuj koledze, Humperdinckowi. To przez te pierdoły, którymi sypał po południu.

– Sam widziałeś, że mu odbiło, nawet powiedziałeś tak na dworze. Więc czy to takie ważne, co wygaduje jakiś czubek?

– Ależ bardzo – zapewnił go Billy. – Tu nie jest tak, że można ot, tak sobie wygadywać takie rzeczy... a już na pewno nie o J.J. Wolfe'ie.

– Kiedy ja w ogóle nie znam tego waszego Wolfe'a – odparł Bone. – Humperdincka zresztą też prawie nie.

– Prawie go nie znasz?

– Zgadza się.

– Tylko sobie razem podróżujecie, co?

– Powiedziałbym raczej, że dla niego pracuję. Jako kierowca. Chyba zauważyłeś... brakuje mu paru kończyn.

– Widziałem.

– Tak ze cztery dni temu, na wybrzeżu, byłem na imprezce. A on podszedł do mnie i mówi, że słyszał, że nie mam roboty, więc może przywiózłbym go tutaj. Oferował wyżywienie i forszę na wydatki.

– I tyle?

– I tyle.

– Więc nie chcesz urwać działki?

– Jakiej działki?

– Udziału w szantażu.

– Nic nie wiem o żadnym szantażu.

– Ha, nie wiesz?

– Zgadza się, nic nie wiem.

Billy wydmuchnął kółko z dymu, a potem tchnął przez jego środek kolejne, niżej.

– Umiesz niezłe kłamać – stwierdził.

– Nie, kiedy jestem przerażony.

- A teraz jesteś?
- No.
- Czemu?
- Mam niezłe powody.
- Przeze mnie?

Bone wzruszył ramionami. – Gdybym był na znajomym gruncie i sam na sam z tobą, może bym się ciebie nie bał. Ale tutaj, owszem. Przerażacie mnie.

- Masz łeb na karku. Szkoda, że Humperdinck nie jest taki bystry.
- Jest chory, i tyle.

Billy zmierzył Bone'a wzrokiem i pokręcił głową, ze wzdargą i zdziwieniem. – Że niby J.J. Wolfe zabił jakąś nastolatkę i wepchnął zwłoki do kubła na śmieci... no, jak ktoś mógłby coś takiego wygadywać?

- Nie wiem. Spytaj tego, co mówił, a nie mnie.
- Ale pytam ciebie.
- A ja nijak ci nie pomogę. Przywiozłem tego faceta tutaj, i tyle. Nie mam pojęcia, co on kręci. Nie wiem, jaki macie z nim problem. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

Billy nie odzywał się przez chwilę. Stał teraz przed boksem, niemal twarzą do drzwiczek.

– Widziałeś tego tutaj bydlaka? – zapytał w końcu. – Wołamy na niego „Zły Sen”.

Bone podciągnął się na belę siana, z nadzieją, że ulży obolałym plecom. Pomiędzy dwucalowymi deskami, z których zbito kojec, widział stojące w nim zwierzę, olbrzymią rogatą bestię o czarnej sierści, długością i wysokością ciała dorównującą koniowi wyścigowemu czystej krwi, lecz dwakroć odeń szerszą, dwakroć masywniejszą, z łbem jak beka i nozdrzami, w których mieściłyby się pięści.

- Ano widzę.
- Uwierzyłbyś, że coś takiego istnieje? Krzyżówka, anguschanina, ponad tona czarnej złej krwi. Wyobrażasz sobie, co mógłby zrobić jakiemuś frajerowi, który przypadkiem znalazłby się tam sam na sam z nim? Powiedzmy, związanemu frajerowi? Możesz to sobie wyobrazić?

Mógł, i zmroził go lęk. Odpowiedział jednak Billy'emu krótko: – Owszem.

– No, tak myślałem. To w sumie tak, jak powiedziałem Humperdinckowi wtedy, wieczorem, o tutejszych chłopakach. To naprawdę nie jest zdrowe miejsce dla takich, co to przyjeżdżają i opluwają innych, szczególnie ludzi pokroju J.J. Wolfe'a.

– Świetnie to rozumiem – odparł Bone. – Przykro mi, że do tego doszło. Ja jednak nie miałem z tym nic wspólnego.

– O, naprawdę?

– Naprawdę.

Billy zaciągnął się papierosem i powoli wypuścił dym, nieustannie wpatrując się w Bone'a wzrokiem jak lodowata woda.

– Po co żeś tu przyjechał? – zapytał w końcu.

– Już ci mówiłem.

– A po co on tu przyjechał?

– Nie wiem.

– Szantaż? Przyjechał, żeby szantażować Wolfe'a?

– Szantażować go? Czym? Co on takiego zrobił?

– Kto mówi, że od razu musiał coś zrobić? Taki facet jak J.J., jest jak dzik uwiązany do drzewa. Ma tyle odpowiedzialności, tyle majątku... wystarczy jedna plotka, przyjacielu. Nic więcej. Trochę brudów. I już jakiś gnój myśli sobie, że złapał Pana Boga za nogi.

Bone milczał. A Billy ciągnął dalej, tonem nagle stwardniałym, nagłym, jak gdyby wyjawiał jakieś koszmarnie sekrety.

– J.J. Wolfe to najuczciwszy człowiek, jakiego byłoby ci dane w życiu poznać. Najlepszy pod słońcem. Najciężej pracujący. Najuczciwszy.

– Nie wątpię – odparł Bone.

– A jeśli ktoś powie, że jest inaczej, myśli sobie, że może tu wleźć i nazywać go mordercą, zboczeńcem seksualnym... roi sobie, że po prostu podwinimy ogon i zapłacimy, damy takim forszę, żeby przestali o nas łącać... no, mogę ci dać słowo, że ktoś taki nigdzie nie zdoła się ukryć. Dotarło? *Nigdzie*.

W zamkniętej oborze zaczęło się robić duszno i Billy bezwiednie rozpiął kurtkę. Pod rozchyłonymi połami Bone zobaczył koszulkę, a na niej obrazek: czerwoną dziką świnię z Arkansas, nazwę i symbol drużyny sportowej tamtejszego uniwersytetu stanowego. I z jakiegoś powodu ów obraz zaczął drażnić myśli Bone'a, niczym twarz, której nie mógł do końca skojarzyć z nazwiskiem. Potrzebował nieco czasu, żeby to sobie przemyśleć, lecz głos Billy'ego nie pozwolił mu się skupić.

– Zrozumieliśmy się, przyjacielu?

Bone przytaknął. – Zupełnie nie znam człowieka. Nie przyjechałem tu, żeby mu bruździć.

– A ten twój kumpel... jak z nim?

Bone nie od razu udzielił odpowiedzi, bo w końcu dotarło do niego, co go tak

dręczyło w tym obrazku na koszulce. „Po prostu świniak, kurwa jego mać”, powiedział chłopak na stacji benzynowej, opisując T-shirt faceta, który w Santa Barbara kupił dwa kanistry paliwa. I Bone zaczął się zastanawiać, czy właśnie w tej chwili nie ma przed sobą podpalacza we własnej osobie, może przecież nie był to Wolfe, ale jego bratanek, właśnie teraz nieuważnie skrobiący po niedużym emblemacie czerwonego, szalejącego dzika na piersi. Bone mógł sobie niemal wyobrazić tę scenę: J.J. wraca do motelu, pijany, zbryzgany krwią, owładnięty paniką i szokiem, może wręcz nie do końca pewien, co właściwie się stało, zapewne nawet z zamiarem zawiadomienia policji... ale wtedy do akcji wkracza lodowaty Billy, facet, który na wszystko ma szybką, twardą odpowiedź.

Intrygująca teoria, ale nic więcej, i Bone dobrze o tym wiedział. Emblemat dzika nie był wystarczającym dowodem. Nic nie było takim dowodem.

– To jak z nim? – naciskał Billy. – Twój kumpel też nie chce mu mieszać w interesach?

– To żaden mój kumpel.

– Nie, no jasne. Więc ta scena dziś po południu przy diabelskim młynie, kiedy przyłożyłeś temu hipisowi... skąd to się wzięło?

– Facet jest kaleką – odparł Bone. – Ten hipis go kopał.

– Więc nie jesteście kumplami?

– Nie.

– Zatem nie potrafisz powiedzieć, co mu przyjdzie do głowy, tak?

– Mogę ci powiedzieć, co się na pewno nie stanie. On na pewno nie będzie pamiętał niczego, co się tu wydarzyło. Trafi na terapię wstrząsową. Elektrowstrząsą.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Mamy wspólnych znajomych. Mówili, że od powrotu z Wietnamu facet regularnie ląduje w szpitalu.

Wyglądało na to, że te wieści zrobiły na Billym wrażenie.

– Więc to czubek.

– A ty byś nie był?

Billy znów zaciągnął się papierosem i z namysłem pokręcił głową. – Chcę skończyć wreszcie z tym popaprańcem, tu i teraz. Ale muszę mieć sto procent pewności. J.J. to dla mnie nie tylko stryjek i szef... jestem facetowi cholernie zobowiązany. Mój stary to był kawał gnoja, pijaczyna, ale J.J. dopilnował, żeby się nam krzywda nie działa. Jeśli czegoś potrzebowaliśmy, dawał nam. Posłał mnie nawet do college'u.

– W Arkansas – mruknął Bone.

– Zgadza się. Ekonomia i zapasy. A teraz prowadzę jego farmy. I czasem jeżdżę z nim w trasy. Lubi sobie pogadać o bydłe.

– Byłeś w Santa Barbara – wyrwało się Bone'owi. Błąd.

A Billy go nie przegapił. Coś nowego pojawiło się w jego oczach, coś, czego Bone nie potrafił odczytać.

– Co masz na myśli? – zagadnął kowboj.

– Nic takiego – Bone próbował zminimalizować sprawę. – Tak mi się tylko wydawało, że jakie by to nie były problemy, znaczy, między Wolfe'em a Humperdinckiem... no, może i ty coś o tym wiesz. Może byłeś tam, na miejscu.

– Ano, może i byłem. A może też wcale nie było żadnych problemów, tylko dwa odrębne zdarzenia. Ktoś podpala samochód J.J.-'a, a ta miejscowa dziewczyna dostaje w czapę i kończy w kuble na śmieci. A wy, pajace, robicie z tego wielkie coś. Myślicie sobie: „łatwy szmal”. Dodaliście sobie dwa do dwóch, i ile wam z tego wyszło? Dziesięć tysięcy? Tak by to wyglądało? Myśleliście sobie, że tyle zapłaci, żeby mieć spokój, uniknąć rozgłosu?

Bone kręcił głową, zaprzeczał wszystkiemu. – Przecież ci mówiłem... nie mam z tym nic wspólnego. Ja tylko prowadziłem auto, kiedy jechaliśmy tutaj, i tyle.

– Jasne, nic więcej.

– Właśnie tak.

Billy uśmiechnął się ponuro. – Nie inaczej.

Bone w końcu wstał – był wyższy od Billy'ego, masywniej zbudowany. Stwierdził też, że może zapanować nad cierpieniem, zwalczyć ból, jeśli będzie taka potrzeba.

– To nieważne – oświadczył. – To nie ma znaczenia.

– Hę? A co ma znaczenie?

– To, że macie moje słowo: Nie wiem nic na temat Wolfe'a. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

– To wszystko?

– I wychodzę stąd. W tej chwili.

– Ot, tak sobie?

– Właśnie tak.

Billy zastanowił się nad tym. Butem odgarnął słomę z kawałka podłogi, upuścił tam papierosa i starannie go roztań.

– Dziwna z was para, ty i ten twój „pracodawca” – stwierdził w końcu.

Bone nie odpowiedział.

– No, starsuszek Humperdinck nie dość, że zapłacił wysoką cenę, to jeszcze chciało mu się podbijać stawkę. Aż się rwie, żeby *znów* płacić. Ale ty... tobie się wydaje, że możesz w to wejść ot, tak sobie, nie? Kombinujesz, że z tą przyjemną, grzeczną buziuchną ze wszystkiego się wyłgasz, wszystko będzie dobrze, cud-miód, sam luz.

– A tak nie powinno być, co?

– Nie powinno.

– I trudno. Tak czy inaczej, wychodzę.

– No tak, oczywiście. Po prostu sobie stąd wyjdiesz, cały radosny, wolny jak ptak, co?

Bone milczał.

A Billy przestał się uśmiechać. – W takim razie lepiej już ruszaj – rzucił.

Wychodząc, Bone nie odwrócił się do kowboja plecami, póki nie dotarł do drzwi. Wtedy skręcił, idąc wprost w zachodzące słońce. Zmusił się, żeby bez pośpiechu pokonać całą trasę aż do auta, powoli zjechał ze wzgórza, minął kolumny bramy. Dopiero wtedy docisnął pedał gazu do podłogi.

Nim dojechał do szpitala, była już niemal północ. Mniszkę znalazł w poczekalni, siedziała samotnie w półmroku. Na jego widok krzyknęła i rzuciła mu się w ramiona, aż ledwie utrzymał się na nogach. Potem wysypała z siebie wszystko, łęki i stres ostatnich ośmiu godzin, szlochając jak dziecko. Powoli powiedziała mu to, co mogła, tych kilka rzeczy, których się dowiedziała. Alex spał gdzieś na oddziale, dostał środki nasenne. Nie wiedziała nawet, na której sali. Nie widziała się z nim. Podała lekarzom wszystkie informacje, jakimi dysponowała, ale sami nic jej nie mówili, to nawet zresztą nie byli psychiatrzy. Mówili, że psychiatra przychodzi na dyżur dopiero rano, a i wtedy nie od razu dotrze do Cuttera, więc nie będzie miał jej nic do powiedzenia.

Wtedy Bone namówił ją do opuszczenia szpitala, i razem zameldowali się w motelu nieopodal. Zapytała, czemu tak często łąpał się za plecy, a on odparł, że w więzieniu była burda i upadł na kant stołu. Napuściła mu więc do wanny gorącej wody, nawet pomogła wejść do kąpeli. Nie był do końca pewien, czy plecom bardziej pomogłaby gorąca kąpiel, czy raczej okłady z lodu, ale czuł, że w wodzie jest mu dobrze, więc napawał się tym uczuciem przez prawie godzinę. I przez cały ten czas Mniszka nawijała o tym, jakie to nowe, niesłychane głębie osiągnął jej związek z Cutterem. Oznajmiła, że było im pisane, iż będzie towarzyszką ich

podróży do Missouri. Bogowie, gwiazdy, czy jakie tam jeszcze moce wiedziały, że w pewnym momencie będzie Alexowi niezbędna, więc właściwie wbrew jej woli zmusiły Mniszkę, by pojechała z nimi. Bo nie chciała jechać, jeszcze nigdy czegoś takiego nie zrobiła, a tu – proszę, była u boku Cuttera właśnie w chwili, kiedy najbardziej jej potrzebował. Sama w sobie była nikim, zerem, tak było i tak zawsze miało być. Ale niejako część Alexa, jego kochanka, dziewczynka na posyłki czy wycieraczka, nieważne, jaką przypisze jej rolę, jak długo właśnie tego sobie życzył. Bowiem Cutter był wyjątkowym człowiekiem... na pewno Bone również to zauważył, prawda? Czy zdarzyło mu się przedtem poznać kogoś, kto byłby jak Alex: potrafił mówić tak jak on, zachowywać tak jak on, kogokolwiek, kto miałby to niewiarygodne, szczególne *spojrzenie*, które oznajmiało, że on już to wszystko wiedział, widział, już tego wszystkiego doznał? I na pewno wyzdrowieje, znów będzie sobą, Mniszka to wiedziała, nie kwestionowała tej wiedzy, bo równie dobrze mogłaby podawać w wątpliwość to, że słońce znów wzejdzie o poranku. Po prostu dlatego, że to był Alex, że był sobą...

Bone przytakiwał jej tylko, ziewając. Aż w końcu przygotował się do spania, ucałował Mniszkę w czoło i powiedział jej dobranoc. Nie zasnął jednak. Przez długi czas leżał w ciemnościach, rozmyślając nad wszystkimi wydarzeniami tego dnia, i wprost nie mieściło mu się w głowie, że wciąż nie był pewien, jak naprawdę wyglądała kwestia winy Wolfe'a. Widział człowieka na własne oczy – i nic, nic nie zaświtało, żadnych skojarzeń. A jednak, jeśli facet był niewinny, to bez dwóch zdań przesadnie zareagował na oskarżenia Cuttera, zlecając zastępcy szeryfa, by ściągnął Bone'a na farmę i pozwalając parobkom, by go obili i ostro wzięli na spytki. Jeśli problemem Wolfe'a były jedynie niedogodności wynikające z próby szantażu, nie musiałyby chyba posunąć się aż tak daleko, poza prawo, by sobie z tym poradzić?

Z drugiej strony, jeżeli jednak *był* winny, czemu Bone'owi pozwolono odjechać? Billy nie działał na własną rękę – w to Bone nie wierzył ani przez chwilę. Wolfe bez wątpienia usłyszał, co Cutter miał do powiedzenia w trakcie parady. Dowiedział się też, że Bone mu towarzyszył, że przyjechał tu z nim aż z Santa Barbara, a zatem był zapewne współnikiem w szantażu. A jednak go wypuścili.

Pozostawała tylko jedna możliwa konkluzja – Wolfe był albo całkowicie niewinny, albo prawie: w duchu nie był zbrodniarzem, lecz zwykłym patałachem, jak większość ludzi, w tym i sam Bone, i pozwolił mu odjechać, bo wybrał bezczynność i niepewność w miejsce wykonania z zimną krwią egzekucji. Tak czy inaczej, Bone

uznał sprawę za zamkniętą. Był już bezpieczny. Wydostał się z matni. Podobnie jak i Cutter – ale ten wypadł ze sprawy w sposób, o którym Bone nie chciał myśleć, nie tej nocy. Może następnego dnia, jeśli to także nie będzie zbyt szybko.

Rano, sztywny i obolały, wrócił z Mniszką do szpitala. Musieli tam czekać prawie do południa, nim w końcu spotkał się z nimi lekarz, doktor, który okazał się dawno oczekiwanym psychiatrą, choć z wyglądu przypominał bardziej sprzedawcę używanych aut z okolic Los Angeles: robił balony z gumy, przybijał piątki, szczerzył się jak akwizytor, a ubrany był w białą-czerwoną koszulę w komputerowo generowany deseń, czerwony krawat i także szerokie spodnie, a do nich biały pasek i buty. Kazał na siebie mówić „głowolog Wheelright”. I oznajmił, że jeśli spodziewali się zalewu psychoanalitycznego żargonu, to trafili pod zły adres.

Więc co do ich kumpla, to jeszcze niewiele można było powiedzieć. Wciąż był w depresji, to na pewno, ale było nieco za wcześnie, by stwierdzić, czy to autentyczna psychoza depresyjna, czy też po prostu facet złapał dola. Koleś miał w dodatku taki dziwny ogień w oku – a Wheelright widział już takie, i to niejedną raz – co przeważnie oznaczało, że pacjent sobie w ten czy inny sposób pogrywa z lekarzami. Co nie znaczyło, że chłop nie był chory – ba, wręcz przeciwnie, co do tego nie było nawet cienia wątpliwości. Wheelright przekręcił do Los Angeles po historię choroby Cuttera ze szpitali dla weteranów i sądząc z tych danych oraz tego, co poprzedniego dnia ta tutaj dziewczyna opowiedziała doktorowi Ramseyowi, cóż, było jasne, że chłopina potrzebował spędzić nieco czasu wśród czterech ścian, w bezpiecznej odległości od społeczeństwa. Całkiem często tego typu załamania sprowadzały się właśnie do czegoś takiego: koleś wie, że ma problem, że jest chory, więc jakby spuszcza się ze smyczy, jak gdyby sam podpisał papier, że jest niepoczytalny. Sytuacja w typie „żołnierzu, lecz się sam”, by tak rzec.

Doktor przerwał wtedy i uśmiechnął się, zachwycony fenomenem własnej werbalnej gibkości, po czym przeszedł do sprawy od strony ustaleń praktycznych. Ten szpital dla weteranów nie miał oddziału psychiatrycznego – sam doktor Wheelright pracował na uniwersytecie, a tutaj był tylko w konsylium. W związku z tym Cuttera trzeba będzie niedługo przenieść, albo do Little Rock, albo z powrotem na wybrzeże, w zależności od rodziny, stanu finansów, itepe. Bone oświadczył, że Cutter nie miał już żadnej rodziny, ale bardzo bliskim znajomym był pewien

biznesmen z Santa Barbara, niejaki George Swanson. Sam Bone był akurat na niezbyt poukładanym finansowo etapie życiorysu, zaś... (tu spróbował, bez skutku, przypomnieć sobie prawdziwe nazwisko Mniszki) *ona* wciąż jeszcze studiowała w college'u. W związku z tym najbliższe źródło moralnego i finansowego wsparcia, nie licząc rządowego programu opieki nad weteranami wojennymi, znajdowało się w Kalifornii. Notując te informacje, Wheelright powiedział, że w takiej sytuacji zapewne właśnie tam przeniosą Cuttera, wyślą go pod opieką sanitariusza.

– I moją – wtrąciła Mniszka. – Jadę z nim, gdziekolwiek go wyślecie.

Wheelright wyrozumiale pokiwał głową. – Nie ma problemu... jak długo stać panią na koszty podróży, ma się rozumieć. I jeśli w międzyczasie nie dowiem się, że problemy pacjenta biorą się po części z pani obecności.

– To na pewno nie – powiedział Bone.

Z trudnością udało mu się przekonać lekarza, by ten pozwolił mu zobaczyć się z Cutterem jeszcze tego samego dnia, przed wyruszeniem z powrotem na wybrzeże. W końcu Wheelright uległ, zastrzegając jednak, że spotkanie musi się odbyć w jego obecności.

– Nie chcemy, żeby naszemu pacjentowi jeszcze się pogorszyło – argumentował.

Po drodze, kiedy mijali kolejne sale, wszystkich tych mężczyzn o kulach, na wózkach inwalidzkich, czy też ludzkie wraki zagubione na szpitalnych łózkach, Bone silniej niż kiedykolwiek przedtem odczuł ogrom załamania Cuttera. W rozmowie z Billym kłamał o elektrowstrząsach, nigdy przedtem z Alexem nie było aż tak źle, ale teraz, kiedy szedł za lekarzem po długich, wypastowanych korytarzach pełnych bólu i rozpaczy, nie mógł się nie zastanawiać, czy faktycznie do tego nie dojdzie, czy koniec końców nie przypną Cutterowi drutów i nie wypalą jego umysłu, jego ducha, zdławią jego figlarny ogień zimnym ogniem medycyny. Im więcej o tym myślał, tym bardziej nieznosna była ta możliwość. Nim doszli do pokoju Cuttera, Bone nie był już pewien, czy w ogóle zdoła z nim porozmawiać. Miał wrażenie, że się dusi. Oczy płonęły mu nieznośną suchością.

Na sali były trzy łózka i dyżurny pielęgniarz, niewysoki, lecz krzepki czarny młodzieniec, który zameldował Wheelrightowi, że nowy pacjent był obecnie przytomny i względnie odprężony, już nie szarpał się z kołdrą. Doktor skinął głową i Bone poszedł za nim do łóżka w rogu, uplasowanego za białą plastikową kotarą.

Cutter leżał tam na wznak, nieruchomy, drobny. Dopiero gdy Bone podszedł bliżej, zrozumiał, czemu Alex miałby się szarpać z koldrą – w rzeczywistości była to płachta do krępowania ruchów, przypięty pasami płat grubego płótna. Wyraz twarzy Cuttera faktycznie wskazywał na odprężenie, wręcz pogodę ducha. Jednak Bone miał wrażenie, że jego oko – to, w którym doktor zauważył „taki dziwny ogień” – martwo patrzyło w pustkę. Matowe, zamglone środkami nasennymi, przelotnie omiotło wzrokiem Bone'a, by zaraz wrócić do tępej kontemplacji sufitu.

– Teraz tylko na parę chwil – uprzedził go lekarz.

Bone przytaknął, wciąż patrząc tylko na Cuttera z nadzieją, że ten znów nań spojrzy.

– Witaj, stary – zagadnął. – Co porabiamy?

Próbował się uśmiechnąć, kiedy to mówił, świadom, że faktycznie było to śmiechu warte, podobnie jak jego słowa. Nie wiedział jednak, jak inaczej się za to zabrać, jak mówić do tej nieznannej istoty, leżącej przed nim. Pamiętał ostatnie, dziwaczne słowa, jakie wypowiedział Cutter, wtedy w wesołym miasteczku: że przyszli po niego, *oni* w końcu po niego przyszli. Pomyślał sobie, że może w ten sposób dotrze do Alexa – pomoże mu zrozumieć, że nie było żadnych *onych*, że to wszystko robili zwykli ludzie, nie więcej, małe ludziki zaplątane w małe sieci.

– Pojechałem spotkać się z Wolfe'em – zaczął. – Rozmawiałem z nim. To nie był on, Alex. Nie miał nic wspólnego ani z dziewczyną, ani z pożarem.

Chciał jeszcze dodać, że to nie Wolfe zakładał miny w Wietnamie i nie on wzburzył morze u przylądka Conception. Cutter jednak i tak by go nie usłyszał, podobnie jak nie słyszał początku wypowiedzi.

– Dobra, już chyba wystarczy – stwierdził lekarz. – Sam pan widzi, jak z nim jest.

Teraz Bone nie potrafił już zapanować nad gromadzącą się w oczach wilgocią. Gdy łzy wzbierały, pochylił się nad Cutterem, dotknął go, uściśnął ramię.

– Wróć do nas – wydusił. – Słyszysz, młody? Wróć do nas. Jesteś nam potrzebny.

Lekarz jednak łagodnie odciągał go już od łóżka. Poprowadził go przez salę do drzwi na korytarz.

– Nie no, nie ma się co poddawać – powiedział. – Dlatego właśnie nie chciałem, żeby go pan już teraz oglądał. Pierwszy dzień w takim stanie, co tu można stwierdzić? Ale za parę dni, no, przecież może raz-dwa wrócić do siebie. Nigdy nie wiadomo...

Bone pokiwał głową z wdzięcznością. To już było coś.

Po południu znalazł nocleg dla Mniszki. Pomógł jej wprowadzić się z bagażami, oddał dwieście dolarów z czterystu pięćdziesięciu, jakie mu zostały, po czym pocałował ją na pożegnanie. Trochę popłakała i powiedziała, że go kocha, prawie tak bardzo, jak Cuttera. A Bone uśmiechnął się szeroko.

– To mnie urządza – stwierdził. – W każdej chwili.

Kiedy już się rozstali, pojechał na stację benzynową i zadzwonił do George'a Swansona w Santa Barbara, na koszt rozmówcy. Złapał go w pracy, w agencji nieruchomości. Pokrótko opowiedział o załamaniu, jakie przeszedł Cutter, wspominał, że szpital prawdopodobnie wkrótce odeśle go z powrotem na wybrzeże. Podał też Swansonowi numery telefonów do szpitala i pensjonatu, gdzie zamieszkała Mniszka, dodając, że dziewczyna ogromnie troszczyła się o Cuttera, więc dobrze byłoby utrzymać z nią kontakt, bo będzie mogła informować George'a na bieżąco o stanie zdrowia Alexa i terminie jego powrotu do Kalifornii. Sam Bone zamierzał wyjechać tego popołudnia i oddać Swansonowi samochód przed upływem tygodnia. Potem próbował mu jeszcze wyjaśnić sprawę pieniędzy, ile ich jeszcze zostało i kto ile miał, lecz George oświadczył, że to nieistotne, że najważniejsze było to, iż Cutter wciąż pozostawał przy życiu, a dzięki Bone'owi będzie też otoczony należną opieką.

Richard chciał już odwiesić słuchawkę, ale George zapytał, czy mógłby się dowiedzieć o cel tej podróży – po co właściwie Cutter chciał jechać w góry Ozark?

– Ślepy strzał – odparł Bone.

– Do czego?

Bone wyjaśnił całą rzecz, zaczynając od zdjęcia Wolfe'a w gazecie. A George gwizdnął z wrażenia. – *Ten* J. J. Wolfe?

– Nie kto inny.

– No i co się okazało? To jego wtedy widziałeś?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?!

– Ujmijmy to w ten sposób – zaczął Bone. – Jeśli już nigdy nie zobaczysz Alexa ani mnie... jeśli skończymy gdzieś w rowie... to by znaczyło, że owszem, pewnie to jednak był Wolfe.

Przez parę chwil ze słuchawki nie dobiegały żadne dźwięki. Gdy George znów się odezwał, mówił piskliwym, przerażonym głosem: – Ty to na serio?

Bone spróbował się roześmiać. – Oby nie.

Kiedy już przerwał połączenie, podjechał samochodem pod dystrybutor i kazał zatankować do pełna. Zlecił też sprawdzenie poziomu oleju i wody oraz ciśnienia w oponach. W sklepie kawałek dalej kupił koc, kilka paczek suszonych owoców i orzechów, oraz manierkę, którą napełnił wodą z przydrożnego ujęcia. Potem wyjechał z miasta, zmierzając na zachód. Podobało mu się to uczucie, pozostawianie gór za plecami, oddalanie się od krainy Billy'ego, Juniora i J.J. Wolfe'a, którzy łatwo się uśmiechali, a jeszcze łatwiej bili. I jakoś tak się stało, że w świetle dnia, kiedy odjeżdżał, cała sprawa Wolfe'a wydała się nagle Bone'owi zupełnie nieistotna. Owszem, w głębi duszy wierzył, że Wolfe był winny, lecz wypadku raczej niż rozmyślnego mordu, nieszczęśliwego koktajlu żądz i alkoholu, młodości i wieku, bezmyślnej, imprezowej Kalifornii i mrocznych furii pogórza. Bone w to właśnie wierzył. Tyle że zupełnie się tym nie przejmował. Cieszył się, że może się już na to wszystko wypiąć. Żałował tylko, że nie może tego zrobić wraz z Cutterem.

Postanowił wracać do domu okrężną trasą, na północ przez Colorado i Wyoming, a potem z powrotem w dół, przez Utah i Nevadę do San Francisco i dalej, wzdłuż wybrzeża do samego Santa Barbara. Będzie jechał sam. Nocą może spać w samochodzie, za dnia będzie jadł tylko to, co sobie kupił na drogę. Z nikim nie będzie rozmawiać. I może wtedy zacznie to sobie jakoś układać: ból, poczucie straty, świadomość, że wszyscy już przepadli, najpierw Mo i mały, a teraz na swój sposób także i Cutter.

Po powrocie do Santa Barbara uporządkuje sobie życie. Ustali ze Swansonem, ile jest mu winien, umówią warunki spłaty, a potem pojedzie na stopa na południe, do San Diego czy któregoś z mniejszych plażowych miast, znajdzie sobie jakąś bzdurną robotę, żeby wystarczyło na żarcie i fajki. Z czasem znajdzie sobie paru przyjaciół. Namierzy gdzieś przytulny bar, gdzie będzie można pogadać i wypić co nieco. I będzie biegał na plaży. Czasem poderwie jakąś pannę, da ciału słodki spokój na jedną czy dwie noce. Ale na tym koniec. Przyjaciele, dziewczyny, dobra, ale nie wpuści ich we własne życie, jak wpuścił Mo i Cuttera. Nie będzie ich kochał.

W ciągu godziny przekroczył granicę stanu Oklahoma, kierując się boczną asfaltówką na północ, i wtedy we wstecznym lusterku zauważył pick-upa. Nowy model,

czarny, zdawał się trzymać jakieś trzysta stóp za nim. Richard na próbę przyspieszył do siedemdziesięciu mil na godzinę, lecz pickup nie został w tyle. Wtedy Bone poczuł pierwszy dreszcz obawy. Na kilka chwil nawet dodał jeszcze gazu, rozmyślił się jednak, zwolnił do czterdziestu pięciu, żeby sprawdzić, czy i tamten przyhamuje. Ale nie – pickup błyskawicznie zmniejszył dystans i odbił w lewo, by wyprzedzić forda.

Bone z ulgą wepchnął sztyft zapalniczki w tablicy rozdzielczej i zaczął wyciągać z kieszeni papierosa. Jednocześnie wyjrzał przez okno na mijający go samochód i zobaczył w nim dwóch mężczyzn: kierowcę właściwie tylko w zarysie, przysadzi-
stą, wielkogłową sylwetkę patrzącą prosto przed siebie, ale siedzący obok pasażer, kryjący pod okularami przeciwsłonecznymi oczy jeźdźca z rodeo, wysunął z okna lufę strzelby i przytrzymał ją tak przez chwilę, nim pociągnął za spust – na tyle długo, by Bone zrozumiał.